



Joanna
Marat

Madonny z ulicy Polanki

Prószyński i S-ka

Joanna Marat

Madonny
z ulicy Polanki

Prószyński i S-ka

Mojej Mamie

Przypadek jest maską na twarzy przeznaczenia
IZAAK BASHEVIS SINGER

PROLOG

U wlotu ulicy pokazał się transporter. Mały dzióbek plunął krótką serią. Zastukało o mur tuż nad nimi. Obok starych wojennych dziur po kulach zakwitły nowe.

– Jezus! – wykrzyknęła i popatrzyła na mały czerniejący otwór w jego udzie. – Boli cię? – zapytała.

– Nie – odparł, pobladły.

Usiedli bezmyślnie na bruku, nie wiedząc, co z tym zrobić. Skot wycofał się powoli. Nadjechała krążąca po ulicach karetka. Upchnęła go za drzwiami, żeby nie musiał leżeć na innych.

– Trzaśnij dobrze! – krzyknął umazany krwią kierowca karetki.

O czwartej nad ranem szesnastego grudnia do miasta wdarły się pancerne zagony. A redę gdańskiego portu zablokowały cztery okręty marynarki wojennej. Zaczęło się oblężenie. Dowództwo wydało decyzję o boju dywizji pancерnej w mieście. Żołnierze 16 Kaszubskiej Dywizji Pancерnej otrzymali rozkaz zablokowania ulic prowadzących ze stoczni do miasta.

Na chodniku przed blokiem zachrząściło szkło, choć szyby w oknach wciąż pozostawały nietknięte. Gdzie się podziali wszyscy? Cały ten brunatnoszary gęsty rozdygotany tłum nagle zniknął. Była zupełnie sama. Piekły ją oczy. To od gazu. I jeszcze to nieznośne wycie syren. A dookoła jakby mgła. Biegła wzdłuż muru, starając się omijać potłuczone szkło. I wtedy z tej mlecznej, oblepiającej wszystko mgły wyłoniła się milicyjna nysa. Sunęła powoli – jak skradający się gad. Nie wiadomo, skąd się tu wzięła. Wypadło z niej dwóch dość wysokich. W śmiesznych kaskach, jakie nosili motocykliści. Z emblematem „MO”. Kazali jej pokazać dłonie. A potem puścili wolno. Jakby nigdy nic. „Zmiataj”, syknął ten nieco wyższy. Ruszyła więc przed siebie. Była dalej od nich. Nagle poczuła ból w karku. Straciła przytomność.

Ocknęła się dopiero wtedy, gdy przenosili ją przez wielkie obrotowe drzwi. Nie wiedziała, gdzie jest i co dalej będzie. Rzucili ją na posadzkę. Było ich czterech. Kazali usiąść na podłodze, obok innych nieszczęśników. I ręce trzymać do tyłu. A potem bili gdzie popadnie. Nie dało się chronić głowy. Nagle jeden wyciągnął myśliwski nóż. I podszedł do niej, bo miała najdłuższe włosy, chociaż przecież krótko ostrzyżone, na chłopaka, ale jednak. Ten z nożem stanął nad nią i wrzasnął na całe gardło:

– A może ty magisterkiem jakimś jesteś, co?! To ci zaraz przyłożymy! Albo ci te włoski skrócimy, bo coś za długie masz, chłopczyku. Zrobi się fachowo, będzie git. Strzygłem kiedyś barany, to się znam. A jak będę ciął ze skórą, to krzycz. Mamusia może cię usłyszy.

Jeszcze się nie zorientowali, że była dziewczyną. Przez te krótkie włosy. I przez farmerki i ortalionową kurtkę brata, którą miała na sobie. Dla niepoznaki. Żeby się wtopić w tłum.

Grzebano ich w nocy. Na niewielkim cmentarzu w Oliwie. Po ciemku, przy latarkach. Kierownik cmentarza dostał polecenie, żeby pod żadnym pozorem nie wychodził wieczorem z domu. Domyślił się,

o co chodzi. Wieczorem przyjechali po niego trzej po cywilnemu. Powiedzieli, żeby wziął ze sobą jedzenie. Był z nimi też fotograf. I dyrektor Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej. Zebranym przewodził ubrany w milicyjny mundur funkcjonariusz w stopniu majora. Mieli ich chować grabarze przywiezieni z domów przez MO. Teren cmentarza obstawili milicjanci wyposażeni w długą broń. Zwłoki przywieziono milicyjnym starem i żukiem, ładując na nie odpowiednio trzy lub jedną trumnę. Leżący w trumnach byli nadzy, pozawijani w prześcieradła. Jak mumie. Albo jak Żydzi. Do zwłok przyczepione były karteczki z cyframi – na stopie, ręce i piersi. Major miał pretensje do podwładnych. Oni jednak nie chcieli ubrać zwłok. Zrobili to grabarze.

Wreszcie zwieźli autobusem jakichś ludzi, zapłakane starsze kobiety i mężczyzn. Prowadzili ich przez szpaler milicjantów. Wieka trumien stały oparte o drzewa. Ktoś zapytał, gdzie jest ksiądz. Milicjanci powiedzieli, że nie ma. Ale jak to tak bez księdza? W końcu przyszedł jakiś. Spod sutanny wystawały mu milicyjne buciory. Ostatni pogrzeb skończył się o trzeciej nad ranem.

DZIEWCZYNA BEZ TWARZY

Ty chyba żartujesz? Odbiło ci! Jak mogłaś mi to zrobić, przecież się umawialiśmy! Myślałem, że się rozumiemy! – Sven aż się trząsł ze zdenerwowania. A potem nagle obrócił się na pięcie, wyszedł z pokoju i trzasnął drzwiami. Siarczyście. To było jak policzek.

– To źle myślałeś! – krzyknęła za nim.

Ankę zawsze irytował jego brak czułości, ale tym razem przebrał miarę. Powinien zareagować inaczej. Nie spodziewała się entuzjazmu, ale mógł ją przynajmniej przytulić i pocałować. Okazać empatię. Ale zamiast ją wesprzeć, zareagował po swojemu. W końcu to była dobra, a nie zła nowina. Najlepsza z najlepszych, prawdę mówiąc.

Nie znosiła tych jego ataków z byle powodu. Myślała, że wybuchy złości, które tak często mu się zdarzały na początku ich znajomości, już się nie powtórzą. Jeszcze gorsze było to nagłe znikanie. Tak ni z gruszki, ni z pietruszki. Znikał na dzień, czasem nawet na dwa. A potem mówił po prostu: „Zajęty byłem”. I już. Żadnych wyjaśnień. A w niej, ilekroć się pokłócili, narastał lęk, że znowu zostawi ją samą. Na tym cholernym szwedzkim odludziu. W dużym pustym domu. W grobowcu. Mieszkała tu od roku, ale wciąż czuła się obco. Bo wszystko, łącznie z gospodarzem tej posiadłości, należało do innej kobiety. Do zmarłej.

Trzasnęły drzwi wejściowe. A jednak. Znowu to samo. Ten więcej niż dojrzały mężczyzna obrażał się jak mały chłopiec. Zabierał swoje elektroniczne zabawki i znikał. Żeby ją ukarać. Za niesubordynację. Więc jednak jej najgorsze przypuszczenia się sprawdziły. Sven zaraz odpali silnik. A potem odjedzie. Zniknie, nie wiadomo na jak długo. A ona zostanie sama w pustym domu. I będzie się bała. Przez całą noc.

Przez chwilę chciała za nim wybiec. Zatrzymać go. Może nawet wpaść w histerię, rozpłakać się. W końcu teraz miała do tego pełne prawo. Ale wiedziała, że to tylko pogorszy sprawę. Poza tym robienie scen nie było w jej stylu. Wiedziała, że on i tak sobie pojedzie. Nie wiadomo dokąd. Pewnie ma jakąś kochankę. Tak jak jej mąż. Wiesiek zawsze miał na podorzędziu jakąś hożą dziewczynę z Kaszub – biuściastą Bożenę albo Mariolę, albo Gosię Herbst – nieco mniej hojnie obdarzoną. Ciekawe, która z nich zajmuje aktualnie miejsce u jego boku? A może wszystkie naraz. To by dopiero było rajskie życie. Własny harem – oto marzenie Wieśka Formeli, który formalnie ciągle był jej mężem.

Gdy Sven odjechał, zamknęła drzwi wejściowe. Na wszystkie cztery zamki. I na łańcuch. Naprawdę bała się zostawać tu sama. Szczególnie w nocy. Jej partner powtarzał do znudzenia, że to niebywale spokojna okolica, całkowicie bezpieczna i nie ma się czego bać, ale jakoś mu nie wierzyła. Ten ponury las dookoła domu napawał ją lękiem. Od samego początku źle tu sypiała. Zwłaszcza gdy wyjeżdżał. Wtedy nie spała wcale. Tyle razy prosiła go, żeby wracał na noc, ale on tylko wzruszał ramionami. Widocznie nie był w stanie pojąć, jak można się bać samotnej nocy w domu na odludziu. On przecież

bardzo to lubił. Cholerny Sinobrody, a może raczej Sven Widłobrody. Po każdej takiej nocy spędzonej samotnie w jego domu obiecywała sobie, że to już ostatni raz, że stąd wyjedzie, że wreszcie go rzuci, wróci do Polski, wynajmie jakieś mieszkanie, najlepiej w Oliwie, i zacznie wszystko od początku. Na własny rachunek. Bo to było jakieś cholerne fatum albo klątwa, że z nikim nie mogła ułożyć sobie życia. Może dlatego, że dokonywała fałszywych wyborów? Męża wybrała z rozsądku. Bo był starszy od niej i majątny. No i mówił, że ją kocha. Ale Sinobrodego pokochała z zupełnie innego powodu (tak jest – pokochała, ale nigdy mu o tym nie powiedziała, bo przecież nie wypadało tak się obnażać przed całkiem obcym facetem). Ze Svenem Dibeliusem związała się wcale nie dlatego, że był jeszcze starszy i raczej dość zamożny. Ten właściwy powód, który stanowił temat tabu, długo ukrywała sama przed sobą. Bo zdaniem Svena należało zachować powściągliwość. W słowach i w gestach. Żadnych zbędnych czułości czy nie daj Boże – wyznań. Bo nade wszystko należy unikać wielkich słów. I wywnętrzania się. Zażyłość można było nazwać tylko zażyłością. A najlepiej nie nazywać jej wcale. Żeby potem mniej bolało. Bo zawsze jest jakieś potem, prawda? I właśnie teraz nadeszło. Zimny prysznic, lodowaty. Oprócz chłodu lekarstwem na ból były powściągliwość, sarkazm i dystans. W różnych odmianach i wersjach. Odpowiednio dawkowane. Na co dzień. I od święta też. Żeby jej się przypadkiem nie zamarzyło, że może coś z tego będzie. Coś ważnego. Niestety, to, co wydawało się istotne w nocy, skutecznie unieważniał rano. Chłodnym spojrzeniem albo kąśliwą uwagą rzuconą mimochodem. Bo przecież ona była dla niego zupełnie nieważna, nieistotna. Drugorzędna, trzeciorzędna. Nieliczająca się w ostatecznym rozrachunku. Była tylko cieniem tamtej kobiety. Nieżyjącej.

Niepokoiliła się. Zwłaszcza teraz, gdy zaczęło się ściemniać. Postanowiła, że jeśli Sven tym razem znowu nie wróci do wieczora, to ona stąd wyjedzie. Bez słowa. Zadzwoi do doktora Macieja Zagrobrego, który niedawno oferował jej mieszkanie w Gdańsku. Bo podobno jakaś jego kuzynka miała wyjechać na stypendium i chciał komuś wynająć mieszkanie, w którym ona pomieszkiwała. To mieszkanie znajdowało się w starej, ponemieckiej, podobno niezwykle klimatycznej kamienicy przy ulicy Polanki. Adres bardzo zainteresował Ankę. Od dawna szukała czegoś właśnie w Starej Oliwie, na wypadek gdyby tu jej się jednak nie powiodło. A najwyraźniej nie powiodło się, skoro Sven tak szpetnie zareagował na to, co mu powiedziała.

Po porannej awanturze nie mogła sobie znaleźć miejsca. Chodziła z kąta w kąt, raz po raz nerwowo spoglądając przez okno. Może on jednak wróci, zanim zapadnie zmrok? Nasłuchiwała. Czekwała na znajomy warkot silnika. Ale nic. Głucha cisza. Złowroga. Była zmęczona. Niemal zasypiała na stojąco. W żaden sposób nie umiała nad tym zapanować. Więc chociaż bardzo się starała, żeby czuć, szybko zasnęła. Obudziła się na kanapie, cała zdrętwiała i zmarznięta. Postanowiła, że już jutro stąd wyjedzie. Byłe tylko jak najszybciej się rozwidniło. Od razu będzie lepiej. Póki co owinęła się kocem i spojrzała na zegarek. Było piętnaście po czwartej. O piątej wstanie i zejdzie na dół. Żeby się umyć, spakować i coś zjeść. Z rozsądku oczywiście, bo wcale nie była głodna. A potem zrobi rezerwację na dzisiaj. Byłe znaleźć się jak najdalej stąd. Wyjedzie tak, jak przyjechała. Z tą samą walizką. W niebieskie kwiatuszki. Zabierze ze sobą kilka bluzek i dwie pary dżinsów. To wszystko, co miała. Tak naprawdę nie potrzebowała więcej. Kiedyś miała duży dom, który nigdy tak naprawdę nie był jej. Bolała ją ta strata. Przez jakiś czas. Potem przeszło. Ale nauczyła się tego, żeby się nie przywiązywać do rzeczy. Do ludzi zresztą też nie. Gdzie jest walizka? Pewnie w garderobie. Rzadko odwiedzała to miejsce. Pełno tam było rzeczy należących do zmarłej. Eleganckich, z klasą. Zupełnie nie w stylu Anki. Sven usilnie zachęcał ją, żeby nosiła te ubrania. Frida Dibelius, jego zmarła żona, również miała rozmiar XS. Ale Anka puszczała te słowa mimo uszu. Omijała garderobę szerokim łukiem. Podobnie jak pokój Fridy, w którym Sven spędzał długie godziny. I ciągle się dziwił, że Anka nie chce nosić ciuchów po jego żonie. Pięknych, drogich i prawie niezniszczonych. Więc się wściekał. Zamykał się w sobie coraz bardziej. Wtedy

odganiała natrętną myśl, że on traktuje ją jak jakąś *baby doll*. Marny substytut zmarłej żony. W takich chwilach starała się pamiętać o tym, że potrafił być czuły. Głównie w sypialni. Właściwie tylko tam. Ale to było dużo. Bardzo dużo.

Poranny prysznic odświeżył ją. Z apetytem zjadła dwie kanapki. Popiła herbatą. Postanowiła, że najpierw się spakuje, a potem zamówi bilet. Odwlekała ten moment, bo wciąż miała nadzieję, że on jednak się pojawi. I że ją przeprosi. Wystawiła walizkę na korytarz. Poszła na górę zamówić bilet.

I wtedy usłyszała warkot silnika. Jednak wracał. To był on. Teraz czeka ją seria znajomych dźwięków – trzaśnieć, skrzypnięć, brzęków. A potem nie wiadomo, co będzie. Wszystko zależało od tego, w jakim był humorze. Czy był zadowolony, czy może jednak dalej będzie miał do niej pretensje. Słyszała, jak otwiera drzwi wejściowe. Wchodził. Pewnie już zauważył jej walizkę, która stała w holu. I teraz jej szukał na dole. Otwierał kolejne drzwi. Do kuchni, do salonu, do gabinetu. Za chwilę wejdzie na górę, żeby sprawdzić, czy ona jest w sypialni. Zaniepokoił się jak nic. Może wreszcie pomyślał o niej, a nie o zmarłej. Albo o jakiejś innej, u której zapewne spędził tę noc. Już słyszała jego kroki na schodach. Szukał jej, jak nic. Cieszyła się z tego. Może jednak trochę mu na niej zależało? I może zaakceptował jej nowinę. Fakt, że ich życie się zmieni. Nie będzie już takie wygodne i spokojne jak dotąd.

– A ty co? Wybierasz się gdzieś? – zaczął zaczepnym tonem.

– Tak, do domu.

– A gdzie jest ten twój dom?

– W Oliwie.

– Czyli wracasz do męża, tak?

– Wracam do siebie. – Chciała jeszcze dodać, że z Wieśkiem to akurat zamierza się rozwieść, a nie zamieszkać. I wreszcie pozbyć się jego nazwiska. Żeby naprawdę wrócić do siebie. Nareszcie być sobą, a nie żoną wiecznie zdradzaną lub, co gorsza, substytutem czyjejś zmarłej żony. A właściwie jej wielce niedoskonałą kopią, która nie chce nosić drogich i gustownych ubrań tylko dlatego, że kiedyś należały do innej kobiety. I wciąż wypomina swojemu partnerowi, że ma obsesję na punkcie zmarłej, że z domu zrobił grobowiec, a sam ciągle jest w żałobie. A najważniejsze, że z nią, to znaczy z Anką, jest tylko ze względu na podobieństwo do nieżyjącej od kilku lat pani Dibelius, której prochy zamiast na cmentarzu wciąż spoczywały w domu męża. Sven przechowywał urnę w pokoju – mauzoleum, pełnym mniejszych i większych przedmiotów, które należały do Fridy. Jej dawno zwietrzałych perfum, jedwabnych apaszek, torebek, kosmetyczek, pierścionków, wisiorków, kolczyków. Ale oczywiście najważniejsza była urna, którą ten porąbany dziwak postawił na półce z książkami. Nie dość, że przesiadywał tam godzinami, to jeszcze podejrzenie dużo czasu spędzał w garderobie. Przyłapała go tam kiedyś, jak z upodobaniem wachał ubrania zmarłej. A gdy zaproponowała z niewinną minką, żeby te ciuchy wreszcie wydać biednym, wpadł w szal. Aż się przestraszyła. Więcej nie wracała do tego tematu, ale wciąż ją bolało, że on myśli o tamtej kobiecie, że to ją widzi w sypialni. Bo ona – Anka (wciąż jeszcze) Formela – była tylko niedoskonałym zamiennikiem, produktem zastępczym, jakimś byle jakim erzacem. Mimo wszystko jednak dość długo godziła się grać taką właśnie rolę. Ale wczoraj miarka się przebrała. Bo tym razem nie chodziło tylko o nią.

Sven najwyraźniej nie miał ochoty zgłębiać problemów niedowartościowanego ego Anki, bo nie odpowiedział na jej dictum. Wyszedł z sypialni. A ona nie wiedziała, co dalej zrobić. Po prostu pat. Zastanawiała się, czy zamówić te cholerne bilety, czy jednak porozmawiać z nim na serio o tym, co się wczoraj stało. I o przyszłości. Może jednak warto porozmawiać?

Wypadła z pokoju i zbiegła po schodach, żeby wreszcie go dopaść, przytulić, wybuchnąć płaczem. Nie był przyzwyczajony do takich reakcji z jej strony. Oboje byli przecież powściągliwi w okazywaniu uczuć. I dlatego nie była pewna, jak zareaguje na jej histeryczne zachowanie. Na szloch i na tę nagłą potrzebę

czułości. Sven okazywał jej względy tylko w łóżku, najchętniej przy zgaszonym świetle. Zastanawiała się nawet, czy nie jest pruderyjny, ale to jednak nie było to. Po prostu po ciemku łatwiej mu było wyobrazić sobie, że Anka to Frida.

– Proszę, nie gniewaj się – zaczęła nieśmiało, próbując się przytulić.

– No już dobrze, dobrze. – Poklepał ją po plecach. – Może trochę odpoczniemy? Chętnie bym się zdrzemnął, nie spałem całą noc. Ty też chyba jesteś zmęczona.

A więc o to chodzi. Jak zwykle o to samo. Ale to lepsze niż awantury. Dużo lepsze. Też miała ochotę się odprężyć. I może pospać, jak już będzie po wszystkim. I jeszcze raz zadać mu ważne pytanie. To samo, które zadała wczoraj. Miała nadzieję, że tym razem odpowiedź będzie inna, że wszystko przemyślał, zaakceptuje zaistniałą sytuację i jej wybór.

Był czuły – dobry znak. Bardziej niż zwykle, więc rosła w niej nadzieja, że wszystko jakoś się ułoży. Ogarnęła ją błoga senność. Nie miała siły na rozmowy, zasnęła, gdy tylko skończył i swoim zwyczajem odwrócił się do niej plecami. W tym swoim śnieżnobiałym T-shircie. Miał ich chyba ze dwa tuziny. Wszystkie identyczne. Autysta przekłęty.

Obudziła się około południa. Była sama w sypialni. Sven pewnie już siedział w swoim gabinecie i pracował. Bardzo lubił pracować. To był doskonały pretekst, żeby zamykać się w sobie i nie mieć czasu na rozmowy z kimkolwiek, zwłaszcza z nią, i na cudze sprawy, nawet wtedy, gdy były one również jego sprawami. Ważne zadania służbowe, jakieś tajemnicze projekty, raporty, praca w elektrowni atomowej w Oskarshamn, częste podróże do Sztokholmu – stanowiły jego ulubioną wymówkę, dzięki której mógł ją zbywać, ilekroć chciała z nim poważnie porozmawiać. Ale tym razem weszła do gabinetu, chociaż mieli niepisaną umowę, że nie wolno mu przeszkadzać podczas pracy. Złamała ją jednak. Weszła nieproszona do gabinetu. Aż podskoczył. Obrócił się i spojrzał na nią pytająco.

– Chcę porozmawiać – zaczęła pewnym tonem.

Usiadła na kozetce, żeby zrozumiał, że rozmowa musi potrwać, a ona nie da się zbyć. Zrozumiał od razu i zaatakował:

– Przecież już rozmawialiśmy. – W jego głosie usłyszała tłumioną wściekłość.

– Chcę porozmawiać. Z tobą, rozumiesz?

– No to rozmawiaj. – Teraz już nie tłumił złości. A na twarzy miał ten swój ironiczny uśmiezek.

Już straciła wiarę, że gadanie z nim ma sens, bo był całkowicie zamknięty i wycofany. Potrzebował jej tylko w łóżku. Od początku ich znajomości. A ona godziła się na to. Nie musieli ze sobą rozmawiać. Tak było łatwiej. Ona robiła swoje, on swoje. Mieli tylko wspólną sypialnię. Nic więcej. No może jeszcze to, że razem jedli. Ona gotowała. On najpierw wybrzydzał, a potem zjadał wszystko z apetytem i zwykle prosił o dokładkę. Sama jadła bardzo niewiele. Ale mimo to ostatnio przybrała na wadze. Wyraźnie się zaokrągliła. Oboje byli z tego zadowoleni. Każde ze swoich powodów.

Ale w tej sprawie musiała powiedzieć, co myśli. Byle nie za dużo. Nie chciała analizować ich związku. Ani zasypywać go pretensjami, że źle ją traktował, że widział w niej wyłącznie osobę podobną do zmarłej i takie tam. Skoro wbrew zdrowemu rozsądkowi przyjechała tu i zamieszkała z nim, to znaczy, że akceptowała taki układ. To była niepisana, nawet niewysłowiona umowa między nimi. I nagle to wszystko pękło. Sven pewnie nie był świadom, że to była rozmowa ostatniej szansy. Że jeśli się nie dogadają, ona wyjedzie. Ucieknie.

– Słuchaj, chcę, żeby wszystko między nami było jak dotąd, rozumiesz? – zaczęła po dłuższej przerwie.

– Nie rozumiem.

– Ale czego nie rozumiesz?

– Nie rozumiem, po co to całe międlenie, bo wydawało mi się, że dobrze się rozumiemy.

– Ale wczoraj okazało się, że jednak nie. Nie do końca.

– Ach, ty znowu o tym. Proszę cię, przestań. Nie wracajmy do tego.

– Ale musimy!

– Ja nic nie muszę! To ty musisz coś z tym zrobić!

– Z *tym*? Znakomite określenie. Nie ma co!

Spuścił wzrok. Zagalopował się trochę, ale ubieranie myśli w słowa nigdy nie przychodziło mu łatwo. Wolał liczby. Konkrety, a nie to okropne babskie drażenie słowami najintymniejszych spraw. Jego spraw w dodatku. Miał wiele powodów, żeby uciekać od tego myślami. I nie nazywać rzeczy po imieniu.

– Więc ja też nie muszę! I niczego z *tym* nie zrobię, rozumiesz? Nie mam takiego zamiaru.

Wstała, obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku drzwi wejściowych. Sven odetchnął głęboko. Był wściekły. Spodziewał się, że będzie robiła mu wyrzuty z powodu jego nieczułości. I narzekała, że traktuje ją jak dmuchaną lalę. Słyszał kiedyś, jak mówiła o tym jakiejś swojej znajomej mieszkającej w Polsce. Przez telefon. Był zły, że opowiada obcym o intymnych szczegółach ich związku. Ale nic jej wtedy nie powiedział. Od tamtej pory wiedział, co ją dręczy. I już nie namawiał jej, żeby nosiła ubrania Fridy, chociaż wciąż skrycie o tym marzył. Ale skoro Anna miałaby przez to cierpieć, ustąpił. Teraz jednak nie mógł ustąpić, ale nie wiedział, jak się do sprawy zabrać. Nie znał się na tych wszystkich babskich fiksacjach, chociaż był dwukrotnym wdowcem i miał dwóch dorosłych synów. Bardzo młodo się ożenił. Oboje z jego pierwszą żoną Sylwią byli jeszcze prawie dziećmi, gdy urodził się Norman, ich pierworodny. Teraz Norman mieszkał w RPA i miał już trzydziestkę na karku (tylko o osiem lat mniej niż Anna). Pewnie niedługo się ożeni. Sven nie miał nic przeciwko temu, żeby zostać dziadkiem. Ale nie ojcem!

Przez następny tydzień oboje unikali rozmów, chociaż wszystko między nimi układało się normalnie. Anna była nawet bardziej gorliwa niż zwykle w okazywaniu mu względów (tak właśnie o tym myślał – w nieco staroświecki sposób), a on był czuły jak zwykle, ani trochę więcej, ani mniej. Wszystko odmierzał dokładnie, po inżyniersku, nawet łóżkowe czułości. Ale gdzieś tam podskórnie rosły w nim niepokój i gniew. Bo czas uciekał. I teraz to on będzie musiał rozpocząć rozmowę. Zrobił to wieczorem, w sypialni, gdy oboje leżeli obok siebie, zmęczeni i spełnieni.

– Jutro zawiozę cię do lekarza.

– Ale po co? Dobrze się czuję.

– Trzeba coś postanowić. Jest chyba jeszcze trochę czasu na podjęcie decyzji. Nie zapominaj, że remisja nie będzie trwała wiecznie.

– Nie musisz mi o tym przypominać, sama wiem. Jestem umówiona z moim onkologiem na przyszły tydzień.

– Umówiłem cię do ginekologa, nie do onkologa. Bo najpierw trzeba zrobić to, co konieczne! – Aż usiadł ze zdenerwowania. Anka zwinęła się w kłębek. Leżała obok niego w pozycji embrionalnej. – To niemożliwe, rozumiesz? Wiesz, że tak trzeba, inaczej się nie da. Musimy być odpowiedzialni – jego słowa zabrzmiały fałszywie. Naprawdę nie umiał prowadzić takich rozmów. Zwłaszcza że nie ułatwiała mu tego, uparcie milcząc.

Do rana oboje nie mogli zasnąć, ale nie zamienili już ani słowa. Zdrzemnął się dopiero przed świtem. To był niespokojny sen. Chrapał. Anka patrzyła z czułością i z żalem na jego plecy. Chciała go nawet pogłaskać, ale w ostatniej chwili cofnęła rękę. Mógłby się obudzić. I znowu rozpocząć tę rozmowę. Zawsze się do niej odwracał plecami. Ale tym razem już po raz ostatni. Coś się właśnie kończyło. Tylko Sven jeszcze o tym nie wiedział. Ale ona już podjęła decyzję.

Tamtego dnia został dłużej w pracy. Potem jeszcze pojechał po zakupy do supermarketu. Wrócił do domu później niż zwykle. Nie zastał jej. Zaniepokoił się. Poszedł do garderoby. Nie było tej cholernej walizki. Wybrał jej numer. Normalnie prawie nigdy do niej nie dzwonił, ale złamał zasadę. Miała wyłączoną komórkę. Spojrzał na zegarek. Coś go tknęło. Samolot do Sztokholmu już dawno odleciał. Ale i tak pojechał na lotnisko. Żeby się dowiedzieć, czy jej tam nie widzieli. Oczywiście, że widzieli. Z taką małą walizką w niebieskie kwiatki. Szczupłą blondynkę. Podobno tym samolotem, a właściwie awionetką leciały oprócz niej jeszcze trzy osoby. Wrócił do domu zrezygowany. Zastanawiał się, dokąd pojechała. Pewnie do Gdańska. Do męża? To chyba jednak niemożliwe. W sypialni na poduszce znalazł małą, niebieską karteczkę, na której Anka skreśliła swoim drobnym pismem krótkie zdanie: „Niemożliwe jest znacznie ciekawsze”. Co za bzdury!, pomyślał.

ZA ŚCIANĄ

Obudziła się cała spocona. Świtało. W maju dnieje jeszcze głęboką nocą. Spojrzała na cyferblat starego budzika, który należał do jej zmarłego męża. Kwadrans po czwartej. Miasto spało w najlepsze. W kamienicy też panowała cisza. Powinna jeszcze się zdrzemnąć z godzinę albo dwie. Przez kilka minut przewracała się z boku na bok. Wreszcie wstała. Całą koszulę miała mokrą od potu. Zapaliła światło w łazience. Rozebrała się. Niechętnie spojrzała w łazienkowe lustro. Jej ciało więdło. Nikomu do niczego już nie było potrzebne, jej tylko ciążyło. Weszła pod prysznic. To nic, że starszy pan mieszkający za ścianą się obudzi. Starzy ludzie i tak nie mogą spać. Więc jeśli nawet jej sąsiad usłyszy hałas za ścianą, to nic nie szkodzi. Ona po prostu musiała zmyć z siebie pot. Teraz, zaraz. Nie mogła czekać. Wszystko przez te sny, które gnębiły ją ostatnio.

Dokładnie od momentu, gdy po raz pierwszy spotkała go na korytarzu. I okazało się, że on mieszka naprzeciwko. Niedawno wprowadził się do sporego mieszkania, które od lat stało puste. Mogła obserwować przez judasza jego drzwi. Odnotowywać wszystkie jego wyjścia i powroty. I zastanawiać się, co on robi za tymi drzwiami. Był samotny jak ona. A może nie był? W każdym razie żadna kobieta go nie odwiedzała. Właściwie to nikt do niego nie przychodził. Żył zupełnie sam. I to pobudzało jej wyobraźnię. Teraz na przykład wyobrażała sobie, że spał. Oczywiście bez ubrania, bo było za ciepło na pozbawione fantazji, flanelowe piżamy w pasy (takie jak nosił jej zmarły mąż). Nie dawało jej spokoju, że ten tajemniczy mężczyzna może wstanie wcześniej niż zwykle i wyjdzie z mieszkania, a ona to przeoczy. Nie usłyszy w porę szczęku zamka w jego drzwiach, który bezbłędnie rozpoznawała. Obserwowała go przez cały czas. I nasłuchiwała. Jeździł starym, ale chyba mocno podrasowanym volkswagenem garbusem w kolorze bahama yellow. Pamiętała takie samochody z dzieciństwa. Wtedy chyba jeszcze je produkowano, ale teraz to już tylko pasjonaci starych aut i kolekcjonerzy mieli takie. Dla niej ważne było, że jeśli żółty samochodzik stał przed domem, to był znak, że jego właściciel jest na miejscu. A ona wtedy chodziła radosna, podekscytowana. Bo tyle mogło się wydarzyć.

Od samego początku całkiem jej odbiło na punkcie tego mężczyzny. A on długo nie raczył nawet na nią spojrzeć. Jak na kobietę. Przechodził obok obojętnie. Ledwie jej odpowiadał, a właściwie odmrukiwał coś pod nosem na sąsiedzkie „dzień dobry”. Ale ona ciągle miała nadzieję, że to się zmieni. Że wreszcie ją zauważy. I że coś zaskoczy. Między nimi. Ale niestety jej sąsiad pozostawał zupełnie obojętny. Trudno się dziwić. Chyba nie była zbyt atrakcyjna. Więc to normalne, że nie zwracał na nią uwagi. Ale któregoś dnia to się zmieniło. Szła za nim po schodach. I nagle on przystanął i spojrzał na nią tak, że aż się przestraszyła.

– Mam do pani sprawę – zaczął bez żadnych wstępów.

– Jaką sprawę? – W jej głosie można było wyczuć niepokój.

– Proszę się nie obawiać, ja tylko tak po sąsiedzku. Nie wiem, czy pani się zgodzi.

– Ale na co mam się zgodzić?

– Ach nie, właściwie to nic takiego – postanowił jednak się wycofać.

Ale ona nie zamierzała odpuszczać.

Weszli już na piętro, każde z nich stanęło już przy swoich drzwiach, już otwierało je kluczem. I wtedy odwróciła się i spojrzała na niego. Stał tyłem do niej. Był od niej dużo wyższy. Miał długie nogi.

– Naprawdę nie ma mi pan nic do powiedzenia? – zapytała.

– Ach, to taki drobiazg. Nie chciałbym pani urazić.

– Proszę mówić, ja się nie obrażam. – Spojrzała na niego hardo. Wreszcie zwrócił na nią uwagę. A jednak.

– Bo widzi pani, ja mieszkam sam... – plątał się. – I byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zgodziła się pani coś mi od czasu do czasu przeprosować. Ale oczywiście zapłacę. Dobrze zapłacę.

Zgodziła się i odtąd widywali się częściej. Zawsze pukał do jej drzwi. Nigdy nie używał dzwonka. I zwykle nie patrzył jej w oczy. Dalej traktował ją z góry. Jakby była gorsza od niego. Ale była mu potrzebna. Zapraszała go, żeby został na herbatę. On jednak konsekwentnie odmawiał. Wymawiał się brakiem czasu. Tylko odbierał koszule i płacił. Nic więcej. A ona chciała, żeby między nimi było więcej, dużo więcej. Póki co jednak miała tylko jego koszule. To wcale nie mało. Najpierw przynosił jej już uprane, ale potem uzgodnili, że ona będzie je prała i prasowała. Bo tak przecież wygodniej. Wreszcie mogła poznać zapach jego wody po goleniu, a nawet prowadzić swoje małe śledztwa, usiłując wyczuć zapach damskich perfum. Lubiała, jak co kilka dni przynosił jej do prania i prasowania kolejny worek z zawartością pachnącą dobrą wodą po goleniu. Czuli się wyróżniona, bo ten mężczyzna nie pasował do otoczenia, do starej, ale dość zaniedbanej kamienicy, w której mieszkali. Do wszechobecnej tu bylejakości i opuszczenia nie pasował ani on, ani jego koszule. Tak jej się przynajmniej wydawało.

Teraz też miała przygotowany pakiecik upranych i uprasowanych dla niego koszul i tylko czekała, aż wreszcie do niej zapuka. O tak wczesnej porze było to jednak mało prawdopodobne. Bo pewnie słodko spał – nie to co ona. Wycierała się właśnie ręcznikiem, gdy usłyszała szcęk klucza w drzwiach do jego mieszkania. Czyżby gdzieś wychodził? O tej porze? Z niepokojem spojrzała przez judasza. Tak, to był on. I chyba właśnie skądś wracał. Czyli spędził noc poza domem. U jakiejś kobiety, pomyślała z rezygnacją. Dotąd nie wyczuła na jego koszulach zapachu damskich perfum. Ani żadnych innych kobiecych woni. A obwąchiwała je dokładnie, metodycznie. Wstydziała się tego sama przed sobą, ale nie umiała się powstrzymać. Wąchała koszule i rosło w niej przekonanie, że on jest do wzięcia. Ale najwidoczniej nie był. Teraz stał pod swoimi drzwiami i mocował się z zacinającym zamkiem. A ona przypatrywała się temu przez wizjer. Owinęła się ręcznikiem, który jakoś nie bardzo chciał się trzymać jej ciała, w każdej chwili mógł spaść na ziemię. A pod spodem przecież nic nie miała. Mimo to uchyliła drzwi.

– Zamek się zaciął? – zapytała spokojnym tonem.

Spojrzał na nią jakoś tak dziko. Zupełnie inaczej niż na co dzień. Pomyślała, że teraz albo nigdy. Raz kozie śmierć. Ten ręcznik powinien spaść. Ale jakoś nie mogła się zdecydować na taki odważny krok. Żeby o niej źle nie pomyślał, bo ona przecież tylko tak z sąsiedzkiej troski wyjrzała na korytarz, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. W każdym razie z mężczyzną z naprzeciwka wszystko w porządku nie było. Bo dalej szarpał się z zamkiem. A w dodatku jakoś tak dziwnie śmierdziało od niego. Prawdę mówiąc, zajeżdżało jak jasna cholera. Aż się zaniepokoiła. Koszule, które dawał jej do prania i prasowania, pięknie pachniały. A tu coś takiego.

Chciała jeszcze zapytać, czy mu w czymś nie pomóc, ale zrezygnowała. Wycofała się. Zatrzasnęła drzwi, a potem wróciła pod prysznic, bo znowu się spociła, tym razem ze strachu.

Wrócił do mieszkania zmęczony i wściekły. Jak na złość klucz mu się zaciął w zamku. Już myślał, że trzeba będzie użyć siły. Na szczęście po dłuższej szamotaninie zamek ustąpił. W dodatku jego zmagania zauważyła ta kobieta. Otworzyła drzwi półnaga, w samym ręczniku. Całkiem fajnie wyglądała. Szkoda, że nie zgubiła tego ręczniczka. Byłoby jeszcze ciekawiej. Gdyby nie to, że musiał się umyć, chętnie by się napił z nią tej, zapewne lurowatej, herbaty, na którą zapraszała go tyle razy. Ale niestety najpierw musiał się umyć, bo był strasznie spocony. Wszystko wrzucił do pralki. A potem z pół godziny stał pod prysznicem. Wreszcie położył się w chłodnej pościeli. Odpłynął natychmiast. Spał jak kamień, ciężkim snem i zupełnie nie miał ochoty wstawać, najchętniej nie wychodziłby z łóżka przynajmniej do wieczora, ale budzik dzwonił już po raz trzeci. Powinien tu jeszcze nieco ogarnąć. No i włączyć pralkę. Ciuchy coraz bardziej śmierdziały. To ten jego pot. Nieznośnie cuchnący. Pewnie zbliżał się kolejny atak.

To całkiem normalne, że samotny mężczyzna nie potrafi porządnie wysprzątać mieszkania. A on był normalny. No, może nie do końca. I samotny. Z wyboru oczywiście, a nie dlatego, że żona go rzuciła. I gdyby nie to, że nie lubił bałaganu, to nie sprzątałby jak należy swojego apartamentu w tej starej kamienicy pamiętającej początek minionego stulecia, w której mieszkał od niedawna. Wprawdzie tylko tak jedną nogą, ale zawsze. Dom to dom. Na szczęście zdążył urobić tę sąsiadkę, żeby mu koszule prasowała. Babeczka lekuchno po czterdziestce chyba, czyli nieco młodsza od niego, i do tego kształtna, można powiedzieć. Niczego sobie. Ciepła wdówka, do której od czasu do czasu można by się ewentualnie przytulić. Mężczyzna, którym był w poprzednim życiu, od dawna nie miał nikogo takiego. Żadnej miękkiej, puszystej babeczki, takiej w sam raz do przytulania właśnie. I to był poważny błąd. Bo przecież trzeba się rozładować. Przynajmniej od czasu do czasu. Może więc naprawdę zapuka teraz do sąsiadeczki? Pewnie ma coś do zjedzenia. Tylko żeby nie chciała zatrzymać go na dłużej. Niestety wyglądało na to, że miała na to ochotę, i to niemałą. Tak się na niego gapiła dziś rano, gdy się mocował z tym nieszczęsnym zamkiem, że uch! Widać było, że miała chętkę na to i owo, ale zabrakło jej śmiałości. Póki co może nie warto robić pierwszego kroku, lepiej nie przekraczać granicy. Jeszcze nie teraz, za wcześnie. Ale z drugiej strony był taki głodny. Jak wilk. A w lodówce pustki, poza tym nie umiał gotować. Był prawdziwym mężczyzną i nie widział powodu, żeby zajmować się garami. Ale jeść trzeba. W dodatku ten cholerny junkers w łazience ciągle szwankował. Niesprawny, jak wszystko w tym starym mieszkaniu. Wprawdzie zaraz jak się wprowadził, wezwał specjała z gazowni, ale ten powiedział, że wszystko gra. Powinien wezwać jeszcze kogoś, prywatnie. Z junkersem dalej było coś nie tak. Ale odkładał to, bo nie znosił obcych u siebie. Tak czy inaczej, głodny był. Pedałowanie na rowerku stacjonarnym, żeby jak najdłużej zachować młodzieńczą sylwetkę, zrobiło swoje. Bo o kondycję trzeba dbać. Zwłaszcza jak się nie jest już pierwszej młodości, ani nawet drugiej. Więc dbał o siebie, jak tylko się dało. Po tych wszystkich ćwiczeniach zawsze cholernie chciało mu się jeść, a w długi weekend większość sklepów była zamknięta. Może jednak warto spróbować z tą napaloną sąsiadką? Jak ona ma na imię? Weronika. Ładne imię. W podstawówce podkochiwał się w jednej takiej Weronice, która go nie chciała, bo wtedy był za niski i za chudy. Taki szczurek. Mówiła o nim „ten szczur”. Szydziła z niego, a on tylko się czerwienił. Ciekawe, co się z nią stało? Czy jeszcze żyje? Pewne jest już starą grubą babą. A on wyrósł, że ho, ho. A do tego miał ładną klatę i mięśnie jak się patrzy.

Wyszedł na korytarz. W nozdrza uderzyła go zniechęcająca woń przypalonego mleka. Ten zapach kojarzył mu się z dzieciństwem i z kozuchem na mleku. Nie znosił kozucha, zawsze zostawiał kubek pełny, a jego stary załamywał ręce, nie rozumiejąc, dlaczego synek znowu nie wypił pysznego, ciepłego mleka. Przecież to samo zdrowie ten kozuch, więc wołał za nim, gdy on już z kartonowym

tornistrem na plecach pędził do szkoły. Byle jak najdalej od mleka i od ojca. Dlaczego więc teraz miałyby ulegać sąsiadce i narażać się na to, że ta zaprosi go na mleko z kozuchem? W dodatku przypalone.

Stał pod jej drzwiami i wahał się, czy nacisnąć dzwonek, czy jednak wrócić do siebie. Na szczęście lub na nieszczęście Weronika otworzyła, zanim zdołał podjąć decyzję. Tak jak przypuszczał, znowu była w negliżu. To znaczy w podomce, a nie w ręczniku jak rano. I rozczochrana. Nawet fajnie wyglądała. Lepiej niż wtedy na schodach, gdy się do niej po raz pierwszy odezwał. Wówczas była w jasnym, nieco przymałym prochowcu, w butach na koturnie i miała takie koszmarnie ulizane włosy. Sprawiała wrażenie zupełnie nieatrakcyjnej i dużo starszej. A w tej podomce i niedbałej fryzurze prezentowała się nawet seksownie. Podobała mu się. Może dlatego, że kogoś mu przypominała.

– Pan wejdzie, proszę. Mam dla pana uprasowane koszule.

– Ach, koszule. Na śmierć zapomniałem.

– Może pan coś zje? Mam zupę mleczną.

– Zupę? – W jego głosie zabrzmiała nuta zawodu.

– Może być biały twaróg i kiełbasa.

– To ja kiełbasę chętnie. Jestem raczej mięsożerny.

– A do tego kawa czy herbata? Zaparzę świeżą w czajniczku.

– Wolałbym herbatę. Może być z mlekiem.

– Bawarkę?

– Tak.

Kuchnię miała maciupenką, kiszkowatą i bez okna. Chyba wydzielono ją z sąsiedniego pokoju. Albo pokój z kuchni. Jej mieszkanie było dużo mniejsze niż jego, ale czyściutkie i uładzone. Gospodyni uwijała się jak fryga. Coraz bardziej mu się podobała. Zwłaszcza że jej podomka była dość krótka i lekko prześwitująca.

– Trzymam dobrą herbatę w dolnej szufladzie, bo to tylko dla gości, sama nie piję takiej mocnej, bo mi szkodzi – mówiła, schylając się delikatnie, żeby wydobyć puszkę z herbatą z szuflady. Patrzył na nią z zachwytem. Krótka podomka uniosła się i odsłoniła to, co miała odsłonić. Nie potrzebował więcej znaków. Zaszedł ją od tyłu i pewnym ruchem uniosł podomkę.

– Tylko mleczko wyłączę, bo wykipi – jęknęła.

– Mleczko będzie później – zarechotał.

Niestety, mleko wykopiało i Weronika potem długo nie mogła doczyścić kuchenki. Tak przywarło. Ale robiła to bardzo gorliwie, raz po raz wychylając się z kuchni i zerkając rozmarzonym wzrokiem na mężczyznę, który pochrapywał na wersalce. Tak naprawdę nie liczyła na taki obrót wydarzeń. Nowy sąsiad z początku robił wrażenie sztywniaka (cha, cha). A okazało się, że jest taki, taki... wspaniały. Westchnęła, napawając się widokiem zupełnie nagiego mężczyzny. Jakieś sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, albo i więcej, i z dziewięćdziesiąt pięć kilo wagi, no, może sto. Brzuszek miał trochę wystający, ale nic nie szkodzi. To mu tylko dodawało uroku. Był w sam raz. Jego brzuszek. I on też. Niezłe ciacho, tak teraz mówią nastolatki. Weronika nastolatką nie była już od dość dawna. Niestety. Ale niespodziewanie przydarzyło jej się coś, na co od dawna nie liczyła. Była podniecona i rozentuzjasmowana. Miała ochotę jak najszybciej pochwalić się swojej koleżance Madzi tą nieoczekiwaną przygodą. Ale się Madzia zdziwi! Póki co jednak musiała poczekać, aż on się obudzi. I sobie pójdzie.

Dość długo spał. Obudził się dopiero późnym popołudniem, właściwie pod wieczór. Był zrelaksowany

i głodny. Lubił wspólne śniadanka, obiadki, a kolacje to nawet jeszcze bardziej. Ale od dawna ich nie jadał, bo nie miał dziewczyny. Zerknął na zegarek. Była pora na późny obiad albo na kolację, nie na śniadanko.

– Zjadłbym coś, od wczoraj nic nie miałem w ustach.

– Nic? Naprawdę nic? – Aż się zarumieniła.

– Nic jadalnego.

– Aha. Zaraz coś podam. – Trudno jej było zwracać się do niego na ty, ale już nie dało się inaczej. Ta najważniejsza bariera między nimi została przecież złamana. Poza tym nie wiedziała, jak on ma na imię. Bardzo ją to ciekawiło, ale nie chciała pytać, żeby nie pomyślał, że jest natrętna i wścibska. – To może coś na ciepło? Na wzmocnienie. Mam twaróg i kiełbasę, no i parówki cielece. Przepyszne.

– Niech będą te cielece.

Dobrze mu zrobią paróweczki przed tym trudnym dniem, a właściwie wieczorem, bo nieprzyjemną noc i ranek miał już za sobą. Miał wiele ważnych rzeczy do przemyślenia. Dlatego gdy stał przed drzwiami sąsiadki, nie był jeszcze zdecydowany, czy chciałby tylko zjeść późne śniadanie, czy może jednak zostać u niej nieco dłużej. Jak tylko ujrzał w drzwiach panią Weronikę w seksownym neglizju, to już wiedział, że tego dnia nieprędko wróci do swoich zajęć. Przecież żadna z jego spraw nie była taka pilna. Choć wszystkie były bolesne.

Następnego dnia znowu czekała, aż wreszcie usłyszy znajome kroki w korytarzu. Wtedy wyjrzy, jakby nigdy nic, i przypomni mu o tych koszulach, które dla niego uprasowała. Zapyta też, czy może chciałby coś zjeść. Bo miała jarzynową i kotlety mielone z mizerią. Z obiadu zostało. Tak naprawdę to ten obiad przygotowała z myślą o nim, a nie o sobie. Póki co żadnego obiadu nie jadła. Nie była głodna, tylko przejęta i podniecona. I dlatego jak tylko usłyszała najmniejszy szmer na korytarzu, biegła do drzwi i patrzyła przez judasza. Tym razem to niestety nie on, chociaż było już dobrze po siódmej. Zwykle o tej porze się pojawiał. Zamiast niego dostrzegła sąsiada, niejakiego Saturnina Bućko (co za idiotyczne zestawienie imienia z nazwiskiem!) z mieszkania obok. Wracał z psem ze spaceru. A jego wciąż nie było. Nawet nie wiedziała, gdzie pracował i czym się zajmował. I co z tego? Najważniejsze, że był. Tylko to się dla niej liczyło.

Madzia, jej koleżanka jeszcze z uczelni, radziła, żeby jak najszybciej dowiedziała się „o tym panu” czegoś konkretnego. Przede wszystkim jak się nazywa. Gdzie pracuje, bo to najważniejsze. Przecież mężczyzna na stanowisku nie wylądowałby w takim slumsie, jak Madzia lubiła nazywać kamienicę, w której mieszkała jej przyjaciółka. „Bo ten wasz slums to pasowałyby raczej na jakiś squat, miejsce w sam raz dla studentów albo spauperyzowanych emerytów. Albo dla uchodźców jakichś czy imigrantów ze Wschodu (takiego lub innego), ale nie dla samotnych dżentelmenów w średnim wieku”. Weronika nie przejmowała się tym, co mówiła Madzia. Uważała, że dzielnica, w której mieszka, jest ciekawa i klimatyczna. Na pewno stokroć lepsza niż wszystkie komunistyczne blokowiska. „Takie byle jakie dwa pokoje, w dodatku w amfiladzie i na domiar złego urządzone peerelowską meblościanką, to naprawdę obciach”, punktowała przyjaciółka, której przyszło mieszkać z rodziną właśnie na jednym z takich pozbawionych indywidualnego rysu, wielkopłytowych osiedli – na Zaspie. Ale jej było wolno żyć byle jak. Bo ona miała w życiu pecha. I nie była to niczyja wina. Po prostu ślepy traf. Zły los albo fatum. Madzia i jej mąż należeli do pechowców, którym się nie powiodło. Z wielu jakże istotnych i obiektywnych przyczyn. I dlatego im wolno było wegetować w przasnym bloku. Wolno też było narzekać. I na dodatek mieć przedpokój i kuchnię wyłożone boazerią w stylu wczesnego Balcerowicza

albo nawet późnego Jaruzelskiego i mieć wszystkim wszystko za złe. „Ale za to mieszkam w dobrej dzielnicy i mam całkiem niezłe widoki. Przynajmniej te z okien”, odgryzała się Weronika za każdym razem, żeby podkreślić, że ona i jej nowy sąsiad wcale nie mieszkają byle gdzie, tylko w Starej Oliwie. Na pierwszym piętrze, w pełnym uroku, poniemieckim budownictwie. I widok ma na zieleni, a nie, jak Madzia, na sąsiedni blok – toporną szafę do mieszkania. Właśnie tak – szafę, a nie maszynę, jak chciał pewien architekt. Madzia jednak nie dawała za wygraną. Strasznie była wścibska. Lubiła wiedzieć jak najwięcej o innych i dobrze się czuć na myśl o tym, jak głupio i bezmyślnie ci inni postępują. Taka na przykład Weronika. Nieudacznica, jakich mało. Wystarczyło porównać się z nią i już zaraz było lepiej. Nawet jeśli się było kaleką na wózku, z tym cholernym, sparaliżowanym od pasa w dół odwłokiem zamiast ponętneho, kobiecego ciała. I z mężem, który większość wolnego od pracy czasu spędzał u pewnej pani. Nawet specjalnie się z tym nie krył. Po prostu często nie wracał do domu na noc albo wracał bardzo późno i od razu kładł się spać w swoim pokoju, nie zamieniwszy z żoną ani słowa. Ale miał na tyle przyzwoitości, że wciąż formalnie był mężem Madzi i na palcu nosił ślubną obrączkę. Rano wypijali razem kawę, przeważnie w milczeniu, a potem on szedł do pracy, dzieci do szkoły i na uczelnię, a ona miała przed sobą kolejny nikomu niepotrzebny, samotny, nudny dzień. Nie dawała więc przyjaciółce spokoju. Dzwoniła już po raz trzeci tego dnia, ale Weronika nic nie chciała jej powiedzieć. Ani słowa na temat sąsiada i jego odwiedzin. Było, minęło. Przyszedł do niej pewnie tylko raz. I to się więcej nie powtórzy. Będzie tylko koszule przynosił do prasowania. Koniec. Bo za stara jest na jakieś amory. On pewnie niedługo się stąd wyprowadzi, bo kto to widział w takim slumsie mieszkać? A widać było, że to poważny człowiek i swoje w życiu przeszedł. Do tego koszule miał naprawdę pierwszorzędne. Drogie, markowe. I wody po goleniu też dobrej używał. I jeszcze te książki. Obcojęzyczne. Wczoraj, po tych pierwszych amorach, wpuścił ją nawet do swojego mieszkania – żeby dać jej następne koszule do prasowania. Tylko na chwilę, ale udało jej się coś podejrzeć. Zawsze ją ciekawiło, co ludzie czytają. Powiedz mi, co czytasz, a powiem ci, kim jesteś – to była jej ulubiona sentencja. Weronika zapamiętała tytuł jednej z książek, które stały u niego na półce. Potem wrzuciła ten tytuł w przeglądarkę i okazało się, że to po niderlandzku, po holendersku właściwie. Zaczęła więc o nim myśleć, że jest Holendrem. Takim ciągle się przemieszczającym, Latającym Holendrem, w skrócie: LH. Bardzo ładnie. Lepsze to niż nic. Miała już jakieś imię dla niego. Bo prawdziwego nie chciał jej podać. Tak czy inaczej, te dziwne książki i garnitury zupełnie nie pasowały do tego dużego, ale bardzo zaniedbanego mieszkania, które zajmował. Co innego Weronika – wdowa, utrzymująca się z renty po zmarłym mężu, ledwie wiążąca koniec z końcem. Ona mogła tu wegetować. Ale nie zadbany, wręcz wymuskany mężczyzna, właściciel markowych koszul, eleganckich, czarnych garniturów i ekstrawaganckiego autka w kolorze żółtym. Naprawdę to było dziwne, że zamieszkał w tym dotąd opuszczonym i zapuszczonym mieszkaniu. Może po prostu dobrze się tu czuł? Doceniał to, że w gruncie rzeczy wszędzie stąd blisko i jakoś tak swojsko. Zwłaszcza kiedy się ma taką spolegliwą sąsiadkę jak Weronika, która świadczyła mu najrozmaitsze usługi. Z wielkim entuzjazmem w dodatku.

Madzia nie dawała za wygraną. Dalej męczyła przyjaciółkę telefonami. Czwartym, a potem piątym.

– No powiedz, jaki on jest? Wysoki czy niski?

– Wysoki, przecież mówiłam ci już.

– Ale czy przystojny?

– Taki sobie. Właściwie to przystojny, nawet bardzo.

– Więc dlaczego ściemniasz, że taki sobie, skoro jest przystojny?

– A bo ja sama nie wiem, nie znam się na męskiej urodzie.

– Młodszy od ciebie, prawda?

– Może starszy, ale tylko trochę. Zresztą kto go tam wie. On nic mi o sobie nie mówi.

- Ale czy ci się podoba?
- No, bardzo.
- A dobry jest? No wiesz, w czym.
- Dobry.

Madzię niestety frapował tylko ten, jej zdaniem najistotniejszy, aspekt atrakcyjności nowego znajomego przyjaciółki. Była tym niezwykle podekscytowana. Sama nie mogła już liczyć na podobne atrakcje, więc sytuacja Weroniki bardzo ją podniecała. Zastanawiała się też, czy ona po prostu nie zmyśla, nie konfabuluje. Może wcale nie było żadnego tajemniczego sąsiada? Jakiegoś Latającego Holendra. Może Weronisia coś sobie wymyśliła, żeby pikantnymi opowieściami choć trochę ubarwić swoje szare, nikomu niepotrzebne życie? Magda postanowiła to sprawdzić przy najbliższej okazji. Jak tylko będzie ją miał kto podwieźć. Przyjedzie na wizytację i sama zobaczy, co tam się wyrabia. Gdy już wreszcie odwiedzi przyjaciółkę, to jej nie daruje. Będzie musiała jej pokazać tego faceta. Madzia też chciałaby kogoś takiego poznać. Żeby i jej życie, wypełnione nudą i drobnymi troskami, nabrało nieco barw. Żywszych, niekoniecznie tęczyowych. Chociaż ona nie posunęłaby się aż tak daleko, nawet gdyby mogła, gdyby nie wózek i to ciało bezwładne. Chociaż tak z drugiej strony chciałaby się odegrać na mężu. Za to, że ją zdradzał. Jeszcze bardziej bolało ją to, że robił to z jedną kobietą. Gdyby to były jakieś przypadkowe, jednorazowe wysoki, umiałaby nad tym przejść do porządku dziennego. Zapomniałaby, wybaczyła. Ale niestety – to była zawsze ta jedyna. Madzia znała jej adres i telefon. Wiedziała o niej aż za dużo. Ale nie mogła nic poradzić na to, że jej mąż ciągle tam chodzi. Mogła zażądać rozwodu, ale czy coś by przez to osiągnęła? Zostałaby sama i z jeszcze mniejszymi pieniędzmi. Zdrowia i urody nie rozdają ani równo, ani sprawiedliwie. Tamta miała jedno i drugie, chociaż była starsza od Madzi i wcale nie zasługiwała na to, żeby jej mąż spędzał u niej noc. I to tylko wtedy, kiedy tamta chciała. Bo gdy wracał na noc do domu, to tylko dlatego, że kobieta już się nim nasyciła i chciała po prostu odpocząć. Wracał nie z chęci bycia z Madzią, tylko dlatego, że kochanka wolała trochę pobyć sama. Że jej tak było wygodniej. Łajdaczyć się z żonatym mężczyzną, kiedy miała taką potrzebę. A potem żyć dalej swoim życiem. Wygodnie i bez niepotrzebnych komplikacji. I nie mieć żadnych wyrzutów sumienia, że ta druga cierpi, że jest zazdrosna, że jeździ po mieszkaniu na tym swoim wózku inwalidzkim z kąta w kąt, jak zwierzę w klatce, samotna, upokorzona. I nic nie da się na to poradzić. Bo nie może uciec od złego losu. Zmienić swojego życia, bo każda zmiana w jej sytuacji może być tylko na gorsze.

– A zabezpieczasz się? – Madzia nie mogła sobie darować tego pytania. W końcu należało trafić w sedno sprawy.

Weronika była nieco zaskoczona bezpośredniością koleżanki. Tak naprawdę nawet o tym nie pomyślała. Nie było na to czasu. I to dzięki temu obcesowemu pytaniu zdała sobie sprawę ze swojej niefrasobliwości.

– Muszę kończyć, bo właśnie przyszedł LH – szepnęła do słuchawki, ponieważ usłyszała znajome kroki, na które czekała cały dzień. Cholernie długi i nieznośnie męczący dzień. Ledwie zdążyła dopaść drzwi i je otworzyć, dokładnie w momencie, gdy wchodził do swojego mieszkania. Jakby nigdy nic. I znowu nie zwracał na nią uwagi, chociaż przecież po tym, co się wydarzyło między nimi, powinien zachowywać się zupełnie inaczej. Ale nie przejmowała się jego obojętnością. Wykrzywiła twarz w sztucznym uśmiechu.

– Ja te koszule mam już uprasowane. – Chciała dodać: „dla pana”, ale jakoś nie mogła zwracać się do niego per pan, a żeby mówić mu po imieniu, było chyba za wcześnie. Poza tym wciąż nie wiedziała, jak on ma na imię. Najlepiej więc było zwracać się do niego tak bezosobowo.

– A, koszule, no tak. To może później.

– Mam ciepłą zupę, została z obiadu. – Jak dobrze, że przygotowała sobie również ten tekst. Bo

najwyraźniej nie miał ochoty z nią rozmawiać. A tym bardziej skosztować zupy jarzynowej.

Nie odpowiedział. Zamknął tylko drzwi do swojego mieszkania, zrobił dwa kroki w jej kierunku. Potem trzasnęły jej drzwi, aż pies Bućki zaczął ujadać. Po paru minutach stała oparta dłońmi o ścianę. Tak jak sobie życzył. Jej komórka właśnie dzwoniła. To znowu Madzia. Umierała z ciekawości i podekscytowania. Ciekawe, co by powiedziała, gdyby w tej chwili mogła zobaczyć przyjaciółkę. To by dopiero było! Na samą myśl o tym Weronika zaczęła chichotać. Głupio jej się zrobiło. Na szczęście mężczyzna, który stał za nią, nie zważał na jej zachowanie. Robił swoje.

Pan Saturnin Bućko z mieszkania obok po powrocie z wieczornego spaceru z psem łaknął ciszy i spokoju. Poza tym chciał się położyć i wreszcie odpocząć. Zasnąć jak najwcześniej, żeby się obudzić rzeško, o piątej rano, jak na starucha przystało, i znów wyruszyć na spacer z foksterierem. Ale ktoś okropnie hałasował za ścianą. I spać się nie dało. To ta sąsiadka, wesoła wdówka, niby grzeczne cielątko z niej, a tu taka zmiana. O sto osiemdziesiąt stopni. Ciekawe, z kim tak dokazuje? Pewnie jakiegoś gacha przygruchała. I teraz sobie używają, a sąsiedzi cierpią przez tę szelmę, bo spać się nie da ani nawet telewizji pooglądać. Jak to się będzie powtarzało, trzeba będzie z administracją pogadać. Bo tak nie może być. U nich na piętrze dotąd panował wzorowy spokój. Cmentarny niemal. I tak dalej być musi. A nie jakieś tam wzdychanie, charczenie, rżenie. Starszy pan już dawno wyrzucił z pamięci wspomnienia młodości. Te wszystkie Baśki i Halinki, z którymi swego czasu figlował, były już zapewne statecznymi babciami, a może nawet ziemię gryzły. Oczywiście jeśli miały dość szczęścia, żeby w porę umrzeć, zanim na dobre pogrążą się w zgrzybiałej starości. Ale teraz jego intymne wspomnienia wróciły. Czuł się z tym nadspodziewanie dobrze. Odgłosy zza ściany działały na niego pobudzająco. Pomyślał, że jeszcze wcale nie jest taki stary i do niczego. Że mógłby to i owo zdziałać w wiadomej materii, ale już nie z Baską i nie z Halszką, prędzej z tą niegrzeczną sąsiadką – rozpustnicą. A takie to było szare, ulizane i bezkształtne. Aż tu nagle wylazło szydło z wora. I już wiadomo, kto zacz. Pod wpływem odgłosów coraz intensywniejszego dokazywania mężczyzna ożywił się. W końcu siedemdziesiątka to nie grób. Przynajmniej nie dla wszystkich.

Gdy już wszystko ucichło, dalej nie mógł zasnąć. Czekał na coś. Wstał z łóżka i podszedł do drzwi. Zerknął przez wizjer. Korytarz był oświetlony. Skrzypnęły drzwi od mieszkania sąsiadki. Na korytarz wyszedł mężczyzna. Wysoki, dobrze zbudowany. Otworzył drzwi od mieszkania położonego dokładnie naprzeciwko mieszkania sąsiadki. Ależ to wygoda! Tak mieszkać drzwi w drzwi. Nie trzeba razem się męczyć, kłócić o głupstwa. O brudne skarpetki, zasikane kalesony. Ale można w każdej chwili mieć pod ręką kawałek niezłej babki. Taki to się umie ustawić. Superman cholerny. A przy tym kawał chłopca. Ale źle mu z oczu patrzyło. Bardzo źle. Saturnin Bućko już tam swoje wiedział na temat tego typka spod ciemnej gwiazdy. Dobrze, że nie uchylił drzwi, bo jeszcze tamten by go namierzył. Takiemu to lepiej schodzić z drogi. I omijać go szerokim łukiem. Byle dalej od niego, pomyślał starszy pan.

– A ty, Ir, piesku, nie czekaj, nie warcz, bo jeszcze i nas dopadnie ten zły duch.

ZAZDROŚĆ I MEDYCYNA

Elka miała już serdecznie dość pakowania. Dwie walizki – jedna duża, druga mała. Tę mniejszą weźmie do kabiny. I jeszcze torebkę. Byle tylko ta Anka przyjechała punktualnie. I nie marudziła, że bałagan. Elka zdawała sobie sprawę z tego, że zostawia mieszkanie w nieładzie. Ale przecież naprawdę nie miała czasu na takie drobnostki jak sprzątanie. W końcu była naukowcem. Doktorem nauk medycznych. A sprzątanie, jak wiadomo, bardzo odmóżdżające jest. Niech sobie sama posprząta, ta protegowana jej słodkiego kuzynka doktora Maciusia. I tak zostawiała jej mieszkanie za darmo. Tylko opłaty będzie robiła. A do tego okolica ładna, cicha, klimatyczna. Sąsiedzi też ujdą w tłoku. Nie są zbyt hałaśliwi. Chociaż ostatnio jakby trochę bardziej. Ale cóż robić – wiosna. Ptaszki wyśpiewują miłosne trele. Niektóre ludziki też.

Usiadła w fotelu. Aż się zakurzyło. Pewnie dlatego, że tyłek miała dość ciężki, rozłożysty. Nie to co Anka – chudzina. Tak przynajmniej twierdził Maciuś. Że ta Ania chuda, blada, eteryczna jest. Upajał się, gdy o niej mówił. Pani Ania to, pani Ania tamto. Widać było, że ma bzika na jej punkcie. Lubił pewnie takie szczuplejsze. Elka natomiast miała kobiecą budowę. I to się nawet podobało. Temu i owemu. W każdym razie nie narzekała na brak powodzenia u płci przeciwnej. Profesor Kaczmarek zawsze się czerwienił na jej widok. Jak burak, którym zresztą w istocie był. Doktor Maciej Zagrobny, jej daleki kuzyn, również oblewał się rumieńcem, zwłaszcza gdy Ela wkładała sukienkę z dekoltem odsłaniającym sporą część jej wydatnego biustu. Pewnie niedługo przyjedzie, żeby odwieźć ją na lotnisko. Jak zawsze do usług. I w podskokach. Pewnie skrycie się w niej podkochał. Stary kawaler (no, może jeszcze nie taki stary, starszy od Elki o dziewięć miesięcy, jakby kto pytał), a do tego wciąż mieszkający z mamusią, która dziergała dla niego kamizelki i szaliki na drutach, a czasem na szydełku. Bardzo obciachowe. Ale jeśli nie nawinie się nikt inny, Elka będzie musiała poprzestać na nim. Z bólem serca. Ale zawsze lepszy rydz niż nic. W końcu to był daleki kuzyn ze strony matki. Właściwie tylko powinowaty. Mogli więc się chajtnąć. W ostateczności. W sumie się jej nie paliło do tego, żeby zostać panią Zagrobną. A może raczej Zagrobny? Lepiej, żeby to nazwisko się nie odmieniało. Ale i tak nie zamierzała rozstrzygać tej kwestii, bo z domu była aż Sobańska i nie zamierzała tego zmieniać. Doktor Elżbieta Sobańska, zwana Rudą Elką, a przez niektórych po prostu Marchewą, stanowiła znakomity mariaż tradycji, wiedzy i seksapilu. A o tym mamusiny Królu Maciusiu Pierwszym to chyba jeszcze pomyśli, bo w gruncie rzeczy stanowił całkiem niezłą partię. Ale na to zawsze miała czas. Teraz jednak czas uciekał, a samolot nie będzie na nią czekał. Ta cała Anka mogłaby już się tu zjawić. Bo jeśli się spóźni, to trzeba będzie zostawić jej klucze u sąsiadki.

– No nareszcie jesteś! – Elka ucieszyła się na widok nieznajomej kobiety. Powinna się do niej zwracać per pani, ale to nie było w jej zwyczaju. Lubiła skracać dystans. – I zaokrągliłaś się, no, no! Maciek mówił, że taka chuda jesteś i blada, a tu dziewczyna jak malina. Dobrze ci służy ta Szwecja. – Anka

uśmiechnęła się blado. Trochę się zdziwiła bezpośredniością doktor Elki, ale widocznie ten typ tak ma. Niestety, od rana gnębiły ją mdłości. Źle się czuła podczas lotu, i w taksówce też. Dobrze знаła to uczucie z czasów chemioterapii. Chciała jak najszybciej się położyć i wreszcie rozpiąć ten guzik w pasie, który wrzynał jej się w brzuch. Wyraźnie już powiększony. – Szkoda, że tak późno przyjechałaś. Myślałam, że się napijemy kawki albo winka łykniemy. Opowiedziałabym ci, jak tu się mieszka. No i Maciusia byśmy obgadały. A właściwie to dlaczego związałaś z tej Szwecji? – Anka nie miała ochoty zwierzać się nieznajomej kobiecie. Ani obgadywać Maciusia. Liczyła na to, że Ruda Elka zaraz opuści mieszkanie i nie trzeba będzie z nią rozmawiać. Właśnie dlatego zaplanowała podróż tak, żeby być jak najpóźniej. Chciała uniknąć tego spotkania, a raczej ograniczyć je do niezbędnego minimum. Doktor Maciek uprzedzał ją, że Elżbieta jest bezpośrednia. Ale nie myślała, że aż tak. – Może chociaż usiądziemy na moment, póki mój kierowca nie przyjechał. Mamy jeszcze parę minut. – Elka nie dawała za wygraną.

Ankę spłoszyła ta propozycja. Wykręciła się koniecznością pójścia do toalety. Na szczęście po chwili rozległ się dzwonek do drzwi. Maciej Zagrobny. Dotychczas Anka widywała go wyłącznie w lekarskich uniformach. Teraz stanął przed nią w wersji prywatnej, żeby nie powiedzieć domowej. Wyglądał zupełnie inaczej niż w szpitalu. Uwagę przykuwała przede wszystkim jego kamizelka. Kolorowa, wydziergana na drutach albo na szydełku. Kubraczek doktora Maciusia mienił się tęczo i Ance przyszło do głowy, że doktor mógł być po prostu gejem i w ten sposób manifestował swoją orientację. Ale poza tym na pierwszy rzut oka było widać, że się ślinił do tej Elki i to stało w sprzeczności z ewentualnym manifestem kamizelkowym.

Zagrobny tak naprawdę gustował wyłącznie w kobietach. Niestety, nie miał u nich wzięcia. Przynajmniej nie u tych, na których mu zależało. Bo pacjentki, zwłaszcza te po pięćdziesiątce, wzdychały do niego mniej lub bardziej skrycie. Teraz miał przed sobą dwie kobiety, które najbardziej go kręciły: Elkę – z włosami jak płomień – i śliczną, eteryczną Annę. Obie przypominały mu Madonny Botticellego. I teraz, przez tę krótką chwilę, obie należały do niego. No, może niezupełnie je posiadał, ale było niepodważalnym faktem, że były lokatorkami mieszkania, które odziedziczył po babci. A on, nie mogąc tu zamieszkać, na swoim i w dodatku bez kredytu, wynajmował to mieszkanie studentom. Ponieważ jednak ci ostatni byli hałaśliwi, niesubordynowani i w dodatku nie płacili i tak zaniżonego czynszu, Maciej udostępnił garsonierę kuzynce. A teraz miała w niej zamieszkać Anna, której najchętniej by dopłacił, żeby tylko jak najdłużej tu została. Niestety, Anna od razu zaznaczyła, że to tylko na chwilę, że zamierza kupić coś w Oliwie, ale ponieważ jego lokum też znajdowało się w jej ulubionej dzielnicy, przystała na propozycję. Bo z kupowaniem mieszkań nie należy się spieszyć.

– Elusiu, musimy pędzić, bo straszne korki.

Maciej wiedział, że Elka nie znosi zdrobnień swojego imienia, których używał. On też nie lubił, jak zwracała się do niego per „Maciusiu”. Tak mogła nazywać go wyłącznie mamusia. Nikt inny. Ale Elka podchodziła do wszystkiego dość bezceremonialnie. Taki już miała styl. Maciej nie lubił tego, ale za to uwielbiał patrzeć na jej pofalowane rude włosy, a jeszcze bardziej na jej falujący biust.

Annę natomiast cenił za jej powściągliwość. Mało mówiła, a jeśli już – to z sensem. Elka była jej przeciwieństwem, zarówno w sensie mentalnym, jak i fizycznym. Bo Elka była duża i gadała dużo. Ale pociągała go mimo wszystko (to jej barokowe ciało!), chociaż subtelna uroda Anny bardziej mu pasowała. Obie go onieśmiały. Kiedyś za wszelką cenę chciał się wkraść w łaski Elki. Marzył nawet, że zamieszkają razem, choćby tutaj, w tym całkiem fajnym mieszkanku na Polankach. Bardzo by mu to odpowiadało. Miałby bliźniutko do mamusi i do szpitala też niedaleko. No i wreszcie naprawdę by się usamodzielniał. Lepiej późno niż wcale. Ale niestety Elżunia, jak lubił nazywać swoją kuzyneczkę, przygotowując ją o atak furii, dostała zagraniczne stypendium i najbliższe pół roku spędzi w Leeds.

Szczęściara. On jakoś nigdy nie dochrapał się takiego intratnego wyjazdu. Profesor Kaczmarek wolał trzymać go przy sobie. Bo Maciek Zagrobny był od czarnej roboty, a nie od zaszczytów i zagranicznych stypendiów. Co najwyżej mógł pojechać w zastępstwie profesora na dwudniową konferencję do Katowic. Najlepiej nocnym pociągami, bo najtaniej.

– No, Elżuniu, pospiesz się, naprawdę nie mamy dużo czasu.

– Tylko nie „Elżuniu”! Naucz się raz na zawsze, że na imię mam Elka. Czy to tak trudno zapamiętać? – warknęła Elżbieta, po czym zwróciła się do Anki, ku zdziwieniu Zagrobnego nadal bezceremonialnie ją „tykając”. – O, tu masz klucze. I jeszcze kluczyk od skrzynki, a ten od piwnicy. I najważniejszy: od śmietnika. Masz spokojnych sąsiadów. Okolica też fajna, zresztą znasz ją lepiej ode mnie, bo ja tu krótko mieszkałam, a ty chyba parę ładnych lat, prawda?

Anka nie mogła się doczekać chwili, kiedy obydwójce wyjdą z mieszkania i wreszcie zostanie sama. W ciszy i w spokoju. I w tej dzielnicy, którą przecież lubiła. Miała nawet ochotę zobaczyć swój dawny dom, który nigdy tak naprawdę nie był jej, tylko Wieśka. Zamierzała tam pójść jeszcze tego samego dnia. Żeby się napatrzeć i zaspokoić ciekawość. Nie było jej tu przez ponad rok. Pewnie Wiesiek już kogoś sobie sprowadził. Jakaś ktosie sobie przygruchał, żeby zajęła jej miejsce, a właściwie miejsce Gosi Herbst. Nie była ciekawa, co to za dziewczyna. Na pewno młoda, bo takie lubił jej mąż. Zwykle brał młodziutki sekretarki. Takie zaraz po maturze. Panien po studiach, z pretensjami i odstawiających fochy, Wiesiek raczej nie lubił. Wolał świeżynki. Proste dziewczyny, najlepiej z Kaszub, bo sam stamtąd pochodził. Pewnie teraz któraś z nich zajmowała się jego pięknym domem. Ciekawe, z jakim skutkiem? Nie powinna się tym interesować, ale nie umiała się powstrzymać. Chciała zamieszkać właśnie tu, przy ulicy Polanki, i dopięła swego. Czowała dziwny sentyment do tego miejsca.

Elka wpadła w furję, bo na lotnisku zatrzymali ją do kontroli. Osobistej. Ją i jej bagaż. Ten podręczny. A ściślej mówiąc, jej małą, niewinną, czerwoną walizeczkę. Prawie tak czerwoną jak włosy Elki i jej pomalowane karminową szminką usta oraz czerwony prochowiec, który też musiała zdjąć do kontroli, podobnie jak czerwone lakierki na niebotycznym, trzynastocentymetrowym obcasie. Nawet pozbawiona obcasów cała była niebotyczna – wysoka, strzelista i czerwona od stóp do głów. Zwracała uwagę. Ale czy to był wystarczający powód, żeby ją zatrzymać – jak jakiegoś terrorystę?

– Pani poczeka – warknął krępy blondynowaty ochroniarz. Na oko jakieś metr sześćdziesiąt trzy w kapeluszu, ale niezłe napakowany. Coś za coś. Brak centymetrów w pionie rekompensował sobie nadmiernym umięśnieniem, które sprawiało, że jego ochroniarski mundurek zdawał się pękać w szwach. A pan ochroniarz pękał z dumy.

– Proszę czekać – wycedziła przez zęby tłusta, farbowana blondyna, też ochroniara, która najwyraźniej asystowała mięśniakowi.

A w Elce wszystko już kipiało. Jak to czekać? Na co czekać? Do jasnej ciasnej.

– Ale na co mam czekać?! – wrzasnęła, bo już nie mogła wytrzymać. – I dlaczego mam czekać? Czy ja jestem aresztowana? Zatrzymana?

– To tylko rutynowa kontrola. *Rutynowa*, rozumie pani? – Ochroniara była wyraźnie poirytowana. Całkiem nierutynowo.

– Została pani wylosowana – dodał umięśniony ze smętną miną.

– Ale dlaczego? Dlaczego właśnie ja?

– Czy to znaczy, że pani nie poddaje się kontroli?

– Ależ poddaję się, poddaję. – Elka westchnęła z rezygnacją i uniosła rękę.

Kobieta obrzuciła ją karcącym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała, chociaż miała na końcu języka kilka pouczeń dla tej niesfornej paniusi z rudymi lokami. Cholernej elegantki – sawantki, zarozumiałej, genderowej dziuni, której się wydaje, że jest kimś lepszym od niej – skromnej dziewczyny ze Starogardu Gdańskiego, dla której praca w firmie ochroniarskiej to niebywała nobilitacja. A ta wyfiokowana damulka wyglądała na taką, co to sobie regularnie lata regularnymi liniami, a nie jakąś tam tanioczą na zmywak do Londynu, jak ona kiedyś. Ta lafirynda wyperfumowana i wypindrzona jak jasna cholera budziła jej zdecydowaną niechęć. A właściwie chęć. Chęć odwetu.

Ochroniarz przystąpił do czynności. Ze starannością godną policyjnego technika na miejscu zbrodni celebrował każdy gest. Rozpiął torebkę, a potem wyjął z niej komórkę i portfel, a także paszport, klucze od mieszkania i kartę pokładową. I jeszcze kanapkę z szynką drobiową, rukolą i pestkami dyni, opakowaną w sreberko, i gruszkę klapkę, która spadła na podłogę i się rozkwaśła. Każdą z tych rzeczy musiał obejrzeć ze wszystkich stron, bo tak właśnie nakazują procedury. Potem pochylił się nad czerwoną walizką.

– Walizkę też pan będzie kontrolował? – zapytała Elka.

– Uhm.

– To może w jakimś pomieszczeniu, a nie tu, na widoku?

– Nie, nie mamy takiej procedury. Trzeba tutaj, żeby kamery wszystko rejestrowały – wycedził ochroniarz. I uśmiechnął się fałszywie. A potem zamaszystym ruchem otworzył czerwoną walizkę. Pierwszą rzeczą, którą z niej wyjął, były czerwone, koronkowe majtki Elki. Drugą – biustonosz. Też czerwony i koronkowy. Obie sztuki bielizny z satysfakcją zaprezentował przechodzącym obok taśmy podróżnym. Tak się złożyło, że byli to prawie sami panowie. Elka stała obok. Zawstydzona, ze spuszczoną głową. Zastanawiała się, kiedy wreszcie ten cyrk się skończy i będzie mogła wjechać schodami ruchomymi do góry i napić się wody, bo całkiem zaschło jej w gardle. Zapewne z emocji. Ale ochroniarz nie dawał za wygraną. Nie spieszył się wcale. Wręcz przeciwnie. Bawił się świetnie, ukradkowo zerkając na tę nadętą paniusią, która tak zabawnie się złościła. A niech się pozłości jeszcze trochę. Niech ją potem głowa rozboli w samolocie. Niech ma o czym opowiadać swoim psiapsiółkom na fejsie, jak już doleci na miejsce. On, póki co, miał do przejrzania jeszcze kilka sztuk damskiej bielizny. I całą paczkę z podpaskami. A to do dopiero gratka! A paniusia już kipiała.

– Może niech pani usiądzie? – zachęcała Elkę ochroniarza.

– Ale po co? Przecież to już nie będzie długo trwało. Wolę postać, nasiedzę się w samolocie – obruszyła się Elka.

– A to się jeszcze okaże, czy pani polecie... – westchnął ochroniarz znad walizki. Właśnie przystąpił do rozpakowywania paczki z podpaskami, w której Elka mogła przecież ukryć jakiś materiał wybuchowy albo coś znacznie gorszego.

– No, ale chyba tego pan nie będzie sprawdzał? – Elka patrzyła na mężczyznę z rosnącym zdumieniem. Przecież takich rzeczy nie robi się kobiecie. W dodatku publicznie, na oczach innych podróżnych. Była oburzona i zupełnie bezbronna. Wiedziała, że nic nie może zrobić. Że nikt nie stanie w jej obronie. Bo to przecież tylko zwykła procedura, której należy się poddać. Bez słowa sprzeciwu. A to, że stała teraz bosa, bo jej buty również budziły poważne zastrzeżenia, nie miało znaczenia. Musiała stać i czekać bez słowa sprzeciwu. A jeszcze przed chwilą głośno się śmiała i kokietowała nieszczęsnego Maciusia, który wpatrywał się w nią maślanym wzrokiem. I pewnie wciąż jeszcze stał w hali odlotów i może nawet zauważył, że ją zatrzymano. Ciekawe, co sobie pomyślał, gdy zobaczył pyskątą i pewną siebie Elkę w takiej niecodziennej sytuacji?

– Będę sprawdzał wszystko, co muszę – burknął ochroniarz.

– No właśnie. Radziłabym pani usiąść i się uspokoić – zaatakowała ponownie ochroniarza.

Elka robiła wrażenie bardzo zdenerwowanej. Dłonie jej drżały. Ze złości, nie z nerwów – tak sobie przynajmniej powtarzała, żeby zachować twarz. Sama przed sobą wstydziła się tego dygotu. I że to było widać. Ci znudzeni ochroniarze zapewne nieźle się bawili jej kosztem.

– Czy mam przerwać czynności? Poddaje się pani kontroli czy nie? – Ochroniarz lubił powtarzać swoją śpiewkę zawierającą dwa słowa klucze: „poddawać się” i „kontrola”.

– No przecież się *poddaję*.

– To proszę nie dyskutować i nie robić scen. Utrudnia pani czynności.

– I aresztuje mnie pan z tego powodu?

– Jak się pani nie uspokoi i nie przestanie utrudniać, to wezwiemy lekarza. – Farbowana blondyna ponownie włączyła się do akcji. Minę miała coraz groźniejszą.

I wtedy Elka nie wytrzymała. Wybuchnęła śmiechem. Swoim głośnym, perlistym śmiechem. Było jej już wszystko jedno. Gapili się na nią – podróżni i pracownicy lotniska – a ona śmiała się coraz głośniej. Umięśniony ochroniarz chwilowo zaniechał procedury przeszukiwania paczuszki z podpaskami. W końcu podszedł do nich jego przełożony. Spojrzał na rozbebeszoną walizkę, potem na Elkę i rzucił krótko:

– Proszę się spakować.

Błyskawicznie wrzuciła rzeczy do walizki, jak leciało, bez układania, i z ulgą wjechała po schodach. I już nie było jej widać. A Maciej Zagrobny cały czas stał w hali odlotów i patrzył na jej rude włosy, które tak bardzo go kręciły. Bo się kręciły. W taki naturalny sposób. I zastanawiał się, kiedy ona wróci. Czy rzeczywiście nie będzie jej aż pół roku?

Doktor Maciej Zagrobny właśnie skończył dyżur. Teraz musiał wracać do mamusi. I to biegusiem, bo pani Monice Zagrobnej pewnie się cknęło samej samiusieńkiej w domu. Ale może sobie usiadła na werandce z jakąś książeczką i odpoczywa. Taka ładna pogoda, słoneczko majowe przygrzewa, że hej! A on – dobry, kochający syn – powinien jeszcze po drodze zrobić zakupy w hipermarkecie. Najlepiej w Almie, w Sopocie. Chociaż mamusia nie lubi warzyw i mięska z hipermarketu. Woli specjały z bazaru na Przymorzu albo z tego najlepszego, jej zdaniem, bazaru w mieście – przed Halą Targową w Gdańsku. Ale chlebek to kupi w piekarni u Pellowskiego. To przecież rzut beretem od hali. Od razu dwa bochenki weźmie. Razowego na miodzie. Mamusi ulubionego. Żeby ją udobruchać chociaż trochę. Bo nie powinna tak sama w domku siedzieć po całych dniach. Bidulka. Na pewno jej się przykrzy. Syn pracoholik zostawia ją na pastwę losu. Bo się ugania za spódniczkami. Tak się kiedyś mówiło. Pani Monika Zagrobna nie miała pojęcia, jak się teraz mówi o tych rzeczach. Wiedziała tylko, że jej syn jest starym kawalerem. I za żadnymi spódniczkami nie powinien się uganiać ani tym bardziej za spodniami czy spodenkami. Tak naprawdę było jej na rękę, że żadna obca baba po jej mieszkaniu się nie pałęta. Żyli sobie we dwójkę w dużym, czteropokojowym apartamencie z werandą. W Starej Oliwie. Zgodnie, spokojnie. I niczego im nie brakowało, to znaczy jej niczego nie brakowało. No, może wnuków. Ale przecież w życiu nie można mieć wszystkiego. Wnuków więc nie będzie, przynajmniej na razie. Ale mniejsza o wnuki. Najważniejszy był jej syn. Jedyna podpora na starość. Dobrze, że był. I bardzo się niepokoiła, że ciągle gdzieś go nosiło. I zamyślał się. To pewnie jednak jakaś baba. Może któraś z tych jego pacjentek nieszczęsnych? To byłoby najgorsze. Bo jego pacjentki, jedna w drugą, miały raka. Z reguły złośliwego, z przerzutami. Większość z nich i tak niebawem umrze, o ile nie wszystkie. Ale jedną to na pewno jej synek, Król Maciuś Pierwszy, chciałby ocalić. Tę królową śnieżkę, która jakiś czas temu wyjechała saniami Świętego Mikołaja do Laponii albo nawet do Japonii. Im dalej, tym lepiej. Może będzie trochę spokoju. I może jej syn wreszcie zajmie się wyłącznie swoją pracą, a nie tą panną.

Właściwie to chyba mężatką albo rozwódką. *Czort znajet*. Jak Maciek się nie opamięta, to jeszcze tej habilitacji nie zrobi. I co wtedy? Wyleją go. I co z nim będzie? Z jego karierą? Musiał przecież mieć jakąś pracę. Jak każdy mężczyzna. Bo kobieta to niekoniecznie musi pracować. Pani Monika na przykład całe życie była przy mężu. I dobrze było. Dopóki mąż nie zrezygnował z trwania przy niej. Wyprowadził się, gad jeden, do młodszej. O dwa lata, ale zawsze. Na szczęście miała syna. I dlatego że był jej jedyną ostoją, musiała go pilnować. Jak żrenicy oka. Żadna baba tu się nie wędrze. Chociaż Maciej wyraźnie zagustował w tej jednej. Miał jej zdjęcie w komputerze. Podśluchiwała też, jak mówił do kolegi, że to taka miłość niemożliwa. I pewnie ciągle za nią tęsknił. Dlatego się tak zamyślał. Ale rozstanie z tą lalunią dobrze mu zrobiło. Przestał o niej myśleć, tak obsesyjnie. I masturbować się w łazience przestał. Zajął się wreszcie tym, co pożyteczne. Bo przecież z tego wpatrywania się w zdjęcie w komputerze i tak nic dobrego nie będzie.

Pani Monika, jak była młoda, też miała takie ładne, sterczące piersi jak ona. Teraz niestety wszystko Monice nieco obwisło. Aż żal było na to patrzeć podczas porannej toalety. Więc nie patrzyła. Okręcała ciało białym, szorstkim ręcznikiem i tarła, cały czas wierząc, że dzięki temu zabiegowi jej ciało jakimś cudem nabierze dawnej jędrności. Kremowała się, balsamowała, ale nic to nie pomagało. Jej piersi smutno opadały. I już nikt ich nie pragnął. No, może tylko ten sąsiad spod dwójki. Ale to był stary dziad. Prawie w jej wieku. Może pięć, sześć lat od niej starszy. Albo młodszy. Trudno powiedzieć.

Zawsze gdy się spotykali na schodach i gdy się jej kłaniał i patrzył na nią maślanymi oczami, czuła takie miłe ukłucie. Potem przez cały dzień miała całkiem dobry humor. I nawet lepiej gotowała. Nie tylko te gumowate kopytka i pozbawione smaku klopsy, ale na przykład gołąbki w sosie pomidorowym. A czasem to nawet jakąś chińszczyznę. Maciuś bardzo to lubił. Nie wiedział, że te pyszności zawdzięczał sąsiadowi. Niestety, od jakiegoś czasu pani Monika nie była w dobrym nastroju. Bo Zdzisiek się nie pokazywał. Może był chory albo gdzieś wyjechał? Więc w ogóle przestała gotować. Kupowała tylko mrożoną pizzę i odgrzewała ją w piekarniku – dla syna. Sama wcale nie jadła. Ale dziś postanowiła zrobić synowi niespodziankę. I ugotowała obiad. Co prawda żadnych frykasów ananasów nie będzie, ale zawsze coś. Pulpety w szarym sosie. I tłuczone ziemniaki. A do tego surówka z tartej marchwi. Maciuś chwalił nawet takie byle jakie jadło, ale pani Monika i tak wiedziała swoje. Nie smakowało mu. Wolał bardziej pikantne potrawy.

– Pyszności, mamusiu, jak zawsze pyszności.

– Eee, przesadzasz, synku. Powiedz lepiej, jak się miewa ta twoja panna? No... jak jej tam?

– Nie ma żadnej panny, mamusiu. I ona wcale nie jest moja. To tylko pacjentka profesora Kaczmarka. Kiedyś odwiozłem ją na lotnisko. To wszystko. Zwykła uprzejmość.

– Ale dziś też byłeś na lotnisku? Mówiłeś mi rano, że się tam wybierasz, że musisz kogoś odwiedzić. Pewnie pana profesora. Nie wiem, czy to dobry pomysł, żebyś robił za jego osobistego szofera. On chyba nadmiernie cię wykorzystuje.

– A byłem, byłem. Ale nie profesora odwoziłem, tylko naszą Elżunię Sobańską.

– Elżunię? To teraz w niej się podkochujesz? Ale to rodzina, pamiętaj. Pokrewieństwo – niebezpieczeństwo, tak mówiła moja babcia nieboszczka. Ty jej, synku, nie pamiętasz, ale to złota kobieta była.

– Mamusiu, to zwykła uprzejmość i tyle. Jak jestem uprzejmy dla jakiejś kobiety, to ty od razu jakieś dziwne podejrzenia masz.

– A bo ja tam ci nie wierzę, synku. Podkochujesz się w naszej ślicznej Elżbietce albo w tej swojej *Blanche Neige*, czy jak jej tam. Może *Snow Princess*?

– Oj, mamo, daj spokój. Ale, ale, bym zapomniał. Otóż spotkałem na dole pana Zdziśka, tego mamusi adoratora. Przesyła mamie ukłony. Głębokie.

Pani Monika zaczerwieniła się jak pensjonarka. Wstydziła się tego, że każda najmniejsza wzmianka na temat sąsiada tak na nią działała. Czerwieniła się, spuszczała wzrok. Nigdy wcześniej jej się to nie zdarzało. Za mąż wyszła w wieku zaledwie osiemnastu lat, za kolegę swojego brata. Bo się nawinał. I oświadczył się jako pierwszy, a ona nie chciała za długo czekać. Nie chciała zostać starą panną na koszu, jak mawiała jej babcia. Maciek swojej prababki nie pamiętał, bo urodził się w tym samym roku, w którym zmarła szacowna pani Maciejowa Sobańska. Bo w tamtych, wcale nie tak nieodległych, czasach dziewczyny wychodziły za mąż o wiele młodziej. I młodo rodziły dzieci. A potem nudziły się przez całe życie u boku swoich przypadkowych wybranków, gotując, piorąc i prasując. Monika lubiła takie życie. Spokojne i w miarę dostatnie. Chciała tak się zestarzeć. Z jednym mężem i jednym synem. Ale pewnego dnia jej mąż spakował swoje garnitury, koszule oraz przybory do golenia i tyle go widzieli. Zostały po nim stare kalessy i ślubne monidło na otarcie łez. Monika musiała się zgodzić na rozwód. Żeby zachować mieszkanie. I część oszczędności. Bo taki warunek postawił mąż. Dostała też alimenty, niewielkie, ale zawsze coś. Za te bonusy przyszło jej jednak słono zapłacić – nie mogła już przystępować do komunii. Przez to czuła się odrzucona, wyrzucona poza nawias chrześcijańskiej wspólnoty, skazana na piekło po śmierci. Tego bała się najbardziej – piekła. Takiego jak z obrazu Hansa Memlinga, wiszącego w Muzeum Narodowym. Często tam chodziła, płaciła za bilet wstępu i oglądała tylko ten jeden obraz. Najpiękniejszy i najstraszniejszy. Starła się wytłumaczyć księdzu proboszczowi, że to nie ona z mężem, tylko mąż z nią się rozwiódł, a to przecież dość istotna różnica, ale proboszcz pozostawał nieugięty. Nie dla rozwodników komunია. Nie dla nich rozkosze nieba. Co najwyżej czyściec, ale to tylko w wersji *soft*. Bo tak naprawdę w piekle powinni się smażyć.

Teraz, gdy była już sporo po pięćdziesiątce i po raz pierwszy w życiu czuła coś dziwnego na widok mężczyzny, dręczyło ją, że przez to całkiem miłe uczucie zrobiła się jeszcze bardziej grzeszna i już nieodwołalnie zostanie skazana na piekielne męki. Tym razem za nieczyste myśli. Ale z drugiej strony wykombinowała, że skoro nie wolno jej przystępować do komunii, to może dla równowagi powinna zrezygnować ze spowiedzi i w ogóle przestać chodzić do kościoła, przynajmniej do tego parafialnego, gdzie wszyscy ją znali i się na nią gapili, kiedy nie przystępowała do komunii na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. A oni, choć niejeden ciężki grzech na nich ciążył, wciąż mieli to prawo. Po głowie chodziła jej nawet myśl, żeby dać sobie spokój z tymi czarnymi wizjami piekła i dla spokojności przestać chodzić do kościoła w ogóle.

Wstydziła się tego, ale spotkania ze Zdziśkiem cieszyły ją. I to coraz bardziej. Każde wyjście po zakupy albo na mały spacer wokół domu stanowiło okazję, żeby ładnie się ubrać, uczesać. Czasem nawet uszminnować usta. Wkładała też czółenka na niewielkim obcasie. Bo stukot jej obcasów, gdy zbiegała po starych, drewnianych schodach, był sygnałem dla Zdziśka. Otwierał wtedy drzwi, uśmiechał się do niej, całował ją w rękę. I to już był szczyt szczęścia. Ale póki co nie dawała się zaprosić do środka. Na herbatkę. Mówiła, że się spieszy, że może następnym razem. Ale gdy przychodził ten następny raz, okazywało się, że znów miała jakieś pilne sprawy do załatwienia. Na mieście. Zdzisiek nie oponował. Uśmiechał się miło i życzył jej dobrego dnia. A ona zastanawiała się, co by się zdarzyło, gdyby jednak skorzystała z zaproszenia. Kupiła nawet komplet koronkowej bielizny w kolorze ciemnozielonym, właściwie oliwkowym, a potem uznała, że w zieleni jej nie do twarzy, więc dokupiła jeszcze czarny komplet. Gdy syn wychodził z domu, wyjmowała nową bieliznę z komody i przymierzała przed lustrem. Nawet się sobie podobała w tym czarnym, chociaż tu i ówdzie powinna stracić parę kilogramów. Przestała więc jeść słodczyce, pieczywo i ziemniaki, ale niestety nie przyniosło to pożądanых rezultatów. Wąleczki tłuszczu pozostawały na swoim miejscu. W końcu przestała jeść w ogóle. Piła tylko wodę niegazowaną. I codziennie – rano i wieczorem – stawiała na wadze. Chciała być znowu tak wiotka jak za młodych lat. Dla Zdzicha oczywiście. Żeby mu się podobać jeszcze bardziej. I powoli chudła.

Pan Zdzich jednak, póki co, zdawał się nie zauważać tych drobnych mankamentów jej figury. Uśmiechał się i niezrażony wcześniejszymi odmowami, wciąż zapraszał ją do siebie. Co to, to nie, myślała. Ze dwa razy spotkali się w pobliskim sklepie spożywczym i pomógł jej przynieść ciężkie siatki do domu. Zaprosiła go wtedy na herbatę, tak pro forma oczywiście. Myślała, że będzie się wykręcał, ale za drugim razem, o dziwo, Zdzisiek skorzystał z zaproszenia. Wtedy pani Monika wpadła w lekką panikę, bo wprawdzie miała na sobie ten gorszy, zielony komplet bielizny, ale przecież nie chciała, żeby to stało się tutaj, w jej domu, gdzie zawsze mógł wtargnąć jej syn. Ale mimo to, gdy wstawiła wodę na herbatę, zmieniła bluzkę na taką zieloną, obcisłą i mocno wydekoltowaną. Co ja robię, przeleciało jej przez głowę, gdy spojrzała w lustro. Stara baba, a dekolt prawie do pasa. Żałosne. Stanik było widać, ale przecież o to właśnie chodziło. Żeby zrozumiał, żeby się domyślił. Ale on taki grzeczny był i uprzejmy. Pewnie do niczego nie dojdzie, myślała. Wygłupiła się i tyle. Chciała już zdjąć tę bluzkę i włożyć beżową, najzupełniej grzeczną, zapinaną pod szyję, ale wtedy w drzwiach jej sypialni stanął Zdzisiek. I powiedział, że śliczna ta bluzeczka i że mu się podoba nie tylko bluzeczka, ale ona też. A potem podszedł bliżej, stanął tuż za nią i objął ją w pasie. I szeptał jej do ucha różne takie miłe rzeczy, jakich nigdy nie słyszała od męża. I chciała tego tylko słuchać i słuchać, ale wtedy oboje usłyszeli zgrzytanie klucza w zamku. Zamarła na chwilę. Zdzisiek przestał ją obejmować, ale cały czas stał za nią. Oboje byli zaczerwienieni. Więc Maciej, jak tylko stanął w drzwiach sypialni matki, łatwo mógł się domyślić, co tu się działo. I się domyślił. Bo odtąd ciągle robił jakieś głupie aluzje, że pan Zdzisiek to, pan Zdzisiek tamto. A ona tak się wstydziła tego, co wtedy zaszło, że przez cały tydzień udawała, że jest chora, i nie wychodziła z mieszkania. Maciek dopiero wtedy zauważył, że matka nic nie je. I ciągle zamyka się w łazience na długie godziny, czego wcześniej nigdy nie robiła. Pewnie przeżywa drugą młodość, pomyślał i uśmiechnął się do siebie. Nie miał nic przeciwko temu, żeby wydać matkę za męża, choćby za tego pana Zdziśka. Może wtedy mógłby wreszcie zająć się sobą. Tak czy inaczej, Maciuś miał teraz sporo dodatkowej pracy. Wszystkie zakupy musiał robić i nawet gotować. A ona udawała, że nie ma siły. A może naprawdę opadła z sił z tego niejedzenia. Całymi dniami leżała w łóżku z kołdrą naciągniętą na głowę. A jej synek martwił się o nią coraz bardziej. Więc się ucieszył, że wreszcie wstała. Nawet coś ugotowała. Miał nadzieję, że będzie miło. Ale niestety chlapanął coś na temat pana Zdziśka. I pani Monika zawstydziła się. Znowu zrobiła się czerwona na twarzy, tak jak tydzień temu, kiedy złapał ich niemal na gorącym uczynku.

– Mamo, mogłabyś pana Zdzicha tu zaprosić, przecież wiem, że go lubisz. I on ciebie też lubi. Nawet bardzo.

– A daj mi spokój z tym Zdzichem czy jak mu tam. Lepiej jedz, bo wystygnie.

– Ale ja muszę na dwa dni wyjechać do Warszawy i lepiej bym się czuł, gdybym wiedział, że kogoś tu masz. Taka jesteś słaba i chorowita...

Pani Monika nie odpowiedziała, ale postanowiła sprawdzić, kiedy dokładnie syn wybierze się do tej Warszawy. I wtedy rzeczywiście musi się rozmówić z panem Zdziśkiem. Najlepiej na spacerze. Pójdą sobie do Parku Oliwskiego. Może nawet pokarmią kaczki. Wspaniała perspektywa. A potem wstąpią do katedry. Pomodlić się, mimo wszystko. Chociaż może tam lepiej nie. Bo jeszcze ktoś znajomy zauważy i wezmą ich na języki.

– Maciusiu, ale ja za tydzień jadę do sanatorium. Pamiętasz o tym?

– Naturalnie, mamusiu. Mogę cię tam odwiedzić, żebyś nie musiała dźwigać walizki.

– To za daleko, synku. Pojadę pociągiem.

Mieszkanie było stosunkowo nieduże. Dwa skromne pokoje w amfiladzie. Niezbyt ustawne. Do tego zagracone i zakurzone. Przypominało nieco jej studenckie stancje, umeblowane starymi, peerelowskimi gratami. Chociaż rudowłosa Elka robiła wrażenie raczej schludnej i dbającej o wygląd, mieszkanie zostawiła w opłakanym stanie. Po prostu brudne. I w dodatku urządzone bez smaku. Wszystko tu było przypadkowe. Stara wersalka zapewne pamiętająca czasy Jaruzelskiego, wypełniona po brzegi jakimiś szpargałami meblościanka, chyba jeszcze wcześniejsza, gierkowska. A do tego dwa mocno zakurzone dywaniki i fotel z Ikei. Doktor Maciek zdaje się po kimś odziedziczył to mieszkanie. Poprzednia lokatorka nawet dobrze nie przewietrzyła mieszkania, bo czuło się tu zapach starości. Ale wszystko można doczyścić, wypucować, wyszorować. A przede wszystkim wpuścić tu trochę powietrza. Widok z okna nie był najgorszy, stare drzewa. Lipy, takie same jak te posadzone jeszcze w osiemnastym wieku z inicjatywy burmistrza Daniela Gralatha w alei Zwycięstwa, która wtedy nosiła miano Wielkiej Alei albo też alei Lipowej. Anka nie pamiętała dokładnie, ponieważ nazwy ulic zmieniano w tym mieście niemal po każdym dziejowym sztormie, a tych nie brakowało. Mimo to uznała, że chce tu pomieszkać przez jakiś czas. Aż wszystko się uspokoi i wyjaśni. W niej i wokół niej.

Postanowiła, że zacznie pracować nad kolejnym artykułem. Żeby czymś zająć myśli. Może powstanie z tego coś większego? Na razie zamierzała przeprowadzić małe badania terenowe. Zacznie od kościoła Mariackiego. Od Pięknej Madonny. Ta wyjątkowej urody rzeźba zawsze budziła jej ciekawość. Jeszcze jako studentka przychodziła do kościoła tylko po to, żeby na nią popatrzeć. I po każdej takiej wizycie, a może raczej widzeniu, ogarniały ją spokój i pewność. Od dawna tam nie była. Właściwie jeszcze w czasach Wieśka zaniechała tych wizyt. Może dlatego, że zamieszkali w Oliwie i zajęła się *ars bene moriendi*? Pisząc o sztuce dobrego umierania, zapomniała o dobrym życiu, o radości macierzyństwa i o tym, że kiedyś sama może tego doświadczyć. Wtedy jednak na to nie liczyła. Była zajęta umieraniem. Wówczas jeszcze nie swoim własnym, lecz umieraniem w minionych epokach. Zdumiewało ją to, że rytuały funeralne, podniesione do rangi sztuki, obecne były w domach nie tylko patrycjuszów, ale też przedstawicieli niższych stanów. I tylko w czasach zarazy, gdy następowała chwilowa dekompozycja świata, ludzie odchodzili tak jak dziś – pospiesznie i anonimowo. Jakby ze wstydem, że to już. Że oto przegrali walkę z chorobą, nie dali rady. Że im się nie udało. I zamiast wiecznie młodego ciała zostanie po nich marne truchło, nieestetyczne, na progu okrutnego procesu ostatecznego rozkładu, który powstrzymać można, tylko paląc zwłoki. Ale to z kolei wywoływało fatalne skojarzenie z nie tak odległą epoką pieców. Anka otrząsnęła się od złych myśli. Miała przecież trzymać się życia. Walczyć o nie, a nie pogrążyć się w otchłani. Właśnie dlatego tu przyjechała. Żeby uciec od człowieka, który żył wspomnieniem zmarłej żony i zrobił ze swojego domu mauzoleum. Powinien obok postawić latarnię umarłych, taką, jakie w średniowieczu wznoszono w pobliżu cmentarzy czy leprozoriów, żeby rozświetlać mrok i uspokajać przechodniów lękających się nocnych zjaw. Może zdołałby w ten sposób ostrzec albo odstraszyć wszystkie kobiety, którym kiedykolwiek zamarzy się spędzić resztę życia u boku Sinobrodego? Wtedy ona sama zamieszkałaby z nim i nie przywiązała się do niego. I nie zaczęła pragnąć tego, co było w jej stanie nierozsądne, niewłaściwe i najprawdopodobniej nieosiągalne. I właśnie na przekór temu wszystkiemu, co było na „nie”, postanowiła znaleźć jakiś azyl, w którym uda jej się przetrwać ten najtrudniejszy okres niepewności i rosnącego niepokoju. Tego dręczącego ją retorycznego pytania: „Co ja najlepszego zrobiłam?”. Dlatego postanowiła zatrzymać się właśnie tutaj. W miejscu dobrze jej znanym.

Ulica Polanki, której nazwa kojarzyła się z tym, co pierwotne, słowiańskie niczym wczesnośredniowieczne państwo Polan, biegła wzdłuż śródleśnych polan położonych u wlotu dolinek morenowych wzgórz okalających miasto od zachodu. Tutaj właśnie w ciągu wieków powstały niewielkie osady. W czasach nowożytnych ulica Polanki, a raczej Pelonkerweg, stanowiła patrycjuszowską enklawę,

nico oddaloną od miasta. Powstało tu osiem dworów – podmiejskich rezydencji bogatych i uprzywilejowanych obywateli, pragnących zamieszkać wystarczająco blisko tętniącego życiem centrum, a jednocześnie z dala od zgiełku, zamętu i nieznośnego fetoru ówczesnego miasta. Polankowskie dwory w ciągu wieków często zmieniały właścicieli. Należały do przedstawicieli znamienitych gdańskich rodów: Epsteinów, Reymannów, Schillerów, Sachsenhausów, Grodecków, Schefferów, Schopenhauerów, Martensów, a także do rodzin von den Linde, Freise i wielu innych. Pod koniec dwudziestego wieku swoją rezydencję zbudował tu wywodzący się z ludu były prezydent Rzeczypospolitej.

Sąsiadów miała podobno spokojnych. Tak przynajmniej zapewniali ją Elka i doktor Maciek. Żadnych małżeństw ani co gorsza hałaśliwych rodzin z dziećmi. Tylko emeryci albo jacyś „popaprańcy” – jak określiła ich Elka. Za ścianą mieszkała samotna kobieta w średnim wieku. Elka zapewniała Ankę, że jest cicha. Rzeczywiście robiła dobre wrażenie. Przynajmniej wizualne – już pierwszego dnia bowiem spotkały się przypadkiem na schodach. Tak na oko sąsiadka była nieco starsza od Anki. Może nawet nieco więcej niż nieco. Chociaż trudno powiedzieć, bo ubierała się niemodnie, a to mogło dodawać jej lat. Szara mysz. Przynajmniej z wyglądu. Ale chyba nie do końca, bo wczoraj wieczorem z jej mieszkania dochodziły jęki i postękiwania, świadczące o tym, że ta rzekomo zupełnie nieszkodliwa sąsiadka prowadzi dość intensywne życie erotyczne. No cóż, na zdrowie. Anka nie miała nic przeciwko miłosnym uniesieniom. Przez ostatni rok – spędzony z Sinobrodym – były one również jej udziałem. Trochę jej tego brakowało, co tu kryć. W walizce miała przepocony T-shirt, który był własnością Svena. Zabrała go w ostatniej chwili. Tak na wszelki wypadek. Nie wiedziała dlaczego. To było irracjonalne. Ale teraz, gdy już się rozgościła w nowym lokum, poczuła się samotna. Wyciągnęła więc z walizki ten T-shirt. Zanurzyła twarz w zwojach tkaniny. Znajomy zapach podziałał na nią kojąco i właściwie już mogła zasnąć. Ale zza ściany znów zaczęły dobiegać dwuznaczne odgłosy i Anka po raz kolejny poczuła lekkie ukłucie zazdrości. To uczucie towarzyszyło jej przez następne dni, gdy z samego rana lub późnym wieczorem, kiedy w całej kamienicy panowała niemal idealna cisza, z mieszkania obok dochodziły pojękiwania ochoczo spółkującej pary. Czyżby sąsiadeczka nie mieszkała sama? Jedno było pewne – kobieta zza ściany nie była ani spokojna, ani samotna.

Na piętrze Anki mieszkał jeszcze starszy pan z niegroźnie wyglądającym, niedużym pieskiem. Foksterierem chyba albo mieszańcem. I jeszcze jakiś tajemniczy jegomość, którego spotkała raz czy dwa na schodach. Nie zrobił na niej najlepszego wrażenia. Może dlatego, że był chorobliwie blady, miał ponurą minę i nosił czarny garnitur, co było trochę dziwne o tej porze roku. A poza tym nawet nie raczył odpowiedzieć na jej uprzejme „dzień dobry”, gdy spotkali się na dole. Gbur, pomyślała. I natychmiast przyszło jej do głowy, że Sinobrodemu też zabrakło układności podczas ich pierwszego spotkania trzy lata temu w bazie promowej w Karlskronie. A jednak ich źle rozpoczęta i pozornie niezobowiązująca znajomość przekształciła się w zażyłość. Nie należy więc oceniać ludzi po pozorach. Pierwsze wrażenie może być mylące.

Przez dwa tygodnie ciężko pracowała, żeby doprowadzić swoje nowe lokum do stanu używalności. Gdy już wysprzątała całe mieszkanie, odkurzyła, zapastowała i wyfroterowała podłogi, pomyła okna –

i w efekcie rozbolała ją kręgosłup, a co gorsza odezwał się ból głowy (pewnie od tej pasty do podłóg) – postanowiła, że kupi ze dwie niebieskie narzuty. Jedna mogłaby być w kolorze kobaltu. I jeszcze kilka dekoracyjnych drobiazgów. Miała co prawda jedną ważną sprawę do załatwienia, ale o niej akurat wolałaby zapomnieć. Poza tym sprzątanie okazało się ważniejsze od wszystkiego, co ważne. Chciała się poczuć w tym mieszkaniu trochę jak u siebie. I w końcu jej się udało. Ale gdy nagle z samego rana zaczęły się skurcze, ogarnęła ją panika. Nie powinna tego wszystkiego robić. To była głupota, szaleństwo. Od samego początku. Szukała nazwisk lekarzy wiadomej specjalności. Myślała nawet o szpitalu. Na szczęście skurcze szybko ustąpiły i potem przez całe rano, popołudnie oraz wieczór czuła się dobrze. Leżała na tapczanie i zastanawiała się, co dalej robić. I tak będzie musiała pójść do lekarza. Dłużej nie można z tym zwlekać. To nie to samo, co pójście do spowiedzi. Spowiadanie się zawiesiła na czas nieokreślony już dawno temu, w trzeciej klasie podstawówki, gdy pewien młody ksiądz koniecznie chciał się dowiedzieć, czy przypadkiem nie rosną jej piersi. Interesowały go jeszcze inne dziwne rzeczy, o których miała Ania wstydziła się nawet pomyśleć. Tamten ksiądz na dobre zniechęcił ją do wyznawania grzechów obcym mężczyznom. Z lekarzem jednak tak łatwo nie pójdzie. Tu nie można ot tak sobie zrezygnować z wizyty. Chociaż wiadomo, że będzie nieprzyjemna i bolesna. I może źle się skończyć. Ale trzeba sprawdzić, czy temu życiu, które było w niej, nic nie zagraża. Tylko co powiedzieć lekarzowi? Prawdę? Tę, której tak bardzo się przestraszył Sinobrody?

Nie chciała odnawiać swoich gdańskich kontaktów. Wolała tu mieszkać incognito. Jeśli już, to będzie musiała wybadać Wieśka na okoliczność rozwodu. To była jedna z zaległych spraw, tych niezbyt ważnych, ale zawsze, i trzeba było się za nią wziąć. Najlepiej będzie do niego zadzwonić. Ale może jeszcze nie teraz. Chociaż dobrze wiedziała, że powinna się spieszyć, bo czasu na wszystko miała niewiele. Przez całe życie była opóźniona. Ścisłej mówiąc, brakowało jej pokoleniowej punktualności. Dzieciństwo minęło, zanim zdążyła się obudzić ze złego snu, a potem już nigdy nie potrafiła się wstrzelić w swój pokoleniowy czas. Gdy jej koleżanki zaczęły się oglądać za chłopcami, ona namiętnie kolekcjonowała chińskie gumki, bo to ją uspokajało. Wąchała je, układała w metalowym pudełeczku. Była to jej jedyna namiętność. A kiedy rówieśnicom posypały się dzieci, ona dalej zajmowała się czymś innym. Zdaniem wielu – zupełnie bezużytecznym doktoratem. Teraz, gdy usiłowała nadgonić stracony czas, powinna więc ściśle trzymać się planu i jeszcze dziś zadzwonić do Wieśka. I umówić się z nim. Mogła też odwiedzić go bez zapowiedzi. W końcu wciąż jest jej mężem. Ale po co narażać jego i siebie na niepotrzebną chwilę zażenowania? Bo pewnie drzwi otworzyłaby jej któraś z jego szczerze obdarzonych przez matkę naturę panienek. Lepiej jednak zadzwonić i spotkać się gdzieś na mieście, żeby obgadać szczegóły rozwodu. Ale z drugiej strony kusilo ją, żeby zobaczyć dawny dom. Po przyjeździe widziała go tylko z zewnątrz. I wciąż się zastanawiała, jak jest w środku. Czy coś się zmieniło? A jeśli tak, to jak teraz wyglądają jej dawny salon, kuchnia, sypialnia? Czy nadal jest tam tak niebiesko i chłodno, czy może zdążyły już się rozpanoszyć jakieś inne barwy: żółcie, oranże i brązy, których tak nie znosiła? Najpierw jednak trzeba wybrać się do lekarza. Ale chyba nie powie mu całej prawdy. Jeszcze nie teraz. Widzieli się z doktorem Maćkiem, ale tylko przelotnie, zaraz po jej przyjeździe, a do tego była z nimi jego kuzynka Elka, poprzednia lokatorka mieszkania, więc nie było okazji porozmawiać o tym, co istotne. Numer jego komórki miała zapisany w niebieskim notesiku. Swój telefon zostawiła w Oskarshamn, więc notesik nabrał szczególnego znaczenia. A może lepiej wybrać się do doktora Maćka bez zapowiedzi? Odwiedzić go w domu. Tyle razy ją zapraszał. To niedaleko stąd. W końcu miała pretekst – Elka nie zostawiła jej kluczyka od skrzynki pocztowej. Mówiła, że zostawia, ale nigdzie go nie było.

Zagrobny już dawno nie miał takiego kaca. To po wczorajszym. Mamusia pojechała do Buska-Zdroju, do sanatorium, i trochę świętował. W dodatku dziś nie miał dyżuru, więc pofolgował sobie na całego. W efekcie od rana pił sok z ogórków kiszonych na przemian ze zsiadłym mlekiem. Dawało to rezultaty odwrotne do zamierzonych – zamiast doznać upragnionej ulgi, miał dodatkowe problemy natury gastrycznej. Cały czas koczował w łazience. Tam czuł się najbezpieczniej. Zastanawiał się, skąd ten kac. Wypił wprawdzie nieco więcej niż zazwyczaj, ale nie tak znowu dużo. Zdarzało mu się znacznie bardziej przeholować. Ale to nie usprawiedliwiało tego, co się z nim działo. Może więc to wcale nie był kac? Tylko symptom jakiejś groźnej choroby. Rak albo inne cholerstwo się przyplątało. I to będzie jego koniec. Smutny i żaloszny. Już sobie wyobrażał, jak leży w szpitalu pod tlenem. Albo tu, w mieszkaniu, we własnych odchodach.

Postanowił, że się wykąpie. Tak naprawdę nie znosił tego momentu, gdy trzeba było włączać nieszczęsnego junkersa. Zawsze się bał jakiegoś wielkiego bum. Wybuchu, który zniszczy łazienkę, a może nawet całe mieszkanie. I oczywiście zabije jego – doktora Macieja Jerzego Zagrobego herbu Ostoja. Ostatniego z rodu. Bał się, że umrze bezpotomnie. We własnej łazience. W kąpieli – jak nieszczęsny Jean-Paul Marat. Z tą różnicą, że nie kobieta go zabije, lecz pospolity junkers. Cholerne ustrojstwo, którego bał się od dziecka, a mimo to nie wyprowadził się z tego starego mieszkania do nowego budownictwa, gdzie jest ciepła woda z sieci. Wiele razy byli z matką o krok od podjęcia decyzji o wyprowadzce, ale zawsze coś mu przeszkadzało. Jakiś trudny przypadek, którym zajmował się Maciej. Albo kobieta, w której beznadziejnie się zadurzył. Zawsze miał jakąś na oku, teraz też. Niestety, tym razem również sprawa wydawała się na tyle beznadziejna, że musiał znacznie zwiększyć dzienną dawkę alkoholu. Inaczej nie dało się znieść obojętności tej uroczej blondynki, która miała do niego zadzwonić albo nawet wpaść, ale nie zrobiła tego, chociaż od jej przyjazdu minęło już trochę czasu. Teraz więc męczył się w swojej łazience wykafelkowanej na zielono jeszcze za komuny, gdy glazurę kupowało się w Peweksie za dolary lub bony. Sam nie pamiętał tych zamierzchłych czasów, ale mamusia opowiadała mu o polowaniu na te kafelki. Z niechęcią myślał o włączeniu junkersa. Gdy już podjął decyzję, że jednak puści ciepłą wodę i się wykąpie, usłyszał dzwonek do drzwi. Nie sposób było nie usłyszeć tego chamskiego dźwięku. Ten cholerny dzwonek, podobnie jak junkers w łazience, dawno powinien zostać zastąpiony jakimś nowoczesnym urządzeniem. Ileż to rzeczy powinien wymienić w tym mieszkaniu. A tym bardziej w sobie. Na przykład starą plombę w lewej górnej szóstce, którą dentystka wstawiła mu jeszcze w podstawówce. Zarzucił na ramiona granatowy szlafrok. Przesiąknięty zapachem wymiocin, niestety. Żeby trochę lepiej się poczuć, psiknął się trzy razy wodą po goleniu i ruszył w kierunku drzwi wejściowych.

Zadrzał, gdy zobaczył przez wizjer, kto stoi za drzwiami. To była ona. Tyle razy próbował ją do siebie zwabić, gdy chorowała i raz po raz trafiała do niego na oddział chemioterapii. Gdy opuszczała szpital – zawsze sama – zapraszał ją do siebie. Kusił angielską herbatą. I angielskim klubowym fotelem, obitym zieloną skórą. I rosenthalowską porcelaną. Do wyboru, do koloru. Może być Biała Maria albo nawet drogocenna filiżanka z Meduzą. Wiedział, że ma dobry gust i pociąga ją przeszłość. Zarzekał się, że tylko o wspólne wypicie herbaty mu chodzi, o nic innego. Mówił, że chce ją ugościć. I pokazać jej swoją wyjątkowo bogatą kolekcję przedwojennych polskich znaczków pocztowych. A ona patrzyła na niego spode łba. I jej spojrzenie mówiło, że mu nie wierzy nic a nic. I nie da się zaciągnąć na herbatę, która skończy się wiadomo jak. Zagrobny marzył o takim właśnie zakończeniu, ale coraz bardziej wątpił, czy uda mu się do niego doprowadzić. A tu taka siurpryza, jak mawiała jego babcia. Sama przyszła pod jego drzwi.

– O! Pani Ania, jaka niespodzianka. Zapraszam, zapraszam. Jak się pani mieszka? Chyba trochę bałaganu zostawiła nasza Elżbietka? – Wcale nie musiał udawać zdziwienia. Był zdumiony i trochę

zażenowany swoim strojem i wyglądem.

– Dzień dobry, panie doktorze, ja tylko tak na chwilę. Wolałam tu, a nie do szpitala. Pan rozumie, nie mam stamtąd najlepszych wspomnień. – Anka wstydziła się tego, że nie uprzedziła o swojej wizycie. – Przyszłam, bo muszę się przed kimś wygadać. Już dłużej nie mogę tego w sobie dusić. – Była nadspodziewanie otwarta. Sama siebie nie podejrzewała o to, że potrafi mówić tak szczerze i bez ogródek o tym, co ją gnębi.

– To zapraszam na herbatę i przepraszam panią, że jestem taki nieogarnięty dziś... – Zagrobny wprawdzie miał pod szlafrokiem spodnie i podkoszulek, bo nie zdążył się rozebrać przed kąpielą, lecz jako człowiek ceniący tradycyjne wartości, chociaż jeszcze stosunkowo młody, ale jednak mający w sobie coś ze starego kawalera, czuł się nieswojo, przyjmując kobietę w takim niedbałym stroju.

Anka natomiast była tak skoncentrowana na swoich rozterkach, że naprawdę nie robiło jej różnicy, w jakim stroju przyjmuje ją doktor Zagrobny. Zdziwiła się trochę, że od doktora Maćka czuć było alkoholem. Zawsze był taki układny, czyściutki i schludny. I w niczym nigdy jej nie uchybił. Chodzący ideał. Przez chwilę zastanawiała się, czy jednak nie powinna wyjść. Przyszła tu tylko i wyłącznie po to, żeby wypłakać się komuś w rękaw. Wiedziała, że doktor Maciek miał do niej słabość. Że może nawet się w niej durzył, ale to akurat nie obchodziło jej nic a nic. Jako poważny reprezentant nauk medycznych był kimś w rodzaju szamana. Wierzyła, że jej wysłucha z uwagą i postara się jej pomóc.

– To jakiej herbaty się pani napije? – Zagrobny otworzył szafkę, w której stało kilkanaście puszek z herbatą. Liściastą, najwyższej jakości. Bo maczanek on, wielki smakosz herbaty, nie uznawał.

Anka poczuła się nieco zbита z tropu. Zupełnie nie знаła się na gatunkach herbaty. Na co dzień piła tylko jakąś obrzydliwą, najtańszą maczanek, którą ostatnio kupowała w Biedronce. Brakowało jej czasu na takie drobiazgi, które oczywiście miały wpływ na jakość życia. Ale jak się ma ważniejsze sprawy na głowie, to się nie zwraca uwagi na duperele. Machinalnie brała ze sklepowej półki ciągle tę samą herbatę, nie zastanawiając się nad jej jakością. Chociaż tak naprawdę wolała pić przegotowaną wodę niż to świństwo. Teraz, wobec tego ogromnego wyboru nie wiedziała, jak się zachować. Czuła się zagubiona. Poza tym to wewnątrz trochę ją zaskoczyło. Myślała, że mieszkanie Zagrobnego okaże się jakąś zapuszczoną kawalerską norą. A tu nic z tych rzeczy. Chociaż w kuchni wypatrzyła kilka pustych butelek po piwie i dwie po whisky. To ją szczerze zdziwiło. Czyżby zaczął pić? Staczać się? Patrząc na jego mieszkanie, doszła do wniosku, że ktoś tu jednak sprząta. Systematycznie i bardzo dokładnie. Może miał jakąś kobietę na boku i nie chciał się do tego przyznać? Jakąś czyścioszkę porządnicką, która z upodobaniem odkurzała wszystkie te tomiszczą w szafach bibliotecznych. Starannie czyściła blaty stołów i stoliczków oraz biurko pana domu. Regularnie zmieniała pościel. Stąd ta wszechobecna świeżość. A do tego piękne, stare meble. Prawie same antyki. Anka poczuła się lekko zbita z tropu. Ponieważ doktor Maciek kilkakrotnie powtórzył pytanie o gatunek herbaty, jaki ma jej zaparzyć, w końcu wystękała: „ta”, wskazując palcem na pierwszą lepszą puszkę.

– To nie herbata, to yerba. – W głosie wciąż jeszcze skacowanego, ale już nieźle pobudzonego sporą dawką adrenaliny Zagrobnego można było wyczuć lekkie zdziwienie. Wydawało mu się, że Anna, a właściwie jego Ania, jak często o niej myślał, zna się nie tylko na herbacie. Miał ją za osobę obytą i kulturalną. Chodzący ideał.

– Niech będzie yerba, to nie ma znaczenia. – Anka nie przepadała za yerbą, ale dla świętego spokoju chciała zamknąć temat herbaty.

– Jak to: nie ma znaczenia? – Zagrobny już miał zacząć tyradę o herbacie, ale gdy zerknął na swojego gościa, zrozumiał, że to nie miejsce i nie pora na takie wykłady.

Anka wygodnie usadowiła się na honorowym miejscu w gabinecie i małymi łykami popijała yerbę. Co za paskudztwo, pomyślała. Ale niech będzie. Byleby znowu nie otworzył tej szafki z herbatami.

Z uznaniem patrzyła na trzy potężne szafy biblioteczne wypełnione literaturą fachową. W liceum nawet myślała, żeby studiować medycynę, ale tam trzeba było zdać egzamin z fizyki, a tej Anka nie znosiła. Wybrała historię sztuki. I wcale tego nie żałowała. Ta literatura fachowa, książki medyczne po angielsku, niemiecku i francusku, owszem, robiły na niej wrażenie, ale bez przesady. Nie czuła się aż tak onieśmielona i przytłoczona jak niegdyś w towarzystwie własnego ojca w jego gabinecie w Otwocku. W końcu Zagrobny był dość nikiemnej postury – sam by tak o sobie powiedział, używając sformułowań rodem z *Trylogii* Sienkiewicza. I był niezbyt przystojny, chociaż rysy miał szlachetne i włosów na głowie mu nie brakowało, co wcale nie było takie częste nawet u młodych mężczyzn. Poza tym zupełnie nie interesował jej jako mężczyzna. Był tylko jej lekarzem. Trochę liczyła na jego pomoc. Zaniepokoił ją zapach alkoholu. Może jednak powinna poszukać innego onkologa? Albo zwrócić się bezpośrednio do profesora Kaczmarka? Chyba tak zrobi. Ale póki co siedziała w ulubionym fotelu Zagrobnego, obitym zieloną skórą, i zastanawiała się, od czego zacząć.

– Pewnie pan się zdziwił, że przyszedłam.

– Ja? Skądże! Przecież zapraszałem panią do siebie tyle razy. Cieszę się, że ta wizyta wreszcie doszła do skutku. Nawet bardzo się cieszę. I przepraszam za mój strój, ale się nie spodziewałem. Mam nadzieję, że pani mi wybaczy.

– Ale ja tylko na chwilę. I w ogóle przepraszam za najście. Chodzi mi o kluczyk od skrzynki na listy. – Anka dopiero teraz zdała sobie sprawę z niestosowności swojej wizyty. Trochę tłumaczył ją fakt, że nie miała tu z kim porozmawiać. Była całkowicie wyobcowana. A poza tym Zagrobny znał jej sytuację jak nikt inny. Był jej lekarzem. Wiedział wszystko o jej chorobie. Dlatego właśnie zdecydowała się tu przyjść i opowiedzieć mu o tym, czego najbardziej się obawiała. Trochę liczyła na to, że ją pocieszy i uspokoi.

– Ach, kluczyk... Nie ma problemu. Jest w moim biurku, zaraz go pani przyniosę.

Gdy Zagrobny wrócił z kluczykiem, nie wytrzymała:

– Bo ja, panie doktorze, mam problem. Boję się nawrotu choroby... – Wreszcie to z siebie wydusiła.

– Ależ pani Aniu, skąd te czarne myśli? Jak się pani czuje? Znowu te bóle głowy?

– Nie. Nic mnie nie boli. Mam inny problem. Chciałabym przejść badania... Liczę na pana pomoc, bo chyba trudno się wkręcić na oddział.

– W takim razie powinna pani zadzwonić do mojego szefa, do profesora Kaczmarka znaczy się. Bo ja właściwie nie mam wpływu na takie rzeczy. Wie pani, długie kolejki, nowe procedury. Coraz więcej osób choruje.

– No tak, rozumiem. – Anka gwałtownie wstała. Nie spodziewała się, że tak ją potraktuje. Jej ulubiony doktor Maciek. Prawie przyjaciel. Dobrze sobie! – Oczywiście porozumiem się z profesorem – odpowiedziała spokojnie, ale Zagrobny zauważył, że lekko zdrzała jej broda. Jakby miała się rozpłakać. Spozstrzegł jeszcze coś, co wydało mu się dziwne, a właściwie niemożliwe. No tak, ona kogoś miała. Nie była sama w tej Szwecji. Przecież nie mógł sądzić, że prowadziła życie mniszki.

– Ależ pani Aniu, to ja rozmawiam z profesorem Kaczmarkiem. Jest pani naszą pacjentką od dawna i musi pani zostać przyjęta. I to jak najprędzej. W pierwszej kolejności. Przeprowadzimy badania. I mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Tak ślicznie pani wygląda. – Dopiero teraz zrozumiał, że ta urodziwa kobieta, z którą chciałby wypić nie tylko herbatę, ale może nawet coś mocniejszego, żeby jej w tej ślicznej główce zaszumiło, zbulgotało i żeby spojrzała na niego nieco bardziej przychylnym okiem, chciała mu się zwierzyć może nie tylko z obaw na temat stanu zdrowia. Nie powinien wyjeżdżać z tym Kaczmarkiem. Zraziła się do niego, a przecież zależało mu na czymś zgoła odwrotnym. – Pani Aniu, naprawdę proszę się nie kłopotać profesorem Kaczmarkiem. Poza tym czy to ma jakieś znaczenie dla nas akurat w tej chwili?

Chyba zwariował. Albo jest bardziej pijany, niż mi się wydawało, pomyślała Anka. Dla jakich *nas*? Przecież ona przyszła tu tylko dlatego, żeby komuś się zwierzyć. A Zagrobny myślał, że przyszła ze względu na niego. I że Bóg wie co zaraz się między nimi wydarzy. Otóż nic się nie wydarzy, bo Anka dopiła już tę paskudną yerbę i zaraz stąd wyjdzie. I nic jej nie powstrzyma. A już na pewno nie pan doktor – wprowadzie nieco na bańce, ale przede wszystkim dżentelmen.

– To ja już pójdę – powiedziała. – Dziękuję za yerbę, była znakomita.

– Proszę zgłosić się do mnie jak najszybciej. Czekam na panią w szpitalu. Cudownie pani wygląda – rzucił na odchodnym. Ale Anka już go nie słuchała. Na dziś miała dosyć pijanego doktora. Nie powinna tu przychodzić. Popęłniła błąd.

Zagrobny zrozumiał, że na samym początku wizyty okazał za mało empatii i zainteresowania dla tego, co naprawdę chciała mu powiedzieć Anka. Ale niestety było już za późno. Spaprał tę sprawę. Ona już wychodziła z jego mieszkania. Nie zamierzał jej zatrzymać siłą ani żadnym chytrym wybiegiem. Był prawdziwym dżentelmenem.

Gdy Anka zbiegała po schodach, odkręcał kolejną butelkę whisky. Musiał się jakoś znieczulić. Żeby zasnąć i nie myśleć o tym, jak zmarnował kolejną znakomitą okazję. No właśnie – okazję na co? To pytanie nie dawało mu spokoju. Czego chciał od swojej pacjentki? Czy miał jakieś konkretne plany w związku z jej osobą? Tak, miał. Nawet bardzo konkretne.

Po wizycie u Zagrobego Anka czuła głęboki niesmak. Postanowiła jak najszybciej wrócić do siebie. I może coś zjeść. Była głodna. Powinna dobrze się odżywiać. A herbatę wolała swoją, pospolitą maczanekę, zamiast wykwintych frykasów wygibasów doktora Maćka. Tych cholernych kilkudziesięciu rodzajów herbat do wyboru do koloru. Dla smakoszy i koneserów. Nie była smakoszką. Ani koneserką. A na herbatach nie znała się nic a nic.

Musi się stąd jak najszybciej wyprowadzić. W końcu to mieszkanie należało do niego. Mógł tu w każdej chwili wtargnąć. Przecież miał klucze.

Szła korytarzem i myślała o tym, że zaraz napije się czegoś ciepłego i przekąsi jakąś małą kanapeczkę albo nawet dwie. Nagle zobaczyła, że na słomiance przed jej drzwiami siedzi mały, szary kociak. Dziwne. Pewnie pomylił mieszkania. Biedaczysko. Był chyba wystraszony. I taki malutki.

– No, mały, uciekaj, nie jestem twoją panią. – Pochyliła się nad kotkiem i zaczęła przemowę, licząc na to, że zwierzak sobie pójdzie. Ale kociak był uparty i nie zamierzał opuścić jej słomianki. A ona nie chciała go dotykać, bo bała się toksoplazmozy i kilku innych chorób, szczególnie niebezpiecznych dla kobiet w ciąży.

Otworzyła drzwi, a maluch natychmiast wślizgnął się do jej mieszkania. Jakby było jego. Wbiegła za nim, poślizgnęła się i upadła. Kot natomiast schował się pod fotelem. Ciężko będzie go stamtąd wyciągnąć. Nie miała na to siły. Najpierw musiała coś zjeść i wypić herbatę. Potem zapuka do sąsiadki, tej, która tak dokazuje po nocach. Może to jej zguba. A jeśli nie, to przecież mieszka tu nieco dłużej i powinna wiedzieć, do kogo należy kot. Nachalny i bezczelny zresztą.

Póki co nie miała siły na rozmowy. Zjadła i zasnęła na kanapie. Gdy się obudziła, kot siedział przy jej nogach. Czuła jego przyjemne ciepło. Mruczał, usiłował się przypodobać. A ona nie miała siły, żeby go wyrzucić. Przecież zawsze chciała mieć kota. Marzenia się spełniają, lecz gdy to się dzieje, nie poznajemy ich.

Wstała jednak i wyszła na klatkę schodową. Kot wybiegł za nią. Był taki malutki, że aż jej się serce ścisnęło. Wzięła go na rękę. Postanowiła, że tylko zapyta sąsiadkę, czy to nie jej zguba. A jeśli okaże się,

że nie, to zatrzyma tę puszystą kuleczkę. Przynajmniej na trochę. Dopóki nie znajdzie się prawowity właściciel.

Zapukała. Odpowiedziała jej cisza. Nacisnęła na dzwonek. Zabrział tak przenikliwie i głośno, że Anka aż się skurczyła. Za drzwiami rozległo się stukanie laczków. Skrzypnęły drzwi. Sąsiadka była w podomce. Włosy miała w nieładzie. Robiła wrażenie zaspanej. Spojrzała na Ankę niechętnie.

– Ach, to pani... – zaczęła.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Znalazłam go na słomiance. – Anna ruchem głowy wskazała na kota. – I pomyślałam, że to może pani zwierzak.

– Nie, nie mój. Ja nie hoduję kotów. Nikogo ani niczego tu nie hoduję, rozumie pani?

– Rozumiem. I przepraszam – powiedziała Anka.

Potem przycisnęła kotka do piersi i wróciła do siebie. Trzeba będzie kupić jakąś karmę. No i wybrać się do weterynarza.

SCENY Z ŻYCIA POZAMAŁŻEŃSKIEGO

Był na nią wściekły. Wyłączyła komórkę i schowała w sypialni pod poduszką. Podstępna żmija. A on wydzwaniał do niej jak jakiś głupek przez dwa dni. I nawet pojechał do miasta, do Marii Lindbom, u której Anna brała lekcje szwedzkiego. Zawsze ją tam odwoził i przywoził, bo – o zgrozo! – nie miała prawa jazdy. I chociaż mu obiecała, że zrobi, to nawet nie spróbowała. Tyle różnych rzeczy mu naobiecowała i nie dotrzymała słowa. Zrobiła tylko to, czego akurat miała nie robić. Maria była trochę zdziwiona jego wizytą. Przecież Anna uprzedziła ją, że wyjeżdża i nie będzie przychodziła na lekcję. Czyżby on – partner Anny – nic nie wiedział?

Gdy w końcu odkrył, gdzie zostawiła telefon, rzucił nim o ścianę. Nie umiał się opanować. Potem zamówił bilet na lot do Gdańska. Z dwiema przesiadkami – w Sztokholmie i w Oslo. Był pewien, że wróciła na Polanki. Do tego palanta, swojego męża. Trzeba załatwić tę sprawę raz na zawsze. Tak dalej nie może być. Tyle razy zarzekała się, że się rozwiedzie z tym cholernym dupkiem Wieśkiem Formelą. Przez cały rok go zwodziła. Opowiadała bajki, że do niego napisze, a potem wszystko pójdzie jak z płatka, bo przecież od dawna byli małżeństwem tylko na papierze. A jednak oszukała go. Ze względu na jej stan postanowił ją odnaleźć. Chociaż ona najwyraźniej chciała się przed nim ukryć. Żeby nie mierzyć się z rzeczywistością. I dalej bujać w obłokach. Jak to ona.

Siedział w samolocie lecącym z Oslo do Gdańska i zastanawiał się, gdzie się zatrzymać. Czy w hotelu, czy jednak w zakurzonej mieszkanie po ojcu? Nie zrobił żadnej rezerwacji, więc pojedzie do ojca. Zawsze tak myślał o tym mieszkaniu. Że należy do ojca. Nawet po jego śmierci. Spędził tam dzieciństwo. Zapamiętał, jak chodzili w niedziele na spacer do Parku Oliwskiego. Ojciec, matka i on. Trzymali się za ręce i byli naprawdę razem. Ale to już zamierzchła przeszłość. Był wtedy małym chłopcem, a jego rodzice młodymi naukowcami.

Z pólśnu wyrwał go potężny wstrząs. Natychmiast pojawiła się komenda „zapiąć pasy”. Turbulencja? Spojrzał na stewardesę. Dostrzegł w jej oczach lekką panikę. To była młoda dziewczyna. Niedoświadczona chyba. Sven posłusznie zapiął pasy, bo poczuł, że maszyna gwałtownie zniża lot. Będzie dobrze. Musi być. Samolot się trząsł. Mężczyzna siedzący obok niego zaczął panikować. Spocił się ze strachu, biedaczysko. Sven siedział spokojnie, ufając, że wszystko jak zwykle pójdzie dobrze. Większość pasażerów siedziała jak on, nie okazując zdenerwowania. Chłodni Skandynawowie. Słowianie są bardziej emocjonalni. Zupełnie jak ten tłuścioszek obok, który właśnie wyjął z kieszeni różaniec i zaczął się głośno modlić. A niech się modli. Może dzięki temu nie spadną. Sven był daleki od

wpadania w panikę, ale przedłużająca się turbulencja trochę go niepokoiła. Nie chciał się do tego przyznać. W myślach ironizował na temat modlącego się mężczyzny trzęsącego się w fotelu obok, ale sam raz po raz spoglądał przez okno. Nic nie było widać. Tylko iskry lecące z silnika. Awaria? Okropne słowo, którego wszyscy się bali. Nawet Szwedzi i Norwegowie – chłodni i zdystansowani. Tacy jak on. Zgodnie z rozkładem lotów wkrótce powinni wylądować w Gdańsku. Nie było jednak żadnego komunikatu z kabiny pilotów. Stewardesa siedziała na swoim miejscu, przypięta pasami, wciąż jakby spanikowana. Sven spokojnie czekał na rozwój wypadków. Samolotem potężnie kołysało. Wiał bardzo silny wiatr. Do tego te iskry z silnika. Wszystko będzie dobrze, pomyślał. Zaraz wylądujemy.

– Silnik się pali... – jęknął grubasek. – Czy pan to rozumie? – zwrócił się do Svena po polsku. – Zaraz to wszystko wybuchnie i szlag nas trafi!

Sven milczał. Wyprostował się w fotelu, wygodnie oparł głowę o podgłówek. Był spokojny. Niczego się nie obawiał. Chociaż gdyby ten lot rzeczywiście miał się skończyć katastrofą, wiele spraw by się skomplikowało. Przede wszystkim dziecko, które Anka zamierzała urodzić wbrew zdrowemu rozsądkowi. Za stary był na ojca, to z całą pewnością. I to o wiele za stary. Zresztą ona na matkę też. Nie wypominając jej wieku, nieuchronnie zbliżała się do czterdziestki. A on – lepiej nie mówić. Sprawa jego wieku była tematem tabu. Nigdy jej się nie przyznał, ile naprawdę ma lat, bo pewnie by od niego uciekła. Ale w końcu poznała jego synów, już całkiem dorosłych i samodzielnych, więc mogła sobie policzyć. Paszportu jednak jej nie pokazał, a ona chyba nie grzebała w jego dokumentach. Tak czy inaczej, oboje nie nadawali się na rodziców. Zwłaszcza ona. Więc nie powinna tego robić. Jeśli nawet utrzyma tę ciążę, to jakim kosztem? I po co dziecku tacy rodzice? Stary ojciec i chora matka? To bez sensu. Mogli sobie żyć spokojnie i szczęśliwie, ciesząc się sobą nawzajem. Byli naprawdę dobraną parą, tak uważał. Więc po jaką cholereę ona wszystko zepsuła? W życiu nie trzeba być heroicznym, wystarczą rozsądek i pragmatyzm. I dużo cierpliwości. Sąsiad Svena wciąż się pocił, wiercił i modlił. Samolot dalej chybotał się na wietrze.

– Zobaczysz, że się rozbijemy, i wtedy będziesz miał inną minę, mądralo, baranim głosem jeszcze nam zaśpiewasz – wycedził przez zęby grubasek, zwracając się do Svena w poczuciu, że ten nie rozumie ani słowa po polsku.

Zaraz potem koła samolotu dotknęły pasa startowego. Część pasażerów – polska część – zaczęła bić brawo pilotowi. Idioci, pomyślał Sven, chociaż sam poczuł głęboką ulgę. Po wylądowaniu grubasek otarł pot z czoła kraciastą, nieco zasmarowaną chusteczką i schował do kieszeni marynarki swój różaniec. Na pewno był przekonany, że tylko dzięki jego gorącym modlitwom do Jasnogórskiej Paniienki udało się uniknąć katastrofy. Potem błyskawicznie wstał z fotela i za pomocą łokci zaczął przepychać się do przodu.

Sven się nie spieszył. Postanowił, że na ulicę Polanki wybierze się jeszcze tego samego wieczoru. Tylko zostawi bagaż w mieszkaniu ojca i od razu tam pójdzie. Żeby postawić Annie ultimatum: albo on, albo tamten kmiotek – Wiesiek czy jak mu tam. Swoją drogą, koszmarnie imię, przywodzące na myśl pierwszego sekretarza Władysława Gomułkę „Wiesława”, którego akurat bardzo dobrze zapamiętał z dzieciństwa, zwłaszcza jego filipiki przeciwko rzekomym knowaniom syjonistów. Tak naprawdę ten typek go nie obchodził, ale ze względu na Ankę musiał jak najszybciej złożyć wizytę w jego domu. Obawiał się, że ona do niego wróciła. I że została przyjęta. To byłaby najgorsza ewentualność.

Dom Wieśka rzeczywiście był imponujący. Przynajmniej z zewnątrz. Stara, ponemiecka willa, pieczołowicie odnowiona, na tle raczej zaniedbanych posesji. Sven dwa razy nacisnął na dzwonek przy furtce. Po chwili usłyszał cienki, kobiecy głos:

– Kto to? – To nie był głos Anki, tego był pewien.

Przedstawił się i powiedział, że przyszedł do pana Formeli.

Drzwi otworzyła mu kobieta. Zdecydowanie młodsza od Anny, jeszcze przed trzydziestką. Ale zupełnie nie w guście Svena. Trzeba być strasznym prymitywem albo idiotą, żeby zagustować w kimś takim, pomyślał. Kobieta miała ufarbowane na kolor platynowy, wycieniowane, długie włosy – efekt pracy marnego fryzjera. Ubrana była raczej skąpo, w różową podomkę, pod spodem miała tylko fioletowy gorset, a jej odsłoniętą prawie w całości lewą pierś zdobił tatuaż w kształcie róży.

– Czym mogę służyć? – rzuciła, mierząc go od stóp do głów. Najwyraźniej nie spodobał jej się, bo wydeła pogardliwie wargi. Czyżby już stosowała zastrzyki z botoksu?, zastanowił się Sven.

– Chciałem rozmawiać z panem Formelą.

– A, z Wiesławem. To go zawołam, jest na górze. Pan siada. Narzeczony zaraz zejdzie, tylko się ubierze. Bo my, pan rozumie... – Dziewczyna uśmiechnęła się, ostentacyjnie poprawiając podomkę. – Wiesław, gościa masz! – ryknęła na całe gardło, tak że o mało nie ogłuszyła Svena.

Teraz był już pewien, że Anki tu nie ma. Ale cały czas przypuszczał, że kontaktowała się z mężem i ten stary cap, który obraca coraz to młodsze dziewczuchy, przynajmniej wie, gdzie przebywa jego żona.

Salon Formeli był przestronny, z kominkiem, urządzony ze smakiem, nie po nowobogacku, ale najlepsze czasy chyba miał już za sobą. Po kanapach walały się damskie pończochy i majtki, zapewne własność dziewczoi w podomce. Nie brakowało puszek po piwie i do połowy opróżnionej butelki whisky oraz niedopałków papierosów. Ktoś tu nie miał czasu na sprzątanie. Albo raczej ochoty. Na pewno nie miał zamiłowania do porządku. Dziewczę chodziło po domu w niebotycznie wysokich szpilkach, niszcząc piękną podłogę ze szlachetnego drewna. Sven dostrzegł też kilka filiżanek w niebieskie kwiatuszki stojących w starej serwantce. Widać rękę Anki – niebieskości. Do jego domu też zносиła drobiazgi w różnych odcieniach niebieskiego. Nawet to lubił. Odpowiadały mu te barwy. A jeszcze bardziej cenił zrównoważone, ciche kobiety. Zwłaszcza filigranowe, niebieskookie, naturalne blondynki. Dokładnie takie jak Anna.

Długo czekał na Wieśka. Właściwie to już chciał wyjść, bo ileż można czekać. To prawda, że był niezapowiedzianym gościem i że było już dość późno, zapewne przerwał im amory, ale nie przyszedł tu w błahej sprawie, więc Wiesiek powinien potraktować go serio. Wiedział, kim jest, bo przecież dwukrotnie przedstawił się tej wydekoltowanej lafiryndzie, więc Formela mógł się domyślić, że sprawa dotyczy jego żony i że jest pilna. W końcu, gdy Sven zmierzał już do wyjścia, na schodach pojawił się pan domu – w rozchełstany na piersiach, poplamionym szlafroku. To była oczywista demonstracja, bo gospodarz miał wystarczająco dużo czasu, żeby się ubrać. Najwyraźniej jednak chciał podkreślić niestosowność pory tej wizyty, a może nawet niestosowność samej wizyty. Formela nigdy wcześniej nie widział swojego rywala, tak jak Sven nigdy nie widział Formeli. Znali się tylko z opowiadań Anki, więc nic dziwnego, że teraz obaj przyglądali się sobie z uwagą. Sven poprawił okulary, żeby lepiej się przyjrzeć Wieśkowi. Wiesiek miał na tyle dobry wzrok, że nie musiał niczego poprawiać, z wyjątkiem slipek, które najwyraźniej go uwierały. Dla Svena takie zachowanie było całkowicie nie do przyjęcia. W pewnych sprawach był bardzo konserwatywny, poza tym nie przywykł do takiego traktowania. Dlatego zrobił nagły zwrot i zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku drzwi wyjściowych.

– No, niech pan poczeka, panie Dibelius. Skoro już pan jest, to może pogadamy. Bo chyba jednak mamy do pogadania – zaczął Wiesiek jowialnie.

Sven nic nie odpowiedział, ale odwrócił się i wbił w Wieśka uważne spojrzenie. Stał przed nim mężczyzna na oko pięćdziesięcioletni, może nawet z małym okładem. I z wydatnym brzuchem, najpewniej pochodzenia piwnego. Skórę miał różową jak prosiak, włosy w odcieniu rudego blondu, nieco przyprószone siwizną, kręcone. Widać, że dawno nie był u fryzjera. W ogóle robił wrażenie nieco zaniedbanego i przepitego. Był niższy od Svena i w przeciwieństwie do swojego rywala miał dość krótkie, ale masywne nogi.

– No, niech pan usiądzie chociaż na chwilę. Bez urazy, napijemy się czegoś, pogadamy – kontynuował Wiesiek pojednawczym tonem.

Sven w milczeniu wrócił do salonu. Usiadł we wskazanym przez gospodarza fotelu. Na pytanie, czego się napije, odpowiedział, że wody. Niegazowanej oczywiście. Wiesiek miał nieco zdumioną minę, ale nie skomentował wyboru, tylko ryknął do swojej kobiety:

– Daga, dla mnie browar, a dla pana wodę! Niegazowaną! – Po czym rozwalił się na wielkiej, skórzanej kanapie i ponownie spojrzał na gościa. – Więc w czym mógłbym szanownemu panu dopomóc?

Stuknęły obcasiki. Daga zbiegała po schodach nieco ociężałym krokiem. Miała dość grube nogi i w szpilkach wyglądała nie najlepiej. A chodzić na wysokich i cienkich obcasach nie umiała wcale. Człapała, boleśnie kalecząc tę piękną podłogę. Sven nie wiedział, jak zacząć. Przyszedł, ponieważ liczył, że znajdzie tu Ankę.

– Anna kilka dni temu wyjechała do Polski i myślałem, że zatrzymała się tutaj – wykrztusił po dłuższej chwili milczenia.

– Ach tak, wyjechała. A może raczej uciekła? Nasza mała uciekiniarka gdzieś się zapodziała – ironizował Wiesiek. Był wyraźnie podпиты i szukał zaczepki.

– Można to tak nazwać – odparł Sven cichym, spokojnym tonem. – Ona jest w ciąży. Chyba pan rozumie, co to oznacza, biorąc pod uwagę stan jej zdrowia.

Wiesiek się wyprostował. Spoważniał natychmiast. Daga właśnie wkroczyła do salonu. Stąpnęła tak nieszczęśliwie, że wyłożyła się jak długa. Taca poleciała na podłogę. Woda się rozlała, piwo się rozlało, szklanki się potłukły, a nieszczęsna Daga zwijała się z bólu.

– Moja kostka, ałć, moja kostka! – jęczała. – Skręciłam sobie kostkę!

Wiesiek ani drgnął, żeby ruszyć z pomocą. Skargi i pojękiwania kobiety tylko go rozjuszyły.

– Cicho bądź, kretynko! Nie widzisz, że z panem rozmawiam? O ważnych sprawach rozmawiamy. O mojej żonie, więc się przymknij, wstań i posprzątaj. Mogłabyś tu od czasu do czasu ogarnąć. Przepraszam pana za ten pierdólnik w salonie. Za czasów Anulki wszystko tu błyszczało i pachniało. A teraz, sam pan widzi, kręcą się tu jakieś kaszaloty i wszystko na psy schodzi.

Wiesiek był chyba bardziej wstawiony, niż mogło się wydawać. Sven nie znosił takiego zachowania. Sam nie zawsze potrafił szarmancko się obchodzić z przedstawicielkami płci pięknej – Anna zarzucała mu, że często odnosił się do niej jak gbur – ale postawa Wieśka wobec tej młodej kobiety zirytowała go.

Wstał z fotela. Pomógł Dadze podnieść się z podłogi, a następnie przejść kilka kroków w kierunku sąsiedniej kanapy, gdzie ją posadził. Zwrócił przy tym uwagę, że ta druga kanapa miała obicie w odcieniu kobaltu, co niewątpliwie było kolejnym śladem dekoratorskiej działalności Anny.

– To ja już się pożegnám. Gdyby miał pan jakieś wiadomości o Annie, proszę o kontakt – rzucił sucho.

Wieśka najwyraźniej zatkąło. Po chwili jednak się opamiętał. Ruszył za opuszczającym jego dom Svenem. Zupełnie jakby chciał mu podać zostawiony przez roztargnienie parasol lub kapelusz. Dogonił go już na zewnątrz.

– Bez urazy. Niech pan się nie denerwuje. Jak tylko czegoś się od niej dowiem, zadzwonię do pana. Nie ma sprawy. A tymczasem może niech pan się skontaktuje z jej matką.

– Z matką? – W głosie Svena słychać było zdumienie.

– No tak, z matką. Mieszka przecież w Warszawie. Ma pan jej adres? – Sven pokręcił głową. – O, proszę, tu go mam. – Formela wyciągnął z kieszeni szlafroka notes i podał Svenowi, otwarty na stronie z adresem Grażyny Wichury. – Niech pan to gdzieś zapisze. I niech pan jak najszybciej pojedzie do Warszawy. Anulka tam pewnie jest. A jak nie u matki, to może u siostry przyrodniej, ale jej adresu to nie mam. Może od matki Anusi czegoś się pan dowie.

Sven był zdumiony zmianą tonu i zachowania Wieśka. Nagle stał się uprzejmy, a nawet przymilny. Ale

wciąż zionęło od niego alkoholem jak z gorzelnii.

Podziękował za namiary na matkę Anny i z ulgą poszedł w swoją stronę. Kamienica, w której znajdowało się mieszkanie po jego ojcu, była niedaleko. Postanowił pójść piechotą, żeby nieco ochłonać.

Jak się okazało, nic nie wiedział o kobiecie, która od ponad roku zajmowała miejsce jego zmarłej przed czterema laty ukochanej żony. Na początku urzekło go zewnętrzne podobieństwo Anny do Fridy, a potem, gdy lepiej ją poznał, uwierzył, że ta kobieta to po prostu dar od losu, że pojawiła się w jego życiu po to, by ukoić jego smutek i ból po stracie, której długo nie mógł przeboleć. Anna była łagodna, wyrozumiała, powściągliwa. I tak jak Frida miała do niego cierpliwość. Przy niej odzyskał apetyt, wróciła mu chęć do życia. No i najważniejsze – wróciła także sprawność w tej najważniejszej dla mężczyzny materii. Cieszyło go, że dzięki Ance wciąż czuł, że jest młody i że wszystko może. Niestety, w ciągu kilku dni ich misternie budowane szczęście i harmonia nagle prysły. Anka wyjechała. Zostawiła go, chociaż wydawało mu się, że są ze sobą tak blisko, że rozstanie nie jest możliwe. Zupełnie tak jak z Fridą. Tym razem jednak było zupełnie inaczej. Nie znał więc Anki. Coś sobie ubzdurał na jej temat. I żył w tej ułudzie. Będzie musiał poznać tę kobietę. Dowiedzieć się, kim jest naprawdę.

Wiesiek nie wiedział, co powinien teraz zrobić. Czuł, że nieco przeholował wobec Dagi. Ale rzeczywiście może wypił za dużo i ta niespodziewana wizyta wyprowadziła go z równowagi. A jeszcze bardziej wiadomość, że jego żona, ta cholerna, słodka, niewinna Anulka, ta co nigdy i z nikim, taka cnotliwa i porządna, była w ciąży z obcym, paskudnym facetem. Co ona widziała w tym staruchu? Przypomniawszy sobie, że Anka mówiła o nim „Sinobrody”. Świetne określenie. Wiesiek przyznał w duchu rację swojej żonie, która jak nikt inny znała się na ludziach. Tym bardziej nie mógł zrozumieć, dlaczego wybrała właśnie tego sztywnego, szalenie nieprzystępnego mężczyznę. I w dodatku zamierzała urodzić jego dziecko. Był wściekły, ale postanowił się opanować. Przecież zawsze umiał okiełznać emocje. Bez tego nic by w życiu nie osiągnął. Nie zrobiłby kariery, nie zgromadziłby majątku, byłby nikim. Takim samym zerem jak jego ojciec, dziadek i pradziadek. Cały ten nieszczęsny ród Formelów, obrabiający od wieków niewielki kawałek piaszczystej ziemi na Kaszubach, a przy okazji wysługujący się rozmaitym panom – książętom, junkrom, komisarzom, a w końcu sekretarzom, przybyszom z wielkiego świata, takim jak ten nieznośny, upozowany mądrała Sven Dibelius – ni to Polak, ni to Szwed. Najpewniej Żyd.

Po jego wyjściu mógł wreszcie zdjąć maskę uprzejmego, układnego gospodarza. Był wściekły, rozjuszony. Wszystko się w nim gotowało. Musiał się na kimś lub na czymś wyładować. I to pilnie. Jego żona była w ciąży z innym facetem. Tyle lat byli małżeństwem i nic! Żadnego przychówku. Aż tu nagle przypałał się ten zarozumialec – i się stało. Anka będzie miała dzieciaka, o ile oczywiście donosi ciążę i po drodze nie wyzionie ducha (czego jej szczerze życzył, zaciskając pięści w bezsilnej złości). A on wciąż nie miał następcy. Matka mu to wypominała przy każdej okazji. Że nie spłodził. A to przecież męska rzecz, i do tego całkiem przyjemna robota. Komu teraz to wszystko zostawi? Majątek, nazwisko. Całe swoje dziedzictwo. Główną winowajczynią była Anka. Nigdy tak naprawdę go nie chciała, nie kochała. To nieważne, że ją zdradzał z kim popadło. Zdradzał, bo lubił. Miał powodzenie u płci pięknej, to korzystał, cóż w tym złego? A potem jeszcze porzucił ją w chorobie. Wielu mężczyzn tak robi. To normalne. W końcu choroba w rodzinie to nic miłego. Nie miał siły ani cierpliwości, żeby opiekować się chorą kobietą, odwiedzać ją w szpitalu. To nie było ani ciekawe, ani zabawne. Stchórzył, uciekł do Gośki, która akurat wtedy się napatoczyła. Fakt, to on pierwszy rzucił hasło do rozwodu. Ale Anka – zamiast walczyć o ich związek – od razu się zgodziła i posłusznie przyjęła jego warunki. Nie zależało jej na niczym. Nawet na domu, którego i tak by nie dostała, chociaż w gruncie rzeczy był bardziej jej niż

jego. Ale on miał intercyzę, więc nikt nie mógł mu zabrać jego krwawicy, jak mówiła matka. Anka mogła jednak walczyć o inne rzeczy. O pieniądze na przykład. To już był wspólny majątek, nieobjęty intercyzą. Ale ona o pieniądzach nawet nie wspomniała. Miała gest. Tym lepiej. Wiesiek znał wartość pieniądza. I szczodry nigdy nie był. Bo i po co? Ale trochę się dziwił, że ona niczego nie chce, tylko tego rozwodu. Od razu wydało mu się to podejrzane. Teraz już wiedział dlaczego. Po prostu chyba naprawdę kochała tego szwedzkiego mądralę. Kochała tak bardzo, że teraz ryzykowała życie, byleby tylko urodzić jego dzieciaka. W tej sytuacji rozwodu nie dostanie. Niech dzieciak Szweda nosi nazwisko Formela, jeśli w ogóle się urodzi. Nie będzie rozwodu. Na złość, na pohybel tej wrednej, zakłamanej babie.

– No i co się gapisz? – rzucił do Dagi, która wciąż leżała zboląta na kanapie.

– Zabolało jaśnie pana, że się żonka puściła, co? – dogadała.

– Nie pozwalaj sobie, bo pożałujesz. A od mojej żonki wara! – Wieśka coraz bardziej irytowała ta pannica, która rozgościła się w jego domu i chyba miała nadzieję, że ich przelotny związek to coś poważnego. Już od pewnego czasu myślał o zmianie. Potrzebna mu była bardziej reprezentacyjna partnerka. Daga nie była ani szczególnie ładna, ani dobrze ułożona. W dodatku leniwa, pyskata i pewna siebie.

– Nawet jej się nie dziwię, że wolała tamtego. Przynajmniej trochę kultury w sobie ma!

I wtedy Wieśka poniosło. Przyłożył jej jak trzeba, prosto w twarz – z liścia. Żeby sobie nie myślała, że ma tu jakieś prawa, bo nie miała żadnych. Daga była zaskoczona. Skuliła się. Nie wiedziała, jak zareagować, więc wybuchnęła głośnym płaczem. Myślała, że Wiesiek się opamięta, że ją przeprosi. Ale on poszedł na górę. Po chwili usłyszała, że trzasnął drzwiami. Przykryła się kocem, wciąż głośno pochlipując. Miała nadzieję, że to jeszcze nie koniec, że mu przejdzie i jutro będzie normalnie. Długo nie mogła zasnąć.

NIKODEM

Pani chyba żartuje, pani Aniu. Nie tak się umawialiśmy! W pani sytuacji to już nie lekkomyślność, to coś znacznie gorszego... – doktor Maciek, którego mimo wszystko wciąż lubiła, wpadł w furję. Zupełnie jak Sven. Nawet używał tych samych sformułowań – „nie tak się umawialiśmy”. Anka z nikim na nic się nie umawiała. Kiedyś, już dawno temu, lekkomyślnie podpisała małżeńską intercyzę. A potem kontrakt ślubny, który wciąż był ważny. Formalnie była żoną Wieśka Formeli i nosiła jego nazwisko. Z tym też musiała coś zrobić. I to jak najszybciej.

– Czyli nie pomoże mi pan, doktorze? – starała się kokietować mężczyznę, jak tylko umiała. Przewracała oczami, które zawczasu starannie umalowała, trzepotała wytuszowanymi rzęsami. Jakby mogła, to zakręciłaby tyłkiem. Ale siedząc, nie mogła. Wiedziała, że wygląda lepiej niż kiedyś. I starała się to wykorzystać. Dawniej jej onkolog widywał ją łysą i niemal anorektycznie wychudzoną. Teraz, gdy odrosły jej włosy i nieco przybrała na wadze, prezentowała się znacznie lepiej. Odzyskała nawet dołeczki w policzkach. Mogła się podobać. Zagrobny był nią zachwycony. Czuła to. Już wtedy, gdy złożyła mu tę niefortunną wizytę, poczuła, że jest nią naprawdę zainteresowany. Dalej więc trzepotała rzęsami. Byleby tylko się zgodził. Ale on ciągle miał wątpliwości.

Tym razem był chyba całkiem trzeźwy. Żadnego podejrzanego zapaszku. Przyglądał jej się uważnie. Już wtedy, gdy odwiedziła go w domu, zauważył jej niewielki, ale dość wyraźny ciążowy brzuszeczek. W końcu był lekarzem. Poza tym trochę znał swoją ulubioną pacjentkę. Wtedy nie zdążył tego skomentować, ale teraz po prostu musiał. Skinął głową na jej brzuch i powiedział:

– To bardzo trudna sprawa.

– Aha. – Anka wstała z krzeselka i ruszyła w kierunku drzwi.

– Pani Aniu, ja nie powiedziałem, że nie. Nawet rozmawiałem już z profesorem Kaczmarkiem na pani temat. Przyjmiemy panią na oddział. Musimy zrobić badania. A potem się zastanowimy. Wspólnie. Teraz proszę usiąść, porozmawiajmy.

Anka wróciła na krzeselko i znowu zrobiła maślane oczy do doktora Maćka. Był jej potrzebny, bardzo chciała go sobie zjednać. Bo wiele od tego zależało.

– Naprawdę? – Liczyła na to, że onkolog zgodzi się jej pomóc. Zawsze lekko iskrzyło między nimi, nawet wtedy, gdy była wyniszczona chorobą. Między innymi ze względu na niego przyjechała do Gdańska. Był chyba w jej wieku albo nawet nieco młodszy. Nie nosił obrączki i była prawie pewna, że nikogo nie ma. Przynajmniej na stałe. Typ starego kawalera. Zapewne w oczach wielu swoich pacjentek mógł uchodzić za atrakcyjnego, młodego lekarza, a do tego nawet przystojnego. Ale jej nie podobał się wcale.

– Proszę się zgłosić na oddział w następny poniedziałek. Potrzebna będzie konsultacja ginekologiczna. Chciałbym też porozmawiać z kimś z pani rodziny.

– Ale ja nie mam nikogo – mówiąc to, Anka wyprężyła się jak struna, a przez jej twarz przeszedł grymas bólu.

– Naprawdę nie ma pani nikogo? Ani ojca, ani matki? Może chociaż rodzeństwo? – lekarz był nieustępliwy.

– Jestem sama – wyszeptała i spuściła wzrok.

– Aha. W takim razie niech pani dzwoni do mnie, jakby coś się działo. Jestem do pani dyspozycji w każdej chwili. Proszę o tym pamiętać, pani Aniu.

– Tak, oczywiście.

Nie rozumiała, po co tak mówił. Przecież był właścicielem mieszkania, w którym się zatrzymała. I jeśli czegoś się obawiała, to tego, że zacznie ją odwiedzać pod byle jakim pretekstem. Na szczęście tego nie robił. W końcu nie była jego rudowłosą kuzyneczką.

Ponownie wstała i ruszyła w kierunku drzwi. Zagrobny również się podniósł. Podał jej płaszcz, a następnie zniemacka chwycił jej rękę, delikatnie ją obrócił i ucałował wewnętrzną stronę dłoni i nadgarstek. Ten gest nie był ani zdawkowy, ani grzecznościowy. Był jednoznaczny. Nawet podczas tej nieudanej wizyty w jego mieszkaniu, gdy poczęstował ją yerbą, nie posunął się aż tak daleko. Spojrzała na niego ze zdumieniem. Nie spodziewała się tego. Była też zaskoczona swoją reakcją. Czuła podniecenie. To na pewno przez te szalejące hormony. Zamiast wyrwać dłoń, poddawała się pieszczotom. Brakowało jej tego ostatnio i nie czuła się z tym dobrze. Doktor Maciek całował jej nadgarstki coraz bardziej namiętnie. Powinna to przerwać, ale nie miała siły. Ten nieoczekiwany wybuch czułości sprawiał jej przyjemność, chociaż nie powinien. Przecież to było zwyczajne molestowanie. Należało wyrwać się i natychmiast wyjść z gabinetu. I więcej tu nie wracać. Albo nawet iść na skargę do profesora Kaczmarka. Ale zamiast wykonać jakiś gest sprzeciwu, biernie poddawała się pieszczotom, które wcale nie były jej niemiłe. Właściwie nikt dotąd tak umiejętnie nie pieścił jej dłoni. Czuła, że się czerwieni. W końcu sama go sprowokowała. Tak zerkała, trzepotała rzęsami. No i włożyła dość kusą sukieneczkę. Niby ciężową, ale jednak za krótką, znacznie przed kolano. A ciąży jeszcze nie było widać. No, może trochę. Spokojnie mogła włożyć dzinsy, chociaż już nie dopinały się w pasie. Stąd ta sukienka. Chociaż włożyła ją z rozmysłem. Wierzyła, że zrobi na nim większe wrażenie. Okazało się, że niewiele mu było trzeba. Źle odczytał sygnały, które wysyłała. Pewnie pomyślał, że skoro jest sama i nie ma rodziny, to szuka opiekuna, mężczyzny. A jej chodziło tylko o przeprowadzenie niezbędnych badań i o opiekę. Ścisłe lekarską opiekę. Chciała się upewnić, czy remisja nadal trwa, czy może jednak coś niepokojącego dzieje się w jej głowie. Coś, co zagrażałoby jej, a przede wszystkim dziecku. Po to tu przyszła. W krótkiej, granatowej sukieneczce z białym kołnierzykiem i w jasnych rajstopach. A on odebrał to jako seksualną prowokację. Należało to przerwać.

– Panie doktorze... – Chrząknęła lekko.

Wyprostował się gwałtownie. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, ale długo nie wytrzymał jej spojrzenia. Spuścił wzrok. Był czerwony na twarzy. Ze wstydu albo z podniecenia.

– Ja przepraszam, pani Aniu, bardzo panią przepraszam. – Wyglądał na zmieszanego. Anka natomiast bała się, że parsknie śmiechem.

– Nic się nie stało. W poniedziałek będę na oddziale – powiedziała spokojnie, po czym wyszła z gabinetu.

Zagrobny stał w otwartych drzwiach gabinetu i patrzył, jak Anka lekkim krokiem przemierza korytarz. Przywołała go wprawdzie do porządku, ale wyczuł, że przez krótką chwilę podobało jej się to, co robił.

Wcale nie chciała, żeby przestał. Tak bardzo mu się podobała. Od samego początku. Nawet wtedy, gdy była chora. Dotąd zachowywał się poprawnie, trzymał właściwy dystans. Ale dzisiaj powiedziała mu, że jest sama, że nikogo nie ma. Poczuł, że to jest właściwy moment, żeby zrobić pierwszy krok. Nie powinien, była jego pacjentką, ale czasem lekarze znajdują swoje życiowe partnerki wśród pacjentek. Czuł, że z nimi tak właśnie będzie. Poczekaj do poniedziałku. Chociaż miał ochotę zatelefonować do niej od razu. I wszystko jej wyjawic. Że już od dawna coś do niej czuje, tylko nie wiedział, że jest samotna. Po chwili jednak uświadomił sobie, jakie to głupie. Zachował się jak ostatni cymbał. Anna mogła oskarżyć go o molestowanie. Ale chyba tego nie robi. Następna pacjentka miała przyjść za dziesięć minut. Wrócił do gabinetu i usiadł za biurkiem. Postanowił czekać.

Pani Monika odliczała już dni do wyjazdu z sanatorium. Wszystkie panie były tu zaabsorbowane różnymi, mniej lub bardziej nieatrakcyjnymi przedstawicielami płci męskiej, którzy w sanatoryjnym entourage'u mogli się wydawać niczego sobie. Flirtowały więc z nimi i nie tylko. Jej lokatorka, starsza od niej o kilka ładnych lat pani Lusia, ciągle chodziła na te całe fajfy, a potem wracała na rauszu i następnego dnia nie wstawiała na poranne zabiegi. Pani Monika natomiast zawsze na czas stawiała się w centrum balneologicznym. Pewnego dnia odwołano jej dwa zabiegi z rzędu. Gdy zbliżała się do pokoju, który dzieliła z panią Lusią, usłyszała podejrzaną hałas. To niemożliwe, pomyślała. Pani Lusia była przecież mężatką. A może to jej mąż przyjechał? W takim razie nie powinna im przeszkadzać. Trochę zazdrościła współlokatorce, która była od niej sporo starsza i chyba mniej atrakcyjna, a jednak mąż jej nie zanieczywał. Odwiedził ją nawet tu, w sanatorium. To się nazywa namiętność. A ona? Od ośmiu lat żyła w celibacie, wcześniej też nie układało im się z mężem. Zapomniała, że takie wspaniałości w ogóle istnieją. Chociaż teraz pan Zdzisiek trochę jej przypomniał o tych miłych, acz dawno zapomnianych sprawach. W końcu nie zdążyli się wybrać na romantyczny spacer do Parku Oliwskiego. Może po jej powrocie uda się nadrobić tę zaległość?

Pani Monika od dziecka była uczona dyskrecji, dlatego nie weszła do pokoju, nawet jak już wszystko ucichło. Przycupnęła na krzeselku i czekała. Nie wiadomo na co. Wreszcie się doczekała. Z pokoju wytoczył się zwalisty jegomość, którego kilka razy spotkała na basenie. Na pewno nie był to mąż jej współlokatorki. Pani Monika z niechęcią łypnęła na intruza. Był czerwony na twarzy, a właściwie na gębie. Spojrzał na nią wyzywająco małutkimi oczkami, a potem obleśnie mlasnął i oblizał się. Obrzydliwość, pomyślała.

Gdy weszła do pokoju, pani Lusia okupowała łazienkę. Długo to trwało. A Monice strasznie chciało się siusiu. Wreszcie współlokatorka raczyła wyjść z łazienki. Popatrzyła na panią Monikę z lekką pogardą. Wymalowała się jak jakaś lafirynda. A zamiast dresu miała na sobie przyciasną sukienkę z falbankami. Monika czuła obrzydzenie. A jednocześnie żałowała, że nie zapisała w komórce numeru telefonu Zdziśka. Kiedy zegnali się na dworcu, wcisnął jej w dłoń małą karteczkę, ale chyba ją wyrzuciła. Gdy tylko została w pokoju sama, zaczęła gorączkowo przeszukiwać torebkę. Panował w niej wzorowy porządek. Wszystkie niepotrzebne rzeczy usuwała na bieżąco. Była jeszcze szansa, że wsunęła karteczkę do kieszeni prochowca. Przecież na dworcu miała na sobie ten beżowy prochowiec. Tak. Karteczka była w kieszeni. Ciasno zwinięta w kulkę. Pani Monika musiała być bardzo zdenerwowana po tym, jak Zdzisiek przycisnął ją mocno i szepnął jej do ucha parę nieprzyzwoitych słów. A ona zawstydziała się jak pensjonarka. Dlatego tak zwinięła tę karteczkę. Teraz pracowicie ją rozwijała. Na szczęście udało się odczytać zapisany zamasztysem pismem Zdzicha numer telefonu. Przez chwilę się wahała. Czy wypada? On może uznać, że to natręctwo, że po prostu mu się narzuca. Wystukała jednak numer. Odebrał po pierwszym

sygnale.

Pani Lusia bardzo się wstydziła, że tak jakoś wyszło. Ta Moniczka piczka zasadniczka mogła jej zaszkodzić. Na przykład zatelefonować do jej starego. I opowiedzieć o tym, jak tu się prowadziła. Nigdy nie wiadomo, co takiej paniusi strzeli do moherowego łba. Lusia postanowiła więc zawczasu się zemścić, tak na wszelki wypadek. Wystarczyło tylko zwinąć komóreczkę uroczej sąsiadce i napisać esemesa do jej drugiej połówki, która, jak się okazało, ma na imię Zdzisław. Pewnie jakiś stary pierdziel, w sam raz dla tej pobożnisi, pomyślała, pisząc kilka słów o tym, jak to Monisia źle się prowadzi w sanatorium.

Wizyta u ginekologa była mniej ekscytująca niż ta u doktora Maćka, ale najważniejsze, że wszystko było w porządku. Oczywiście nie powiedziała lekarzowi o swoich problemach zdrowotnych. Nie było więc żadnych przykrych sytuacji. Dostała plik recept i skierowanie na badania genetyczne. Z racji jej wieku. Była za stara na matkę. Ale w końcu nie ona jedna rodziła pierwsze dziecko tuż przed czterdziatką. Po tym trudnym dniu chciała się jakoś odprężyć. Może jeszcze jedna sukienka ciążowa? Najchętniej kupiłaby ich jak najwięcej. Żeby cieszyć się swoim odmiennym stanem. Marzyła też o maleńkich, dziecięcych ubrankach. O śpioszkach, kaftanikach, czapeczkach. Trochę jednak obawiała się robić takie zakupy, bo to podobno przynosi pecha. Nie była przesadna, ale w tym przypadku czuła obawę. Na takie zakupy było zdecydowanie za wcześnie. Póki co poczuła głód i postanowiła wrócić do domu. Na Polanki.

Gdy była już na schodach, do klatki wszedł jej tajemniczy sąsiad – mężczyzna w czarnym garniturze. Trochę się wystraszyła. Przerazała ją jego trupio blada twarz, tak bardzo kontrastująca z czarnym garniturem. Przez chwilę miała ochotę uciec. Zastanawiała się, czy nie wybiec z klatki pod byle pretekstem. Że niby coś zostawiła albo o czymś zapomniała. Jak to kobieta. Opanowała się jednak i spokojnie weszła na górę. Szedł za nią. Cały czas bez słowa. Nie był chyba zbyt rozmowny. Podobnie jak Sven. Ale zachowywał się spokojnie. Używał dobrej wody po goleniu, a jego czarny garnitur zapewne był markowy. Wchodząc do mieszkania, Anka zauważyła, że mężczyzna, zamiast wejść do siebie, zapukał do jej sąsiadki. Tej, która tak stękała po nocach. Czyżby się znali? A może to on do niej przychodził? To by się składało w pewną całość. Anka nie zamierzała prowadzić śledztwa w sprawie domniemanej zażyłości sąsiadów, chociaż nocne hałasy trochę jej przeszkadzały. Posłała tylko porozumiewawczy uśmiešek w kierunku mężczyzny, który ciągle jeszcze stał przed drzwiami sąsiadki. A tej najwyraźniej nie było w domu. Chyba zrobiło mu się głupio, bo odwrócił wzrok.

Anka weszła do mieszkania i zamknęła drzwi wejściowe na zasuwkę. Dopiero wtedy usłyszała, że ktoś otworzył drzwi do sąsiedniego mieszkania. A więc wpuściła go. Pewnie zaraz się zacznie, pomyślała i parsknęła śmiechem. Była w dobrym humorze. Zastanawiała się nawet, czy nie zadzwonić do Svena. Tęskniła za nim. Ale postanowiła, że skontaktuje się z nim, jak już wszystko się wyjaśni. I będzie mu mogła powiedzieć, że jest całkowicie zdrowa i nie ma się czego obawiać. Przeszła jej już cała złość na niego. Rozumiała, czego się obawiał. Nie chciał po raz trzeci w życiu przeżywać tego samego. Na szczęście ona była dobrej myśli. Wierzyła, że się uda. Czuła się znakomicie. A brzusek, ku jej wielkiej radości, z każdym dniem coraz bardziej się zaokrąglął. Jeszcze tylko te badania i wszystko będzie jasne.

Gdy usiadła w fotelu, kot od razu wskoczył jej na kolana. Domagał się swojej porcji pieszczot. Trzeba będzie nadać mu jakieś imię. Bo „kiciuś” to chyba za mało. Może więc Nikodem? Jak Dyzma. Ale to nie Dołędze-Mostowiczowi, ale sąsiadowi od czarnego garnituru, który namiętnie słuchał przedwojennych szlagierów, jej kot zawdzięczał swoje imię. Już kilka razy zatrzymała się pod drzwiami tego tajemniczego jegomościa, przysłuchując się płynącej zza drzwi muzyce. Z sąsiedzkiego repertuaru starych przebojów najbardziej lubiła piosenkę Adama Astona *Nikodem*. Przenosiła ją ona w lata trzydzieste. W czasy młodości jej babki, Beli Baumannowej, której portret wisiał w salonie ojca w Otwocku. Ojciec podczas rzadkich odwiedzin Anny puszczał właśnie piosenki Adama Astona. I tęsknił za światem przedwojennego, mieszczańskiego ładu, bezpowrotnie utraconym.

Dibelius zupełnie nie znał Woli. Zawsze kojarzyła mu się ze słowem „robotnicza”. W czasach jego dzieciństwa robotnicza Wola kroczyła na czele pochodów pierwszomajowych. Na niezliczonych szkolnych akademiach zawsze padała ta nazwa – używana w rozmaitych kontekstach. Gdy więc poprosił taksówkarza, żeby zawiózł go na Gibalskiego, a ten z niechęcią westchnął, że to na Woli, pamięć Svena przywołała cały ciąg skojarzeń. Przypomniał sobie matkę, która ciągnęła go na pochody pierwszomajowe. Wbrew ojcu, zazwyczaj w takich wypadkach z dezaprobatą kręcącemu głową. Jan Dombrowski nie był rad, gdy towarzysza doktor, a potem docent Maria Lewicka-Dombrowska, dla przyjaciół towarzysza Matylda, wkładała szary kostium i jedwabne pończochy, a synkowi najlepszy garniturek, żeby godnie świętować dzień pierwszego maja, maszerując w pochodzie „ludzi pracy” i wymachując w kierunku trybuny honorowej, gdzie siedzieli partyjni dygnitarze, papierową chorągiewką w kolorze czerwonym albo czerwonym kwiatem z krepiny. A w ich mieszkaniu w Oliwie, przy ulicy Obrońców Westerplatte, zawsze od rana huczało radio, przekazując radosne komunikaty z pierwszomajowego pochodu w stolicy Kraju Rad. Ojciec Svena chował się wtedy w swoim zakurzonym gabinecie, wśród tysięcy książek i stosów nadbitek jego artykułów. Odmawiał uczestniczenia w radosnym świętowaniu. Mały Szczepcio nie miał wyboru. Musiał podporządkować się władczej matce. I kroczył z nią w pochodzie. Matka zawsze obiecywała mu, że kiedyś pojedą na wielki pochód do Warszawy albo jeszcze lepiej – do Moskwy – i tam będą świętować jeszcze radośniej. Ale niestety nigdy nie udało im się zrealizować tych pięknych planów, bo matkę wyrzucili z partii za rzekome odchylenie w kierunku Synaju, a część tak zwanego aktywu nawet chciała wysłać ją do Syjamu. Ostatecznie wyjechali do innego kraju na literę „s”. Ale tylko on i matka. Ojciec, jako prawdziwy Polak, został w Gdańsku i dalej siedział w swoim zakurzonym gabinecie w Oliwie i pisał artykuły o początkach państwa polskiego.

Ulica Gibalskiego nie kojarzyła się Svenowi z niczym. Nie znał Warszawy. I nie zdawał sobie sprawy z tego, że Gibalak to miejsce, którego należy unikać. Wszystko tu było dla niego nowe. Największą nowością było jednak to, że Anka miała jakąś rodzinę. Nigdy mu o sobie nie opowiadała. Kiedyś tylko rzuciła, że niedawno zmarł jej ojciec. Gdy zapytał o innych krewnych, spłoszyła się i nie odpowiedziała. A teraz okazało się, że ma matkę. Sven zastanawiał się, kim jest ta kobieta i czy Anka jest do niej podobna. Patrząc na szare, zaniedbane kamienice przy ulicy Gibalskiego, uznał, że kimkolwiek ona jest, nie powodzi jej się zbyt dobrze. Pomyślał też o swojej matce, którą widywał nie dość często. Miał z tego powodu wyrzuty sumienia, ale niestety nie umiał się przemóc. Odwiedziny w domu opieki w okolicach Lund, gdzie dożywała swoich lat matka Svena, robiły na nim tak przygnębiające wrażenie, że od czasu śmierci Fridy pojawiał się tam zaledwie raz w miesiącu. Po każdej z tych wizyt długo nie mógł się otrząsnąć. Ciągle obiecywał sobie, że będzie odwiedzał matkę częściej, ale za każdym razem znajdował

jakiś pretekst, żeby tam nie jechać. Dawna towarzyszyca Matylda nie pamiętała, kim była kiedyś, ani nie wiedziała, kim jest obecnie. Nie poznawała też swojego jedyne go syna. Sven nie powiedział Ance o swojej matce. Nie przyznał się, że kiedy nie wraca na noc do domu, jest właśnie tam, w domu opieki w okolicach Lund. Chyba denerwowały ją te jego tajemnicze wyjazdy. No i bała się zostawać sama w domu. Twierdziła, że dom Svena stoi na odludziu, a przecież to nieprawda – miał dwóch sąsiadów, których posesje były położone całkiem niedaleko. Za ledwie jakieś trzysta metrów. Tak naprawdę nawet się zastanawiał, czy nie wyprowadzić się gdzieś dalej od ludzi. Ale Ance taka przeprowadzka zapewne by nie odpowiadała. I chociaż mieli różne upodobania w kwestii miejsca zamieszkania, do swoich matek odnosili się chyba podobnie.

Na klatce schodowej nieznośnie zajeżdżało kapustą. Mieszkanie Grażyny znajdowało się na pierwszym piętrze. Svenowi już samo nazwisko wydało się dziwne. Przecież Anna z domu nazywała się Baumann. Jeśli więc jej matka nosiła inne nazwisko, to zapewne dlatego, że Anna była jej panińskim dzieckiem albo kobieta miała kolejnego męża lub mężów. Po raz kolejny uświadomił sobie, że zupełnie nic nie wie o kobiecie, z którą od roku żył. Może to była jego вина? Może za mało z nią rozmawiał? A ona nie lubiła mówić o sobie. Zupełnie tak jak on. Dobraliśmy się jak w korcu maku, pomyślał i uśmiechnął się pod nosem na to dziwne polskie powiedzonko, które nagle wyłoniło się z zakamarków jego pamięci. To była jej zasługa. Dzięki Annie coraz częściej myślał po polsku; zapomniany, porzucony język wracał do niego. To ona sprawiła, że przypominał sobie słowa, których nie używał od wielu lat. Chociaż tak niewiele rozmawiali, przypominał sobie bardzo dużo z dawnych czasów. Nie tylko język. Ale wszystko.

Aż się zasapał, wchodząc po wysokich schodach. Oszczędnościowe budownictwo, chyba jeszcze przedwojenne. Bez wind. Śwąd kapusty prawdopodobnie dochodził z mieszkania Grażyny Wichury. Ohydny prostacki smród. Charakterystyczny dla polskich osiedli robotniczych. Tak mu się przynajmniej wydawało. Pewnie gotowali to paskudztwo, żeby tylko nie zmarnowały się stara kapusta, smalec i boczek. Okropność. Jak można to jeść? Jeszcze nie przekroczył progu mieszkania Grażyny, a już miał ochotę jak najszybciej stamtąd wyjść. Żeby nie przesiąknąć tym nieznośnym smrodem. Gdy drzwi się otworzyły, poczuł jeszcze bardziej nieznośny odór tanich papierosów.

W progu stała rozczochrana bosonoga kobieta. Wysoka, bardzo chuda i koścista, z burzą ufarbowanych na rudo loków, z niewielkimi siwymi odrostami. I z papierosem w zębach. Co chwila kaszłała. Zapewne od tych fajek. Była jakoś w jego wieku. Może trochę starsza. Zupełnie niepodobna do Anki. A raczej Anka była niepodobna do niej. Grażyna miała orzechowe oczy. I ogromne, wydęte w pogardliwym ćwierćuśmiechu wargi. Zupełnie jak Brigitte Bardot w filmie *I Bóg stworzył kobietę*. Przez chwilę patrzył na gospodynię z uwagą i niedowierzaniem, a potem wyrecytował przygotowaną formułkę:

- Dzień dobry, nazywam się Sven Dibelius, szukam Anny, pani córki.
- Córki to ja nie mam.
- Więc nie jest pani matką Anny? – W głosie Svena zabrzmiała ulga.
- Jestem, jestem. Nie ma lekko. Pan wejdzie do środka. Nie będziemy tak gadać przez próg, bo to nieszczęście przynosi.

Sven dyskretnie przyglądał się mieszkaniu i jego właścicielce. Był szczerze zdumiony. Grażyna, chociaż miała cerę zniszczoną przez nikotynę, wydawała się o wiele za młoda na matkę Anny. I mimo wysiłków nie mógł się dopatrzeć cienia podobieństwa między tymi kobietami.

– I co pan tak gały wytrzeszcza? – zaczęła obcesowo.

Wyraźnie się zmieszał. Miał ochotę wyjść. Anny tu przecież nie było. Ale ta kobieta mogła coś wiedzieć na jej temat. Postanowił się przemóc. Niechętnie usiadł w fotelu, który mu wskazała. Wszystko w jej mieszkaniu zdawało się lepić z brudu. Wyglądało na to, że nikt tu nie sprzątał, i to od bardzo dawna. Sven lubił porządek i czystość, więc czuł się tu fatalnie. Poza tym był skrupowany. Pani Wichura

siedziała naprzeciwko niego, paliła kolejnego papierosa, uważnie mu się przyglądała i raz po raz zanosila się kaszlem. Ten kaszel brzmiał niepokojuco.

– Jest pan facetem Anki, prawda? Nie mylę się? I nie jest pan z Polski, co? – zaczęła, coraz uważniej świdrując go wzrokiem. Nie czekając na odpowiedź, dodała: – Bez urazy, ale jest pan dla niej za stary. Ona wprawdzie nie jest już młódką, ale powinna znaleźć sobie kogoś w swoim wieku, żeby wreszcie dzieciaka jej zrobił. A nie gościa, który mógłby być jej ojcem, co bardziej na dziadka się nadaje niż na tatusia.

Sven aż się wyprostował, gdy usłyszał o dziadku. Nie był przyzwyczajony do tego, że ktoś tak ni z gruszki, ni z pietruszki (kolejna fajna polska fraza) prawił mu impertynencje. Miał ochotę jednak wyjść. Wstać, zabrać płaszcz i trzasnąć drzwiami na pożegnanie. Był dumnym mężczyzną, zawsze wysoko nosił głowę. I naprawdę nie widział powodu, dla którego musiałby wysłuchiwać tyrad w wykonaniu pani Wichury. Rude czupiradło ubliżało mu każdym słowem. Już rozumiał, dlaczego Anna nigdy nie wspomniała o swojej matce. Ta kobieta nie zasługiwała na uwagę. Ale nie wstał, nie wyszedł. Opanował się i odpowiedział ściszym głosem:

– Anna jest w ciąży.

– Z panem?

Sven nie odpowiedział.

Grażyna była zdumiona i podniecona. Sięgnęła po kolejnego papierosa. Ostatniego w paczce. Zaraz będzie musiała zejść na dół po kolejne dwie. Albo lepiej trzy. Może wystarczy jej do rana. Miała wiele rzeczy do przemyślenia. A nie umiała myśleć, nie paląc. Szkoda, że ten wymuskany zagranicznik, którego Anka chyba z rozmysłem wybrała na tatusia swojego dzieciaka (był podobny do jej własnego ojca, Roberta Baumanna, jak jasna cholera), zapewne nie palił. Ale nic nie szkodziło zapytać. W kwestii papierosów Grażyna nie miała żadnych oporów. W innych kwestiach również.

– Ma pan fajki? Papierosy znaczy się?

Sven skwapliwie zaprzeczył i po raz kolejny spojrział na nią ze zdziwieniem. Jak mogła wpaść na pomysł, że on pali? Przecież wszystko w nim było zaprzeczeniem charakterystycznego dla palaczy niechlujstwa, które niektórzy nazywają luzem, a inni wolnością. Po raz kolejny poczuł się dotknięty jej impertynencją i brakiem wyczucia. Ta kobieta to istny potwór. Czarownica, a właściwie baba-jaga. Tak właśnie wyobrażał sobie w dzieciństwie ową jędzę na miotle, którą straszono małe dzieci. Rzeczywiście Grażynie brakowało tylko miotły i czarnego kocura na ramieniu.

– Anna wyjechała do Polski i niestety nie wiem, gdzie aktualnie przebywa. Może pani ma jakieś sugestie, gdzie należy jej szukać? – wyrecytował kolejne przygotowane zawczasu pytanie, chociaż nie miał już właściwie żadnej nadziei, że czegoś się dowie od tej kobiety. Mimo to po raz ostatni zaryzykował. Bał się, że każde jego pytanie zostanie skwitowane impertynencją i obraźliwą dla niego odpowiedzią.

– Sugestie, powiada pan – odparła kobieta. – Dobre sobie. Chyba nauczył się pan tego na pamięć, ze słownika jakiegoś wziął pan to słowo. Ja nie mam żadnej sugestii. A córki nie widziałam już od ponad roku. Pewnie od czasu, gdy zamieszkała z panem. Nawet dokładnie nie wiem gdzie, bo mi adresu nie podała. A pan nie raczył powiedzieć, kto pan jest i skąd pan przyjechał. Bo przecież nie mieszka pan w Polsce, tylko w Szwecji, prawda? – Po tej tyradzie Grażyna potężnie się rozkaszała.

Sven skinął głową. Ale postanowił nie zdradzać tej kobiecie szczegółów dotyczących swojego miejsca zamieszkania. Coraz bardziej niepokoił go kaszel Grażyny. Może ona ma gruźlicę?, przebiegło mu przez myśl. Epidemia tej groźnej choroby podobno znów wybuchła w Europie Wschodniej.

– Pan Formela wspomniał, że Anna ma siostrę. Ale nie podał mi żadnych szczegółów na jej temat. Liczyłem, że może pani pomoże mi się z nią skontaktować – Sven wyrecytował trzecie i ostatnie pytanie,

jakie miał do Grażyny.

– Siostrę! Dobrze sobie! One przez całe życie chyba dwóch słów ze sobą nie zamieniły. Nie znają się. To znaczy my ją znamy z telewizji. Ale ona nas nie. – Grażyna po raz pierwszy o sobie i córce powiedziała „my”. Widocznie chciała podkreślić, że od tej telewizyjnej siostry dzieli je przepaść.

– To ona występuje w telewizji? – Sven był wyraźnie zaintrygowany.

– Tak. Ma swój program. O rodzinie! Koń by się uśmieł. Baba dzieci nie ma. I udaje, że nie zna swojej siostry. Przyrodniej wprawdzie, ale przecież siostra to siostra. Co ja zresztą będę panu opowiadać. To są nasze rodzinne historie. Nie pańska sprawa. A teraz już zupełnie parę straciłam i nie mam siły gadać. Bo papierosów mi zabrakło. Nie chciałabym być niegrzeczna, ale muszę wyjść po fajki, więc chyba już się pożegnamy. Wystarczy jak na pierwsze odwiedziny przyszłego zięciunia?

Sven miał dość tej wizyty. Celu wprawdzie nie osiągnął, ale sporo dowiedział się na temat swojej partnerki. Z ulgą wstał z brudnego fotela (oczywiście wszystkie jego rzeczy trafią natychmiast do prania, a właściwie do walizki, którą zostawił w hotelu). Wychodząc, rzucił w kierunku Grażyny, mocującej się z zamkiem u botków, ostatnie pytanie:

– Jak się nazywa siostra Anny?

– Mańka. Marianna Baumann znaczy się.

Gdy wreszcie opuścił mieszkanie Grażyny, chcąc jak najszybciej opuścić kamienicę z jej nieznośnym kapuścianym zaduchem, skrzypnęły sąsiednie drzwi i wychynęła zza nich siwiuteńka staruszka.

– Pan zachodzi, bardzo proszę. – Skinęła na niego.

– Ale ja... – zawahał się Sven.

– Niech się nic nie boi, tylko na chwilę. Ciuńczykowa jestem, sąsiadka pani Grażynki od zawsze. To prawie jak rodzina, a może nawet i więcej...

Posłusznie wszedł do mieszkania, w którym woń starości mieszała się ze znanym mu z dawnych czasów zapachem naftaliny. Od progu widać było różnicę między tym lokum a ponurą norą Grażyny Wichury. Tutaj było schludnie i czysto. Gospodyni również sprawiała takie wrażenie.

– Czy może przychodzi pan od córki pani Grażynki? – staruszka od razu przystąpiła do przesłuchania.

– Tak – padła krótka odpowiedź.

– To dobrze. Bo pani Grażynka bardzo chora.

– Nie zauważyłem – mruknął Sven. Miał dość pani Grażynki i tego domu. Chciał jak najszybciej stąd wyjść.

– Bo ona to ukrywa. Ale chyba słyszał pan, jak kaszle, biedaczka? Cały czas kaszle i pluje krwią. A córka kompletnie się nią nie interesuje. Tylko pieniądze przysyła. Wiem, bo listonosz mi mówił, że regularnie dostaje przekazy. Ale u matki nie była ze dwa lata albo i więcej. Nieładnie.

Nie odpowiedział. Patrzył tylko na staruszkę ze zdumieniem i zażenowaniem. Nic nie wiedział o pieniądzach przesyłanych matce przez Annę. W ogóle nie miał pojęcia o stanie finansów Anny. Na ten temat też nic mu nie mówiła.

– Niech pan powie pani Ani, że mama ciężko chora. Martwimy się tu o nią. Wykończy się. A do lekarza nie chce iść. Mówi, że jak umrze, to wszyscy będą szczęśliwi, a już najbardziej to jej córka. Tylko pani Ania może tu coś poradzić. Tylko ona. To taka nieszczęśliwa rodzina... – westchnęła staruszka.

Ostatnie zdanie zaintrygowało Svena. Chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o nieszczęściach, które spotkały rodzinę Anny. Ale z drugiej strony nie miał najmniejszej ochoty na to, by zostać tu dłużej. Kiwnął tylko głową, co staruszka mogła odebrać jako znak aprobaty. Pewnie myślała, że wkrótce sprowadzi tu Annę, a ta zaprowadzi matkę do lekarza. Niestety, bardzo się myliła. Sven nie miał pojęcia, gdzie szukać Anny.

Wreszcie udało mu się opuścić mieszkanie starszej pani. Lekkim krokiem zbiegł po schodach. Miał

dość tego ponurego miejsca. Zaraz wyjdzie na powietrze. Niekoniecznie świeże, ale zawsze lepsze niż kapuściano-papierosowy smród czy zapach starości, który kojarzył mu się z zaniedbywaną przez niego matką. Najwyraźniej Anna również zaniedbywała swoją. Łączyło ich znacznie więcej, niż można by przypuszczać. Po wizycie na Gibalskiego to jedno było dla niego oczywiste. Nie odnalazł Anny, ale sporo się o niej dowiedział. Postanowił odnaleźć Mariannę Baumann. Czuł też, że powinien bliżej zainteresować się losem Grażyny Wichury, ale odsuwał tę myśl. W końcu ta kaszląca kobieta z papierosem w zębach nie była dla niego kimś bliskim.

MIŁOŚĆ BLONDYNKI

Postanowiła, że wreszcie umówi się z Wieśkiem. W jakimś niezobowiązującym miejscu. Najlepiej w kawiarni. Na przykład w Starbucksie w Manhattanie. Wypiją kawę i omówią sprawy związane z rozwodem. Raz-dwa i będzie po wszystkim. Krótka piłka. Bo przecież nie byli ze sobą od dawna. Odkąd ona zaczęła chorować, a Wiesiek wyprowadził się do Gosi. To już ponad dwa lata. A to, że nie był jej wierny od lat, nie stanowiło żadnej tajemnicy. W tej sytuacji rozwód to naprawdę formalność. Sprawa wydawała się prosta jak drut. Tym bardziej że chodziło o rozwód bez orzekania o winie. Poza tym Anka nie wysuwała żadnych roszczeń majątkowych, chociaż może powinna. Miała do siebie pretensje o to, że tak długo odkładała tę rozmowę. Trzeba to zrobić teraz, bo w poniedziałek miała się stawić na onkologii. Z piżamą i szczoteczką do zębów. I nie wiadomo, jak długo tam zabawi.

Usiadła w starym fotelu uszaku i zadzwoniła do Wieśka. Nie odbierał. Może zmienił numer? Postanowiła spróbować na stacjonarny. Całkiem prawdopodobne, że zlikwidował ten numer, żeby nie zawracali mu głowy telemarketerzy. Wszyscy teraz tak robią. Tak czy inaczej, musiała to sprawdzić. Po czterech sygnałach chciała się rozłączyć, ale ktoś odebrał. Nieznajomy, kobiecy głos. Wysoki i cieniutki. Wiesiek sięgał po coraz młodsze roczniki.

– Tak, słucham?

– Mówi Anna Baumann. To znaczy Anna Formela. – Już od dawna nie używała nazwiska męża, które niestety wciąż figurowało w jej dowodzie osobistym i w paszporcie. – Czy mogłabym rozmawiać z Wieśkiem?

– Dagmara Drożdzyk z tej strony – młody głos w słuchawce nieco zadrżał. Do panny Drożdzyk chyba dotarło, że ma do czynienia z prawowitą małżonką Wiesława. – Zaraz zawołam Wiesława, proszę poczekać. – Po czym rozległ się naznaczony paniką krzyk: – Wiesiu! Twoja żona dzwoni!

– Już schodzę! – usłyszała w tle Anka. A po chwili w słuchawce znajomy głos: – Aniu? Anulko, gdzie jesteś? – Wiesiek mówił czułym tonem. Zbyt czułym.

– Wiesiek, ty chyba się upiłeś! – Anka rzadko podnosiła głos, ale tym razem nie zdołała opanować wściekłości. Nie znosiła, jak nazywał ją Anulką. Poza tym obawiała się, że w takim stanie nie będzie mógł się z nią umówić. Przecież po alkoholu nie usiądzie za kierownicą. A ona chciała porozmawiać. Spokojnie i konkretnie. I koniecznie na neutralnym gruncie. Na pewno nie w jego domu, który był zaledwie dziesięć minut drogi od jej obecnego lokum. Ale Wiesiek nie powinien wiedzieć, gdzie zamieszkała. Mógłby ją nachodzić. A zamieszkała tak blisko swojego dawnego domu tylko dlatego, że nadarzyła się okazja. Przecież nie chodziło jej o to, żeby być blisko Wieśka, chociaż ktoś tak właśnie mógłby to odczytać. Na przykład panna, która odebrała telefon. A niech sobie myśli, co chce. Na zdrowie! Żadne tam sentymenty ani wspomnienia nie miały znaczenia. Ance zależało na spotkaniu z dala od wspomnień. A tym bardziej od jakiejś tam Dagmary Drożdzyk.

– Ależ jestem trzeźwy, trzeźwiutki jak świnia, Anulko. Gdzie jesteś, powiedz? Zaraz do ciebie przyjadę. – Wiesiek był tej soboty bardziej pijany niż zwykle. Od roku pił coraz więcej i więcej. Wcześniej nie miał problemów z alkoholem ani ze sobą. Ale od czasu, gdy opuściła go żona, czuł się coraz gorzej. I coraz częściej sięgał po alkohol już rano, zaniedbując nawet interesy, które kiedyś stawiał ponad wszystko. Ale ostatnio, gdyby nie Daga, byłoby naprawdę źle. To ona budziła go rano, pomagała mu się ubrać, a potem zawoziła go do pracy. I coraz częściej to ona wykonywała większość jego obowiązków. Wiesiek jednak nie zauważał wysiłków nowej partnerki. Ciągłe myślał o Ance i o złotych czasach, kiedy byli razem. Chociaż zdradzał ją wtedy na prawo i lewo, to przecież tylko ona się liczyła. Tylko na niej mu zależało. W gruncie rzeczy. Ale odeszła. Wszystko to wina Gośki Herbst. Tej cholernej Koljaczkowej. Gdyby wtedy się nie wyprowadził, gdyby nie zostawił Anulki w chorobie, pewnie nadal to ona byłaby tu panią domu. A nie jakaś Daga. Byle jaka parweniuszka. Głupia gęś.

– Chciałabym się z tobą umówić. Na jakimś neutralnym gruncie. Musimy porozmawiać. Wiesz, o czym. Proponuję dziś o szesnastej. W Starbucksie w Manhattanie. Pasuje ci?

Wieśkowi wszystko pasowało. Oprócz rozwodu. A o tym najprawdopodobniej chciała rozmawiać jego żona. Postanowił, że szybko wytrzeźwieje. Nie ma to jak zimny prysznic. A potem alkaprim i inne domowe sposoby.

Stał pod prysznicem tak długo, że aż się Daga zaniepokoiła. Coś tam pokrzykiwała, ale Wiesiek niczego nie słyszał. Bo woda szumiała i szumiało mu w głowie. A głowa miała być pierwsza klasa. Myśląca i szybko reagująca. Wszak to była życiowa sprawa. Wydawało mu się, że wszystko zależy od tej rozmowy. Musiał się postarać. Ogolił się, bo Anulka nie lubiła zarostu. Tak przynajmniej twierdziła. Ale chyba była nie do końca szczerą, skoro na jego następcę wybrała tego skandynawskiego brodacza. Na samą myśl o swoim rywalu Wiesiek trząsał się ze złości. Zupełnie nie rozumiał, co jego żona widzi w tym facecie. Daga powiedziała o nim, że jest dystyngowany. I może tu właśnie był pies pogrzebany. Swoją drogą, skąd Daga znała takie dziwne słowa? Chyba jej nie doceniał. Ale mniejsza z tym. Spojrzał w lustro. Wyglądał okropnie. Nie pomoże krem pod oczy. Ani woda po goleniu. Ani eleganckie sztyblety, które postanowił włożyć. Ani nawet nowa marynarka.

– Daga, gdzie są moje sztyblety?

– Że co?

– Sztyblety! Buty moje. Takie z cholewką.

– W czerwcu chcesz wkładać buty z cholewką? Noga ci się spoci.

– Niech cię o to głowa nie boli.

– No tak, cholewki będziesz smalił do żony!

– Nie twoja sprawa.

Daga była wściekła i mocno przestraszona. A co, jeśli oni się pogodzą? Co się stanie z nią? Będzie musiała się wyprowadzić. To oczywiste. Wrócić do domu, do rodziców? Nigdy! A co z pracą? Może zapomnieć o posadzie sekretarki w firmie Wieśka. Będzie nikim. Zostanie na lodzie. Póki co musiała jakoś się ogarnąć. I ogarnąć ten dom, żeby nikt nie mógł powiedzieć, że Daga to leniuch i fleja. Zastanawiała się, od czego zacząć. Czy najpierw posprzątać kuchnię czy może jednak salon. Ale gdy usłyszała znajomy dźwięk kluczyków od samochodu Wieśka, natychmiast zmieniła plany.

– Chcesz jechać autem? Po alkoholu? Zwariowałeś! Kompletnie ci odbiło. Weź taksówkę albo ja cię zawiozę.

– Jestem już całkiem trzeźwy. A taryfą nie pojedę. – Wiesiek nie znosił taksówkowych tapicerek,

starych i brudnych. Brzydził się ich.

– To cię zawiozę. Powiedz tylko dokąd.

Formela nie był zadowolony z takiego obrotu spraw, ale przecież w tym całym Manhattanie jest jakiś parking. Daga może pójść na zakupy, bo bardzo to lubi. Zakupy na jego koszt. Wprawdzie wydaje za dużo pieniędzy, jest rozrzutna i trzeba to przystopować, ale teraz najważniejsze, żeby mu nie przeszkadzała. I nie krępowała go. I tak miał tremę. Nie widział Anki od ponad roku. Wyjechała bez pożegnania. Nie zostawiła mu nawet kartki. Nic, ani słowa. Zabrała jedną walizkę. Długo nie wiedział, dokąd się udała. Nawet zgłosił jej zaginięcie na policji, ale go wyśmiali. Dopiero po jakimś czasie się odezwała. I powiedziała, że chce się rozwieść. I ułożyć sobie życie z kimś innym. W Szwecji. Wtedy się nie sprzeciwił, ale teraz był zdecydowany o nią walczyć. Żeby tylko do niego wróciła.

Postanowiła, że przed tą rozstrzygającą rozmową z Wieśkiem pojedzie na chwilę do kościoła Mariackiego. Popatrzeć na Piękną Madonnę. Wierzyła, że to jej pomoże. Że będzie miała siłę walczyć o swoje dziecko. O jego tożsamość. Wysoka na dwa metry figura Madonny, odzianej w niebieski płaszcz, zdawała się być emanacją kobiecej szlachetności i piękna. I spokoju, którego Ance tak bardzo ostatnio brakowało.

Wizyta w kościele zajęła jej nieco więcej czasu, niż pierwotnie zakładała. Po wyjściu zerknęła na zegarek i z niepokojem stwierdziła, że Wiesiek zapewne siedzi w Starbucksie. Na szczęście taksówka już na nią czekała, więc może aż tak bardzo się nie spóźni.

Źle się czuł w tym Starbucksie. Sami młodzi ludzie dookoła. On, ze swoim zapuchniętym, pijackim ryjem, w eleganckich, drogich ciuchach, wyglądał na dinozaura, który zaplątał się w obcym świecie. Czekał już piętnaście minut. Wypił dużą café latte, a Anki wciąż nie było. Może go wystawiła? Chociaż to do niej niepodobne. Zawsze była sumienna i punktualna. Ale z drugiej strony po tym, jaki numer mu wykręciła, uciekając do Szwecji bez słowa, mógł się po niej wszystkiego spodziewać. Upokorzyła go. I pewnie znowu miała taki zamiar. Wodziła go za nos. Siedział teraz w jakiejś idiotycznej knajpie, do której normalnie nawet by nie zajrzał. Bo to nie w jego stylu. I gapił się na każdą wchodzącą kobietę, co akurat było jak najbardziej zgodne z jego zainteresowaniami. Tak już miał, że lubił się gapić na baby. Zresztą nie tylko gapić. Różne rzeczy lubił z nimi robić. I przez te rzeczy, przez te niedorzeczne głupstwa, których narobił w życiu całą masę, zostawiła go żona.

Stwierdził, że już się nie pojawi, gdy w końcu stanęła w drzwiach. Zupełnie odmieniona. Miała śliczną fryzurę. Włosy krótkie, ale nie aż tak jak wtedy, gdy dochodziła do siebie po trzeciej chemioterapii. Wyglądały całkiem normalnie, zdrowo. Nie była już taka chuda. Miała na sobie krótką sukienkę w drobne kwiatuszki. Oczywiście niebieskie. Jednak tak bardzo się nie zmieniła. Sukienka miała ciężowy fason, chociaż brzuszka nie było jeszcze widać. No, może trochę. W każdym razie Anka starała się podkreślać swój odmienny stan, jak tylko mogła. Na sukienkę miała narzucony prochowiec. Oczywiście rozpięty, żeby było widać sukienkę, a pod nią ten ledwie zarysowany brzusek, który chyba był dla niej najważniejszy. Ważniejszy od niego. To na pewno. Ciekawe, czy jego rywal, którego tak się obawiał, miał u Anki równie niskie notowania? Chyba tak właśnie było, skoro i jego zostawiła bez słowa. Jak Wieśka.

Spojrzała na niego jakoś tak wesoło, całkiem przyjaźnie.

– Cześć! – powiedziała. – Coś taki smutny?

– Nie, tylko znudzony jakoś jestem – odparł.

– Spóźniłam się. Ale wiesz, jak to jest, gdy się jeździ tramwajem.

Wiesiek nie wiedział, jak to jest jeździć tramwajem. Od wczesnej młodości miał prawo jazdy i jakieś auto. Jeszcze w peerelowskich czasach wyremontował starą warszawę. Paliła jak smok, ale to była supergablota. I mógł zaimponować dziewczynom. Dzisiaj też miał niezłą furkę, ale niestety Ance najwyraźniej bardziej odpowiadało jeżdżenie tramwajami. Tak jak bardziej odpowiadała jej perspektywa samotnego macierzyństwa. Ciekawe, skąd miała pieniądze? Może podjęła pracę na uczelni? Jak kiedyś. Wiesiek postanowił to wszystko sprawdzić. Musi się czegoś o niej dowiedzieć. A potem otoczyć ją opieką. Ją i to dziecko. Nieważne, że nie on był ojcem. Wystarczy, że jego żona była matką. Będzie dbał o dziecko jak biologiczny ojciec. I o Ankę też. Wreszcie zagra rolę ojca rodziny. Czyż nie o tym właśnie marzyła jego matka?

– Co ci zamówić? – spokojnie zaczął rozmowę.

– Wodę niegazowaną. – Anka znacząco spuściła wzrok.

– Wiem, wiem, jesteś w ciąży.

– To już tak widać?

– Nie widać, ale wiem. Nie zapytasz skąd?

– Skąd to wiesz?

– Był u mnie ten twój Sinobrody.

Anka nagle spoważniała, przestała się uśmiechać. Wyraźnie nie miała ochoty drażnić tego tematu. W końcu nie po to tu przyszła. Mieli porozmawiać o czymś zupełnie innym.

– Słuchaj, nie mam za dużo czasu. Chciałabym, żebyśmy ustalili, co będzie dalej. No, wiesz...

– Właśnie, Anulko, co będzie z nami?

– Nie zgrywaj się. Wiesz, o co mi chodzi.

– Właśnie o to chodzi, że nie wiem.

– Teraz to już przeginasz. Mamy tylko jedną sprawę do załatwienia. I dobrze wiesz jaką. Spodziewam się dziecka. To też wiesz. I chcę, żeby moje dziecko miało jasną sytuację. A przy okazji żebym ja też miała jasną sytuację. Prawną. I nie tylko prawną. Życiową również. Chcę się rozwieść. I jeszcze chcę, żeby moje dziecko nosiło moje nazwisko. A nie nazwisko faceta, za którego kiedyś, przez pomyłkę, wyszłam za mąż. Ot i wszystko. Nic więcej od ciebie nie chcę. Rozwód za obopólną zgodą. Nie mam żadnych roszczeń majątkowych. Chyba ci to odpowiada? Zawsze umiałeś liczyć pieniądze.

Wiesiek nie poznawał własnej żony. Nie dość, że nabrała nieco kobiecych kształtów, których zawsze tak bardzo mu brakowało, to jeszcze potrafiła jasno powiedzieć, o co jej chodzi. Nawet mu to imponowało. I może wbrew swoim wcześniejszym zamiarom nie robiłyby jej trudności, gdyby nie powiedziała tego, czego nie powinna powiedzieć. O tej pomyłce. Że wyszła za niego przez pomyłkę. Takich rzeczy się nie mówi, nawet jeśli się tak myśli. Jak nic te głupie, niepotrzebne słowa wymyknęły się jej. Nie mogła przecież tak myśleć. Ale nawet jeśli nie myślała w ten sposób o ich związku, powiedziała o kilka słów za dużo. I będzie musiała za to zapłacić. Za słowa i za myśli też. Bo w życiu wszystko ma swoją cenę. Plus VAT.

– A co będzie, jak się nie zgodzę? – rzucił.

– Ale dlaczego miałbyś się nie zgodzić? Mieszkasz z tą panną Drożdzyk czy jak jej tam. Wcześniej wyprowadziłeś się do Goški. A te wszystkie Mariole, Anety? Myślisz, że nie wiedziałam?

– Jeśli wiedziałas, to tym gorzej dla ciebie. Godziłaś się na to. To był układ. Mała oportunistka z ciebie. Twoja matka miała rację. Wygodnicka jesteś. Pasowało ci dostatnie życie u boku bogatego

męża, który cię zdradzał, a ty przymykałaś na to oko, co? Teraz będziesz musiała za to zapłacić, moja pani. Nie dam ci rozwodu, ot co. Mnie też pasuje taki układ. A poza tym kocham cię. Tak, tak, nie rób takich wielkich oczu. Twój mąż cię kocha, czy to takie dziwne?

Anka nie brała pod uwagę takiego obrotu spraw. Wiesiek zachowywał się zupełnie irracjonalnie. To pewnie przez alkohol. Jechało od niego na kilometr. Wyperfumował się, wypachnił, wysmarował różnymi mazidłami, ale i tak nie zdołał przykryć tego obrzydliwego smrodu. I te jego wory pod oczami. Rok temu ich nie miał. Teraz wyglądał znacznie starzej. Bo pił. I to było widać. Nie wiedziała, co zrobić. Mogła go postraszyć adwokatem, świadkami gotowymi zeznawać, opowiadać przed sądem o tych wszystkich brudnych, plugawych historiach, o jego zdradach. O dziewczynach, które zatrudniał w swojej firmie jako sekretarki lub asystentki tylko po to, żeby świadczyły mu usługi wiadomego rodzaju. Przecież to obrzydliwe. Żadne z nich nie potrzebowało tego rozgrzebywać. Tak przynajmniej myślała. Ale chyba się myliła.

– Skoro tak, to nie mamy o czym rozmawiać.

Anka wstała. Nie mogła opanować drżenia brody. Bała się, że zaraz się rozpłacze. A przecież nie płakała nawet wtedy, gdy usłyszała od lekarza, że ma raka. Ani wtedy, gdy Wiesiek się wyprowadził do Gośki, zamiast opiekować się nią w chorobie. Nawet wówczas, gdy zobaczyła go w szpitalu, jak przyszedł razem z Goską Herbst odwiedzić jej chorą teściową i udawał, że nie poznaje własnej żony. Tamtego dnia wybiegła do łazienki i długo nie mogła się uspokoić. Ale teraz to była zupełnie inna sprawa. Ten obrzydliwy knur postanowił się zemścić. Nie tylko na niej, ale też na jej nienarodzonym dziecku.

– Anulko, poczekaj, nie odchodź. Porozmawiajmy spokojnie. – Wiesiek chwycił żonę za rękę, ale ona błyskawicznie wyrwała się z uścisku. Chwyciła prochowiec i wybiegła z knajpy.

Po drodze niemal zderzyła się z młodą kobietą. Wyższą od niej. Farbowaną blondynką z dużym biustem. Wiesiek zawsze lubił takie. Wszystkie te jego szparki sekretarki były szczerze obdarzone przez matkę naturę. Przez chwilę przyglądały się sobie uważnie. Anka nabrała podejrzeń, że ta kobieta to właśnie Dagmara Drożdżyk – kolejna flama jej męża. Tak elegancko mówiło się o tego typu relacjach w czasach babki, Beli Baumannowej. W czasach Anki o kochankach mężów mówi się, używając bardziej dosadnego słownictwa, odwołującego się do damskiej anatomii.

Biegła i płakała. Nigdy wcześniej nie zdarzały się jej takie reakcje. Zwykle wszystko przyjmowała ze spokojem. A teraz ciągle płakała. Łzy płynęły jakby bez jej udziału. Dobrze, że nie wytuszowała rzęs. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu. Chociaż to nie było dobre miejsce. Pomyliła się. Powinna jak najszybciej się stamtąd wyprowadzić. Nie podobali jej się sąsiedzi. Te wszystkie podejrzone hałasy. Coś tam było nie tak. Zagrobny też okazał się inny, niż przypuszczała. Może nie należało tak pochopnie uciekać od Svena? Nie miała ochoty na takie sytuacje. Szukała spokoju. I chciała wreszcie poukładać swoje sprawy. Ale nic z tego. W poniedziałek musi się stawić w szpitalu. Kota chyba zostawi u sąsiadki. Ma na imię Weronika. Ładne imię. Kojarzyło się jej z filmem Kieślowskiego. Też dobre skojarzenie. Może Nikodemowi nie będzie tam źle? Bo jeśli ta sąsiadka nie zgodzi się wziąć kota, pozostaje już tylko Zagrobny.

Niestety, nie udało jej się zdążyć na tramwaj. Stała bezradnie na przystanku. Zziajana, zdyszana. Niecierpliwiła się. Może nie powinna tak biegać w tym stanie? Ale miała siłę. Nie wiadomo skąd, ale miała. I mimo wszystko dobrze, że umówiła się na tę rozmowę z Wieśkiem. Przynajmniej dowiedziała się, że Sinobrody jej szukał. Postanowiła, że do niego zadzwoni. Ale jeszcze nie teraz. Po badaniach. Jak będzie wiedziała, że wszystko jest w porządku, że jest zdrowa. Wtedy do niego zatelefonuje. I może nawet wróci do Oskarshamn i znowu będzie im się układało. Tak naprawdę miała już dość tego mieszkania. I sąsiadki zza ściany – miłej, ale rozwiązłej. Jej nocne harce były coraz bardziej uciążliwe.

W końcu przyjechał kolejny tramwaj. Szóstka. Zapchana jak jasna cholera. Anka nie mogła dosięgnąć rączki. Nie miała czego się trzymać, bo była za niska. A nikt nie chciał ustąpić jej miejsca. Na darmo wypinała swój maleńki ciężowy brzuszek.

Gdy tak stała w tłoku, postanowiła, że się nie podda, nie ustąpi. Przecież może wrócić do panińskiego nazwiska. To da się załatwić w urzędzie. Na wszystko są jakieś procedury. Trzeba będzie się tym zająć, na pohybel Wieškowi i jego samczym instynktom. Biedna ta jego nowa pannica. Biedna, bo głupia, skoro się z nim zadaje. Zupełnie tak jak ona kiedyś.

Wiesiek patrzył na oddalający się w kierunku Oliwy tramwaj numer sześć. A więc całkiem możliwe, że mieszkasz w Oliwie. Ciągnie wilka do lasu, pomyślał z satysfakcją. Postanowił, że ją odnajdzie. I to jak najszybciej. Musi dowiedzieć się, gdzie mieszka, i porozmawiać z nią. Tak zupełnie na trzeźwo i na serio. A potem zaopiekuje się nią i dzieckiem. Wreszcie będzie ojcem. Przyszywanym, ale zawsze. Lepszy taki niż żaden. Bo ten Szwed to na ojca się nie nadaje. Raczej na dziadka. Tylko trzeba będzie odprawić Dagę. Trochę szkoda, bo mimo wszystko była użyteczna, ale jak mus, to mus. Żeby Anulka mogła się wprowadzić z powrotem do swojego domu. I zabawiać się dekorowaniem mieszkania. Bibelotami w różnych odcieniach niebieskości. A może norweska szarość z nutą lodowej mięty? Też byłoby fajnie. Nawet polubił niebieski. A jeszcze bardziej polubił styl Anki. Gdy wreszcie prawowita gospodyni wróci na Polanki, wszystko znajdzie się na swoim miejscu. Nawet jego interesy zaczną się kręcić, tak jak dawniej. Była tylko jedna poważna przeszkoda – Daga. Chyba coś kombinowała, bo rano powiedziała, że jej się spóźnia. Tak właśnie powiedziała: „Wiesiek, spóźnia mi się, no wiesz”. A on udawał, że nie dosłyszał. Z powodu kaca. Ostatnio codziennie rano miał kaca. Więc Daga odpuściła. Ale kto wie, co będzie dalej. Nie ufał jej. I w ogóle. Nadeszła pora, żeby się rozstać, a ona z czymś takim wyjeżdża. Pewnie wyczuła pismo nosem. I dlatego takie głupstwa opowiada. Ale on postanowił odzyskać Anulkę i żyć swoim dawnym życiem – uporządkowanym i na trzeźwo. Nawet jeśli Daga usiłowała uwiesić mu się na szyi.

Dagmara również patrzyła na tramwaj oddalający się w kierunku Oliwy. Musiała coś z tym zrobić. Bardzo chciała zostać z Wieśkiem. Pasowali do siebie przecież. Tak uważała. Ale Wiesiek chyba się jej wstydził. Bo nie była taką pseudointelektualistką, taką ą, ę, srę, jak jego żona. Ale to przecież była druga żona, więc mógł mieć jeszcze trzecią. Daga mimo wszystko nie traciła nadziei, że kiedyś nią zostanie.

Gdy wrócili do domu, udało jej się zaciągnąć Wieśka do łóżka. Przez całą noc szeptała mu do ucha, że go kocha i że jest wspaniałym mężczyzną. Wiesiek wzdychał, ale nie odpowiadał. Rano postanowiła przystąpić do ataku. Podawała świeżo zaparzoną kawę i korzystając z tego, że Wiesiek był trzeźwy, co nie zdarzało mu się ostatnio zbyt często, zaczęła rozmowę:

– Mówiłam ci już, że mi się spóźnia. I to od dwóch miesięcy. Wczoraj, jak byliśmy w Manhattanie, to znaczy jak rozmawiałeś z żoną, kupiłam w aptece test. I zobacz, są dwie kreski. Będziemy mieli dziecko. Mam nadzieję, że się cieszysz – mówiąc to, Daga podała Wieškowi test ciążowy.

Zbaraniał. Nie wiedział, jak zareagować. Był wściekły na Dagę, ale równocześnie rozpierała go duma. Dotąd miał dwie żony i ze dwa tuziny kochanek, ale żadna z nich nie zaszła z nim w ciążę. Prawdę mówiąc, po cichu był przekonany o swojej bezpłodności. I teraz nagle coś takiego. Daga albo kłamie –

może pożyczyła test od jakiejś swojej koleżanki – albo to nie jego dziecko. Nie ma mowy, nie da się złapać na bachora, cudzego w dodatku (chyba że byłby to dzieciak jego prawowitej małżonki). W jego domu nie było miejsca dla Dagi. Panna Drożdżyk musi spakować swoje klamoty i się wynieść. Wiesiek nie zrezygnował ze swoich planów. Anka tu wróci. I nieważne, że dziecko nie jest jego.

– Ty chyba z byka spadłaś! – wrzasnął na Dagę. – Myślisz, że złapiesz mnie na dzieciaka? Nie ma takiej opcji, zrozumiano?

– Ale... Wiesiek – jęknęła dziewczyna. Naprawdę nie spodziewała się po nim takiej reakcji. – To przecież będzie twoje dziecko. Jedyne. Myślałam, że się ucieszysz.

– To źle myślałaś. A czy to moje dziecko, to jeszcze się okaże, jak zrobimy badania genetyczne.

– Ale co ja mam teraz ze sobą począć? – jęczała Daga.

– Jeśli naprawdę wpadłaś, to zawsze możesz się wskrobać i będzie po sprawie. Dam ci kasę, możesz to nawet zrobić za granicą – warknął Wiesiek. Był wściekły na Dagę, że chciała go usidlić w ten najprostszy kobiecy sposób. Ale pomyślał, że w tym przypadku o żadnej skrobance nie może być mowy. Daga urodzi, a potem się sprawdzi, czyj to syn. Albo córka.

TAKA MAŁA

Patrzyła na wojenną fotografię pewnej damy kier. Dama siedziała w rikszy. Rozparta, pewna siebie. Trzymała nogę na nodze. Dzięki temu można było podziwiać jej zgrabne łydki. Była raczej filigranowa, zupełnie jak jej młodsza wnuczka Anka. Nie to co ona – Mańka, ta starsza – kawał baby. Marianna Baumann zawsze chciała być szczupłą, eteryczna jak babcia Bela. Ta z okupacyjnego zdjęcia, a jeszcze bardziej jak ta z portretu, który wisiał w domu ojca. Na honorowym miejscu. W pokoju kominkowym. Ojciec lubił tam przesiadywać, mając za jedyne towarzystwo wizerunek swojej matki. Duży, olejny obraz namalowany w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku przez znanego warszawskiego portrecistę. Marianna nigdy się nie dowiedziała, w jaki sposób obraz ocalał. Wszystko inne spłonęło, resztki rozkradli szabrownicy, ale portret przetrwał. I to w stanie niemal nienaruszonym. Kto wie, może to nie był oryginał, tylko powojenna kopia, dzieło byle jakiego pacykarza? Bo jeśli to oryginał, to kto go przechował?

Był chłodny wieczór. Marianna siedziała w pokoju kominkowym. Teraz to ona była właścicielką domu w Otwocku i tego cennego obrazu, rodzinnej pamiątki. Cała jej uwaga skupiona była jednak nie na portrecie, lecz na fotografii Beli Baumannowej. Fotografii wykonanej w kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Wpatrywała się w malutki kartonik, chcąc jak najwięcej z niego wyczytać. Małe, pozółkłe zdjęcie, z zagiętym prawym górnym rogiem było jedynym świadectwem okupacyjnych losów jej babki. Resztę tworzyły skrawki opowieści, w których prawda mieszała się z niedopowiedzeniami i domysłami. A może nawet ze zmyśleniami, kto wie.

Tamtego dnia, gdy zrobiono zdjęcie, świeciło ostre słońce. Bela, prawdopodobnie z racji choroby oczu, unikała intensywnego światła. Dlatego prawie zawsze nosiła okulary z przyciemnionymi szklami. Na zdjęciu też je miała. Po jej twarzy błędził lekki, ledwo zauważalny uśmiech. Wyglądała na odprężoną, co zupełnie nie pasowało do grozy tamtego czasu. Gdzieś za jej plecami płonęło warszawskie getto. A ona spokojnie siedziała w rikszy. Wystrojona, umalowana. Do tego ta fryzura. Typowo okupacyjna. W Anglii nazywano ją *victory rolls*.

Usta miała delikatnie pociągnięte szminką. Zapewne czerwoną, matową, bo takie były wówczas w modzie. Można przypuszczać, że paznokcie pomalowała czerwonym lakierem. Ale tego nie widać na czarno-białej fotografii. Nie wiadomo też, czy miała na nogach jedwabne pończochy, niebawym luksus nie tylko w okupowanej Warszawie, ale i w samym Paryżu. A może na wzór paryskich elegantek malowała nogi, żeby rekompensować brak pończoch? Albo po prostu się opalała? To drugie chyba nie wchodziło w grę, bo Bela musiała ze słońcem uważać. Żeby więc mieć chociaż złudzenie pończoch, musiała jednak malować nogi, a nawet kreślić szew z tyłu, żeby jej szyk był kompletny. Bo z całą pewnością nie miała na sobie tanich pończoch fildekosowych, chociaż w polskim klimacie takie właśnie pończochy były bardziej stosowne w kwietniu niż gołe nogi pociągnięte brązującym fluidem marki

Elizabeth Arden.

Ale skąd miała szminkę? Raczej nie kupiła jej w drogerii. A może jednak? Jedno było pewne – Beli Baumannowej nieobce były kanony okupacyjnej *haute couture*. Trzymała się ich jak ostatniej linii obrony. Wyglądała wyzywająco, chociaż ubrana była skromnie. Ale obcisły żakiecik z baskinką i wąska spódniczka do kolan również wyglądały jak z paryskiego żurnala Anno Domini tysiąc dziewięćset czterdzieści trzy. Tyle że o ówczesnym Paryżu mówiono, że jest *la ville sans regard*, bo piękne Francuzki, a nawet te nieco mniej piękne, demonstracyjnie nie patrzyły w oczy paradującym po mieście niemieckim oficerom. Uciekały od nich wzrokiem. To niepatrzenie Niemcom w oczy należało do wojennego, paryskiego sznytu. I było przejawem patriotyzmu. Paryżanki mogły sobie pozwolić na ten luksus. Bela natomiast spoglądała na esesmanów i gestapowców zza szkieł, bynajmniej nie unikając ich wzroku. Wiedziała, że niepewność i strach tylko potęgują niebezpieczeństwo.

Jasiek, młodszy brat Marianny, był prawie pewien, że ta jedyna ocalała okupacyjna fotografia ich babki została zrobiona gdzieś w pobliżu nieistniejącego dziś dworca Warszawa Główna. Jasiek, miłośnik przedwojennego modernizmu, bez trudu rozpoznał niewielki fragment tego nigdy nieukończonego gmazyska, pomnika warszawskiej architektury lat trzydziestych. Marianna westchnęła. Jasiek był architektem, więc się znał. Zapewne miał rację z tym dworcem, którego na zdjęciu prawie nie było widać. Podobno Bela Baumannowa, mieszkając po aryjskiej stronie, używała dokumentów na nazwisko Maria Lawina. Ukrywała się przed swoimi. Bo przed Niemcami nie musiała. Miała porządną *ausweis*. A z jej naturalnymi blond włosami i oczami w kolorze jasnoniebieskim mogła uchodzić za Polkę lub nawet Niemkę, chociaż zdradzał ją żydowski akcent, gdy mówiła po niemiecku. Natomiast jej polski, szlifowany w gimnazjum imienia Królowej Jadwigi, a potem na Uniwersytecie Warszawskim, brzmiał bez zarzutu. Nie musiała się farbować, jak te ciemnowłose Żydówki, ani przebierać, ani udawać. Wystarczyło, że była sobą. Damą kier. Młodą i piękną. A do tego znakomicie ubraną. Odstawioną – tak mówił o babce Jasiek. Powtarzał, że jest na tym zdjęciu taka wysztafirowana, że hej. Mariannę śmieszyły określenia, których użył brat. Były zabawne, bo niedzisiejsze. Zupełnie jak kreacja Beli. Ich babce dobry wygląd, elegancja, a do tego solidne, słono opłacone dokumenty dawały nadzieję na przetrwanie.

Obawiała się tylko tych, którzy znali ją przed wojną. Ich bała się najbardziej, bo wiedzieli, kim naprawdę jest, i mogli ją wydać. Dla pieniędzy, żeby zarobić więcej, niż można było wyciągnąć od niej samej. A przecież nie tylko o nią chodziło. Był ktoś, o kogo lękała się bardziej niż o siebie. Jej mały synek. Oddała go na przechowanie Marysi Wichurzance. Marysia pracowała jako położna w szpitalu Dzieciątka Jezus. Bela ufała tej kobiecie bardziej niż komukolwiek innemu. Ale to nie zmieniało faktu, że mały Robert, jej największa miłość i troska też największa, był u obcych. I można ją było nim szantażować. Przyciskać do muru. Hulaj dusza dla okupacyjnych kombinatorów i cwaniaczków. Takich jak na przykład Heniek Wichura, przyrodni brat Marysi, tej od Dzieciątka Jezus. Naprzykrzał się Beli coraz bardziej. Odkąd zobaczył ją gdzieś w Alejach Jerozolimskich (a właściwie Reichstrasse), może w tej rikszy właśnie. Prawdopodobnie był wściekły, że tak dobrze wygląda. Że ciągle stać ją na modne nylony ze szwami i nawet na skórzane pantofelki, zamiast chodaków na drewnianej podeszwie, jakie nosiła wówczas większość młodych warszawianek, w tym jego siostra Marysia. Ale ona, ta cholerna, wiecznie zadzierająca nosa Baumannowa, córka rabina i żona kapitalisty, wciąż miała jakieś zaskórniaki. Stać ją było na luksusy, na jakie nie mogli sobie pozwolić inni. Ta zdrowa część narodu. Chrześcijańska, lub aryjska, jak kto woli. Bo w sanacyjnej Polsce, gdzie polskie były ulice, lecz kamienice należały do Żydów, takim jak Heniek Wichura wiodło się źle. Nie mieli pracy, klepali biedę. I perspektyw nie mieli żadnych. Te pojawiły się dopiero za Niemców. Można było pohandlować. Czym się dało. Nawet ludźmi. Tymi handlowało się najlepiej i stawki ciągle rosły. A Heniek potrzebował floty. Żeby wreszcie zadbać o siebie jak należy. Bo mężczyzna był z niego jak malowanie, czyż nie? Włosy piękne, lśniące, czarne,

wypielegnowane brylantyną, zaczesane z przedziałkiem na środku. A do tego czarny wąsik. Ach, ten wąsik! Niczego sobie dżentelmen z Kercelaka. Średniego wzrostu, ale postawny. Galant jak się patrzy. Brakowało mu prawej górnej dwójki, ale to ślad po bójce, więc rana szlachetna. Tak przynajmniej uważał Heniek i obnosił się z tym, chociaż po cichu zbierał na protezę, najlepiej ze złota. Na osłodę miał Heniuś świętą siostrę Maryjkę. Maryjka przechowywała Robercika. Tego gówniarza pięknej Beli. Chyba za darmo go u siebie trzymała. Frajerka jakich mało.

Marysia Wichurzanka, młodsza siostra Heńka, wyprowadziła się z Otwocka i zamieszkała w Warszawie przy Pańskiej pod setnym numerem. W oficynie. Niepotrzebnie się narażała, trzymając tego bachora. Cholera wie, po co ta święta Marysia nadstawiała karku, żeby uratować jakiegoś żydowskiego szczyła, podczas gdy ta lafirynda, jego matka, w najlepsze jeździła sobie riksą po śródmieściu. Tak naprawdę Heniek długo miał nadzieję, że poszła z dymem jak setki tysięcy innych żydków. A tu taka niespodzianka.

Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Heniuś postanowił, że teraz zapłaci jej za wszystko. A zwłaszcza za to, że kiedyś patrzyła na niego z góry, jak na parobka. Ona i cała jej rodzinka. Przed wojną, gdy wszyscy jeszcze mieszkali w Otwocku. Baumannowie oczywiście w swojej zakichanej willi. A on kątem u szwagra drugiej żony swojego starego. W drewnianej przybudówce, w siedem osób w jednej izbie przyszło im gnić. Wesoło nie było, oj, nie. Teraz mógł się zemścić i może nawet na tym zarobić.

Wytropił ją. To wcale nie było trudne. Mieszkała przy Złotej. A właściwie na rogu Żelaznej i Złotej. W tej wielkiej kamienicy, z racji nadmiernej liczby mieszkańców ochrzczonej przez warszawiaków Pekinem. Mieszkanie Beli mieściło się w gorszej części budynku. Do klitki, którą zajmowała, wchodziło się po dość stromych dębowych schodach. A więc już nie było jej stać na pierwsze piętro od frontu, gdzie klatkę schodową wyłożono marmurami. Musiała się zadowolić byle jakim lokum. W sam raz dla jakiejś szwaczki albo położnej ze szpitala Dzieciątka Jezus, ale nie dla wielkiej damy, którą wciąż odgrywała Bela.

Wchodząc po mocno już wyrobionych, skrzypiących schodach, Heniek wyzbył się wszelkich kompleksów. Teraz była w jego świetle i w jego mocy, chociaż jeszcze o tym nie wiedziała. Już po chwili walił pięścią w ciężkie, dębowe drzwi. I wrzeszczał: „Otwieraj!”. A ona stała po drugiej stronie i miała nadzieję, że ten przeklęty Wichura zniechęci się i w końcu sobie pójdzie. Że wystarczy przeczekać. Wstrzymać oddech na chwilę. Udawać, że jej nie ma. A potem, gdy już go tu nie będzie, uciekać jak najdalej. Może nawet do Krakowa? Tylko co się stanie z małym? Przecież on zapewne wiedział, gdzie mieszka i kim jest chłopiec, którym opiekuje się jego siostra. Jak otworzy, to już po niej. Ale jeśli mu się wymknie, to on odegra się na jej dziecku. Była w potrzasku. A Heniek uparcie napierał na drzwi. I wrzeszczał: „Będziesz rozkładać nogi jak inne! Nie jesteś lepsza!”.

– Tak przecież mogło być, prawda? – Marianna patrzyła bratu w oczy, gdy opowiadała mu tę historię. – Ciotka Zośka, ta z Krakowa, pamiętasz ją przecież, mówiła, że tak właśnie było. Że Heniek szantażował Belę. Nachodził ją. Żeby wyciągnąć od niej pieniądze, kosztowności, co tylko się dało. Żądał również innych rzeczy. I właśnie te inne rzeczy są najbardziej bolesną częścią tej opowieści, rozumiesz, Jasiek? Dlatego się o tym w domu mówiło ściszym głosem, żebyśmy nie słyszeli. Ja i ty. Mali byliśmy wtedy. Ty to chyba Beli wcale nie pamiętasz, a ja całkiem dobrze.

Jasiek przytaknął, ale wciąż nie był usatysfakcjonowany tym, co mówiła siostra.

– Ale skąd wiesz, że ona mieszkała w tej właśnie kamienicy? – zapytał.

– To akurat wiem od ojca. Kiedyś mnie tam zawiózł i pokazywał mi to wszystko. Przerazające miejsce. Trochę jak z filmu grozy. Te korytarze, schody. Naprawdę przynębiające – i kamienica, i cała okolica, a do tego Pałac Kultury i Nauki – drugi PeKiN, tak blisko...

– A jak to się stało, że Bela znalazła się w obozie? – drążył Jasiek. – Przecież mówiłaś, że pamiętasz obozowy numer wytatuowany na jej przedramieniu.

Marianna nie wiedziała dokładnie, czy to Heniek, czy jednak ktoś inny wydał Belę. Ale niestety jakkolwiek było i ktokolwiek ją zadenuncjował, ich babce przyszło przedzierzgnąć się z damy w obozową muzułankę. Nie wiadomo, jak przeżyła. Prawie nic nie wiedzieli o kacetowych czasach Beli. Ona sama nie spisała wspomnień. Chyba w ogóle obawiała się słowa pisanego. Nic też na ten temat nie mówiła. Zresztą mówiła bardzo niewiele. Najwięcej zdołała z niej wyciągnąć chyba właśnie ciotka Zośka i to głównie dzięki niej powstała legenda babki Beli. Na pewno wiadomo, że Baumannowa wróciła do Warszawy w obozowym pasiaku, cała cuchnąca, we wrzodach i bez włosów na głowie, za to z wytatuowanym numerem i z napadami psychotycznego lęku, które pojawiały się u niej przez długie lata, właściwie do samej śmierci. Podobno dzięki pasiakowi udało jej się uniknąć gwałtów w drodze powrotnej. To było jedyne, ale chyba rzeczywiście skuteczne zabezpieczenie dla więźniarek wracających z kacetów tamtej rozszalałej wiosny i lata tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. Bela wróciła do Otwocka. Znalazła syna, którego przechowała rodzina Marysi Wichury. Ci sami ludzie, u których niegdyś mieszkał Heniek. W przybudówce. Zabrala chłopca od Wichurów. Nie wiadomo, czy im zapłaciła. W przeciwieństwie do Marysi inni członkowie otwockiego klanu nie byli bezinteresowni. Za to Bela była silna i przedsiębiorcza. Marianna zapamiętała ulubione powiedzenie babci: „Nigdy nie jest się za szczupłym i za bogatym”. Niestety, Marianna szczupła nie była. To znaczy odchudzała się od zawsze i nie była gruba, Boże broń, ale po prostu była za duża, jakaś taka przerośnięta, jak mawiała babcia, obserwując, jak jej wnuczka pnie się do góry, ale też zwiększa objętość. Prawda była taka, że Marianna, chyba po swojej matce, miała grube kości i była potężnie zbudowana. To mogło nawet się podobać i podobało się wielu. Ale nikt nie mógł o niej powiedzieć, cytując słowa przedwojennego szlagieru, że jest „taka mała”. Wygląd był źródłem kompleksów Marianny. W czasach szkolnych kulila się w sobie, garbiła. Ale gdy dorosła, nauczyła się prostować i być sobą. Wysoką, postawną, przystojną, budzącą respekt – z wielu powodów. Zerkając na portret babci, zawsze jednak czuła żal do matki albo raczej do losu, że nie odziedziczyła urody po nestorce rodu. Wszyscy za to powtarzali, że otrzymała po niej w spadku coś równie cennego – przedsiębiorczość i twardy charakter.

Wkrótce po wojnie Bela ponownie wyszła za mąż. Za dygnitarza, prominentnego przedstawiciela nowej władzy. I dzięki temu niezwykle korzystnemu mariażowi mogła znacznie więcej, niż tylko robić zakupy w sklepach za złotymi firankami jak inne dygnitarzowe w tamtej epoce. I nosić szyte na miarę żakiety z baskinką i wąskie spódniczki, będące reminiscencją paryskiej mody z czasów okupacji. A do tego szpilki i toczki z woalką, złotą biżuterię. Największą jednak zaletą jej nowego położenia było to, że znów była górą. Wystarczyło jedno słowo jej męża, a niemożliwe stawało się faktem. Fatałaszki i modne drobiazgi kupowała na ciuchach, od handlarzy, a przecież w takich miejscach można było spotkać Heńka. I właśnie jego szukała Bela, a nie ciuchów. Mimo urody eterycznej blondynki była kobietą zdecydowaną i twardą. Chciała się zemścić za to, co jej zrobił Wichura. Dopaść go. I ukarać. Babcia Bela wcale nie była taka święta. Była twarda, nieustępliwa i zawsze dopinała swego – jak później Marianna. Powojenna przyszłość Heńka Wichury nie rysowała się więc w jasnych barwach, odkąd latem czterdziestego piątego Bela wróciła do Warszawy. Bez włosów, za to cała w strupach. Jak szybko udało jej się zregenerować? Chyba błyskawicznie, skoro na ślubnej fotografii, wykonanej w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku, ma już sporo włosów i nawet nieco zaokrągloną buzię. I garsonkę, zapewne szytą na miarę. Chyba kremową. A do tego szykowny toczek z woalką. Ale mimo tego sztafażu postarzała się o dziesięć lat w stosunku do fotografii w rikszy. Na zdjęciach z drugiej połowy lat czterdziestych Bela Baumannowa, wtedy już Zykusowa – po mężu partyjniaku – jest panią w średnim wieku, chociaż ma niewiele ponad trzydzieści lat. Uwagę zwracają jej wąskie usta. Na zdjęciu jest surowa. W życiu potrafi

być bezwzględna. I to nawet bardzo. Jej zakulisowym zabiegiem zawdzięczał Heniutek kogutek ośmioletnią odsiadkę w zakładzie karnym we Wronkach, która pozbawiła go nie tylko przednich siekaczy oraz kłów, ale także czci do czegokolwiek i wiary w cokolwiek.

Młodsza wnuczka, o której istnieniu Bela primo voto Edgarowa Baumannowa secundo voto Władysławowa Zykusowa nigdy się nie dowiedziała, była teraz dokładnie w tym samym wieku, co jej babka niedługo po wojnie. I wyglądała prawie identycznie. Tylko wyraz twarzy miała o wiele łagodniejszy. I wciąż jeszcze młodzieńczy. Marianna zazdrościła Ance podobieństwa do ich wspólnej babki i tego, że jej przyrodnia siostra wciąż jeszcze była na tyle młoda, żeby urodzić dziecko. Coś po sobie zostawić. A właściwie kogoś. Bo to było w życiu najważniejsze. A dla Marianny niestety już niemożliwe.

I CÓŻ, ŻE ZE SZWECJI?

Marianna zdziwiła się, że ktoś do niej dzwoni o tej porze. W dodatku z zagranicy, ze Szwecji chyba. Na początku wielocyfrowego numeru telefonu było czterdzieści sześć, czyli kierunkowy do Szwecji. W słuchawce odezwał się męski baryton. Całkiem przyjemny. Dawno żaden mężczyzna do niej nie dzwonił. No chyba że Jasiek albo ktoś w sprawach służbowych, ale to co innego. Nie liczy się. A ten mężczyzna, dobrze mówiący po polsku (choć z lekkim akcentem i dziwnie przeciągający sylaby), telefonował do niej nie tylko prywatnie, ale nawet chciał się z nią spotkać. I to jak najszybciej. Na neutralnym gruncie. Był w Warszawie przejazdem. I chciał się umówić przy Piwnej, w Gwiazdeczce. Powiedział, że jest sentymentalnie związany z tym miejscem, bo jego matka tam bywała. Dawno temu. Marianna nie przypuszczała, żeby jej matka mogła bywać w jakiegokolwiek kawiarni, bo przecież była krakowską mieszkanką. Wnuczką pani Dulskiej – ta ostatnia co prawda pochodziła ze Lwowa, ale kojarzyła się przecież z Krakowem. Może dzięki serialowi Wajdy, w którym panią Dulską brawurowo zagrała Anna Polony. Marianna oglądała ten film wiele razy i myślała o swojej rodzinie. Tej z Krakowa, ze strony matki. Ale Gwiazdeczka to się jej raczej z ojcem kojarzyła. Był znanym uwodzicielem, bywalcem kawiarni, restauracji, nocnych knajp, a nawet mordowni. Takim warszawskim lowelasek. Umawiał się z różnymi damami, a to w Kameralnej, a to w Gwiazdeczce, zwanej nie bez powodu Dziureczką. A potem same kłopoty z tego wynikały. Jednym z najpoważniejszych kłopotów była Anna. Jej przyrodnią siostrą. Marianna długo nie mogła się pogodzić z jej istnieniem. Dopiero po śmierci ojca i po tym, co zrobił Juliusz, jej były mąż, postanowiła stawić czoła tej bolesnej sprawie. Może dlatego, że nie była już tą najboleśniejszą. Jej stosunki z Anną bynajmniej się nie poprawiły, chociaż Marianna zachowała się wielkodusznie. Przynajmniej ona uważała, że postąpiła wobec siostry wyjątkowo szlachetnie, wypłacając jej sporą część pieniędzy odziedziczonych po ojcu. O wiele szlachetniej, niż nakazywałby zdrowy rozsądek, nie wspominając o rachunku ekonomicznym i o jej rodzinie z Krakowa, która gdyby wiedziała o postępkach Mańki, na pewno ostro by protestowała.

Ale oto teraz Marianna ma się spotkać z jakimś tajemniczym mężczyzną, który również interesował się jej przyrodnią siostrą. Spotkanie miało się odbyć w miejscu, gdzie przed laty jej ojciec uwodził mniej lub bardziej naiwne panienki. To dodawało pikanterii całej sytuacji.

Zastanawiała się, co włożyć. Sądząc po głosie, mężczyzna był w jej wieku, no, może trochę starszy. I chciał z nią porozmawiać. Dowiedzieć się czegoś na temat siostry. Marianna się zgodziła, chociaż może nie powinna, bo przecież nie miała pojęcia, kim tak naprawdę jest ów pan. Mówił wprawdzie, że jest partnerem Anki, ale cóż to znaczy partner? Tak czy inaczej, uwiódł ją tembr jego głosu. Piękny, męski. Zupełnie jak głos jej ojca kiedyś, gdy był jeszcze nieco młodszy i wciąż podobał się kobietom. Ale ten mężczyzna miał jeszcze jeden atut – lekko cudzoziemski akcent. Bardzo naturalny, zupełnie nieudawany. Lubiła to. Zawsze imponowali jej przystojni, dystyngowani cudzoziemcy. Ta fascynacja zaczęła się

jeszcze w czasach jej wczesnej młodości, gdy niełatwo było dostać paszport. A każdy wyjazd zagraniczny, zwłaszcza na Zachód, był wielkim wydarzeniem. Wtedy właśnie, jako mała dziewczynka, a później nastolatka, myślała, że fajnie by było wyjść za mąż za cudzoziemca. Najlepiej takiego dystyngowanego, starszego od niej. Z pozycją i majątkiem. I wyjechać stąd na zawsze. Ale potem pojawił się Juliusz. I skończył się komunizm. Marianna porzuciła więc swoje młodzieńcze plany matrymonialne. Całkiem niesłusznie. Najwyraźniej jej młodsza siostra miała więcej rozsądku. I dobierała sobie życiowych partnerów, nie licząc się z porywami serca. A w każdym razie nie tylko z nimi.

Ostatecznie Marianna postanowiła, że na spotkanie ubierze się klasycznie. W kostium. Ten granatowy od Hugo Bossa. Do tego apaszka z graczami w polo, niebieska z czerwonym. Od Hermès. Bardzo twarzowa. I w dobrym guście. W końcu to było spotkanie oficjalne, chociaż poniekąd prywatne.

Nie była przyzwyczajona do czekania na mężczyznę. W dodatku nieznanego. Ale czekała. Założyła ciemne okulary, żeby nikt jej nie rozpoznał. W końcu miała znaną twarz. Chociaż telewizyjny makijaż zmieniał wygląd. Na szczęście w kawiarni było pustawo. Siedziała nad małą czarną, zastanawiając się, czy posłodzić. Nie chciała się roztyć po pięćdziesiątce jak jej matka. Dlatego musiała uważać na najmniejszą kalorię, nawet taką tycią, tycieńką. Od lat była na diecie, ale teraz starała się tę dietę zaostrzyć, bo przez zimę przybyło jej kilka niechcianych centymetrów w pasie i w biodrach. Przez to nie mogła nosić swoich ulubionych ołówkowych spódnic. Brała więc pod lupę każdą łyżeczkę cukru. I z każdą minutą coraz bardziej ją irytowało, że musi czekać na mężczyznę.

Gdy wreszcie wszedł do kawiarni, nieco zziębły i chyba lekko speszony, od razu wiedziała, że to on. Właściciel miłego głosu. Naprawdę wysoki. Chociaż dla Marianny, mierzącej ponad sto osiemdziesiąt centymetrów, żaden mężczyzna nie był za wysoki. Ten byłby w sam raz, pomyślała. To znaczy uszedłby w tłoku, poprawiła się. W każdym razie był wyższy od Juliusza. I z pewnością mogłaby wkładać buty na wysokich szpilkach, wychodząc z nim na miasto albo nawet na jakąś telewizyjną galę. Za tę myśl też się skarciła. Przecież miała przed sobą mężczyznę swojej siostry. Przyrodniej, niemitochondrialnej, więc zdecydowanie dalszej i mniej ważnej, niż gdyby miały wspólną matkę, ale zawsze siostry. I dlatego pewne zasady obowiązywały. Może to były drobnomieszczańskie przesady. Ale ważne. Będzie jednak ciężko trzymać się tych zasad, bo mężczyzna spodobał się jej od pierwszego wejrzenia. Robił wrażenie raczej nieśmiałego i zamkniętego w sobie. Bardziej elokwentny był przez telefon. Na żywo ledwo wybąkał niewyraźnie „dzień dobry”.

Usiadł naprzeciwko Marianny i spuścił wzrok. Ta przystojna, wyrafinowana kobieta onieśmiała go. I była zupełnie nie w jego guście. Za wysoka i zbyt pewna siebie. Zupełnie jak jego matka. To właśnie ona, towarzysząca Matylda, bywała przed laty w Gwiazdeczce. Przyjeżdżała do Warszawy służbowo. I spotykała się tu z kimś ważnym dla niej. Sven nie wiedział dokładnie, kto to był. Czy przyjaciel, czy jednak kochanek. Ale potem, po latach wspominała tę kawiarenkę z sentymentem. Sven sprawdził w internecie, czy Gwiazdeczka jeszcze istnieje. I ucieszył się, gdy się okazało, że ma się całkiem nieźle, chociaż czasy już nie te i ludzie też nie ci. Jego matka ciągle powtarzała tę myśl o złych czasach i złych ludziach, w odróżnieniu od dawnych dobrych czasów i wspaniałych ludzi, z którymi miała do czynienia w młodości. Tak jakby naprawdę kiedykolwiek było lepiej. Zwłaszcza dla jego matki. Bo kobietę, która przed nim siedziała, czas z pewnością traktował łaskawie. Była dużo starsza od Anny. I zupełnie do niej niepodobna. Poznał już dwie najbliższe krewne swojej partnerki i miał wrażenie, że nic jej z nimi nie łączyło. Dziwna rodzina, pomyślał. Bardzo podobna do jego własnej. Teraz wiedział to na pewno.

Rozmowa się nie kleiła, chociaż Marianna naprawdę się starała. Ale jej rozmówca należał do tych najtrudniejszych. Nie chciał niczego do picia. Tylko wodę. Bez gazu. Co za facet! Z początku myślała, że jest nieśmiały, ale to jednak nie było to. Obserwował ją uważnie. I pytał o Annę. Tylko ona go interesowała. I to chyba bardzo. Marianna poczuła ukłucie zazdrości.

– Czyli nie ma pani z nią żadnego kontaktu?

Sven był wyraźnie zawiedziony. Marianna czuła, że ma ochotę wyjść i więcej się z nią nie spotykać. Pewnie liczył, że jako siostra wie coś o Annie. Poda mu jej adres albo jakieś informacje, które doprowadzą go do jej kryjówki. Bo Anka zapewne gdzieś się ukryła. Raczej nikt jej nie zabił ani nie porwał, chociaż oczywiście wszystko było możliwe. Marianna bardzo chciałaby czymś przykuć uwagę Svena Dibeliusa, bo wtedy może trochę by się otworzył i mogliby porozmawiać normalnie. W końcu był prawie jej szwagrem, a więc członkiem rodziny. Niestety, nie mogła nawet opowiedzieć jakiejś anegdoty z dzieciństwa czy młodości swojej przyrodniej siostry, bo wychowały się oddzielnie, a pierwszą rozmowę, w dodatku telefoniczną, odbyły półtora roku temu, już po śmierci ich wspólnego ojca Roberta Baumanna. Potem jeszcze kilkakrotnie rozmawiały przez telefon i raz na żywo, w kancelarii notarialnej. Ale wszystkie ich konwersacje dotyczyły spadku i miały formalny, niemal urzędowy charakter.

– Dobrze pan mówi po polsku, ale przecież jest pan Szwedem. Skąd pan zna nasz język? – Marianna usiłowała zmienić temat, ignorując pytania Svena o Ankę. Musiała czegoś się o nim dowiedzieć, bo ją intrygował. Jej siostra miała naprawdę dobry gust. Tylko ta siwa broda Mariannie nie pasowała, reszta była bez zarzutu, chociaż ostatnio nawet brodacze są w modzie. Jej brat na przykład przypomniał sobie, że może mieć zarost i być *cool* i *jazzy*. Wyglądał z tą kocią bródką jak idiota, ale wydawało mu się, że jest bardzo seksowny i wreszcie poderwie jakąś fajną cizię. Tak właśnie mówił o swoich podbojach ojciec. Cizie, babki, lale. Wszystkie leciały na Roberta, ale już na Jaśka Baumanna żadna nie chciała spojrzeć łaskawym okiem.

– Kiedyś mieszkałem w Polsce – odparł niechętnie Sven.

– A dlaczego właściwie szuka pan Anki?

– Bo wyjechała nagle i nie powiedziała, dokąd jedzie.

– Mieszkaliście razem? – Marianna cały czas zachowywała się jak wścibska baba. Zupełnie wbrew sobie, bo przecież z natury była raczej powściągliwa i nie lubiła się mieszać w nie swoje sprawy. Chociaż z drugiej strony wypytywanie ludzi o różne dziwne sprawy leżało w jej zawodowych kompetencjach. Ale robiła to tylko w pracy, prywatnie mało interesowała się ludźmi. Wolała trzymać dystans. Sven tylko kiwnął głową. Było widać, że nie zamierza już nic jej powiedzieć. Ani o sobie, ani o swoim związku z Anką. – Ale skoro pan się martwi o Ankę, to znaczy, że ona znowu jest chora? – Marianna próbowała jakoś ratować rozmowę.

– Obawiam się, że tak – powiedział Sven, podnosząc się z miejsca. – I na dodatek jest w ciąży, która zagraża jej życiu.

Pożegnał się z Marianną skinieniem głowy, a ona została na miejscu, zaskoczona i zdezorientowana. Chciała go jakoś zatrzymać. Ale nie wiedziała jak. Ten mężczyzna był wyjątkowo gburowaty. I wyjątkowo przystojny.

Po powrocie do domu Marianna nie mogła sobie znaleźć miejsca. To był dla niej szok. Prawie taki jak

wtedy, gdy miała dwanaście lat i ojciec powiedział jej, że ma siostrę. Wtedy po prostu się na niego obraziła, podobnie jak jej mama. I w tym stanie obrażenia trwała przez wiele lat. Do śmierci ojca. Odzywała się do niego, uśmiechała, ale wszyscy, z ojcem na czele, wiedzieli, że Mańka jest obrażona. Gdyby ktoś zapytał, z jakiego powodu, nie umiałaby powiedzieć nic sensownego. Po prostu ojciec złamał zasady. Właściwie to łamał je cały czas. I dlatego nie mogła go już kochać. A tym bardziej nie mogła polubić tej siostry, której, zdaje się, przez wiele lat nikt nie lubił, nawet jej własny ojciec. Dopiero ten mężczyzna z siwą, a właściwie siną brodą. Jemu z pewnością zależało na Annie. I Mańka bardzo jej tego zazdrościła. A jeszcze bardziej zazdrościła jej dziecka, które podobno nosiła w sobie. W brzuchu, a nie pod sercem. Co za głupie gadanie, że dziecko jest pod sercem! W brzuchu siedzi i tyle! Ona nie miała nikogo. I już nie będzie miała. Bo Juliusz, jej niewierny mąż, zostawił ją po wielu latach fasadowego małżeństwa i teraz mieszkał sobie w najlepsze w Otwocku, z pewnym znanym muzykiem jazzowym, który był jego aktualnym mężem. Albo żoną. Cholera jasna ich wie! Marianna nie zamierzała wnikać w istotę relacji pozamałżeńskich swojego byłego małżonka. Najgorsze w tym wszystkim było to, że dość często się widywali. Przy różnych okazjach. Czasem tak przypadkowo, na ulicy, podczas spaceru. A czasem, niestety, na oficjalnych rautach. I on chyba dobrze się z tym czuł. Nawet porozumiewawcze spojrzenia jej przesyłał. Jak gdyby nigdy nic. A ona cierpiała. Bo za każdym razem, gdy widziała byłego męża, wracała przeszłość. Te zmarnowane lata. Ich niepotrzebne, bezpłodne małżeństwo, które było więzieniem zarówno dla niego, jak i dla niej. Mimo rozvodu Marianna nie umiała sobie poradzić z emocjami.

Zastanawiała się, czy może Anka odezwie się do niej. Ale to było raczej mało prawdopodobne. Jeszcze zanim spotkała się ze Svenem, próbowała dodzwonić się do swojej przyrodniej siostry, ale telefon cały czas był wyłączony. Anka najwyraźniej chciała odciąć się od świata. Pewnie jej celem było utrzymanie ciąży, którą wszyscy uważali za niebezpieczną, wręcz szkodliwą. Marianna nie mogła przestać o tym myśleć. W końcu jeśli jej przyrodnia siostra zdoła urodzić dziecko, będzie to jedyne przedłużenie linii ich wspólnego ojca – Roberta – i babki Beli Baumannowej. Bo ona i jej brat Jasiek nie mieli dzieci. Cała nadzieja więc w Ance. Dlatego Marianna postanowiła, że będzie szukać siostry. Nawet za cenę odbycia rozmowy z tą straszną byłą cyrkówką, matką Anki.

STRACONE ZACHODY MIŁOŚCI

Anka miała poważny problem, zupełnie nieoczekiwany. Dotąd zawsze była sama. Wystarczyło zapakować jedną walizkę i już mogła zmienić swoje życie, a przynajmniej otoczenie. Teraz jednak mały sierściuszek, który zdążył rozgościć się u niej na dobre, potrzebował tymczasowej opiekunki lub opiekuna. Była za niego odpowiedzialna. Musiała znaleźć dla kociaka nowy dom. Tylko na dwa, trzy dni, podczas jej pobytu w szpitalu. Powinna poprosić o pomoc doktora Maćka. Miał duże mieszkanie. Ale jeśli poprosi go o tę drobną przysługę, on znów zacznie coś sobie roić na jej temat. Wróciła więc do pierwotnego pomysłu. Czemu nie dać Nikusia na przechowanie sąsiadce? Tej zza ściany. Wyglądała na osobę lubiącą koty. Anka była przekonana, że sąsiadka zareaguje entuzjastycznie na jej propozycję. Postanowiła się o tym przekonać i przy okazji spotkania na schodach zagadnęła ją w sprawie Nikodema.

– To tylko na kilka dni. Obiecuję, dwa, trzy dni i będę z powrotem.

– Hmm – mruknęła kobieta. – No dobrze, ale tylko dwa, trzy dni, nie dłużej.

Teraz już Anka nie była pewna, czy dobrze robi. Sąsiadka chyba jednak nie bardzo chciała zająć się kotem. A ona przywiązała się do tego zwierzaka. Był jeszcze mały, ale bardzo bystry. Chodził za nią krok w krok. Najchętniej cały czas spędzałyby w jego towarzystwie.

Znowu pakowała swoją małą walizkę. Nieco podniszczoną. Który to już raz? Nie liczyła. Czowała ucisk w żołądku. I bolała ją głowa. Zapewne z nerwów. Bo przecież to nie może być nawrót choroby. Nie teraz. Nie ma mowy! Trzeba myśleć pozytywnie. Miała zbyt ważne zadanie do wykonania. Po prostu nie mieściło jej się w głowie, że choroba mogłaby wrócić. Ale ten cholerny Maciek, jej onkolog, chyba był innego zdania. Patrzył na nią jakoś tak podejrzliwie. A potem zachował się jak idiota. Może więc nie należało doszukiwać się w jego spojrzeniu jakiegoś niebezpieczeństwa dla niej i dla dziecka. Ale mimo wszystko bała się szpitala. Natomiast doktora Maćka Zagrobny, mimo wszystko, nie obawiała się wcale.

Nie zdążyła na dobre się rozlokować na swoim szpitalnym łóżku, nie mówiąc o poznaniu współlokatorek (niestety, po raz kolejny kobiet znacznie starszych od niej), gdy pojawił się Zagrobny w swoim szpitalnym uniformie.

– O, pani Anna! Znakomicie, że już pani jest. Zapraszam do mojego gabinetu.

Anka nie miała ochoty na rozmowę z onkologiem, a poza tym obawiała się, że doktor Maciek zachowa się podobnie jak podczas ostatniej wizyty. Zacznie jej robić jakieś dziwne awanse (tak się to kiedyś nazywało, bo teraz mówi się o molestowaniu). A ona po prostu musiała przejść niezbędne badania i jak

najszybciej opuścić ten oddział. Żeby za dużo nie wiedzieć, żeby nie myśleć o chorobie. Teraz miała inne sprawy na głowie. Byle dalej stąd. To był koniec trzeciego miesiąca, a właściwie początek czwartego. Jej brzuszek zaokrąglił się wyraźnie. I tylko to się liczyło. Podkreślała swoje kształty, jak tylko mogła. Z dumą i z nadzieją. Tak naprawdę nie miałyby nic przeciwko temu, żeby leżeć na ginekologii. Byle nie tu, wśród chorych na raka.

Gdy wychodziła z sali, jedna z pań westchnęła, że doktor Zagrobny taki przystojny, najprzystojniejszy ze wszystkich. „I jeszcze całkiem młody”, dodała druga. Obie zazdrośnie patrzyły na Ankę. A ona szła do gabinetu bardzo niechętnie. Wiedziała, o czym będzie mowa.

– Niech pani usiądzie, pani Aniu. Musimy porozmawiać – zaczął doktor Maciek. – Jest pani naszą pacjentką od ponad dwóch lat. I naprawdę uważam, że odnieśliśmy sukces. Więc teraz po prostu musimy się zastanowić, co dalej, rozumie pani?

Nie rozumiała, ale czuła, że ten przydługi i zupełnie niepotrzebny wywód na temat ich wielkiego sukcesu to tylko wstęp do tego, żeby zasugerować jej konieczność usunięcia ciąży. Ale na to było już za późno. Takiej konieczności nie ma i nie będzie. A nawet gdyby była, Anka i tak by tego nie zrobiła. Nigdy, przenigdy. Bo kiedy tylko dowiedziała się, że jest w ciąży, postanowiła, że urodzi to dziecko. Żeby nie wiem co.

– Nic nie rozumiem, panie doktorze. Naprawdę nie rozumiem pańskich sugestii. Powiem więcej: nie chcę ich zrozumieć. Urodzę moje dziecko bez względu na wszystko. A pan powinien mi w tym pomóc, a przynajmniej nie szkodzić. Niech pan pamięta, że teraz ma pan pod opieką dwie pacjentki: mnie i moją córkę. Bo jestem pewna, że to dziewczynka. Marysia – niech pan zapamięta jej imię.

Zagrobny był zaskoczony tym nagłym wybuchem. Przecież Anna Formela zawsze była bardzo powściągliwa i dzielna. I małomówna. Lubił to. Znał niewiele takich kobiet. Jego mama mówiła zdecydowanie za dużo, a Elce buzia się nie zamykała.

– Ależ, pani Anno, ja przecież nic takiego nie powiedziałem – zaprotestował. – Zresztą poprosimy o konsultację ginekologiczną. Wszystko rozważymy i zdecydujemy, ale to po badaniach oczywiście. Teraz chciałbym tylko się dowiedzieć, jak się pani czuje. Czy te bóle głowy przypadkiem nie powróciły, no i mdłości?

Ankę od rana bolała głowa. Ale to przecież z nerwów. Trudno było się nie denerwować. Pobyt w szpitalu i te wszystkie badania ją stresowały. Poza tym ból głowy i mdłości niczego jeszcze nie dowodziły. To nie był nawrót choroby. Nudności to normalna rzecz w jej stanie. Potrząsnęła więc głową. Żeby sobie doktorek nie myślał, że złapał ją w pułapkę. Że tu zostanie. I że pozbędzie się dziecka.

– Jak długo to będzie trwało? Mam na myśli badania. – Anka patrzyła na doktora Maćka świdrującym wzrokiem bazyliuszka.

– Tyle, ile będzie trzeba – odparł Zagrobny. – Proszę się rozluźnić, pani Aniu, i jak najwięcej odpoczywać. To jest teraz pani najważniejszym zadaniem, tu, na oddziale. Jeśliby pani czegoś potrzebowała, to proszę kontaktować się ze mną. Ma pani mój prywatny numer telefonu. Proszę dzwonić o każdej porze. Naprawdę niepokoiłem się o panią przez ostatnie dni, Anno. Bardzo się niepokoiłem. I dlatego się cieszę, że panią u nas widzę.

Jeszcze trochę, a się oświadczy, pomyślała Anka. I poczuła coś na kształt popłochu. Postanowiła nie dopuścić do takiej sceny jak ostatnio – gdy nagle zaczął ją całować po rękach. Całkiem niekurtuazyjnie. Ten mężczyzna chyba rzeczywiście się w niej podkochiwał. Czy dlatego tak podkreślał, że się cieszy, że w końcu wylądowała na onkologii? Ani to nie był powód do radości, ani nie było to ich pierwsze spotkanie po jej przyjeździe ze Szwecji. W końcu jak by nie było mieszkała u niego. No może niezupełnie u niego, ale mieszkanie przy ulicy Polanki było jego własnością. Powinna się stamtąd jak najprędzej wyprowadzić. Tylko wciąż nie miała głowy do tego, żeby poszukać czegoś innego. A co do Zagrobnego –

był zdolnym onkologiem. Anka uznała, że nie powinna go do siebie zrażać. W końcu to on ma jej pomóc w razie czego. Ale teraz czekały ją tylko badania. Nic wielkiego. Rutyna. No, może niezupełnie. Nie zamierzała jednak wpadać w panikę. Te badania były konieczne i konsultacja ginekologiczna też. Poza tym była śpiąca. Nie wyspała się w nocy, bo jej sąsiadka znowu hałasowała. To znaczy oboje hałasowali – sąsiadka i sąsiad. Ten od czarnego garnituru. Tutaj, w szpitalu, chyba będzie więcej spokoju.

– To ja już może pójde się położyć, panie doktorze. – Anka poderwała się z krzeselka.

– Dobrze, pani Aniu, ale jeszcze dziś zaczynamy badania. Na razie te podstawowe. Niech pani będzie gotowa.

Wyskoczyła z gabinetu doktora Zagrobnego jak strzała. Bała się tych pożegnań. Całowania w rękę. Jego powłóczyстых spojrzeń. Marzyła o tym, żeby się wyciągnąć na szpitalnym łóżku i spać, spać, spać. Gdy zasypiała, ostatnią jej myślą było, że jeśli badania wypadną dobrze, jeśli doktor Zagrobny nie znajdzie niczego niepokojącego we wnętrzu jej czaszki, to zadzwoni do Svena i powie mu o wszystkim. Może nawet się pogodzą, może on zdoła zaakceptować dziecko. Marzyła o tym. Zrobiła już nawet na szydełku małe niebieskie buciki dla Marysi. To nieważne, że dla dziewczynki wyprawka powinna być różowa. Jej córeczka będzie miała niebieską. W różnych odcieniach. I nikomu nic do tego. Różowy zupełnie jej nie pasował. To dobre dla świnek, a nie dla dziewczynek.

Jeśli Anka myślała, że tak łatwo się go pozbędzie, to się myliła, i to bardzo. Wiesiek nie był z tych, co to się dają łatwo zbyć. A ona chyba była naiwna albo przeciwnie – lubiła kusić los, skoro zamieszkała przy tej samej ulicy, przy której mieszkał on. Ulica Polanki była wprawdzie dość długa, a numeracja domów niezbyt przyjazna dla przybysza z zewnątrz, ale dla Wieśka, który mieszkał tu od piętnastu lat, to była jego okolica, jego stare śmieci, gdzie czuł się pewnie i swobodnie. Ankę zauważył zupełnie przypadkowo, jak wędrowała z Rynku Oliwskiego z zakupami. Więc po prostu poszedł za nią i dzięki temu z łatwością odkrył, gdzie się zatrzymała. Miał ją teraz w garści albo, jak kto woli, na widelcu. Nie wymknie mu się tak łatwo jak wtedy. Nie upokorzy go. Postanowił, że zaatakuje ją znienacka, na ulicy. Podejdzie, weźmie pod rękę i... Tutaj jego śmiały plan się urywał, bo do niego pójść nie mogli, ponieważ w ich domu nadal rezydowała Dagmara. Nie wyrzucił jej, chociaż początkowo miał taki zamiar. Ale była cholernie przebiegła. Umiąca go podejść, zwłaszcza jak był na bańce, a to przecież zdarzało mu się dość często. Poza tym ciężowy brzuch rzeczywiście jej rósł, podobnie jak jego żonie. Wściekły się te baby czy co? Że im się nagle rodzić zachciało. Jeśli jego matka dowiedziałaby się o ciąży Dagi, to nie dałaby mu spokoju. Wiesiek, tak na wszelki wypadek, już teraz przestał odbierać telefony od swojej rodzicielki. Bo i tak ciągle tylko truć, żeby wreszcie się rozwiódł. Uszy mu od tego gładzenia wiedły. Zapowiedział tylko Dadze, że jak się dzieciak urodzi, to on i tak robi badania genetyczne, żeby wiedzieć, czy jest jego, czy jakiegoś Dagusiowego gacha. Ale nawet jeśli okaże się jego, to i tak Daga nie ma co liczyć, że go złapie na tego bachora. Nie zamierzał się z nią żenić, tym bardziej że przecież miał żonę. O wiele bardziej interesującą niż panna Drożdzyk. I nie zamierzał odpuszczać, musiał ją jakoś odzyskać. Pragnął, żeby do niego wróciła.

Musiał przyspieszyć, bo Anka bardzo szybko szła. Skąd miała siłę, żeby tak zasuwać? Może to hormony tak ją rozhuśtały. Pędziła jak nigdy dotąd, a Wiesiek dostawał zadyszki. To przez tę tuszę – dwadzieścia zbędnych kilogramów, a może nawet trzydzieści. Był ociężały. Nie dało się tego ukryć. Zwłaszcza przed sobą samym. Poruszał się jak staruch. I zupełnie nie miał siły ani motywacji, żeby się zmienić. Schudnąć i przestać pić. Na szczęście Anka właśnie weszła do klatki schodowej starej, poniemieckiej kamienicy, gdzie zapewne mieszkała. Niosła torbę z zakupami, więc chyba wracała do siebie. Wątpił, że robi zakupy

jakiejś cierpiącej staruszce. Samarytanką nigdy nie była. Raczej koncentrowała się na sobie. Taka właśnie była. Oj, bynajmniej nie święta. Ale i tak wolał ją od tych wszystkich swoich bab, które miewał na boku. I jeśli ją odzyska, to jego życie znowu będzie miało blask. Przestanie pić. Przecież to proste – nie pić i już! Tylko trzeba mieć motywację. A dopóki jest z Daga, to motywacji mieć nie będzie. Ta baba spychała go w dół. A on chciał ku górze, ku słońcu. Tak czy inaczej, miał już adres Anki. Przyjedzie tu jutro z samego rana i będzie czatował. Może dowie się czegoś więcej? Teraz już musiał iść do domu. Żeby się napić. Napić i zjeść. Albo tylko napić, bo głodny wcale nie był. Napije się, prześpi, a jutro z rana podjedzie tu nowym autem, którego Anulka nie zna, i będzie czekał do skutku. Już mu się nie wymknie ta jego śliczna ptaszyna.

Zagrobny naprawdę się martwił o Annę. Była w niebezpiecznej, ciężowej euforii. A ciąża w jej stanie to był najgorszy z możliwych scenariuszy. Zastanawiał się, jak jej wytłumaczyć, że aborcja to w jej sytuacji jedyne wyjście. Choroba wróciła. Po dwóch badaniach niestety mieli już pewność. On i profesor Kaczmarek, który również był zdania, że ciążę należy usunąć. Ale to Maciej miał z nią porozmawiać. Nie wiedział, jak jej o tym powiedzieć. Że nie jest dobrze. I trzeba działać. Teraz, zaraz. Znowu agresywna chemioterapia. Jeśli chce pożyć jeszcze trochę. Bo o to właśnie tu chodziło. Zagrobny wiedział, że nie powinien tak się angażować. Że to nieprofesjonalne. Był tylko jej lekarzem. Ale to była samotna kobieta i ktoś musiał się o nią zatroszczyć. Padło na mnie, pomyślał, przejęty swoją rolą.

Wiedział, że jest zawzięta i najwyraźniej uparła się na to dziecko. Ale przecież po czterdziestce też można urodzić pierwsze dziecko. Wiele kobiet tak robi. I nawet są szczęśliwe. One i ich dzieci, urodzone stosunkowo późno. To właśnie chciał jej wytłumaczyć. I jeszcze to, że nie było już czasu na zbędne dywagacje. Tu wszystko było bardzo proste. Zero-jedynkowe. Życie albo śmierć. I trzeba się spieszyć.

– Pani Aniu, niech pani usiądzie, proszę – zaczął poważnym tonem. – Niestety, mamy nawrót choroby. I musimy działać. To znaczy zaczynamy chemioterapię. Teraz, zaraz. Nie mamy czasu.

Twarz Anki stężała. Nie spodziewała się tego. Cały czas miała nadzieję, że jej najgorsze obawy się nie sprawdzą, że choroba nie wróci. Nie mogła uwierzyć, że jest tak źle. Przecież miała teraz coś ważnego do zrobienia. Najważniejszego. I żadna choroba nie mogła jej tego uniemożliwić.

– W takim razie chciałabym dostać plan leczenia. Z uwzględnieniem procedur, które nie będą szkodliwe dla mojego dziecka.

Tym razem to Zagrobny miał zdziwioną minę. Nie spodziewał się, że jego pacjentka zareaguje w ten sposób. Że rzuci mu wyzwanie. Mógł tylko przytaknąć.

– Czy jest pani świadoma, że wystąpienie nowotworu złośliwego podczas ciąży tworzy sytuację bardzo skomplikowaną klinicznie? I że konieczne jest agresywne leczenie? – zaczął oficjalnym tonem, ale Anka spojrzała na niego w taki sposób, że się zawahał. – Możemy zacząć leczenie już teraz – podjął po chwili – bo zbliża się koniec pierwszego trymestru. Ale radioterapię, która też będzie konieczna, musimy odłożyć na okres po rozwiązaniu. – Mówił jeszcze dość długo, ale Anka nie miała siły śledzić jego wyводу. Znowu była chora. Tylko tyle do niej dotarło. Siedziała naprzeciwko lekarza, cała odrętwiała. Tym razem nie miała ochoty uciekać z gabinetu. Bała się samotności i tej myśli – że to, co najgorsze, wróciło. – Pani Anno, jest jeszcze jedna sprawa. Chciałbym, żeby pani towarzyszyła jakaś bliska osoba. Nie chcę być niedelikatny, ale może ojciec dziecka powinien zostać powiadomiony o pani sytuacji... – Doktor Zagrobny zmieszał się, chociaż takich rozmów z pacjentami przeprowadził już wiele.

Anka również czuła się zbита z tropu. Nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć. Przecież w tej sytuacji nie zatelefonuje do Svena. Postanowiła oszczędzić mu tego, co już raz przeżył, towarzysząc umierającej

Fridzie. Właśnie dlatego wyjechała, uciekła od niego. Wbrew swojemu pragnieniu, by wreszcie być z kimś naprawdę, by stworzyć normalną rodzinę, jakiej nigdy nie miała. Ale z drugiej strony powinna zadbać o dziecko. Nie wystarczy sama wyprawka. Mała musi jeszcze kogoś mieć. I ona też musi kogoś mieć. Nie może być sama. Problem polegał na tym, że oprócz Svena Anka nie miała nikogo. Żadnej bliskiej osoby. Była oczywiście Grażyna, ale ona nie była osobą, która mogłaby się zaopiekować kimkolwiek. Chociaż podobno była jej matką. W każdym razie to wynikało z dokumentów. I tylko z nich.

– Ale pan przecież wie, jaka jest moja sytuacja – zaczęła niepewnie.

– Więc może jednak zawiadomimy ojca dziecka?

– Nie teraz. Może później.

Anka pomyślała jeszcze o kimś. Ale to chyba była niedorzeczność. Marianna, jej siostra, była siostrą tylko teoretycznie. Jeszcze bardziej teoretycznie, niż Grażyna była matką, bo one dwie prawie się nie znały. Ale Ance przyszło do głowy, że jej córka powinna mieć kogoś. Kogoś z jej rodziny. Ciotkę Mariannę na przykład. Mimo wszystko.

Będzie trzeba załatwić jeszcze jedno. Nikodem nie mógł za długo być u tej sąsiadki. W końcu prawie wcale nie znała tej kobiety. Doktor Maciej będzie musiał pójść na Polanki i zabrać kota od tej dziwnej pani. Koniecznie. Niech go przechowuje u siebie. W końcu ma duże mieszkanie.

– Panie doktorze, ja mam jedną ważną prośbę do pana – na chwilę znacząco zawiesiła głos, tak żeby sobie pomyślała o czymś dwuznacznym, może nawet lekko swińskim. I żeby zmiękł.

Zagrobny spojrzał na nią znad okularów. Z nadzieją. Oczywiście cały czas marzył o tym, że Anna kiedyś zmieni zdanie, spojrzy na niego łaskawym okiem. Przecież wtedy, gdy byli sami w jego gabinecie, kiedy zaczął całować ją po rękach, podobało jej się. Chyba nawet była podniecona. Tak mu się wydawało. Może więc nie był jej tak całkiem obojętny.

– Chodzi o mojego kota. On został sam u sąsiadki. Miałam tu być tylko dwa, trzy dni. I go zostawiłam. Może pan by go przechowował, dopóki ja stąd nie wyjdę? Wiem, że nie powinnam o to prosić, ale po prostu nie mam go z kim zostawić, a nie chcę, żeby zmarniał. To dobry, piękny kotek.

– Ale ja... – zaczął Zagrobny. Nie lubił kotów. Kiedyś chciał mieć psa, ale mamusia się nie zgodziła. Na kota w domu też pewnie się nie zgodzi.

– Nie ma sprawy, rozumiem – ucięła Anka. – Poproszę kogoś innego.

Wstała i poszurała do wyjścia. Nie spodziewała się, że jej odmówi. Ale odmówił. Trzeba będzie poszukać kogoś innego.

Dogonił ją na korytarzu. Cały czerwony. Chwycił ją za dłoń. Zupełnie tak jak wtedy, gdy byli sami w jego gabinecie. Teraz jednak wyrwała się błyskawicznie. Dookoła chodziły pielęgniarki i snuli się pacjenci.

– Wezmę kota – powiedział żarliwie. – Oczywiście, że wezmę. Będzie mu u mnie dobrze. Tylko niech się pani nie martwi. Chociaż tym. Jak się nazywa kot?

– Nikodem. Nikuś.

BO MIŁOŚĆ, MÓJ MIŁY...

Był trochę rozkojarzony, a nade wszystko zmęczony tym dłuższym, niż planował, pobytem w Polsce. Poza tym niczego się nie dowiedział ani od Formeli, ani od matki i siostry Anny. Co prawda wszyscy troje obiecali mu, że zatelefonują, jeśli będą mieli jakieś wieści, ale jakoś im nie ufał. Zwłaszcza temu pijanemu wieprzkowi, Formeli. Wyjątkowo antypatyczny typ. Sven nie potrafił zrozumieć, jak jego subtelna i wyrafinowana Anna mogła zostać żoną kogoś takiego. Widocznie połasiła się na jego pieniądze. Nie świadczyło to o niej najlepiej. Dotąd wydawała mu się bez skazy. To on był wszystkiemu winien. Że źle się czuła w jego domu i w końcu uciekła. Miała dość tego, że traktował ją jak niezbyt doskonałą kopię swojej zmarłej żony. I że nie chciał dziecka. Nie chciał go nadal. I był wściekły na Annę, że zostawiła go tak bez słowa. Może niepotrzebnie jej szukał? W końcu była dorosłą kobietą i wiedziała, co robi.

Dopiero podczas lotu ze Sztokholmu do Oskarshamn uświadomił sobie, jaki błąd popełnił, i to już na samym początku. Komórka Anny wciąż leżała w kącie sypialni. Należało się nią zająć. Naładować, wprowadzić kod PIN i przeszukać historię połączeń. Na pewno musiała się z kimś kontaktować przed wyjazdem. To będzie właściwy trop.

Miał jeszcze jeden problem, o którym wolałby zapomnieć. Chodziło o Jarosława, jego przyrodniego brata. Tego cholernego obłąkańca. Podczas swojego krótkiego pobytu w Gdańsku pojechał na Srebrzysko, żeby odwiedzić go w szpitalu. Ale okazało się, że go tam nie ma. „Po prostu uznaliśmy go za zdrowego na tyle, żeby go wypisać. Oczywiście na jego żądanie”, powiedział młody lekarz z rozbajającym uśmiechem. No jasne. Wypisali wariata ze szpitala i nawet nie wiedzieli, dokąd poszedł. W każdym razie na pewno był w mieszkaniu ojca i zabrał swoje rzeczy. Te cholerne kłamoty, które zawsze zajmowały pół garderoby w mieszkaniu przy Obrońców Westerplatte. Pewnie gdzieś się zadekował. Tylko gdzie? Za jakiś czas, jak nie da znać o sobie, zaczniesz go szukać. Chociaż wtedy może być za późno. Będzie z tego jeszcze jakieś nieszczęście. Ale nie mógł na to nic poradzić. Teraz najważniejsza była Anna.

Z kodem PIN nie miał kłopotu. Anna wykorzystwała swoją datę urodzenia – dzień i miesiąc. Wiele osób tak robi. A ona zawsze się zrywała na te wszystkie kody, zwłaszcza ten od alarmu w jego domu. Nie zadbała więc należycie o ochronę swoich danych w telefonie. Zastanawiał się, dlaczego w ogóle zostawiała ten telefon? Może chciała podrzucić mu jakiś trop? Pewnie miała jeszcze jeden aparat i numer, którego nie znał. Lubiła tajemnice. Mniejsza z tym. Najważniejsze, że bez trudu znalazł numer, z którym kilkakrotnie łączyła się przed wyjazdem. Wiedział nawet, do kogo należy, bo zapisała w telefonie również adres tego abonenta i numer jego telefonu stacjonarnego. Sven był wściekły na siebie, że nie sprawdził telefonu Anny przed wyjazdem do Gdańska. Stracił mnóstwo czasu i pieniędzy. Zamiast odwiedzać Wieska, a potem Grażynę i Mariannę, powinien od razu skierować się do onkologa

Anki – doktora Macieja Zagrobnego, który mieszkał w Gdańsku przy ulicy Wita Stwosza. Kilkaset metrów od Willi Wieśka Formeli. Sven dobrze znał tę okolicę, ponieważ niedaleko znajdowało się mieszkanie po jego ojcu, gdzie zatrzymał się podczas swojego pobytu w Gdańsku. Był o krok. Gdyby wtedy odwiedził tego całego Zagrobnego (Boże, co za nazwisko dla lekarza specjalizacji onkologicznej!), pewnie dowiedziałby się, gdzie przebywa Anna. Może znowu była w szpitalu, na oddziale u tego doktora? Pomyślał o tym ze zgrozą. Bo tego właśnie najbardziej się obawiał. Jeśli wyjechała z powodu nawrotu choroby, a nie dlatego, że nie zaakceptował jej ciąży, to chyba nie chciał jej szukać. Po prostu się bał. Niestety, wszystko układało się w logiczną całość. Anna wiedziała, że on panicznie boi się jej choroby i śmierci, dlatego miłosiernie usunęła się z pola widzenia. Opuściła go, żeby oszczędzić mu przeżywania tego koszmaru po raz wtóry. Była szlachetna. Ale nawet jeśli było źle, jeśli była chora i zdychała gdzieś tam, w okropnym polskim szpitalu, powinien być przy niej. Bez względu na swoje lęki i słabości.

Wybrał numer telefonu doktora Zagrobnego. Anna wspominała mu o nim wcześniej, ale o dziwo nie zapamiętał tego idiotycznego nazwiska. Teraz przypomniał sobie, że mówiła o tym typku ciepło, jak o dobrym znajomym. Doktor Maciek. Trochę nawet był o tę zażyłość zazdrosny. Ciekawe, czy to jakiś młody facet, czy stateczny pan doktor, kochający żonę i ojciec? Był wieczór, może nie najlepszy moment na telefonowanie do kogoś nieznanego, ale Sven postanowił nie czekać do następnego dnia. Zagrobny odebrał dopiero po piątym sygnale. W słuchawce zabrzmiał młody głos. Mężczyzna najpewniej przed czterdziestką. Niedobrze.

– Zagrobny, słucham. – Głos młody, ale wymowa nieco bełkotliwa. Sven pomyślał, że facet chyba nie jest trzeźwy. No cóż, w piątek wieczorem miał prawo coś wypić.

– Nazywam się Sven Dibelius, szukam Anny Baumann, pańskiej pacjentki – zaczął Sven spokojnym, pewnym tonem.

– Chyba Anny Formeli – poprawił go Zagrobny z nutą irytacji. – Zgadza się, pani Anna była moją pacjentką, ale nie udzielam informacji na temat moich pacjentów osobom nieuprawnionym. – Tym razem głos lekarza brzmiał zdecydowanie i jakby bardziej trzeźwo.

– Bo widzi pan, ja jestem, ja jestem... – Sven nie wiedział, jak powinien określić swoją relację z Anną. Poza tym nie miał ochoty zwierzać się jakiemuś obcemu facetowi. – Szukam Anny. Wiem, że kontaktowała się ostatnio z panem. Tak wynika z zapisów w jej telefonie.

– Powtarzam: nie udzielam żadnych informacji na temat moich pacjentów. – Chociaż głos doktora Maćka znowu zabrzmiał stanowczo, Sven nadal przypuszczał, że jego rozmówca nie jest trzeźwy. Był na to bardzo wyczulony. Może dlatego, że zarówno Sylvia, jego pierwsza żona, jak i jego matka nie wylewały za kółkiem.

– Jeśli Anna jest chora i leży u pana na oddziale, to proszę przekazać, że jej szukam. Niech pan z łaski swojej poprosi ją, żeby się ze mną skontaktowała.

Zagrobny nie zdążył powtórzyć swojej mantry, bo jego rozmówca rzucił krótkie „Żegnam” i rozłączył się. Zirykowało go to. Dzwonił taki późnym wieczorem, wypytuje o to, o co lekarza wypytywać nie należy, a potem nagle, ni z gruszki, ni z pietruszki, kończy rozmowę. Bezczelny dupek, pomyślał Maciek. I postanowił, że nie powie Ani o tym telefonie. O tym, że ten facet jej poszukuje. Pewnie to właśnie on jest ojcem jej dziecka. Tym bardziej Maciej nic jej nie powie. Bo skoro uciekła od niego, to znaczy, że miała powód. Telefon Dibeliusa jednak na tyle wytrącił go z równowagi, że musiał jeszcze się napić. A miał już dziś nie zaglądać do kieliszka. Obiecywał to sobie. Poza tym mamusia jeszcze nie spała i mogła coś wyczuć, a tego bał się najbardziej. Że mamusia się dowie o jego nałogu i zaczną się pretensje, narzekania, całe to mamusiowanie. Nalał sobie burbona. I wypił jednym haustem. Doleje sobie jeszcze. Ale tylko troszeczkę. Ciut, ciut. Tym razem usiadł wygodnie w fotelu i patrzył na opróżnioną do

połowy butelkę. Nie, wcale nie musiał pić. Pił, bo sprawiało mu to przyjemność, szklaneczka burbona rozluźniała go po ciężkim dniu. A prawie każdy dzień na onkologii był ciężki i szalenie stresujący. Musiał więc się napić. Przecież w każdej chwili mógł przestać. I na pewno kiedyś przestanie. Jak tylko spotka tę właściwą kobietę. Może nawet już ją spotkał. Tylko na razie mu z nią nie wychodziło. No i miał rywala. Musi jutro pójść po tego kota. Tylko co powie mamusia? Pewnie będzie na niego zła. Ale to nieważne. Musiał zaopiekować się zwierzątkiem Ani. Od tego wiele zależało. Mamusia będzie musiała kota zaakceptować. I może nawet go polubi. Przecież całe dni spędzała sama. Przydałoby się jej takie towarzystwo.

Wiesiek wiedział już wszystko. Był z siebie naprawdę dumny. Miał jednak żyłkę detektywistyczną, nie tylko tę do interesów. Niestety, jego żona znowu trafiła na onkologię. Na ten sam oddział. Pamiętał tamten dzień, prawie dwa lata temu, gdy przyszedł tam z Goską odwiedzić jej teściową. I natknął się na Ankę. Udawał, że jej nie poznał. Własnej żony! Tak ją zmienił brak włosów. I brwi, co gorsza. Zachował się wtedy haniebnie, to fakt. I więcej to się nie powtórzy. Teraz szedł do niej z wielkim bukietem czerwonych róż. Jak prawdziwy mąż. A nie pierwszy lepszy cudzołożnik. Szedł korytarzem. Stukając obcasami. Prawie jak Bolesław Wieniawa-Długoszowski, o którym niedawno czytał. W jego życiu skończyły się żarty, a zaczęły schody. Zupełnie jak u Wieniawy. Wiesiek zdążył się zasapać. I spocic się. Ale i tak pielęgniarki oglądały się za nim. Taki przystojny mężczyzna. Postawny. I do tego elegancki – wzdychały na jego widok. A w nim wszystko rosło od tych spojrzeń, a właściwie pęczniało. Gdy wreszcie znalazł salę, w której leżała Anka, otarł czoło chusteczką, żeby nie było widać potu. Było gorąco. To był ciepły i suchy rok. Chyba naprawdę klimat się zmienia. Od tego zacznie rozmowę, pomyślał. Od klimatu. To taki neutralny temat – pogoda.

– Anusiu, Aneczko, ależ upał dzisiaj mamy, prawda? – zawołał już od progu. – Te kwiatuszki, te różyczki to dla ciebie, żeby choć przez chwilę było troszkę milej, żeby ci zapachniały, kochanie.

Niemłode już panie zalegające na sąsiednich łózkach wyraźnie się ożywiły. Im to nikt kwiatów nie przynosił. A do tej młódki nie dość, że ciągle doktor Zagrobny zaglądał, to teraz jeszcze ten elegancki mężczyzna z wielkim bukietem róż. Ale ona to muchy w nosie miała. Teraz też – zamiast się uśmiechnąć, ucieszyć z pięknego bukietu, siedziała na łóżku cała nabzdyczona. I patrzyła na tego przystojnego jegomościa, jakby był jakimś jej wrogiem.

– Anulko, to może ja jakiegoś wazonu poszukam, żeby kwiatuszki nie zwiędły, bo gorąco. Strasznie gorąco. – Wiesiek cały czas ocierał chusteczką spoczone czoło.

Anka patrzyła na niego jak na intruza. Powinna coś powiedzieć. Najchętniej żeby się wynosił razem z tymi cholernymi badyłami, i to biegusiem. Ale nie chciała robić scen. Żeby te stare baby nie miały uciechy. Bo zapewne Wiesiek im się spodobał. I jego kwiatowo-pogodowe show również. A ona była wściekła. I nic nie mogła zrobić. Ciekawe, skąd wiedział, że tu leżała. Czyżby to sprawka Zagrobnego?

– To może razem poszukamy? – Anka podniosła się z łóżka i narzuciła na ramiona niebieski szlafroczek. Mimo upału czuła chłód.

– Nie za ciepło ci w tym kubraczku? – zagaił Wiesiek, gdy byli już na korytarzu.

– Przestań się zgrywać. Już nie masz widowni, więc skończ z tą głupią gadką. Mów, czego znowu chcesz?

– Anusiu, to już mąż nie może cię w szpitalu odwiedzić?

– Ty chyba znowu piłeś. Proszę cię, idź stąd, nie denerwuj mnie.

I wtedy stało się to, czego najbardziej się obawiała. Zauważyła go już z daleka. Szedł, patrząc jej

prosto w oczy. Już nie mogła uciec, schować się. Nie mogła działać po swojemu. Wymknąć się w ostatniej chwili, bez słowa. Był coraz bliżej. Patrzył na nią uważnie. Niestety, Wiesiek również go zauważył. Rozmowa z Zagrobny była nieunikniona.

Doktor Maciek uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę do Wieśka.

– No, nareszcie jakiś gość do naszej pani Ani! – Zagrobny witał się z Wieśkiem, ale patrzył na Annę. To ostatecznie rozsierdziło Wieśka. Po prostu się wściekł. Miał dość bycia postponowanym. Niezauważanym. Pomijanym.

– Nie ktoś, a mąż, panie doktorze – burknął. – Przyszedłem się dowiedzieć o zdrowie mojej żony. Mam nadzieję, że udzieli mi pan stosownych informacji.

Lekarz wyglądał na zdeorientowanego, natomiast Anka miała ochotę spoliczkować Wieśka. Ale powstrzymała się. Zamiast tego odwróciła się na pięcie i weszła z powrotem do sali. A jednak najbardziej lubiła uciekać. To była jej prawdziwa natura. Chować głowę pod kołdrę. Nie widzieć, nie słyszeć, nie brać w niczym udziału. I nie rozmawiać z nikim, a zwłaszcza z tymi rzekomo „bliskimi” ludźmi, z którymi rozmawia się najtrudniej. Uciekła od matki, potem od Wieśka, od Svena też uciekła, żeby nie narażać go na przeżywanie po raz kolejny tego samego, żeby on nie ranił jej swoją nieczułością. Teraz uciekła od doktora Maćka, który Bóg wie co sobie roił w tej swojej lekarskiej głowie, zwłaszcza po wypiciu paru szklaneczek whisky. Ponownie uciekła też od Wieśka. Obaj byli natrętni. Chcieli ją osaczyć, usidlić i odebrać prawo do decydowania o sobie. Tego najbardziej się bała. Leżała z kołdrą naciągniętą na głowę. Zupełnie jak wtedy, przed dwoma laty, gdy Wiesiek przyszedł do szpitala z Goską Herbst i udawał, że nie poznał własnej żony. A teraz grał rolę czułego męża. Szczyt zakłamania.

Postanowił, że robi porządek w garderobie. I wreszcie wyda wszystkie rzeczy po Fridzie. Jeśli Anna wróci, to będzie miała miejsce na swoje ubrania. I może zgodzi się, żeby coś jej kupić? Jakies fajne sukienki ciążowe. A potem inne drobiazgi. No właśnie, ale czy będzie jakieś potem? Bał się. Najbardziej nawrotu jej choroby. Ale nawet wtedy będzie o nią walczył. Jak kiedyś o Fridę. Trzeba będzie odnaleźć tego doktora pijaczka. Najlepiej w szpitalu. A jak nie, to w jego domu.

Z drugiej strony był na Annę wściekły. Że zostawiła go tak bez słowa wyjaśnienia. Że podjęła decyzję za nich dwoje. A najbardziej za to, że zaryzykowała własnym życiem po to, żeby to życie przedłużyć. Chodziło przecież o jej własną linię. O przedłużenie rodów Baumannów i Wichurów. Teraz już trochę zaczynał rozumieć. Dwie skłócone ze sobą rodziny. Jedna z rynsztoka, przaśna, prostacka, taka, co nie dba o wygląd, ma zęby czarne od papierosów, a dzieci traktuje jak małych niewolników – i druga jak ze starego portretu albo rodzinnej fotografii w sepii, hołdująca mieszczańskim tradycjom, zapatrzona w przeszłość, dość nieufna wobec obcych, tych inaczej pachnących i niestarannie wymawiających poszczególne głoski, zwłaszcza nosowe. Obawiająca się tych wszystkich Morloków, małpoludów, którzy nieraz chcieli wymordować warstwę wyższą – wysublimowanych, jajogłowych Elojów, sól tej ziemi i każdej innej.

Daga postanowiła działać. Wszak nosiła w sobie poważny argument natury rodzinno-genetycznej. Pięciomiesięczny prawie. Już było go widać. I zaczynał kopać. Będzie miała na imię Lenka. To takie śliczne, oryginalne imię. Bardzo proste i przy tym kobiece. Nie to co Dagmara. Nocna mara. Nie znosiła

swojego imienia. Jej zdaniem było ciężkie i toporne. I takie jakieś niepolskie. Lenka natomiast brzmiało lekko i swojsko. Sympatycznie, wręcz rozbrajająco. Lenka będzie śliczna i urocza. Oczko w głowie tatusia. Będzie nad nim sprawować władzę absolutną. Wiesław zwariuje ze szczęścia. W końcu będzie to jego jedyne dziecko. Nie jest już młody. Z dwiema swoimi żonami nie doczekał się dzieci, więc tym bardziej powinien docenić to, że Daga nosi i niebawem urodzi jego pierworodną córkę. Lena Formela – piękne zestawienie. Wreszcie będzie szczęście w rodzinie. Daga wiedziała, że z Lenki najbardziej ucieszy się matka Wiesława. Pani Bolesława ciągle utyskiwała, że nie ma wnuków. Narzekania, że jej syn się nie postarał, Daga słyszała nie raz. Bo pani Bolesława była bardzo bezpośrednia. I waliła prosto z mostu. Za każdym razem, kiedy dzwoniła do syna, a także podczas każdej wizyty wracał temat niespłodzonego potomka. Wiesław zwykle przyjmował matkę w swoim gabinecie, a nie w salonie. Zamykał drzwi, żeby odizolować się od Dagi, ale ona i tak słyszała, co mówiła pani Bolesława. Bo matka Wiesława miała bardzo donośny głos. Teraz Daga postanowiła zatelefonować do pani Bolesławy i się jej zwierzyć, chociażby przez telefon. Wiesław wprawdzie jeszcze nie przedstawił jej matce. Kiedyś, gdy starsza pani zmierzyła Dagę zdumionym spojrzeniem, burknął tylko, że to sekretarka. Tak naprawdę więc się nie знаły, ale Daga i tak postanowiła opowiedzieć wszystko tej kobiecie. W końcu tylko ona miała jakiś wpływ na syna. No może jeszcze ta jego cholerna żona, ale o niej Daga wolała nie myśleć. Skopiowała całą książkę adresową z komórki Wieśka i bez problemu znalazła numer telefonu jego matki. Był zapisany pod hasłem „Stara”. Wiesław najwyraźniej nie przepadał za swoją rodzicielką. Za to numer telefonu jego żony figurował pod hasłem „Anulka”. Daga była zapisana jako „D. Drożdzyk”. Bardzo oficjalnie. Bez żadnych skojarzeń z prywatnością. Ale to się zmieni. Daga była pewna, że jest teraz w stanie zmienić swoje życie – i jego życie też. Niedługo nie będzie już D. Drożdzyk, tylko D. Formela!

Wybrała numer pani Formelowej i czekała. Po sześciu sygnałach chciała zrezygnować, ale wreszcie w słuchawce odezwało się chrapliwe i donośne „Halo!”.

W głosie nieco przygłuchej pani Bolesławy słysząc było pretensję. Ktoś zakłócał jej spokój, poobiednią sjęstę. Malutką drzemkę przed telewizorem.

– Dzień dobry pani, witam serdecznie. Nazywam się Dagmara Drożdzyk i jestem sekretarką pani syna, Wiesława. Poznałyśmy się niedawno, kiedy odwiedziła pani syna w domu. Wiesław przedstawił mnie jako swoją sekretarkę, ale ja nie tylko sekretarką jestem. Jestem kimś więcej...

– Do rzeczy, moja panno – warknęła stara Formelowa, przerywając tyradę Dagi.

– Bo ja, bo ja... – kluczyła Daga, nieco zbита z pantałyku. – Ja mieszkam z Wiesławem od pół roku i spodziewam się dziecka, jego dziecka, córeczki znaczy się. Jestem w piątym miesiącu ciąży. Lenka urodzi się w grudniu.

Po drugiej stronie zapadła złowroga cisza. Pani Bolesława, zamiast się ucieszyć, że oto zdarzyło się coś, o czym marzyła przez całe dziesięciolecia i właściwie już straciła nadzieję, że jej marzenie się spełni, wpadła w stupor. Nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy złościć. W końcu to bardzo nie po chrześcijańsku, że Wiesiek zrobił dzieciaka sekretarce, a nie ślubnej żonie. Jak przez mgłę pamiętała tę dziewczuchę. Hożą, taką, jakie jej syn bardzo lubił, ale się z nimi nie żenił, bo uważał, że żona z ludu pociągnie go w dół, obniży jego prestiż. A przecież ten prestiż – człowieka sukcesu, przedstawiciela klasy średniej – Wiesiek budował przez lata. I dlatego ożenił się najpierw z tą cholerną Beatą, córką pani stomatolog, a potem z Anką Baumann, której ojca wiele razy pokazywali w telewizji. Takim był znanym pisarzem czy innym tam celebrytą, jak to się teraz mówiło. Tak czy inaczej, małżeństwo Wieśka z tym małym chudzielcem jakiś sens miało. Natomiast czupiradło, które mignęło pani Bolesławie podczas ostatniej wizyty u syna, zupełnie nie przystawało do ideału kulturalnej, pięknej żony z dobrego domu, jaki od lat pielęgnował w sobie Wiesiek. I co teraz będzie?,

zastanawiała się pani Bolesława. Musiała rozmówić się z synem. W końcu to jego sprawy, jego życie i dzieciak też jego. A jej, pani Bolesławie, z domu Mokwie, nic do tego. Nie miała ochoty na rozmowy z tą pannicą. Rozwiązała, upadła kobietą – jak by powiedział ksiądz proboszcz, z którego zdaniem pani Bolesława zawsze się liczyła. W końcu, po naszym papieżu, który zmarł przed dziesięciu laty, proboszcz był największym autorytetem dla starej Formelowej. I to z nim musiała najpierw omówić tę wstydliwą jak by nie było sprawę, a dopiero potem z synem.

Rozłączyła się, uznawszy, że nie ma nic do powiedzenia tej latawicy. Wiedziała, że to niegrzecznie i nie po chrześcijańsku tak przerwać komuś w pół słowa, odwrócić się plecami, ale w końcu to była jawnogrzesznica, cudzołożnica, a z taką ona – kobieta przyzwoita ze wszech miar i do tego praktykująca katoliczka – rozmawiać nie chciała i nie mogła. Bo kobieta musi być czysta i skromna. Jak Maryja zawsze dziewica. Wtedy owoc jej żywota, jeśli już zakiełkuje pod sercem, a potem pojawi się na tym świecie, może być wielką radością i pociechą dla starej, schorowanej babki. Ale co zrobić, gdy jest to owoc cudzołóstwa? Dziecię kobiety upadłej. Bo to, że jej syn był cudzołożnikiem, to całkiem inna sprawa. Przede wszystkim on był mężczyzną. A mężczyźni wolno robić nawet to, co jest zabronione. Tak już jest ten świat urządzony i nic się na to nie poradzi.

Słuchał tej piosenki zawsze, gdy czuł się samotny. Stare, przedwojenne wykonanie Ordonki było jednak najlepsze. Takie z trzeszczącej płyty, mocno niedoskonałe. I słowo „miłość” – wypowiedane zupełnie inaczej niż dziś, z przedniojęzykowo-zębowym, kresowym „ł”, obecnie już praktycznie niespotykanym. Jeszcze na niektórych filmach z lat siedemdziesiątych można takie „ł” usłyszeć, na przykład u Zofii Mrozowskiej albo u Holoubka. Ale współcześni aktorzy wystrzegają się tego, chociaż pewnie niektórzy z nich, zwłaszcza ci należący do starszego i średniego pokolenia, ćwiczyli je pracowicie pod okiem, a właściwie pod uchem, starych mistrzów aktorskiej polszczyzny. Ale nie tylko ze względu na „ł” tak lubił to wykonanie. Najważniejsze było to, że ona lubiła tego słuchać. Przesłuchiwała tę swoją starą, zdartą płytę równie kompulsywnie jak on elektronicznie udoskonalone i wyczyszczone nagranie z płyty CD. Okropnie bezduszne, ale jednak mu ją przypominało. Założył więc na uszy słuchawki, żeby żaden wścibski sąsiad ani co gorsza sąsiadka nie dowiedzieli się, że jego ulubioną piosenką jest *Miłość ci wszystko wybaczy* w wykonaniu Hanki Ordonówny. To były jego najintymniejsze chwile i nie chciał ich dzielić z nikim, a zwłaszcza z tym motłochem zza ściany. Ona też mieszkała w takiej starej, nieciekawej kamienicy, na rogu Żelaznej i Złotej. Wielkie, zaniedbane gmaszysko. Szare i ponure. Fragment jego Warszawy sprzed kilkadziesiąt lat. Wynajmowała mieszkanie od frontu, całkiem ładne, ale w oficynach od lat meldowano prostytutki. A ona zdawała się tego wszystkiego nie widzieć i nie słyszeć. Wkładała prześwitujący peniuar z chińskiego jedwabiu i słuchała tej piosenki o miłości niezliczoną ilość razy, a on, wówczas nastoletni chłopaczek, słuchał razem z nią. Wpatrywał się zawzięcie w ten peniuar, pod którym nic nie miała. Obserwował jej duże, nieco opadające piersi, wyraźnie zarysowane pod cieniutkim materiałem, i zastanawiał się, czy kiedykolwiek pozwoli mu ich dotknąć. Był wówczas bardzo nieśmiały, brakowało mu pewności siebie. Kiedyś nie wytrzymał i podszedł za blisko. Za karę przez kilka tygodni, może nawet przez cały miesiąc nie miał wstępu do jej mieszkania. Wystawał wtedy jak głupi pod kamienicą, w której mieszkała, wpatrując się w jej okna, a obok toczyło się życie: cinkciarze, prostytutki i alfonsi. Warszawski Dziki Zachód. Dzisiaj już tego nie ma. Kamienica od lat stoi pusta. Podobno wystawiono ją na sprzedaż, ale nikt nie chce dać za nią piętnastu milionów. A on dałby wszystko, żeby jeszcze raz móc popatrzeć na tę kobietę i razem z nią posłuchać dziwnego głosu płynącego ze starej płyty. Wciąż najbardziej podniecały go krągłe kobiece kształty pod cienkimi peniuarami albo chociaż pod

podomką, jaką wkładała jego aktualna sąsiadka, która nie wiadomo dlaczego zaczęła go unikać.

Wspominając tamtą kobietę sprzed lat i ponurą kamienicę, ze względu na panujące w niej przeludnienie nazywaną Pekinem, słuchał piosenki Ordonówny. I zastanawiał się, czy kiedykolwiek kogoś kochał. Jeśli już, to chyba tylko tamtą kobietę, starszą od niego o kilkanaście lat. No i swoją matkę, chociaż jej nie pamiętał. Tylko jej zapach, a właściwie zapach jej ubrań, które wisały w jej szafie. Ale tamta kobieta była tą jedyną, która potrafiła naprawdę go rozpałcić i dać mu ukojenie. Nie mógł sobie wybaczyć, że ją stracił. Że już jej nie ma. Miała na imię Marlena. Przynajmniej tak się przedstawiała. I rzeczywiście z wyglądu przypominała Marlenę Dietrich. Długonogą blondynkę o pięknej twarzy. Taką jak jego matka.

Postanowił, że pójdzie do sąsiadki i poprosi ją, żeby włożyła tę swoją podomkę na nagie ciało i żeby się pochyliła, zupełnie jak tamta wtedy, gdy po raz pierwszy dopuściła go do intymnego kontaktu. Miał wtedy skończone szesnaście lat. I był uczniem prywatnego liceum Świętego Augustyna. Tylko dla chłopców. Dzisiaj już nie ma tej szkoły, zburzyli ją, chociaż taka piękna była. Jego starą budę zburzyli. Wszystko zniszczą, zaorzą, zgłajchsztują ci straszni ludzie. Jego stary chciał, żeby chodził do tej szkoły, bo prywatna i na swój sposób elitarna. Uparł się, jak to on. To było jedno z tych widzimisię jego ojca – cholernego wizjonera i fantasty. Żeby synek chodził do prywatnej szkoły w Warszawie. I dlatego wysłał go do stolicy, wbrew zdrowemu rozsądkowi, który nakazywał pilnować gówniarza w trudnym wieku. A może właśnie dlatego wysłał go do tej szkoły z internatem, że od dawna nie dawał sobie rady z synem? Z tym nieznośnym smarkaczem, który już od dzieciństwa zarzucał mu, że jest tchórzem i konformistą. I że przez jego tchórzostwo to wszystko się stało. To z jego matką. Ale o niej nie chciał z ojcem rozmawiać. Nie chciał słuchać jego tłumaczeń, usprawiedliwień. Całego tego nieznośnego słowotoku.

„Musimy umieć o niej rozmawiać” – to zdanie jego stary powtarzał jak mantrę. Ale on nie chciał słuchać. Bo jak można rozmawiać o kimś, kogo się zna tylko z czarno-białych zdjęć? No i może jeszcze z kilku starych łachów, które wisały w szafie w sypialni. Na szczęście ich nie wyrzucił, chociaż wielokrotnie chciał to zrobić. Ale jednak coś nie pozwalało mu na to. Jakiś imperatyw. No właśnie to słowo – „imperatyw” – było jak najbardziej z repertuaru jego ojca. Stary lubił używać takich poważnych, podniosłych określeń. Zgrywać świętego i szlachetnego. Wielkiego patriotę. A tak naprawdę był śmierzącym tchórzem, który przez całe życie najbardziej bał się tego, że straci posadę na uniwersytecie, a wcześniej – w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Wielki prestiż! Prestiż gówniany i także pensja. Nawet porządnych dzinsów w Peweksie nie można było kupić za tę jego pensyjkę śmieszna, marną. Dopiero kiedy on pojechał pierwszy raz na saksy do Holandii, wrócił do Polski samochodem. Używanym, ale zawsze. To był pierwszy samochód w ich rodzinie. I z dumą odwoził starego na ten jego pieprzony uniwersytet. Zadawali wtedy szyku, że hej. I dziewczyny też podrywał na ten samochód. To były piękne czasy. Najszczęśliwsze. Namawiał starego, żeby razem z nim wyjechał do Holandii i już nie wracał do tego grajdoła. Ale ojciec kurczowo trzymał się profesorskiego stołka. I nic się dla niego nie liczyło. Nawet ona, jego matka. Bo nie stałoby się z nią to, co się stało, gdyby wtedy w grudniu bardziej jej pilnował, zamiast trząść portkami ze strachu, że ktoś na niego doniesie. Że oskarżą go o współpracę z siłami antysocjalistycznymi. Z tymi zrewoltowanymi robotnikami, którzy spalili komitet wojewódzki partii, bo Gomułka uważał, że lud roboczy powinien jeść mniej mięsa, za to więcej pracować, żeby wreszcie zbudować prawdziwy socjalizm. Bez ludzkiej twarzy. Bo na co komu ona? Wystarczy świński ryj. I drastyczna podwyżka cen mięsa. Tej obrzydliwej chabaniny, po którą stało się w ogonkach. Zakręconych jak u świni. A stary gadał potem, jak ten faryzeusz, że oni walczyli o wolną Polskę. Ci robotnicy. Oczywiście on także walczył – siedząc w domu i srając w gacie ze strachu. Bo całe życie się bał, że ktoś zacznie szperać w jego biografii i wyciągnie na światło dzienne wszystko to, co tak skrzętnie ukrywał. Jego pochodzenie. Może dlatego wysłał do stolicy zbuntowanego, niewygodnego syna, który zawsze walił prawdę w oczy, na oślep. I tam, w tej Warszawie, wszystko się zaczęło. Jego choroba i całe

to świrowanie.

A ona występowała w teatrze Syrena. I cała była jak syrena. Często pojawiała się na scenie mocno rozneglizowana, chociaż nie naga. Tego by nie zniósł. Podpaliliby ten teatr razem z aktorkami i ich zbieżnymi kostiumami, tylko ją wyniosłby z płonącego gmachu i zabrał ją stamtąd na zawsze. Chodził na wszystkie jej spektakle. Ona wracała taksówką do domu, a on przybiegał nieco później i zdyszany stawał pod jej drzwiami. Czasem, w akcie desperacji, kładł się jak pies na jej słomiance. Wpuszczała go wtedy, żeby uniknąć kompromitacji przed sąsiadami. Bo on smarkacz, nieletni, a ona dobiegała trzydziestki. Bała się skandalu, który był możliwy nawet tam, w Pekinie, a może zwłaszcza tam. Obyczajówka miała oko na tę kamienicę i na szemrane towarzystwo, które tam pomieszkiwało, systematycznie dewastując to, czego nie zdołano zniszczyć w czasie wojny i powstania. Gdy już udało mu się wejść do mieszkania, ona szła do łazienki, żeby zdjąć za mały biustonosz, który bardzo ją uwierał, i włożyć jeden ze swoich jedwabnych peniuarów, zastanawiając się, czy wybrać mniej czy bardziej prześwitujący. Zwykle, z sobie tylko wiadomych powodów, decydowała się na ten bardziej prowokujący. I wtedy zawsze robiła mu herbatę z mlekiem, którą jego stary nazywał bawarką, chociaż podobno w Bawarii takiej nie piją. To ona tak twierdziła, bo była kobietą światową, wiele razy wyjeżdżała na zagraniczne tournée. Do Francji i do NRF-u. Bardzo mu to imponowało. Raz przywiozła mu nawet płytę Stonesów. Miał ją do dziś w swoich zbiorach w starym mieszkaniu. Przechowywał ją jak relikwię, podobnie jak tamtą starą płytę z nagraniem Hanki Ordonówny. Przed laty słuchali jej razem, popijając herbatę z mlekiem, której nie pozwoliła mu nazywać bawarką. Oddałby wszystko, żeby teraz zaparzyła mu jakiegokolwiek herbaty i usiadła obok niego. Nawet jeśli z racji upływu czasu byłaby już starą, otyłą kobietą. Wszystko by jej wybaczył i wszystko zrobił, byleby tylko mogła wrócić. Ale jej już nie było, podobnie jak jego matki. Pozostawało mu tylko zapukać do sąsiadki.

Wyszedł z mieszkania, zatrzasnął drzwi i przystanął na słomiance. Tak jak kiedyś. Zapukał dwukrotnie i drzwi się otworzyły. Miała na sobie podomkę i była rozczochrana.

– Zrób mi herbaty z mlekiem – poprosił cichym głosem.

– Pijesz bawarkę? – zapytała.

– To nie jest bawarka, tylko herbata z mlekiem! – odpowiedział poirytowanym tonem.

Ale jak tylko zobaczył, że Weronika pochyła się, by wydobyć z dolnej szuflady tę lepszą herbatę, bo przecież wiedziała, że on nie lubi tej byle jakiej, biedronkowej maczanki w obrzydliwym żółtym opakowaniu, że woli sypanego earl greya, cała irytacja mu przeszła. Ta kobieta potrafiła dać mu ulgę. Nie ukojenie, ale przynajmniej chwilową ulgę. To bardzo dużo. Wiedziała, że lubi nie tylko dobrą herbatę, ale również ten moment, gdy jej podomka, niby mimochodem, podnosi się do góry, a on może patrzeć na jej wypięte nagie pośladki. Tak właśnie, jeszcze bezwiednie, zrobiła podczas jego pierwszej niezapowiedzianej wizyty, a potem już zawsze powtarzała ten rytuał w takiej czy innej formie. Zauważyła, że on bardzo lubi rytuały. I że jej podomka i sposób, w jaki się pochyła po puszkę z herbatą, bardzo na niego działały. Mimo że budził w niej lęk i smutek i nawet obiecywała sobie, że już więcej nie wpuści go do swojego mieszkania, nie była w stanie przerwać tej dziwnej znajomości.

OJ, KOT...

Obudziła się chwilę po północy. Jej towarzyszki niedoli, panie po sześćdziesiątce, jak jeden mąż głośno chrapały. Spać dało się jedynie w dzień. W nocy miała czas na rozmyślenia. Starła się nie myśleć o tym, co było przed nią. Że znowu zacznie się to, co tak dobrze znała. Włosy wypadną, brwi i rzęsy, no i te młodości bez przerwy, a do tego lęk, znacznie większy niż poprzednio, w dzień i po nocy. Już nie o siebie, ale przede wszystkim o dziecko. Musiała zająć niesforne myśli czymś innym, spętać je, żeby nie wierzgały, nie spychały jej w jakąś czarną dziurę.

Były przecież dobre rzeczy i tego należało się trzymać. Jak brzytwy. Albo jak rzep psiego ogona. Uczepić się i już. Nie puszczać tego chwosta. I od ostrych krawędzi jak najdalej. I załatwić wszystkie sprawy. Żeby porządek zostawić po sobie. Zmiana nazwiska – to był teraz jej cel. Już wiedziała, jak to załatwić w urzędzie. Przez adwokata, bo póki co była tu uwięziona. Razem z Maciusiem doktorkiem, który brał dyżur za dyżurem. Byleby tylko ją widzieć. Codziennie. I w nocy też być blisko.

Przynajmniej po zmianie nazwiska nie będzie musiała o nic prosić Wieśka. Ani z nim rozmawiać. Chociaż niestety dalej mógł ją nawiedzać w szpitalu. Pod pretekstem mężowskiej troski. Cała się trzęsła na myśl o tym, że w każdej chwili może tu wtargnąć z jakimś wiechciem albo z bombonierką. I czarować te starsze panie swoim uśmiechem i udawaną czułością wobec żony. Postanowiła, że jak tylko wyjdzie, załatwi również inne sprawy. Przede wszystkim musiała się wyprowadzić z tej feralnej kamienicy. Z ulicy Polanki. Niby sielska, z dala od zgiełku, ale podszyta jakimś niezdrowym dreszczem. Ponurością. Może przez ten bukowy las i morenowe wzgórza, które ni z tego, ni z owego wyrastały po drugiej stronie ulicy. Widok czarnego, bukowego lasu zwłaszcza w zimie, gdy drzewa były bezlistne, napawał ją lękiem. Dopiero teraz to sobie uświadomiła. Starła się uciec myślami z Polanek, ale ciągle jakieś nieznosne obrazy pojawiały się w jej głowie. Wyrastały jeden po drugim, jak bezlistne drzewa w bukowym lesie.

Zastanawiała się, skąd go zna. Przecież ta twarz, jego oczy koloru wody, prawie zupełnie przezroczyste, były jakby znajome. Już go kiedyś widziała? To całkiem możliwe, skoro mieszkał przy ulicy Polanki, kilkaset metrów od jej dawnego domu. Poniekąd od dawna byli sąsiadami. Był bardzo wysoki, lekko szpakowaty, chociaż twarz miał jeszcze dość młodą, ale bardzo bladą, właściwie trupio bladą. Trochę bała się nieobecnego spojrzenia jego przezroczystych oczu. Gdyby nie ten czarny garnitur, w którym zawsze chodził, chorobliwa bladość jego twarzy nie byłaby aż tak uderzająca. Ale była. Nadawałby się na bohatera powieści o wampirach.

Anka dostawała ataków paniki, gdy spotykała go na schodach. A to, niestety, zdarzało się często, właściwie codziennie. Zupełnie jakby ją śledził. Wychodził ze swojego mieszkania zawsze chwilę po niej. Bała się, że ją zaatakuje. Cholerny wampir. Więc gdy pewnego dnia wychodziła z domu, a on niemal w tej samej chwili wyszedł ze swojego mieszkania, natychmiast cofnęła się i z ulgą zatrzasnęła drzwi. Nie chciała zachowywać się jak jakaś wariatka ani okazywać tego, że się go bała. To cofnięcie się do

własnego mieszkania mogło oznaczać tylko tyle, że przez roztargnienie czegoś zapomniała. Na przykład komórki albo kluczyka od skrzynki pocztowej. Przecież nie musiała się tłumaczyć nikomu, a zwłaszcza jemu. Jednak tamtego dnia, gdy z walizką wybierała się do szpitala, on również pojawił się na schodach. Wyrósł jak spod ziemi. Nawet nie było słychać, jak zamykał drzwi swojego mieszkania. Przez chwilę się wahała. Już chyba nie było miejsca na udawanie, że czegoś zapomniała, że musi się wrócić do mieszkania. Poza tym mógł zablokować jej drogę odwrotu. Jedyłą możliwością było gnać do przodu, zbiec po schodach, mocno stukając obcasami. On uparcie szedł za nią, stawiając duże kroki. Byleby jak najszybciej być na dole, byle wyjść na zewnątrz. Ale tam też było pusto o tej porze. Bo to przecież spokojna ulica, na skraju miasta, pod lasem, ciemnym, nieprzyjaznym. Trzęsła się ze strachu, ale starała się tego nie okazywać. Gdy wreszcie była na dole, po prostu wskoczyła do taksówki. Chyba powinna zapytać Zagrobego, co to za człowiek. Budził w niej niepokój. Jak wszystko w tym domu, który nieopatrznie wybrała na swoją kryjówkę.

Weronika długo nie zwracała uwagi na sąsiadkę zza ściany. W przeciwieństwie do swojej poprzedniczki, rudej hałaśliwej baby, ta nowa była cicha i spokojna. Właściwie nigdy nie było jej słychać. Wychodziła czasem na parę godzin. A potem wracała i w mieszkaniu dalej panowała idealna cisza. Jedyne, co zwracało uwagę, to jej ubiór. Nosiła szerokie sukienki. Jakby ciężowe. Ale czy była w ciąży, to trudno powiedzieć. Może tak, a może nie. A jeśli już, to w takiej wczesnej. W każdym razie dziwne, że była taka samotna. Młoda jeszcze i całkiem niebrzydka, ale chyba nie miała nikogo. Weronika też nie miała. Tylko tego kota, którego dostała właśnie od tej sąsiadki na przechowanie. Dziwne zwierzę. Cały czas gdzieś się chował. I prawie wcale nie chciał jeść. To ostatnie ją niepokoiło. Oby właścicielka jak najszybciej się po niego zgłosiła, bo jeszcze z głodu padnie biedna kocina.

Gdy tak się martwiła o Nikodema (co za idiotyczne imię dla kociaka!), usłyszała dzwonek. Nie pukanie, co mogłoby oznaczać, że to jej sąsiad, lecz dzwonek, którego dźwięku bardzo nie lubiła. To musiał być ktoś obcy. Może w końcu ta sąsiadka? Weronika zerknęła przez wizjer. To nie sąsiadka, ale facet. Zawahała się, czy otworzyć, czy może lepiej udawać, że nie ma jej w domu. Znała go. Był chyba wnukiem poprzedniej właścicielki sąsiedniego mieszkania. Wyglądał nie najgorzej, raczej niegroźnie, podobno był lekarzem. Nosił okulary. Chociaż zmienił się i przytył przez ostatnie lata, no i włosów miał na głowie ciut mniej niż kiedyś. W każdym razie to był ktoś znajomy, raczej niebudzący obaw. Otworzyła drzwi, ale łańcuch zostawiła zaciągnięty. Tak na wszelki wypadek.

Mężczyzna uklonił się i wyrecytował, że jest lekarzem pani Anny, jej sąsiadki, a poza tym właścicielem mieszkania obok i chciałby na prośbę pani Anny odebrać kota. Bo ona musi dłużej zostać w szpitalu. Nie wiadomo, jak długo. Może tydzień albo miesiąc, a nawet dłużej, jeśli to będzie konieczne. Nikodem ten czas spędzi u pana doktora, całkiem niedaleko, i na pewno będzie mu tam dobrze.

No skoro tak, to zgoda, kotek zaraz zostanie wydany, tylko najpierw trzeba go wykurzyć spod fotela, gdzie właśnie się schował. A potem pewnie spod kanapy, dokąd szmyrgnie, jak tylko wygonią go spod fotela. Dzikusek z tego Nikusia. Pewnie tęskni za swoją panią i dlatego taki nieufny i chowający się jest. Zupełnie jak jego właścicielka.

Pan doktor był chyba trochę pod gazem. Tak przynajmniej wyczuła Weronika. No cóż, to typowe dla lekarzy, że piją. W pracy i po pracy. Za dużo stresów mają. Na szczęście kota udało się w końcu złapać. Żałośnie miauczał, jak go ten pan doktor wreszcie zamknął w specjalnym kontenerku. Wziął jeszcze miski, suchą karmę, kuwetę i poszedł. Pusto się zrobiło w mieszkaniu Weroniki bez tego krnąbrnego zwierza.

Wiesiek miał już dość tych cholernych babskich intryg. A wszystko po to, żeby go usidlić. Żeby zrobił to, na co wcale nie miał ochoty. Te podstępne babiszony chciały mu ułożyć życie. Po swojemu. Żeby ich było na wierzchu. Matka wydzwaniała do niego od trzech dni i ciągle marudziła, że dziecko musi mieć jasną sytuację, ojca i matkę i w papierach porządek. I że już dość tego dzendera. A co ma z tym wspólnego gender? Przecież jego matka nawet nie wiedziała, co to znaczy. Półanalfabetka cholerna. Wyczytała coś w tych swoich kościelnych gazetkach i plotła trzy po trzy. Co innego Wiesiek – on wiedział, co to gender i rodzina patchworkowa, i poliamoria. Zwłaszcza wobec tego ostatniego nie miał żadnych obiekcji. Wszak był mężczyzną na wskroś nowoczesnym. Dlatego nie zamierzał bawić się w te przebieranki – śluby, chrzciny, egzorcyzmy. Po rozmowie z matką musiał się napić łykacza. Żeby się uspokoić i pozbierać myśli. Potem wygarnie tej małej intrygantce, tej Dagusi cholerniej, że tak się nie robi. Nie rozmawia się z panią Bolesławą Formelową za jego plecami. Najchętniej wyrzuciłby tę bezczelną dziewczuchę z domu, ale na razie nie mógł. Za jakiś czas urodzi się dziecko i wtedy się zobaczy. Ale żoną Wieśka jest Anulka i szlus. Innej małżonki nie będzie. A już na pewno miejsca jego Anulki nie zajmie jakaś tam Daga. Nie ma mowy. To by dla Wieśka była degradacja, a właściwie deklasacja. Nie po to przez całe życie piął się w górę, kształcił i ciężko pracował, żeby mieć taką żonę. To chyba Napoleon powiedział kiedyś: „poślubiłem łono”, żeby uzasadnić swoje rozstanie z Józefiną i powtórny ożenek z austriacką księżniczką. Wiesiek nie musiał się uciekać do takich zabiegów. Dziecko mógł mieć bez ślubu. O małżeństwie z Dagą nie mogło być mowy. Nawet jeśli Anulka umrze i Wiesiek wdowcem zostanie, to z kimś takim się nie chajtnie.

Zagrobny czuł się bardzo niepewnie, dlatego wziął ze sobą piersióweczkę. Bo co robi, jak go mamusia wygoni z mieszkania razem z Nikodemem? Tym razem chyba jej się postawi. Po raz pierwszy w życiu. Ale najpierw musi sobie łyknąć jeszcze raz. Na odwagę.

Wszedł do domu i postawił kontenerek na podłodze w przedpokoju. Nikodem miauczał, naprawdę głośno.

– Maciusiu, co tak miauczy?

– Kot miauczy, mamó.

– Jaki kot?

– Przyniosłem kota.

– Maciusiu, co ty opowiadasz? Jakiego znowu kota?

– To kot mojej pacjentki. Musiałem wziąć go na przechowanie, dopóki ona nie wyjdzie ze szpitala.

– Ale ja się nie zgadzam na żadnego kota, Maciusiu, rozumiesz? Nie ma mowy!

Zagrobny wziął kontenerek i powędrował do swojego gabinetu. Trzasnął drzwiami tak mocno jak kiedyś jego ojciec. On też przed mamusią się zamykał w swoim gabinecie. I trzaskał drzwiami, gdy ta zaczynała po swojemu jazgotać. To chyba był jedyny sposób, żeby uwolnić się od tej presji. Bo przecież jej mężczyzna musiał być dokładnie taki, jak sobie życzyła. Zawsze greczny i uprzejmy, kochający mąż, a potem syn. Ten ostatni to młody, świetnie rokujący lekarz. Wzór, ideał. Tylko taki mógł być syn pani Moniki. Absolutnie doskonały. A że taki nie był, to inna sprawa. Ona wolała udawać, że nie widzi butelek po alkoholu, które wrzucał do kubła na śmieci. I nie pytać o to, co robił w łazience. Dlaczego się

zamykał na klucz i tak długo puszczał wodę, jakby chciał zagłuszyć jakieś odgłosy. A woda przecież sporo kosztuje. Na szczęście to on płacił rachunki. Niech już sobie przesiaduje w tej łazience i puszcza wodę do woli. Ale kot? W jej domu? Tego już było za wiele!

– Maciusiu, otwieraj! – Pani Monika stała pod drzwiami gabinetu syna i uderzała w nie drobną piąstką.

Zagrobny nawet nie drgnął. Nie zamierzał się ugiąć. Nie tym razem. Matka musi zrozumieć, że skończyły się czasy jego uległości. A jak nie chce zrozumieć, to zawsze może się wyprowadzić do pana Zdzicha, tego z parteru. I pana Zdzicha terroryzować. Oczywiście pod warunkiem, że sąsiad jej na to pozwoli. A raczej nie wyglądał na takiego.

Następnego dnia, wychodząc do pracy, Zagrobny spojrzał na matkę surowo i tonem nieznoszącym sprzeciwu oświadczył:

– Ten kot zostanie tu, jak długo będzie trzeba.

Potem wyszedł z mieszkania, mocno trzaskając drzwiami. Zupełnie tak jak jego ojciec przed laty.

Wiesiek stał pod gabinetem Zagrobnego. Czekał. Już od czterdziestu minut doktor powinien być w pracy. Ale nie przychodził. Jeśli nie pojawi się w ciągu kwadransa, Wiesiek pójdzie do profesora Kaczmarka. Na skargę i dowiedzieć się o stan zdrowia żony. Był przecież troskliwym mężem. Takim, co przynosi kwiaty i kupuje drogą biżuterię. I wszystko jest gotów wybaczyć. Nawet zdradę i kłamstwo, i to, że dziecko, które ma urodzić jego żona, nie jest jego. Będzie się opiekował Anulką, tak postanowił i basta. Bo jest z nią na dobre i na złe. I nieważne, że małżeństwo niepobłogosławione przez księdza. Tak już się złożyło: był kawalerem z odzysku i nie mógł stanąć przed ołtarzem. No ale Anulka też nie miała wtedy dwudziestu lat. Przyznała mu się, że jest niewierząca, a on uznał, że to może i lepiej, bo nie będzie go ciągać po kościołach i pielgrzymkach jak jego matka. Wiesiek miał jednak inne zainteresowania – a tych na szczęście jego żona nie tępiła, choć też ich nie podzielała.

W końcu Zagrobny pojawił się. Był jakiś taki nieświeży. Chyba zmęczony. Wiesiek poczuł od niego zapach alkoholu. Nieznaczny, ale jednak. Być może doktorek też lubił zaglądać do kieliszeczka. I co w tym złego? Poczuł do niego odrobinę sympatii. Mieli ze sobą coś wspólnego. No i jemu też podobała się Anulka. Bo tego, że Zagrobny podkochuje się w jego żonie, Wiesiek był pewien.

– No to może mi pan powie, jaki jest stan mojej żony? – zaczął dość obcesowo. Nie powinien się unosić, ale jednak poniosło go ciut.

– Niestety, nie zostałem upoważniony do tego, żeby udzielać panu informacji o stanie zdrowia mojej pacjentki...

– Ale ja jestem mężem i mam prawo wiedzieć, jak się czuje moja żona – przerwał mu Wiesiek gniewnie.

– Pani Anna prosiła mnie, żeby nie udzielać panu żadnych informacji. Jesteście państwo w trakcie rozwodu.

– Pożałuje pan – Wiesiek postanowił pójść na całość. Niech mu ten chłoptaş nie podskakuje. Bo za mały jest, oj za mały, żeby się mierzyć z Wieśkiem Formelą.

Jeśli gówniarz dalej będzie się stawiał, to pójdzie do Kaczmarka. On na pewno zachowa się inaczej. A ten bubek doktorek jeszcze Wieśkowi zapłaci za to, że tak go potraktował. Prawowitego małżonka. Konowały. Powinni informować go o wszystkim, także o ciąży Anny. Żona jest własnością męża. Jej ciało i dusza, i nawet dziecko spłodzone z innym mężczyzną. Póki małżeństwo trwa, żona należy do męża, takie jest prawo. Prastare i patriarchalne. I dlatego to dzieciątko będzie nosiło nazwisko Formela. Tak już jest urządzone ten świat. Zdecydowanie pod kątem mężów, nie żon.

– Przykro mi – rzucił Zagrobny.

– Pan nic nie rozumie, doktorze. Żona to żona, a mąż to mąż. Mąż ma prawo wiedzieć. Bo ciało żony to jakby jego własne ciało. I wy, medycy, macie obowiązek udzielać wszelkich informacji na temat stanu zdrowia współmałżonka.

– Nie mogę. Pani Anna zastrzegła to sobie. Bardzo mi przykro.

– W takim razie idę na skargę do pańskiego przełożonego.

Wiesiek wyszedł z gabinetu i trzasnął drzwiami, zupełnie tak samo jak Maciej poprzedniego wieczoru, kiedy przyniósł do domu kota.

Żeby nie zwariować, szkicowała swój artykuł o Madonnach. Tych z gdańskich kościołów. Chociaż ostatnio najbardziej fascynowała ją olbrzymka z Malborka. Wysoka na ponad osiem metrów *Mater Dei*, przez wieki łagodnym wzrokiem spoglądająca w kierunku Wschodu, skąd w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku nadciągnęła jej zguba. Całkowita i ostateczna, jak się wydawało, zagłada. Obalono ją z piedestału. Zniszczono jako symbol odwiecznego krzyżackiego *Drang nach Osten*. Tę olbrzymią Madonnę, wykonaną ze sztucznego kamienia, pokrytą barwną, lśniącą z daleka mozaikową polichromią, powalono na ziemię, odarto z mozaikowego splendoru. Już nie było lśnienia. Mówili, że przynosi nieszczęście i zagładę. Że nie należy jej przywracać, wręcz przeciwnie – trzeba o niej zapomnieć, zatrzeć wszelkie ślady jej istnienia. Że już nigdy nie powinna wracać na swoje miejsce. Bo tylko same nieszczęścia przynosi ta Bogurodzica ze sztucznego krzyżackiego kamienia. Zagładę tylko niesie dla mieszkańców Pomezanii i Pogezanii. A także Warmii, Natangii, Sambii i Nadruwii. Zaginionych pruskich krain. Ale mieszkańcy Malborka uznali, że ta przynosząca nieszczęście i zniszczenie Madonna jest im niezbędna, i rozpoczęli zbiórkę pieniędzy, by znów stanęła w niszy zamkowego kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. I żeby zaślniła swoim mozaikowym blaskiem, rzucając kolejne wyzwanie złowrogemu Wschodowi.

DOM ZŁY

Nigdy z nią nie rozmawiała. Nawet nie widziała jej na zdjęciu. W końcu zdjęć byłej cyrkówki, która dawno temu zakończyła swoją niezbyt udaną karierę, raczej nie można było znaleźć w internecie. Ale wiedziała, gdzie mieszka. Kiedyś była tam z ojcem. Chciał, żeby poznała swoją przyrodną siostrę. Zawiózł ją na Gibalskiego, ale nie weszła z nim na górę. Czekala na ojca w samochodzie. Przez całą godzinę. Strasznie wtedy zmarzła. I była okropnie zazdrosna. O tę siostrę, którą poznała dopiero po latach. Nie wtedy. Wtedy, gdy siedziała w samochodzie, marznąc i wściekając się na ojca, mała Ania przez cały czas patrzyła na samochód stojący pod domem. Elegancki, czerwony. Niedościągłe marzenie dziecka z biednej rodziny. A w środku była jeszcze bardziej niedościągła starsza siostra. Ania przez całą godzinę, zamiast rozmawiać z ojcem, który przecież był rzadkim gościem na Gibalskiego, przyciskała nos do szyby i czekała, aż siostra się pokaże. Nie pokazała się. Zobaczyła ją dopiero po latach. W telewizji.

Marianna z matką Anki zetknęła się tylko raz, na pogrzebie ojca. Wparowała do kościoła w połowie mszy. Wysoka, zaniedbana. Z pewnością ekstrawertyczna, a jeszcze bardziej ekstrawagancka. Zupełnie niepodobna do schludnej, powściągliwej, jakby nieco schowanej w sobie Anki. Ale ten ponury, brudny dom przy ulicy Gibalskiego dobrze zapamiętała. Wiedziała, jak tam trafić. I w końcu zdecydowała się odwiedzić matkę swojej siostry. Może ona jednak wie coś o miejscu pobytu Anki? Bo Marianna musiała spotkać się z Anką. Cały czas myślała tylko o tym dziecku. Że bardzo chciałaby, żeby przyszło na świat. Ta straszna kobieta – zawsze tak myślała o matce swojej siostry – mogła jej pomóc w poszukiwaniach. Anka pewnie kontaktowała się z matką. W końcu matka to matka. Nawet taka. Odkładała tę wizytę przez kilka tygodni. Codziennie rano myślała, że powinna tam pojechać. Bo Anka. Bo dziecko. Bo czas uciekał. Przeciekał jej przez palce. A tymczasem może potrzebna była pomoc. Ale potem ogarniały ją wątpliwości. W końcu ta straszna kobieta mogła jej nawymyślać, zniewazyć ją. Na pewno była do tego zdolna. Minął już miesiąc od rozmowy w Gwiazdeczce, a ona nic nie zrobiła. I z każdym dniem ten szalony pomysł, żeby złożyć wizytę Grażynie Wichurze, wydawał się jej jeszcze bardziej szalony. Wręcz niedorzeczny.

Tamto spotkanie w Gwiazdeczce, choć w sumie nieudane, bo przecież nic między nimi nie zaiskrzyło (w każdym razie z jego strony), miało dla Marianny duże znaczenie. Bo oto po latach posuchy i smutku wreszcie spotkała kogoś, kto zrobił na niej duże wrażenie. A myślała, że coś takiego już jej się nie przydarzy. Zawsze chciała mieć kogoś takiego u swego boku. Żeby prowadził ją w tańcu. I żeby mogła pokazać się z nim wśród ludzi. Żeby ją trzymał pod rękę. I żeby od czasu do czasu mogła pozować z nim do zdjęcia na ścianie. I niechby potem takie jedno czy drugie jej zdjęcie ukazało się w jakimś tabloidzie. Co by to szkodziło? Tajemniczy mężczyzna z brodą u boku Marianny Baumann. Albo Marianna Baumann i jej nowy, nikomu nieznanym partner. To by brzmiało należycie. Dawałoby satysfakcję Mańce porzuconej przez męża, któremu przyszła ochota zakochać się w mężczyźnie. I z tym mężczyzną był zdejmowany na

rozmaitych ściankach były mąż Marianny. Więc nie chciała być mu dłużna. Ale niestety nikt z jej otoczenia ani jej się nie podobał, ani nie nadawał się do roli „mężczyzny u boku Marianny Baumann”. Bo chyba nie odwrotnie. To ona była kimś i potrzebowała męskiego tła, i żeby to tło dobrze się z nią komponowało. Na pewno powinno być przystojne i nobliwe z wyglądu. Mieć kindersztubę, klasę i rasę. A przy tym dobrze się nosić i nie obnosić z niczym za bardzo. Ciężko znaleźć kogoś takiego, ale Marianna nie rezygnowała łatwo. Sven Dibelius może nie do końca był w jej zasięgu, ale z pewnością był w jej typie. Przecież los mógł spłatać im obojgu figła i zbliżyć ich do siebie. W końcu na tym polega przeznaczenie. Wystarczy jedno przypadkowe spotkanie.

Był już początek lipca. Duszno, gorąco. Szła po schodach. Bardzo powoli. Ciągle się wahała, czy jednak nie wrócić do samochodu, nie uciec. Odstreć ją tu wszystko. Zapach stęchlizny i gotowanych na smalcu potraw. Czowała, że jej elegancka letnia sukienka z każdą chwilą pobytu w tym okropnym miejscu nasiąka jego zapachami.

W końcu nacisnęła na dzwonek. Za drzwiami było cicho. Może się pomyliła? Może ona tu już nie mieszka? Wyprowadziła się? Umarła? Ale to na pewno było to mieszkanie. Potwierdzeniem była stara mosiężna tabliczka, na której widniał wygrawerowany napis: Henryk Wichura. Postać znana jej aż nadto. Głównie z rodzinnych opowieści. Widziała go w dzieciństwie może ze dwa razy. Z daleka. I bała się go. Bo wiedziała, co robił z babcią Belą w czasie okupacji. Wtedy nie знаła jeszcze szczegółów. Gdy je poznała, czuła nie tylko lęk, ale i obrzydzenie. A teraz stała przed mieszkaniem jego córki. To naprawdę było niedorzeczne.

Usłyszała kroki i pokasływanie. Po chwili otworzyła jej wynędzniała kobieta. Wyglądała jak więźniarka KL Auschwitz. Strasznie chuda, blada i z rozczochranymi włosami, o barwie rudej, płomienistej, ale u nasady siwymi. Wyglądała jak upiór. W pierwszej chwili Marianna przestraszyła się i cofnęła o krok. Nie powinna tu przychodzić. Ta kobieta była poważnie chora. Cały czas kaszłała.

– Dzień dobry, nazywam się Marianna Baumann – zaczęła, siląc się na uśmiech.

– Wiem, jak się pani nazywa – wykaszała kobieta. – Proszę wejść.

Marianna weszła do mieszkania niepewnym krokiem. Grażyna Wichura wydała jej się dużo niższa niż wtedy w kościele. Jakaś taka drobna, niepozorna. Podczas pogrzebu ojca sprawiała wrażenie dużo wyższej i młodszej. Teraz miała na sobie szlafrok, spod którego wystawała koszula nocna. Z jej dawnego buńczuczego wyglądu pozostało wspomnienie.

– Nie chciałabym pani przeszkadzać...

– Wcale mi pani nie przeszkadza. Proszę usiąść. O tu, na fotelu.

Mańka posłusznie usiadła, nie zwracając uwagi na to, że fotel aż się lepił z brudu. Wszystko w tym niewielkim, dwupokojowym mieszkanku było brudne i zakurzone. Grażyna położyła się na tapczanie. Było widać, że jest bardzo słaba. Cały czas kaszłała.

– Pani jest chora. – Marianna patrzyła na gospodynię z przerażeniem. Potem dostrzegła kubeczek chusteczek higienicznych. Wszystkie nosiły ślady krwi.

– Jestem. I co z tego? Proszę lepiej powiedzieć, z czym pani tu przyszła? – Grażyna poczuła się trochę lepiej, gdy się położyła. Na chwilę jakby odzyskała siły. Postanowiła zaatakować tę damulkę w eleganckiej letniej sukni. Jej zdaniem wyglądała w tej kreacji szykownie, ale staro. I do tego ta grzeczna fryzura na boba i okulary w czarnych oprawkach – od Armaniego, a jakże. Tak, tak, Grażyna wszystko widziała. Była bardzo spostrzegawcza i wyczulona na detale. Te detale były u Marianny perfekcyjne, ale całość chybiona. Ktoś powinien jej o tym powiedzieć. Że jeszcze nie jest aż tak stara, żeby się ubierać w taki sposób. Więcej lekkości i fantazji, pani Marianno. I może trochę uśmiechu zamiast tej ponurej miny. Ale pewnie nie miała zaufanej przyjaciółki. I nie miał jej kto tego powiedzieć. Grażyna też nie miała bliskiej przyjaciółki. Miała jednak oddane sąsiadki. Gdyby nie one, nie miałyby co

jeść, bo już nie dawała rady wstać i wyjść do sklepu. Ale teraz znowu poczuła siłę, żeby zapalić. Sięgnęła po papierosa. Marianna spojrzała na nią ze zgrozą.

– Chyba pani nie powinna... – zaczęła głosem pełnym troski.

– Mnie tam już nic nie zaszkodzi, a to może mi przynajmniej humor poprawić. – Grażyna delectowała się smakiem papierosa. W końcu to była ostatnia przyjemność, jaka jej została. Chyba największa w tym całkowicie nieudanym, niespełnionym i nieprzyjemnym życiu. Zaciągała się i kaszlała na przemian. – No dobrze, niech pani mówi, póki mam siłę słuchać.

– Przyszłam w sprawie Anki, chyba się pani domyśla.

– Niczego się nie domyślam. W ogóle nie jestem domyślna – burknęła Grażyna i lekko się uśmiechnęła. Miała ładne, długie zęby. Idealnie proste, zapewne nie za sprawą drogich aparatów ortodontycznych. Marianna wyprostowała swoje całkiem niedawno – jakieś dziesięć lat temu. Niestety, proste uzębienie Grażyny było zniszczone. Od papierosów. Pewnie też rzadko odwiedzała dentystę. Marianna poczuła coś na kształt współczucia pomieszanego z sympatią do tej kobiety. Musiała być bardzo chora, ale nie opuszczało jej poczucie humoru. Nieco sarkastyczne. Kwaśne i grymaśne. Wciąż miała w sobie coś z młodej dziewczyny. Takiej zbuntowanej nastolatki. Kontestującej wszystko i wszystkich. Popalającej papierosy w szkolnym kiblu na przerwie. W gruncie rzeczy nie była wiele starsza od Marianny. Jakieś pięć, sześć lat. Należały do tego samego pokolenia.

– Anka spodziewa się dziecka. To chyba już pani wie? Ja dowiedziałam się jakiś czas temu od jej partnera. I chciałabym się z nią spotkać – wyrecytowała Marianna na jednym oddechu.

– Ja też bym chciała.

Grażyna patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. Było widać, że jest zmęczona. Opadła na poduszki. Marianna zrozumiała, że niczego się nie dowie od tej kobiety. Anka chyba nie miała kontaktu z matką. To takie typowe dla naszej rodziny, pomyślała. Właściwe dla obu naszych rodzin, boleśnie ze sobą splątanych Wichurów i Baumannów. Kiedy to się zaczęło? Chyba jeszcze przed wojną. A właściwie w czasie wojny, tej pierwszej, zwanej dawniej wielką. W Otwocku, gdzie w tysiąc dziewięćset piętnastym roku przyszła na świat babka Marianny i Anki, Bela Baumannowa, a chyba rok później Heniek Wichura – ojciec Grażyny. Dziecko Anki, jeszcze nienarodzone, będzie jedyną kontynuacją tych dwóch rodzin. Dlatego Marianna musi zrobić wszystko, żeby odnaleźć siostrę. Ale najpierw zajmie się jej matką. Grażyna jak najszybciej powinna się znaleźć w szpitalu pod opieką dobrego lekarza. Marianna zaraz zadzwoni do doktora Zengtlera. A potem do Krzysztofa Sonenberga – adwokata, który zapewne miał jakiś zamiar na Ankę. W końcu prowadził ich sprawę spadkową. Jak mogła tak długo z tym zwlekać? Powinna tu przyjść dużo wcześniej. I dlaczego Sven nie powiedział jej o chorobie Grażyny? Nie zauważył? Mężczyźni są naprawdę ograniczeni. Pozbawieni empatii. Przynajmniej niektórzy. Sven Dibelius z całą pewnością nie był czułym i wrażliwym facetem. Raczej dystyngowanym gburem. Właśnie tak!

A teraz do dzieła. Marianna czuła, że nareszcie robi to, co powinna. Porządkuje ten cały rodzinny bezład, który tak naprawdę zawsze boleśnie ją uwierał. Odkąd się dowiedziała o istnieniu Anki. I o Wichurach. I o tym, jaką rolę odegrał w życiu jej rodziny Heniek Wichura – cwaniaczek z Kercelaka.

HOLENDERSKIE INDIE WSCHODNIE

Czuł narastający niepokój. Wiedział, co to oznacza. Znowu będzie musiał coś z tym zrobić, rozładować napięcie. Było duszno. Może właśnie dlatego był taki pobudzony. Irytował go pies sąsiada, bo skamlał. I zegar, bo tykał. I woda w rurach, bo szumiała. Poza tym było mu gorąco pod kołdrą. Powinien spać pod samym prześcieradłem. I bez T-shirtu. Ale jakoś nie mógł zasnąć tak bez niczego. Kołdra naciągnięta na głowę zawsze dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Dzięki temu mógł zasnąć. Inaczej nie umiał. No, chyba że był na prochach, takich lub innych. Ale prochy odstawił. Wszystkie. Bo jak je brał, to tracił kontrolę nad tym, co robił i mówił. I niewiele potem pamiętał. Prawie nic. Teraz, gdy był czysty, wystarczyła mu kołdra naciągnięta na głowę i kobieta z naprzeciwka. Od czasu do czasu. Nawet nie miał jej numeru telefonu. Gdyby miał, mógłby do niej zadzwonić. Pewnie zaraz by przyszła. Grzeczna dziewczynka. Zawsze lubił takie grzecznisie. Dobrze by było, żeby się tu pojawiła i pomogła mu się uspokoić. Wystarczyło wyjść na korytarz i nacisnąć dzwonek. Otworzyłaby bez wahania. Był tego pewien. Ale czy dzisiaj mu to wystarczy? Raczej nie. Będzie musiał wyjść na miasto, pojechać tu i tam. Bycie w ruchu zawsze pomagało mu w takich stanach. Najlepiej się czuł, gdy jeździł swoim maleńkim auteczkiem. Było śliczne. Wypieszczone. Ale zwracało uwagę. Oglądali się za nim nie tylko miłośnicy starych garbusów, ale i zwykli przechodnie. To przez ten kolor. Bahama yellow.

Kiedyś, dawno temu, był bardzo modny. Kojarzył się z wolnością i ze zgniłym Zachodem, gdzie w najlepsze rozkwiatały dzieci kwiaty. Niestety, jego stary nigdy nie kupił samochodu. Mówił, że mu niepotrzebny. I że go nie stać. Wolał jeździć tramwajem albo na rowerze. Na szczęście przed ich domem stały dwa modne wówczas auta, należące do sąsiadów: wiecznie ubłocony volkswagen garbus w kolorze białym, a właściwie écru, na którym dzieciaki z podwórka pisały: „brudas”, i duży fiat w kolorze bahama yellow. Ten był zawsze czyściutki i lśniący. Sąsiad – wicedyrektor do spraw technicznych w Unimorze – ciągle go mył i polerował szmatką. A on, wówczas mały dzieciak, chciwie gapił się z kuchennego okna na oba auta i marzył, że kiedyś będzie miał lśniącego garbusa w kolorze bahama yellow. I w końcu udało mu się kupić taki kolekcjonerski samochód na aukcji w Holandii. Teraz nieopodal kamienicy, w której chwilowo zamieszkał, stało jego czyściutkie wypolerowane autko. Jedyne rzecz na świecie, o której myślał z czułością. Bo do innych, a zwłaszcza do starego, nie żywił żadnych uczuć. O swoim ojcu zawsze mówił i myślał z niechęcią. Bo on całe życie kłamał. I nie chciał mu powiedzieć prawdy o niej. Chociaż zawsze na pierwszego listopada obiecywał mu, że w tym roku to już na pewno znajdą jej grób. I zapalą świeczkę, a może nawet taki duży znicz. I to niejedyn. Uzbrojeni w świece i znicze szli na Srebrzysko, a potem jeszcze na cmentarz żołnierzy francuskich, ten nieopodal Góry Gradowej, i tam też stawiali świeczki. Wszystkie dla niej. Dla matki.

A potem wracali do domu. Zmarznięci, utrudzeni. I nikt na nich nie czekał z obiadem. W mieszkaniu jak zwykle panował chłód i unosił się kurz. A na dobitkę czasem terkotał ten cholerny, czarny, ebonitowy

telefon. Wtedy stary wstawał i szedł do przedpokoju, gdzie znajdował się ów aparat, z namaszczeniem podnosił słuchawkę i wypowiadał tym swoim niskim, głębokim barytonem: „halo”. A po chwili z irytacją rzucał słuchawkę na widełki. Aż dziwne, że nigdy się nie rozpadła. To były najgorsze momenty. Znowu ktoś podszywał się pod nią. Jakaś obca kobieta – skrzeczała lub ćwierkała. Albo męski głos donosił, że wie, gdzie jest matka jego syna, że ją widział. Że ona żyje, tylko od nich uciekła. To były najgorsze momenty. W pamięci starego wszystko wtedy wracało. Nie mógł potem zasnąć. Całymi nocami snuł się po domu jak jakiś lunatyk albo wampir. A syn odwracał się do niego plecami i szedł do kuchni pogapić się na samochody sąsiadów: brudasa garbusa i dużego fiata.

Czwarta rano. Jeszcze nie pora, żeby zacząć dzień. Wahał się. Może jednak lepiej pójść do sąsiadki? Podszedł do drzwi. Przekręcił klucz w zamku. Niepewnie wyszedł na korytarz. Trochę dziwnie wyglądał w samym T-shircie i spodniach od piżamy. Jak uciekinier z domu dla obłąkanych. Tak to się kiedyś nazywało. Całkiem elegancko. Teraz o takich jak on mówi się, że są czubkami. Że im odbija, odwała. Odpierdala. Albo że берет zryty mają. Słyszał coś takiego ostatnio. Paskudne to i bez sensu. Może rzeczywiście był nieco szalony. Dopuszczał taką ewentualność. Że jest szalony, obłąkany. Ale nie czubek, nie wariat. Żadnych tam żółtych papierów ani tym bardziej żółtych łat. Ubezważnowolnienia. Na to nie było zgody i nigdy nie będzie. Żeby nie wiem co.

Piżama, którą miał na sobie, zdecydowanie psuła mu szyki, bo była z grubej flaneli i na dodatek w paski. Zupełnie jak z psychiatrika. To też fatalnie brzmiało: być zamkniętym u czubków. To dobre dla świra. Takiego prawdziwego, który słyszy głosy i miewa halucynacje. Zwidy, wizje, majaki. Widzi to, czego nie ma, a nie widzi tego, co jest. Ale czasem widzi jedno i drugie. Wtedy jest najgorzej. Tak było w jego przypadku. Zdawał sobie sprawę ze swojej odmienności. Mówił, że jego psyche jest zwichrowana. Albo że ma nie po kolei w głowie. Jak mu się czasem poprzestawia, to rzeczywiście z kolejnością tych klocków w mózgownicy ma pewien problem. Ale wystarczy, że prześpi najgorsze chwile, tak z kołdrą na łbie, a najlepiej z jakąś kobietą na wyciągnięcie ręki, i wszystko jest w porządku.

Stał przed drzwiami sąsiadki i nie mógł się zdecydować, czy zapukać, czy wrócić do siebie. Zażył proszki, naciągnął kołdrę na głowę, spać. Spać, spać. Bo co niby miałby powiedzieć tej kobiecie? Że się spocił i nijak nie mógł zasnąć. Taki banał? Musiał wyglądać żałośnie w gaciach od piżamy i powyciąganym T-shircie. Ale mimo to wciąż stał na korytarzu. Jakby na coś czekał. Że ona się obudzi i sama mu otworzy, że się domyśli, że on stoi pod drzwiami i czeka. I nie będzie konieczności używania dzwonek. Głośnego, chamskiego. Zupełnie niepasującego do intymnej relacji, która od pewnego czasu łączyła go z tą kobietą. Wreszcie zdecydował się zapukać. Po cichutku, delikatnie. Niestety, po drugiej stronie drzwi nie było żadnej reakcji. Postanowił więc nacisnąć dzwonek. Krótco, zaledwie musnąć go palcem. Jeśli to urwane drrr jej nie obudzi, to trzeba będzie wrócić do siebie. Bo to będzie znak, żeby nie zaczynać od nowa. Która to już kobieta w jego życiu? Nawet ich nie liczył. Nie warto. I tak z żadną mu się nie udało. Wszystkie były tylko na chwilę. Jak ciepły okład. W każdym razie trzeba zachować dyscyplinę. Myślową, a właściwie intelektualną. Nie rozpamiętywać tego, co było. Ani nie zadreć się tym, co może się wydarzyć w bliższej lub dalszej przyszłości. I nacisnąć, do jasnej cholery, na ten dzwonek. Może ona jednak otworzy i wszystko potoczy się zwyczajnym torem.

Opuszką palca musnął dzwonek. Dźwięk był krótki i urywany, taki jak lubił. Ale chyba nie usłyszała. Spała zbyt głęboko. I nic z tego. Trzeba wrócić do siebie, wziąć prysznic, ubrać się i wyjść. Jednak po kilku minutach, gdy już chciał odejść, za drzwiami coś szurnęło. Jakby kapcie. Chyba jednak ją obudził. Szczękniętą zamek. Stanęła przed nim, zasnana, rozczochrana. W prześwitującej koszuli. I, o zgrozo, w jakichś lokówkach albo papilotach na głowie. Wyglądała dużo starzej. Ale i tak miał ochotę wejść do środka. Tak właśnie pomyślał, że wejdzie do środka. I na samą myśl zaczął chichotać. Jak wariat. Obrzuciła go zdumionym spojrzeniem. Chyba trochę się przestraszyła. Chichotu i tego, jak wyglądał.

I jeszcze jego zapachu. Bo dotąd czuła od niego tylko woń eleganckiej wody po goleniu, a teraz śmierdział potem. To nie był przyjemny, zachęcający, męski zapach. Ale mimo to wpuściła go. Zanim zamknęła drzwi, rozejrzała się jeszcze, czy ktoś przypadkiem nie wałęsa się po korytarzu i nie widzi ich w tej niecodziennej sytuacji. Potem zamknęła drzwi na klucz.

Zamiast przystępować do normalnych czynności, bezradnie usiadł na krześle.

– Zaparzyć herbaty? – wciąż zwracała się do niego bezosobowo.

– Tak.

Zapaliła światło w kuchni i schyliła się, żeby wyjąć z szafki na dole czajniczek. Ten w niebieskie kwiatuszki. Wiedziała, że lubi patrzeć na jej wypięte pośladki, gdy pracowała w kuchni. Zwykle go to podniecało. Ale tym razem nie poszedł za nią, chociaż dotąd zawsze gdy ją odwiedzał, nie omieszkął stracić takiej okazji. Była tym zaniepokojona. Poza tym był spocony i najzwyczajniej w świecie od niego śmierdziało. To wcale nie było przyjemne. Nie powinna mu otwierać drzwi. Teraz nie wiadomo, co z nim począć. Z tym cholernym Latającym Holendrem. Niech wypije herbatę i pójdzie sobie. Umyć się i w ogóle doprowadzić się do porządku. Ale jak to zrobić, żeby wyszedł i się nie obraził? A potem wrócił w jednej z tych swoich pięknych śnieżnobiałych koszul i w dobrze skrojonym garniturze.

Podawała mu kubek z herbatą.

– Ostrożnie, gorąca! – krzyknęła, żeby go uprzedzić, bo przecież mógł się poparzyć.

Chyba się przestraszył tego krzyku, bo wypuścił kubek z ręki. Grzmotnęło. Naczynie się rozbiło, a herbata wylała mu się na pasiaste spodnie od piżamy. Wrzasnął jakoś tak szpetnie. Jak pospolity żul, a nie szlachetny przedstawiciel rasy niderlandzkiej. Wspaniały mężczyzna z kraju tulipanów i marihuany, z twarzą wyjętą wprost ze *Straży nocnej* Rembrandta. Ale nic nie szkodzi. Gorzej, że to, jak się zachowywał, nie pasowało do jego dotychczasowego wizerunku. Do tych wytwornych ciuchów i całej reszty. Siedział przed nią ktoś taki jak jej zmarły mąż. Spocony proletariusz. Cuchnący knur. Już nie miała ochoty na jakiegokolwiek z nim co nieco – ani mniejsze, ani większe. Ale właśnie wtedy zobaczyła, że zdjął te nieszczęsne spodnie od piżamy zalane ukropem. Pod spodem nie miał nic. Teraz już nie wyjdzie, pomyślała z rezygnacją. Położył się na tapczanie. W jej czyściutkiej, świeżo powleczonej pościeli, pachnącej miękczaczem do tkanin, zakupionym w pobliskim sklepiku Chemia z Niemiec. Jej ulubionym. Trzeba będzie wszystko uprać po nim.

Ze zdumieniem spostrzegła, że działo się z nim coś niepokojącego – cały się trząśł, jakby dostał ataku febry, malarii albo innej egzotycznej choroby, jakiej można się było nabawić w Holenderskich Indiach Wschodnich. Wśród książek, które odkurzała w jego mieszkaniu, znalazła jedną taką po holendersku, zatytułowaną *VOC. Verenigde Oostindische Compagnie*. Zapisała ten tytuł na karteczce, bo ją zaintrygował. Naprawdę pomyślała, że jej sąsiad może pochodzić z Jawy, zupełnie jak plantator kawy Mynheer Peepkorn, jeden z bohaterów *Czarodziejskiej góry*, którego przybycie zburzyło spokój próżniaczych pensjonariuszy sanatorium Berghof. Weronika poczuła, że ma ochotę ponownie przeczytać tę książkę. A zwłaszcza rozdziały poświęcone ekscentrycznemu Holendrowi. Postanowiła, że jeszcze dziś pójdzie do biblioteki, żeby wypożyczyć dzieło Tomasza Manna. Oba tomy.

Jak osika się trzęsie, pomyślała. Trzeba coś z tym zrobić. Jakoś go uspokoić. Pochyliła się nad nim.

– No już dobrze, wszystko dobrze...

Okryła go kołdrą, żeby przestał się trząść, żeby go jakoś uspokoić, ustabilizować. Kim on jest i co naprawdę tu robi? Nawet nie wiedziała, jak ma na nazwisko, ile ma lat. Czy jest starszy, czy nieco młodszy od niej? Wyglądał na starszego, i to nie o rok, dwa, ale więcej. Leżał już spokojnie, chyba drzemał. Położyła się obok niego. Trzeba będzie zmienić pościel – to była jej ostatnia myśl przed zaśnięciem.

Gdy się obudziła, on nadal spał, głośno pochrapując. To był niespokojny sen, ale chyba głęboki. Nie

obudził się, nawet gdy wstała i wyszła do kuchni, głośno szurając laczkami. Miała nadzieję, że się obudzi i wreszcie sobie pójdzie. Było już piętnaście po siódmej. Powinna, jak co dzień o tej porze, wyjść do sklepu przy Rynku Oliwskim po mleko i świeże bułki. Lubiła chrupiące bułeczki z masłem. A do tego obowiązkowo szklanka mleka. Właśnie tak – nie kubek, a szklanka. Tak jak wiele lat temu serwowała jej mamusia. To było najlepsze śniadanie, jakie zapamiętała z dzieciństwa. LH chyba nie lubił mleka ani świeżych bułek. Tak naprawdę nie wiedziała zbyt wiele o jego upodobaniach. Nic o nim nie wiedziała i to coraz bardziej ją niepokoiło.

Włożyła sukienkę. Szarą szmizjerkę z paskiem. Na nią narzuciła prochowiec, bo z rana nie było jeszcze za ciepło, chociaż pełnia lata, ale dzień jakiś pochmurny, lekko siąpił deszcz. Więc jeszcze parasol trzeba wygrzebać z szafy w przedpokoju. Laczki zamieniła na pantofle na niziutkim obcasiku. Była gotowa do wyjścia. Jeszcze tylko torba ekologiczna z zielonym liściem i będzie mogła wyruszyć po zakupy. Czy powinna zostawić go samego w swoim mieszkaniu? Tak dziwnie wyglądał we śnie. Ale oddychał miarowo, więc żył.

Gdy zamykała drzwi, u sąsiada obok zazgrzytał zamek. To był ten wstrętny, wścibski staruch, niejaki Saturnin Bućko. Pieprzony stary dziad, który od jakiegoś czasu coraz uważniej jej się przyglądał. Łypał na nią bardzo nieprzyjaźnie i mruczał pod nosem: „Ale sobie kochasia znalazła, gorszego chyba nie mogła. Niech lepiej uważa. I do mieszkania niech nie wpuszcza łobuza. Już ja go znam, aż za dobrze znam tego gagatka”.

Weronika postanowiła zignorować nieprzyjazne pomruki sąsiada, udawała, że nic nie usłyszała. Że to jej nie dotyczy. To przecież jej prywatna, intymna sprawa, że LH tam u niej śpi. Jakiś taki zmarnowany. Ale nikomu nic do tego. Stary pierdziel nie powinien wtykać nosa w nie swoje sprawy. Pewnie podsłuchiwał ich ze szklanką przyłożoną do ściany. I niezdrowo się przy tym podniecał, a teraz bredził trzy po trzy. Głodnemu zawsze chleb na myśli. Wyprostowała się dumnie, wyprężyła pierś i ruszyła korytarzem w kierunku schodów.

Gdy wróciła z siatką pełną bułek, z niepokojem otwierała drzwi. A może się obudził, cały wściekły na nią, że go zamknęła? Rzeczywiście – właśnie otworzył oczy i półprzytomny usiadł na tapczanie. Miał dziwną minę. Weronika trochę się przestraszyła na jego widok. Niby go znała, ale przecież nie wiedziała, czego tak naprawdę może się po nim spodziewać.

– Zjadłbym coś – powiedział nieoczekiwanie spokojnym tonem.

– Mam świeże bułeczki, takie chrupiące. A do tego mleczko. Mniam.

Nie miał pewności co do mleczka. Zawsze budziło w nim obrzydzenie. Ale trochę się uspokoił. Sen dobrze mu zrobił. Chyba nie będzie musiał nigdzie wychodzić. Więc dobrze, bardzo dobrze. Dopiero teraz poczuł ten nieświeży zapach. To od niego tak zajeżdżało. Już wczoraj się spocił, ale wbrew swoim zwyczajom nie poszedł wieczorem pod prysznic, tylko od razu walnął się do łóżka. Miał dość. Poza tym niepokoił go ten cholerny junkers w łazience. Powinien coś z nim zrobić, ale nie miał głowy do takich dupereli. Taki był zmęczony. Ciężki dzień miał. I żadnej satysfakcji.

Pod wpływem własnego smrodu znów zaczęło w nim narastać zniecierpliwienie i to coś, czego lękał się najbardziej. Bał się, że nie będzie sobą. Że robi coś strasznego. Właśnie od takich stanów uciekał. Od siebie samego uciekał. Wiał gdzie pieprz rośnie. W końcu więc wstał, poszedł do łazienki, a po drodze rzucił od niechcenia: „Czy masz jakiś świeży ręcznik?”. Usłużnie podbiegła i podała mu duży biały kąpielowy ręcznik. Nawet jej nie podziękował. W końcu to on robił jej uprzejmość, że ją odwiedzał, a nie ona jemu. Była taka nijaka. I w dodatku nie najmłodsza. Chociaż to akurat działało na jej korzyść. Te młode do niczego się nie nadawały. A Weronika Mossakowska miała kształtną pupę, która budziła w nim pożądanie, i można było u niej zjeść świeżą, chrupiącą bułkę z masłem albo zupę pomidorową z ryżem, która smakowała dokładnie tak samo jak ta, którą pamiętał z wczesnego

dzieciństwa.

Długo stał pod prysznicem. Chciał z siebie to wszystko zmyć. A jak nie wszystko, to przynajmniej większość tych okropności, które oblepiały go niczym cuchnąca maź. Najważniejsze, że był już spokojniejszy. Udało mu się trochę pospać. A teraz ten prysznic. Potem śniadanie i wreszcie będzie mógł poczuć się normalnie. Przegonić z głowy wszystko, co się w niej od lat kłębiło i zatruwało mu życie.

Weronika przygotowała śniadanie. Starła się bardzo. Chciała, żeby to dobrze wypadło. Jajka na miękko w kieliszkach. Najlepsze na świecie, bo od baby ze wsi, kupione w Hali Targowej. I bułeczki z masełkiem, też od baby, a jakże! Twarożek również był z bazarku. I mleczko. Dla niej w szklance, a dla niego w kubeczku. Z kożuszką. Bo tłuściutkie. Innego nie uznawała. Tylko dlaczego on tak długo stał pod tym prysznicem? Może coś mu się stało? Taki dziwny był. Postanowiła, że przy śniadaniu o wszystko go wypyta. Wreszcie musi dowiedzieć się o nim czegoś pewnego. Nie tylko ze względu na Madzię, która zasypywała ją nachalnymi pytaniami. I uważała, że jej sąsiad to jakiś podejrzany typ. Ukrywający się przestępca albo mafioso.

Wyszedł z łazienki półnagi, z ręcznikiem przewiązany na biodrach. Wyglądał świeżo. Już nie przypominał porannego menela w spodniach od piżamy. Do pełni szczęścia brakowało jej tylko śnieżnobiałej koszuli. I garnituru. Włosy miał mokre. Zaczesał je na bok. Usiadł przy stole, taki półnagi.

– Poczekaj, dam ci koszulę. Mam przecież uprasowane, nie odebrałeś ich wczoraj – wreszcie zwróciła się do niego na ty, a nie tak bezosobowo jak dotąd.

– To daj – odparł jakoś tak niechętnie. Widocznie wolał zostać w ręczniku.

– Jak nie chcesz teraz, to dam ci później, a teraz zostaniesz w ręczniku.

– Albo i bez.

– Albo i bez – przytaknęła skwapliwie. A on się uśmiechnął. – Smacznego – powiedziała. Nie odpowiedział. Żuł powoli bułkę. Mleka nawet nie tknął. – Jak nie lubisz mleczka, to może zaparzę herbatki dla ciebie?

– Zaparz.

Poszła do kuchni, cały czas myśląc o tym, jak go podejść, żeby wreszcie czegoś się o nim dowiedzieć. Czegoś pewnego. Chyba nie było na to sposobu. Był tak zamknięty w sobie. Postanowiła zapytać wprost, bez ogródek.

– Spotykam się z tobą, jesteś mi bliski, a nawet nie wiem, jak masz na nazwisko, czym się zajmujesz, ile masz lat. Nic o tobie nie wiem. Jesteś taki tajemniczy. – Bała się, że zirytowany tym jej gadaniem po prostu wstanie i wyjdzie. Ale on siedział spokojnie, gryzł bułkę, popijał herbatę. Dalej milczał. Jakby nie usłyszał jej słów. Albo raczej je zignorował. Siedział spokojnie, trochę nieobecny. Zajęty swoimi myślami. Może on jest po prostu naćpany?, pomyślała. Ale przypomniał jej się Piotr, jej syn. Piotr, gdy był naćpany, stawał się agresywny. To znaczy – bardziej agresywny, bo zawsze kipiał agresją i wrogością do całego świata, a zwłaszcza w stosunku do własnej matki. A ten tu siedział spokojnie. – Skoro ty nie chcesz mi nic o sobie opowiedzieć, to ja ci opowiem. Może nie wyglądam, ale mam dorosłego syna – zaczęła nieśmiało. Chciała mu opowiedzieć jak najwięcej o sobie. O synu, czarnym Piotrusiu, który podobno wyjechał do Anglii i pracował w rzeźni. Tak przynajmniej twierdził jego kumpel Łukasz Wieczorek. Pryszczaty drągał z sąsiedniej ulicy. Tak naprawdę cały czas się bała, że Piotrek powróci. I znowu się zacznie. Budziła się w nocy, gdy jej się czasem przyśnił. Że tu jest i będzie jej zabierał pieniądze, i bił ją. Albo nawet wyrzuci ją z mieszkania. I co wtedy ze sobą pocznie? Nie miała dokąd pójść. Do krewnych mieszkających na wsi przecież nie mogła wrócić. Oni jej tam nie chcieli. Wydali ją

młodo za mąż właśnie po to, żeby jej się pozbyć. Chciała się wyzalić, ponarzekać na zły los, na syna utracjusza i bandytę, jeszcze gorszego niż jego ojciec. Ale Latający Holender, jej największa nadzieja i namiętność, najwyraźniej nie był zainteresowany jej historią. Takie opowieści nadawały się dla Madzi, która lubiła ich słuchać, bo zawsze mogła poczuć się lepiej, wiedząc, że Weronika boi się własnego syna. Dzięki temu Madzi zdawało się, że ma przewagę nad przyjaciółką, która nie dość, że była wdową żyjącą z renty po mężu, to jeszcze na domiar złego miała syna łobuza. Bo takiego sobie wychowała. Tak myślała Madzia i zawsze z satysfakcją chłoneła opowieści Weroniki o Piotрку. Ale Latający Holender niestety nie był zainteresowany jej prywatnym życiem. Patrzył na nią nieobecny wzrokiem. Myślami był gdzieś daleko. Jak zwykle.

– No chodź do mnie wreszcie – powiedział, cały czas spoglądając gdzieś obok niej.

– Zaraz, tylko dopiję mleko. – Wciąż była posłuszna.

Dopiero pod wieczór wreszcie opuścił jej mieszkanie. Zmęczona i zniechęcona, weszła do łazienki. Dziwnie tam pachniało. Zawsze irytowała ją podniesiona deska sedesowa. Ten chamski zwyczaj mieli jej mąż i syn. I oto również jej tajemniczy sąsiad zostawił toaletę w opłakanym stanie. Zacisnęła pięści. To był odruch. Podczas sprzątanía ze zdumieniem stwierdziła, że jego mocz miał niebieskawą barwę. Porfirie? To całkiem możliwe. Tajemnicza, wyniszczająca choroba genetyczna. Dawniej kojarzona z wampiryzmem. Może dlatego był taki blady, nosił przyciemnione okulary i zawsze kazał jej zaciągać rolety. Biedny, chory człowiek. Drakula albo raczej Jerzy III. Znalazła dla niego nową ksywę. Już nie był Latającym Holendrem, upiorem z Jawy lub Sumatry. Z tych jego Holenderskich Indii Wschodnich, gdziekolwiek były. Teraz miał nowe imię – Hem. Nawet całkiem ładnie brzmiało. I pasowało do niego. W końcu musi mieć jakieś imię. Chociażby takie. Wymyślone przez nią. Ale prawdziwe.

– „W przyjaźni najważniejsze jest, żeby każda z przyjaciółek czuła się lepsza od tej drugiej” – przeczytałam takie zdanie w gazecie i myślę, że idealnie pasuje do nas. – Weronika pomyślała, że oto Madzia – jej koleżanka (bo przyjaźnią nie nazwałaby ich ciągnącej się od czasów studenckich znajomości) – znowu ma gorszy dzień i musi kogoś podręczyć. W końcu jako osoba niepełnosprawna miała do tego prawo. A Weronika w sam raz nadawała się na worek treningowy. W końcu chyba jej zmarły mąż zdołał ją wdroyć w tę rolę. – Bo nikt tak kobiecie nie przypieprzy jak druga kobieta, nieprawdaż? – Madzia nie dawała za wygraną.

Weronika mruknęła do słuchawki na odczepnego jakieś niewyraźne „uhm”, które nie wyrażało ani aprobaty, ani zaprzeczenia. Nie miała ochoty na kolejną kłótnię z Madzią, która najwyraźniej była w wojowniczym nastroju. Jej koleżanka cierpiała nie tylko z powodu swojego kalectwa, ale przede wszystkim dlatego, że była zdradzana. Jej wiarołomny małżonek pomieszkiwał u innej kobiety. I zupełnie się z tym nie krył. Niedawno Weronika znowu spotkała go gdzieś w pobliżu. Wcześniej widziała go parę razy z pewną dość przystojną babą. Szli sobie pod rękę niczym mąż i żona. Ta kobieta, zdaje się, mieszkała tu, niedaleko. Jeździła czarną wypasioną limuzyną. Ale o tym wszystkim Weronika nie zamierzała opowiadać Madzi. Po co się biedaczka miała zdręzczać? Jej mąż był chyba z tych szlachetniejszych. Ale nie świętych. A szkoda. Bo święty może zdołałby wytrzymać z Madzią Barszcz *de domo*.

– Widzę, że nie masz ochoty na rozmowę z przyjaciółką. Czy może on jest u ciebie?

– Uhm – mruknęła znowu Weronika.

– Miałaś się czegoś dowiedzieć o tym panu. I co?

– I nic.

Madzia rozłączyła się. Nie miała ochoty mówić sama do siebie. Była zirytowana biernością przyjaciółki. Podejrzewała, że ten sąsiad – Latający Holender – to postać wyimaginowana. Że tak naprawdę wcale nie istnieje. Że Weronika wymyśliła go sobie, żeby jej zaimponować. W końcu Madzia była nieszczęśliwa, pokrzywdzona przez los. Nie miała już czym się ekscytować. Opowieści o sąsiedzkich amorach przyjaciółki mogły więc budzić zazdrość Magdy, której od dawna nikt nie przytulił.

Od kilku dni niemal cmentarna cisza panowała na ich piętrze. Może to cisza przed burzą? Wszyscy gdzieś zniknęli. Tylko ten obrzydliwy staruch z psem ciągle się tu pałętał, podsłuchiwał, nasłuchiwał, fałszywie się uśmiechał. Weronika nigdy nie darzyła go sympatią. Ale od czasu, gdy zrobiło się tak pusto, jego obecność jeszcze bardziej ją irytowała. Bo niestety mężczyzna, na którym najbardziej jej zależało, też gdzieś zniknął. Zabrał swoje śliczne auteczko retro w kolorze bahama yellow i tyle go widzieli. Pewnie się wyprowadził. Zresztą wspominał, że mieszka w Gdańsku tylko chwilowo. Że jest tu przejazdem. Poza tym nic o sobie nie mówił. Od początku była pewna, że ich znajomość skończy się właśnie tak. Bez słowa pożegnania. Przecież nie byli sentymentalni. I nie przywiązywali wagi do drobiazgów. To znaczy on nie przywiązywał. Bo ona jak najbardziej. I do niego też się przywiązała. Zależało jej na tym wszystkim, co tacy jak on nazywali sentymentalnymi głupstwami. Nudziarstwem. Bo Weronika była sentymentalna. Zdarzało jej się czytać romanse. Dawno temu. Jak była jeszcze panną. Kiedyś się tego wstydziła, ale teraz już ani trochę. Lubiła tak sobie poczytać i popłakać. I znowu jej się zebrało na płacz. Bo to, co wydawało jej się romanssem – jej własnym, przeżywanym całkowicie na jawie i na trzeźwo – właśnie się skończyło. Znowu była sama.

Mieszkanie sąsiadki zza ściany też ciągle stało puste. Może i ona się wyprowadziła? A kota się pozbyła. To mieszkanie od lat było wynajmowane, a lokatorki się zmieniały. Właściciel pojawiał się rzadko. I tylko na chwilę. Tak jak wtedy, gdy przyszedł po kota.

Dokuczała jej ta pustka i cisza. Miała w sobie coś depresyjnego.

W pewnym momencie usłyszała kroki na korytarzu. To nie był staruch z psem. Weronika podeszła do drzwi. Nasłuchiwała. Z nadzieją zerknęła przez wizjer. Niestety, to także nie on. Tylko kobieta, która mieszkała przez ścianę. Nie wytrzymała i otworzyła drzwi. Spojrzała na sąsiadkę. I zauważyła zmianę. Kobieta bardzo zmizerniała na twarzy, rysy jej się wyostrzyły, a poza tym zamiast swoich ślicznych blond włosów miała na głowie chustkę. Fantazyjnie zawiązaną w kolorze błękitnym. Wyglądała na bardzo zmęczoną lub bardzo chorą.

– Czy mogę pani w czymś pomóc? – zapytała Weronika.

Sąsiadka spojrzała na nią tak jakoś niezbyt przytomnie. Gdy wreszcie dotarło do niej pytanie, potrząsnęła przecząco głową. Ależ nie, skądże, żadnej pomocy nie potrzebowała. Otwierała drzwi. Powoli, ale zamasyście. A potem weszła do mieszkania, ciągnąc za sobą niewielką walizkę na kółkach. W niebieskie kwiatki. Całkiem gustowną. Weronika teraz już była pewna, że kobieta jest przy nadziei. I że jest poważnie chora. Tego też była pewna. I zrobiło jej się żal tej eterycznej kobiety o szlachetnym wyglądzie. Musiała cierpieć. To było po niej widać. Wtedy, ze dwa miesiące temu, gdy zostawiała u niej swojego kota, mówiła, że idzie do szpitala. Teraz pewnie z niego wracała. Dlatego ta walizka i zmiana w jej wyglądzie. A chustka na głowie to pewnie po chemii. Straszne. Taka młoda i umrze niedługo. Tylko co się stanie z dzieckiem? Chyba nie miała żadnych krewnych, skoro nikt do niej nie przychodził. A ojciec dziecka? Też go nie było. Jedynie ten doktorek, który zabrał do siebie kota, wyglądał na zatroskanego. Szkoda nawet tego zwierzaka. Bo na zmarnowanie pójdzie, jak ta jego pani umrze.

Anka chciała jak najszybciej odzyskać Nikodema. Bez niego czuła się w domu bardzo samotna. I zamierzała zadzwonić do Svena. Niech tu przyjedzie i ją zabierze. Oczywiście jeśli będzie chciał. Bo przymusu nie ma. Wiedziała od Wieśka, że jej szukał. Ale potem chyba zaniechał poszukiwań. Jak to on. Zawsze lubił odkładać różne sprawy ad Kalendas Graecas, zwłaszcza te trudne, z którymi nie wiedział, co począć. Pewnie zaszył się w tej swojej głuszy i żył pracą, która zawsze najbardziej go absorbowała, oraz wspomnianiem zmarłej żony, co absorbowało go jeszcze bardziej.

Usiadła w fotelu i wybrała numer Zagrobnyego. Najpierw musi odzyskać kota. Potem rozmówi się ze Svenem.

Zagrobny odebrał natychmiast. Był bardzo zdziwiony, że Anna chce kota z powrotem. Przecież to tylko przerwa w chemioterapii. Może lepiej, żeby Nikuś został u niego? Tym bardziej że jego mamusia już polubiła tego słodziutkiego zwierzaka. Anka nie miała pojęcia, że Zagrobny mieszka z matką. Jak go odwiedziła w mieszkaniu, nikogo więcej tam nie było. Ale jeśli naprawdę mieszkał ze swoją rodzicielką, to wszystko jasne. Nie ożenił się i nie miał dziewczyny, bo mamusia była zazdrosna. I pewnie go kontrolowała. Sprawdziała, kiedy miał dyżury, a kiedy wolne. Koszmar. Pewnie dlatego tak się do niej przystawiał. Z braku laku dobra i ciężarna pacjentka chora na raka.

Anka odkładała rozmowę ze Svenem od dawna, właściwie od początku pobytu w szpitalu. Codziennie budziła się z myślą, żeby do niego zatelefonować. Ale potem ogarniały ją wątpliwości. Coraz większe i większe. Od dwóch tygodni jednak myślała tylko o tym. Układała sobie w myślach, co mu powie. Ale jakoś wciąż nie mogła się zebrać. Poza tym w szpitalu nie było warunków do prowadzenia tego rodzaju rozmów. A tu, w cichym, pustym mieszkaniu, miała pełną swobodę. Mogła rozmawiać z każdym. Ale się bała. Jego złości. I tego, że tak trudno się z nim porozumieć. Bo on tylko burczeć potrafi. I robić niezadowolone miny. Na szczęście tych min nie widać, gdy się rozmawia przez telefon. Ale łatwo się domyślić, że są. Ciągle więc nie mogła się przemóc. Teraz też siedziała z telefonem w dłoni, wciąż niezdecydowana. Była jeszcze jedna sprawa, którą odkładała na lepsze czasy. Kilka razy próbował się z nią połączyć Sonnenberg, jej adwokat. Ponieważ sprawa zmiany nazwiska była już praktycznie załatwiona, zastanawiała się, o co mu chodzi. Miała nadzieję, że to nic ważnego. Pewnie znowu chciał zaoferować jej jakieś usługi, byle tylko wyciągnąć jak najwięcej pieniędzy. W końcu wiedział, jaką kwotę otrzymała w spadku po ojcu. Adwokaci to złodzieje. Tak mówił stary Wichura, który nie miał najlepszego zdania o członkach palestry *en bloc*. Ale do Krzysztofa Sonnenberga trzeba będzie zadzwonić. Może właśnie teraz jest ten właściwy moment? Najpierw Sonnenberg, potem Dibelius. Trudni rozmówcy.

– Halo, mówi Anna Baumann, dobry wieczór, panie mecenasie – zaczęła gładko i uprzejmie.

– A witam, pani Anno, witam serdecznie. Nie mogłem się do pani dodzwonić, a sprawa jest pilna i niecierpiąca zwłoki. Więc znakomicie, że pani dzwoni. Chciałem nawet wysłać list, ale nie wiedziałem, na jaki adres. Bo jak wiem, już nie mieszka pani w Szwecji, tylko w Gdańsku, ale nie zostawiła pani adresu, a do szpitala chyba nie wysyła się takich listów... – mecenas wyrzucał z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego.

– Do rzeczy, panie mecenasie – przerwała mu Anka. – Niech pan nie trzyma mnie w niepewności. Co to za pilna sprawa? Urzędowa zapewne. – Wiesiek wreszcie złożył pozew o rozwód, pomyślała. Rychło w czas. Teraz to ona nie była tym zainteresowana. To znaczy była, ale w tej chwili miała inne priorytety.

– Nie, pani Anno, nie urzędowa. Będę się streszczał, jeśli pani pozwoli. Otóż chodzi o pani matkę. A właściwie to o siostrę pani, panią Mariannę Baumann. Ona bardzo prosi o kontakt. Nie może się do

pani dodzwonić na numer telefonu, który ma. I dlatego poprosiła mnie o pomoc.

– Dobrze, panie mecenasie, ale jaki to ma związek z moją matką? – Anka była wyraźnie zniecierpliwiona pokrętną gadką adwokata.

– Pani matka jest poważnie chora. Leży w szpitalu w Warszawie. Szczegóły zna pani Marianna. I z nią proszę się kontaktować.

Anka pożegnała się z mecenasem i zaczęła się zastanawiać, co mogła mieć wspólnego Marianna Baumann, jej przyrodnia siostra, z jej matką Grażyną. Obie panie chyba nigdy w życiu się nie widziały, nie licząc niefortunnego występu Grażyny na pogrzebie Roberta Baumanna, który z pewnością nie uszedł uwadze Marianny. Postanowiła, że skontaktuje się z Mańką, ale później. Nie lubiła z nią rozmawiać i nie umiała. W końcu prawie się nie znały. Ciekawe, co się stało Grażynie? Szkoda, że nie miała komórki, tylko telefon stacjonarny w domu. Anka wyrzuciła z pamięci ten numer, chociaż może nie powinna, bo matka to jednak matka. A ona swoją opuściła. Natomiast Grażyna nie chciała komórki, podkreślając przy każdej okazji, że jest starej daty i nie zamierza sobie zaprzętać głowy tymi wszystkimi nikomu niepotrzebnymi nowinkami technicznymi. Ankę irytowała ta gadka, typowo w stylu Grażyny. W tym, co mówiła, kłamstwo goniło kłamstwo. Grażyna wcale nie była starej daty. Była jeszcze stosunkowo młodą kobietą. W końcu urodziła córkę jako nastolatka. A co do nowinek technicznych – po prostu nie chciało jej się poświęcić chwili na nauczenie się obsługi najprostszej komórki, co Anka wielokrotnie jej proponowała. Ale Grażyna zawsze wtedy potrzasała swoją bujną czupryną i mówiła to swoje: NIE MA MOWY. I Anka wiedziała, że nie ma co dyskutować. Grażyna, zamiast się uczyć i pracować, wolała palić papierosy, jednego za drugim, i stawiać pasjansy. Albo godzinami się gapić przed siebie i mieć wszystko wszystkim za złe. A najbardziej swojej jedynej córce, która zmarnowała jej świetnie zapowiadającą się karierę. Cyrkową.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek. To Zagrobny przyniósł Nikusia. Kocisko zmieniło się nie do poznania. Z drobnego szczuplaczka przedzierzgnął się w dorodnego spaślaka. Wystarczyły mu dwa miesiące. To zapewne sprawka pani Moniki Zagrobnej, szanownej mamusi doktora Maćka, która najpierw nie chciała przyjąć kotka pod swój dach, a potem zaczęła mu dogadzać. Dzisiaj zapewne uroniła kilka łez, gdy trzeba było się pożegnać z grubaskiem.

– Aleście go spaśli. – Anka wyduła wargi w pogardliwym grymasie. – Nie poznaję własnego kota.

– Pani Aniu, to nie ja, to mamusia. Ja całym dniami przesiaduję w szpitalu, co zapewne pani wie, i niestety nie byłem w stanie kontrolować, ile i czego mama mu podawała.

Anka była lekko oburzona tym, jak zmienił się jej kot. Ale z drugiej strony śmiać jej się chciało, zwłaszcza gdy patrzyła na doktora Macieja, który mimo letniej pory miał na sobie kamizelkę w biało-zielone pasy, wydzierganą na drutach przez szanowną mamusię.

– No dobrze, już dobrze, najważniejsze, że jest cały i zdrowy. Powiem więcej: wygląda kwitnąco.

Doktor Maciek postawił na podłodze kuwetę, klatkę i torbę z miseczkami. Cały ten koci majdan, do którego zdążył się przyzwyczaić w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Będzie mu tego brakowało. Nie tylko jego matce, ale jemu też. I to bardzo. Miał przy sobie jakąś część tej niezwyklej, szlachetnej kobiety, której tak bardzo pragnął. Nawet teraz, w chorobie, bez włosów i z ciężowym brzuchem, była taka piękna. Zupełnie jak Mia Farrow w *Dziecku Rosemary*. Postanowił, że czas już wyjść, bo z coraz większym trudem panował nad sobą. Pragnął tylko pocałować jej dłoń, tak jak wtedy, w jego gabinecie, gdy byli sami. Podczas jej pobytu w szpitalu zawsze ktoś im towarzyszył. A teraz nadarzyła się okazja, być może ostatnia, żeby dotknąć ustami pięknych, subtelných dłoni Anny Formeli.

Podszedł do niej, podniósł jej dłoń do ust i zaczął całować. O dziwo, nie wzbraniała się. Miała na sobie cienką sukienkę ciążową, pod którą wyraźnie rysowały się jej powiększone z racji ciąży piersi i dość już obfity brzuszec. Bardzo go to wszystko podniecało. O takiej kobiecie marzył przez całe życie.

Skoro nie mógł paść na kolana i się jej oświadczyć, bo była uwikłana w związki z innymi mężczyznami, mógł przynajmniej posiadać ją. Tu i teraz. W tym dość obskurnym mieszkanku, do którego nie pasowała ani trochę.

Anka po raz kolejny była zdumiona swoją reakcją na pieszczoty pana doktora. Zagrobny niby jej się nie podobał. Śmieszyła ją ta jego nieszczęsna, obciachowa kamizelka i to, że mieszkał z matką, chociaż miał jakieś trzydzieści sześć lat. Ale gdy pieścił jej dłonie, nie mogła opanować podniecenia.

– Niech pan już wyjdzie, panie doktorze – odezwała się w końcu proszącym tonem. Jak to dobrze, że nie przeszli na ty, chociaż on tyle razy próbował. Ale nie udało mu się skrócić dystansu między nimi. Anka konsekwentnie mówiła do niego „panie doktorze”. Więc on również musiał tytułować ją „panią Anią”. Chociaż było mu to nie w smak. Ale dzięki temu mogła teraz przerwać tę scenkę, która skręcała w niebezpiecznym kierunku.

Gdy wreszcie wyszedł, odetchnęła głęboko. Znowu zaczęła się zastanawiać, do kogo zatelefonować. Do Svena czy jednak do Marianny? Najpierw obowiązek, a potem przyjemność. Tak zawsze uczyła ją Marysia Wichura, która tak naprawdę ją wychowała, bo Grażyna nie miała czasu na takie nudziarstwo jak wychowanie własnej córki. Tak czy inaczej, wykonanie każdego z tych telefonów będzie ją sporo kosztowało. Postanowiła, że najpierw zadzwoni do niego. To z nim rozmawia się najtrudniej.

Od powrotu z Buska-Zdroju pani Monika myślała tylko o jednym. Umówili się już wtedy, jak zadzwoniła do niego z sanatorium, ale potem nic, cisza. On tylko się uśmiechał i kłaniał, gdy się spotykali na klatce schodowej albo gdzieś koło domu. Ale już nie wychodził na klatkę, kiedy zbiegała po schodach, stukając obcasami. A ona przestała wkładać koronkową bieliznę. Zwykłe bawełniane desusy były w sam raz dla samotnej niemłodej już kobiety. Koronki schowała głęboko w szufladzie. Zastanawiała się, czy ich nie wyrzucić, ale uznała, że były zbyt drogie i jednak trochę szkoda. Posmutniała. Zwłaszcza jak Maciuś oddał kota właścicielce. Zabrał jej ostatnią radość w życiu. Bo z posiadania syna przestała się cieszyć, odkąd odkryła, że jej wymuskany jedynak jest zwykłym alkoholikiem, nieszczęsnym Piotrusiem Panem, który ugania się za jakimiś widmowymi kobietami, które nigdy nie będą ani jego, ani z nim. Opuściła się we wszystkim. Zaniechała wizyt u fryzjera i co gorsza – u dentysty. Nie bywała nawet w parku. Tylko czasem wychodziła po zakupy, jak Maciej zapomniał kupić mleko albo chleb. Ale na ogół nie zapominał. Dzięki temu nie musiała wcale się ubierać ani nigdzie wychodzić. Nawet komórki nie włączała, chociaż Maciej beszał ją za to. Z wyrzutem w głosie mówił: „Nie ma z tobą kontaktu”. I to była prawda. Kontaktu z nią nie było żadnego. Ale przecież synowi to zupełnie nie przeszkadzało. Wystarczył mu codzienny kontakt z butelką.

Nie mogła zrozumieć, co się stało. Dlaczego pan Zdzisław przestał na nią zwracać uwagę. Przecież gdy do niego zadzwoniła z sanatorium, był zachwycony. Miał na nią czekać na dworcu. Ale nie czekał. Chciała zapytać, co się stało. Ale już się nie zatrzymywał, żeby zamienić z nią kilka słów. Tak po sąsiedzku. Tylko te ukłony i uśmiechy. Takie powściągliwe, oficjalne.

– Maciusiu, a co byś powiedział na to, żebym zamieszkała w tym malutkim mieszkanku po babci, a ty tu sam? – zagadnęła któregoś ranka przy śniadaniu. Jej słowa chyba zrobiły na nim wrażenie, bo syn po raz pierwszy od dawna podniósł na nią wzrok. I zastanowił się nad tym, co powiedziała.

– Ależ mamusiu, a czy nam tu źle razem?

– Mnie jest źle, synku, i tobie też. Powinieneś się ożenić albo zamieszkać tu z jakąś młodą kobietą.

– Ale ja wynajmuję to mieszkanie, mamusiu – stęknął Zagrobny.

– Komu wynajmujesz?

– No... pacjentce.

– Której pacjentce? Tej z krainy lodu?

– A czy to ma jakieś znaczenie?

– Owszem, ma. Bo powinieneś zacząć chodzić po ziemi. Może jakąś zdrową pielęgniarkę sobie poderwij, która ci dzieci urodzi. Żeby pożytek z niej był. Ale błagam cię, synku, nie uganiaj się za tą gasnącą mimozą. Powiedz mi tylko, kiedy mi dasz klucze, to się przeprowadzę.

– Mamusiu, ale jak pani Ania się wyprowadzi, to akurat nasza Elżbietka z Anglii wróci. A jej przecież nie mogę odmówić.

– Ale ja się muszę stąd wyprowadzić – westchnęła pani Monika, a Maciej zauważył w jej oczach łzy.

IDA

Mamy kilka podobnych spraw z tamtego okresu. Naszą listę otwiera Ida Martens. Bardzo ciekawy przypadek. Właściwie pierwsze tego rodzaju zaginięcie, wiele lat temu. Ponura niewyjaśniona historia. To się zdarzyło w siedemdziesiątym roku, w grudniu. Nasza dziewczyna z Biskupiej Górki to może być właśnie Ida. Niestety nie dysponujemy jej materiałem genetycznym. Krewni Idy podobno mieszkają we Fryzji, więc raczej trudno będzie zdobyć na nich jakiś namiar – podkomisarz Waldemar Bodzioch monotonnym tonem informował trójkę dziennikarzy o działaniach członków grupy dochodzeniowej i o czynnościach zespołu patologów.

Gosia Herbst, redaktorka lokalnej bulwarówki, w skupieniu słuchała wywodu podkomisarza. Od czasu niefortunnego długiego weekendu w Kazimierzu nad Wisłą, który miał być romantyczny, a okazał się kompletnym niewypałem, była wściekła na Sergiusza, swojego aktualnego partnera. Zawsze gdy była w złym humorze z powodu mężczyzny, ściągała włosy gumką i wkładała czarny bawełniany golf. Wyjątkowo nietwarzowy, a przy tym bardzo obcisły. Sergiusz nie znosił go, bo w tym nieco przyciasnym golfie kształtny, choć nie do końca naturalny biust Gosi był, jego zdaniem, zbyt wyeksponowany. Zerkał ukradkiem na partnerkę i robił się coraz bardziej wściekły. Ubrała się jak jakaś burdelmama. Wywaliła cycki na wierzch i szczyrzy te swoje uszmińkowane usta w lubieżnym uśmiechu skierowanym do tego podkomisarza Waldemara o idiotycznym nazwisku na literę B. Pewnie chce go poderwać, bo przydałby się jej jakiś nowy ogier. Nienasycona suka. Ma do niego żal o ten nieudany weekend w Kazimierzu.

Gosia, uśmiechając się słodko do Bodziocha, wstała, zmrużyła oczy, zatrzepotała rzęsami jak nastolatka i wzięła głęboki oddech. Oprócz obcisłego golfu miała na sobie krótką spódniczkę, ledwie do kolan, a właściwie tuż przed nie. Sergiusz nieraz prosił swoją partnerkę, żeby nie nosiła się tak krótko, bo to prowokuje mężczyzn. Poza tym uważał, że Gosi, która już jakiś czas temu świętowała pięćdziesiąte urodziny, noszenie krótkich spódniczek po prostu nie przystoi. Z tyłu liceum, z przodu wiadomo co, lepiej nie mówić. A ona zawsze, gdy ją tak pouczał, odgryzała się, że jest pruderyjny i ma ciasne horyzonty rodem z Peerelu.

Krótką spódniczka Gosi zrobiła na Bodziochu spore wrażenie. Jeszcze większe wywołały zarysowane pod jej golfem sutki. Widział ją po raz pierwszy i od razu przeleciało mu przez głowę, że chciałby zaprosić tę seksowną panią redaktor na kawę, a może nawet na kolację. Nie wiedział jednak o tym, że pani redaktor i szef działu miejskiego Sergiusz od półtora roku ze sobą żyją. I nawet zastanawiają się nad ślubem. Oczywiście cywilnym, bo Sergiusz był zadeklarowanym niedowiarkiem. Poza tym wciąż jeszcze był żonaty. Przynajmniej formalnie. W rzeczywistości od dawna pomieszkiwał u Gosi, a jego małżeństwo było martwe.

– Poproszę jeszcze pana komisarza o przedstawienie informacji z autopsji zwłok znalezionych w piwnicy na Biskupiej Górcie. – Mimo że ton Gosi był nadzwyczaj poważny, Sergiusz doszukiwał się

w nim kokieterii.

Bodzioch, nieco znudzony, jak się wydawało, czytał raport z sekcji zwłok. Od czasu do czasu podnosił oczy znad kartki i zerkał na Gosię. Odwdzięczała mu się podobnym, kokieterijnym spojrzeniem. Dzięki temu, że rano wytuszowała rzęsy i starannie się umalowała, jej oczy nabrały wyrazu. Bodzioch najwyraźniej przypadł jej do gustu. Wysoki, korpulentny. Zawsze miała słabość do takich panów z niewielkim brzuszkiem. Bodziochowy bandzioch należał do tych całkiem sporych. Zawdzięczał go tyleż niechęci do uprawiania sportu, co mamusinemu jedzonku, przywożonemu w słoiczkach z rodzinnego Bytowa.

Sergiusz z nieskrywaną niechęcią spoglądał to na partnerkę, to na nowy obiekt jej umizgów. Ona mizdrzy się i kokietuje, a ten niestary jeszcze, brzuchaty cap coś tam sobie roi na jej temat. Obrzydliwe. I pomyśleć, że dla tej baby zaniedbał żonę młodszą od Gosi o ładnych kilka lat – co najmniej. I w dodatku całkowicie zmienił styl – ubiór, fryzurę, po prostu wszystko. Przestał być sobą. Przerobiła go ta baba na swoją modłę. A najgorsze było to, że zaniedbał kogoś, kto był naprawdę ważny – swoją staruszkę matkę. Zamiast działać w swoim interesie, tańczył dokładnie tak, jak mu zagrała pani redaktor Herbst.

Bodzioch, czytając pozbawionym emocji tonem o maziastej substancji na powierzchni zwłok, raz jeszcze podniósł wzrok znad kartki i ponownie zerknął na Gosię. Następnie na jednym wdechu kontynuował swój wywód, informując zebranych, że na głowie ofiary zidentyfikowano brunatno-żółtawe włosy długości do około trzydziestu centymetrów. Po odpiłowaniu sklepienia czaszki wraz ze związanymi z nią tkankami miękkimi ujawniono nieco zaschniętą oponę twardą o brunatno-szarawym zabarwieniu, a w tylnej części jamy czaszki – gliniasty twór odpowiadający mózgowiu. Twarz Bodziocha zdradzała pełne ukontentowanie. I może nawet coś jeszcze. Redaktor naczelny brukowca, który prowadził spotkanie z udziałem członków grupy śledczej, miał natomiast znudzoną minę. Walczył z sennością i kacem, bo wczoraj wypił więcej niż zazwyczaj. Już prawie zasypiał, gdy ktoś gwałtownym ruchem nacisnął na klamkę drzwi wejściowych do gabinetu naczelnego.

To była Agnieszka, córka Gosi. Zdyszana, zasapana. Weszła do pomieszczenia niepewnym krokiem. Wiedziała, że nie powinna tu przychodzić. Matka zawsze była na nią wściekła, gdy przeszkadzała jej w pracy. Albo w innych ważnych czynnościach.

– Ja przepraszam, ale mam coś pilnego do mamy – zaczęła niezbyt pewnym tonem.

Gosia zerwała się z miejsca, nieco spłoszona. Podbiegła do córki. Spojrzał na nią z wyrzutem. Agnieszka była pełnoletnia i nie powinna robić matce takich numerów. Przecież wiedziała, jak zależy jej na tej pracy. Na reputacji profesjonalistki. I w ogóle – na wszystkim. Na urodzie, na pieniądzach. No i na facetach oczywiście.

– Zaraz wracam, panie redaktorze – zwróciła się Gosia do naczelnego. – Pan rozumie, sprawy rodzinne.

Naczelny Czesław Stąporek nie rozumiał, bo ze swoją rodziną od lat nie utrzymywał kontaktów. Natomiast Sergiusz uśmiechnął się do Agnieszki blade. Lubił tę dziewczynę. I chyba z wzajemnością. Była trochę podobna do Tosi, jego córki, z którą niestety ostatnio nie umiał się dogadać. Za to z Agą byli w świetnej komitywie.

– No i czego ty ode mnie chcesz? – wysyczała Gosia do córki, gdy wreszcie znalazły się na korytarzu.
– Mamo, ratuj... – zaczęła Agnieszka ze łzami w oczach. – Niestety muszę się do ciebie wprowadzić. Wiem, że Sergiusz... Że to dla ciebie krępujące, ale ja naprawdę nie mogę już mieszkać u Seby, u Sebastiana znaczy się.

– Muszę, musisz! Czy ty, do cholery, nie znasz innych słów? – odparowała Gosia, zirytowana propozycją córki. Nie miała ochoty na ponowne zamieszkanie pod jednym dachem ze swoją jedynaczką. Oddaliły się od siebie przez ostatnie lata. Zupełnie nie mogła zrozumieć tej dziewczyny. Tych jej ciągłych wahnięć z jednej skrajności w drugą. Poza tym wspólne zamieszkanie by ją krępowało. Był Sergiusz. Mogli być jeszcze inni. Od jakiegoś czasu prowadziła się dość swobodnie i bardzo jej to odpowiadało. W końcu jeśli szaleć, to kiedy?

– Może wprowadzisz się na Jańskową Dolinę, do babci Romci?

– Do babci Romci? Do tego jej zapudrowanego buduaru? Przecież wiesz, że nie cierpię tego cholernego grobowca.

– To jedyne wyjście. Babcia wyjechała do Hajfy. I może już stamtąd nie wróci. A mieszkanie nie powinno stać i niszczeć. Chyba lepiej, żeby zamieszkała w nim jedyna wnuczka, prawda?

– No nie jedyna, bo jest jeszcze Dawidek, mój roczny braciszek. A poza tym chyba mój szanowny tatulek również ma to mieszkanie na oku. On chce się tam wprowadzić, bo u tej jego laseczki w dwóch małych pokoikach im za ciasno. Zwłaszcza że Dawidek potrzebuje przestrzeni. Wybiegać się musi.

– O ojca się nie martw, wszystko z nim załatwię. Masz tu klucze. Możesz się wprowadzić na Jańskową choćby dziś. I proszę cię, żebyś mnie nie nachodziła w pracy, dobrze?

Aga czuła, że matka chce się jej pozbyć. Ma to swoje cholerne rozpustne, bujne życie, które ją naprawdę kręci. I tych swoich facetów. A córka była dla niej jak kula u nogi.

Gdy Gosia wreszcie wróciła na spotkanie, które obchodziło ją znacznie bardziej niż własna córka, Sergiusz właśnie czytał jej tekst na temat zmumifikowanych zwłok kobiety znalezionych w piwnicy starej kamienicy na Biskupiej Górze. Artykuł miał się ukazać w weekendowym wydaniu gazety.

– Niestety, nie wiem, jak długo ten truposz leżał w piwnicy. Dziesięć lat, dwadzieścia, a może i czterdzieści? No i nie znamy tożsamości denatki. – Bodzioch nie mógł już wytrzymać tej drętwej atmosfery i pustostowia, jakie panowały w redakcji, więc musiał rzucić jakimś grubszym słówkiem. A słowo „truposz” jakoś mu tu pasowało. Nie było wulgarnie, ale też nie tak ugrzecznione jak wszystko, co mówił i robił Sergiusz Możdzonek. Drażnił go ten redaktorek jak jasna cholera.

– A czy to ma jakieś znaczenie? – wycedziła Gosia przez zęby, chcąc włączyć się do dyskusji. Nawet nie spojrzała na Sergiusza. To już była jawna wrogość. Nie obojętność, ale po prostu wrogość. Ignorowała go i żeby jeszcze bardziej mu dopiec, robiła słodkie miny do tego całego Bodziocha, który nie wiadomo po co się tu plątał. A ona przewracała tymi swoimi wielkimi gałami, które wymalowała jak jakaś dziwka.

– Współpracujemy z Instytutem Ekspertyz Sądowych w Krakowie w celu ustalenia tożsamości zwłok w oparciu o nowatorską metodę rekonstrukcji wyglądu osoby z kodu DNA – wypowiedziawszy te słowa, Bodzioch chrząknął dwa razy jak jakiś prosiak i skierował wzrok na biust Gosi, co było szczytem bezczelności i chamstwa. Gdyby Gosia była rozsądną kobietą, mogłaby go oskarżyć o molestowanie. Seksualne. Ale ona była najwyraźniej zadowolona z tego, jak się wobec niej zachowywał niejaki Waldemar Bodzioch. – Jak państwo wiedzą – ciągnął podkomisarz – informacje zawarte w części DNA pozwalają określić płeć, kolor włosów i oczu, barwę skóry. Uzyskane w ten sposób dane umożliwią nam sporządzenie bardziej dokładnego portretu zmarłej. I taki portret będziecie mogli zamieścić w waszej gazecie. Wam zwiększy to sprzedaż, a nam pomoże rozwiązać zagadkę tego szkieletu, a może naprowadzi nas na trop, który pozwoli na ustalenia dotyczące także kilku innych zaginięć. Więc, proszę państwa, po nitce do kłębka. – Bodzioch był wyraźnie zadowolony z siebie. Dzięki owocnej współpracy z instytutem

z Krakowa uda się ustalić tożsamość ofiary. Poza tym miał ochotę zaproponować kawę uroczej pani redaktor, która co prawda wyglądała na o kilka lat od niego starszą, ale przede wszystkim była bardzo ponętna i chyba rozwiedziona, no, w każdym razie niezaobrączkowana. Z całą pewnością szukała przygód, podobnie jak on. Postanowił doprowadzić do szybkiego zakończenia narady, co nie było takie łatwe, bo skacowany i chory na cukrzycę redaktor Stąporek zaczął lekko pochrapywać. Bodzioch zwrócił się bezpośrednio do drzemającego naczelnego, wymawiając każde słowo głośno i wyraźnie: – Pani redaktorze, chciałbym jeszcze porozmawiać z panem po naradzie. – Jego ton był zjadliwy. – Z panią redaktor też chciałbym to i owo skonsultować. W sprawie artykułu, ma się rozumieć. – Tym razem głos podkomisarza Bodziocha zabrzmiał bardzo uprzejmie, może nawet za bardzo. Gosia odwróciła się w jego kierunku i uśmiechnęła słodziutko, tak jak potrafiła, gdy jej na czymś, a raczej na kimś zależało.

– To ja będę pod telefonem – wyszeptła i kręcąc tyłkiem, wyszła z gabinetu naczelnego, który chwilę wcześniej skinieniem głowy odprawił towarzystwo i ponownie zapadł w drzemkę.

Sergiusz wściekł się. Powinien się uchlać jak za dawnych, dobrych czasów i zniknąć gdzieś na kilka dni, może tygodni, niewykluczone, że na zawsze. Na pewno jego noga nie postanie więcej w cholernym domu Gosi – wychuchanym, wydmuchanym i pachnącym jakimś pierdolonym zmiękczaczem do prania parfümelle srelle. Wróci do żony. Właściwie to nigdy się od niej nie wyprowadził. Ale wolał być u Gosi. Bo tam były śmiech, żarty i seks. A żona to jego wyrzuty sumienia, jej wieczna zazdrość i docinki. Ale też dwójka jego dorastających dzieci. To dla nich będzie musiał wrócić do domu. Chociaż wcale nie miał na to ochoty. Ale skoro ta rozpasana kobieta uśmiecha się do jakiegoś pana podkomisarza i kręci porozumiewawczo tyłkiem, to zapewne zechce go wypróbować. Zawsze powtarzała, że jest wolna, że nie chce się wiązać, że liczy się dla niej tylko dobra zabawa i to, żeby czuć, że wciąż jeszcze żyje. A Sergiusz ostatnio dostarczał jej coraz mniej powodów do zadowolenia i satysfakcji, bo jakoś nieskory był do zabaw. Dlatego Gosia intensywnie rozglądała się za jego następcą. Robiła to nawet w jego obecności, co było szczytem nietaktu. Ale taka już była pani redaktor Małgorzata Herbst. Chyba więc będzie trzeba się przekimnąć w redakcji. Albo u matki, na Biskupiej Górcie.

– Naprawdę jestem pod dużym wrażeniem tego artykułu, pani redaktor. Zrobił furorę. I jeszcze zdjęcia z piwnicy tej niesamowitej kamienicy. Dla mnie po prostu bomba – zaczął Bodzioch oficjalnym tonem. Nigdy nie umiał prowadzić rozmów telefonicznych. W dodatku z kobietą. I to zupełnie obcą. – Poza tym chciałbym omówić pewne szczegóły, ale to może jakoś tak nie przez telefon...

– Zapraszam do mnie, do redakcji. – Gosia nie spodziewała się, że Bodzioch tak szybko zareaguje na jej poranne mizdrzenie się. Przesadziła. To było tylko tak na pokaz przecież. Żeby dopiec Sergiuszkowi, żeby choć przez chwilę był o nią zazdrosny. Ale ten Bodzioch chyba też zauważył jej słodkie minki i wyciągnął błędne wnioski. Chociaż był niczego sobie. Całkiem w typie Gosi. Trochę podobny do Wieśka Formeli. Ale sporo od niego młodszy. I od Gosi też, niestety. No, może miał ciut za duży brzusek, ale tylko ciut. Sergiusz był jak na jej gust nieco zbyt żyłasty. Sama kazała mu chodzić na siłownię, ale tak naprawdę lubiła nieco zaokrąglonych facetów. Bodzioch był bardziej w jej typie. Fakt, że był młodszy, też nie pozostawał bez znaczenia.

– Będę za jakieś pół godziny, może być? – ton głosu podkomisarza zabrzmiał nieoficjalnie, całkiem niesłużbowo, jak rozmowa, którą zamierzał z nią przeprowadzić.

Czekała na niego w swoim pokoju. Lubiła zostawać w redakcji po godzinach. Poza tym nie miała ochoty wracać do domu. Zwłaszcza po kłótni z Sergiuszem. Pewnie się obraził. Zamknął się w swojej redakcyjnej kanciapie i oświadczył, że będzie tu nocował. A może na dobre przeniesie się do żony?

Przecież nawet nie chciał słyszeć o rozwodzie, gdy mu kiedyś zaproponowała, żeby byli razem, ale tak bardziej formalnie. Tak byłoby najlepiej.

A ten cały Bodzioch, niby taki napalony, a się spóźniał. Już godzina minęła. Gosia postanowiła, że jeśli nie zjawi się za dziesięć minut, to po prostu sobie pójdzie. Przypomniało jej się, jak parę lat temu czekała na Wieśka. To był piękny czas, romantycznie było. Ale teraz potrzebowała czegoś zupełnie innego. I przez chwilę wydawało jej się, że ten gliniarz nawet by się do tego nadawał. Wstydziła się tych swoich myśli i pragnień sama przed sobą. Naprawdę już chciała wyjść z redakcji, bo ile można siedzieć w pracy po godzinach. Gdy minęło dziesięć minut, postanowiła poczekać jeszcze dodatkowe pięć, bo przecież te korki i w ogóle. Było wpół do siódmej, gdy usłyszała pukanie do drzwi. To był on. Chyba się przebrał. No i wyperfumował. Był czerwony na twarzy.

– Ja bardzo panią przepraszam za spóźnienie. Bałem się, że już pani nie zastanę... – podkomisarz chyba wbiegł po schodach, bo był zasapany. Nie ćwiczy – pomyślała Gosia, która niedawno znów zapisała się na siłownię. Żeby pilnować Sergiusza, tak na wszelki wypadek. Bodzioch – czerwony jak burak i wyraźnie onieśmielony na jej widok – wydał się jej jeszcze bardziej atrakcyjny. Uśmiechnęła się przyjaźnie – do niego i do swoich myśli. – Pani już wychodziła, widzę, więc może ja panią odwiozę do domu i porozmawiamy w samochodzie?

– A to by mi nawet pasowało, bo moje auto jest w warsztacie na przeglądzie. Więc jeśli byłby pan tak uprzejmy, to proszę mnie odwieźć.

Gosia wzięła do ręki torebkę i była gotowa do wyjścia. Bodzioch patrzył na nią rozanielonym wzrokiem. Podobała mu się coraz bardziej i chyba on jej też. Może zaprosi go na herbatę? Od rana dawała mu znaki. Teraz też czekała na niego tak długo. A on pojechał do siebie, żeby się odświeżyć. A potem naprawdę utknął w korku. I już nie miał nadziei, że będzie na niego czekała. Dlatego wbiegł po schodach, się zasapał i chyba niestety spocił. A teraz dalej się pocił. Taki był podniecony. Ona też się zaczerwieniła na jego widok. I spuściła wzrok. A potem posłała mu taki dziwny uśmiech, że aż przeszedł go dreszcz.

Gdy wsiedli do samochodu, miała problem z zapięciem pasów bezpieczeństwa albo udawała, że ma. Chciała, żeby jej pomógł. I żeby ją wreszcie dotknął. Więc pochylił się nad nią i pomógł jej zapiąć ten nieszczęsny pas, a potem dotknął jej uda. Jakoś tak przypadkiem. I musnął ustami jej pierś. Też niby przypadkiem. Jej krótka spódniczka jakoś tak się podciągnęła, gdy siadała, że łatwo mógł dostrzec jej pończochy i fragmencik seksownej bielizny. I to wszystko też przypadkiem oczywiście. Przez całą drogę milczeli, chociaż mieli omawiać sprawy służbowe. Bodzioch wciąż zerkał na to jej udo. I zastanawiał się, czy ma na sobie pas do pończoch, bo to budziło wspomnienia z jego szczenięcych lat, gdy podglądał różne sporo starsze od siebie kobiety. Matkę i ciotki. I pewną znajomą matki, która nosiła piękną, koronkową bieliznę. One wszystkie, w tamtych już dość odległych czasach, nosiły te pasy do pończoch. Był ciekaw, czy pani redaktor również ma na sobie tę niezwykle ekscytującą część damskiej garderoby. Ale chyba nie pozwoli mu tego sprawdzić, bo stanął już pod jej domem, a zaproszenie na herbatę nadal nie padło.

– Przez to moje spóźnienie nie zdołaliśmy omówić naszych spraw – Bodzioch zaczął bez ogródek, gdy chciała już wysiąść.

– Ale ja nie mogę zaprosić pana do siebie. – Gosia miała bardzo nieszczęśliwą minę. Chciała dodać, że nie mieszka sama, ale ugryzła się w język. Widać było, że bardzo żałuje. I że trochę się wstydzi.

– To może pojedziemy gdzie indziej? – zaproponował.

– Dobrze – przytaknęła skwapliwie.

Gdy kilkanaście minut później jechali obskurną, zasikaną windą na piąte piętro wieżowca przy Kamiennej Grobli, milczała. Miała spuszczonego wzrok. I naprawdę wstydziła się tego, co robi. Gdy

otworzył drzwi, była jeszcze bardziej zawstydzona. W niewielkim mieszkaniu pachniało jego wodą po goleniu.

– Napiłabym się herbaty – wystękała, gdy rozpiął suwak jej czarnej krótkiej spódniczki. Tej samej, którą miała na sobie na porannej naradzie.

– Może później? – zaryzykował.

– Wolałabym teraz.

Bodzioch jak niepyszny poszedł do kuchni zaparzyć tę nieszczęsną herbatę. A ona usiadła na krześle i obciągnęła spódnicę. Pomyślała o Sergiuszu. O tym, że jest o nią zazdrosny. A ona była dumna z tej zazdrości. Mizdrząc się rano do Bodziocha, osiągnęła swój cel. I na tym powinna poprzestać. Ale jakoś chyba nie mogła. To było silniejsze od niej. Chciała spróbować. Tylko ten jeden raz. W końcu była dorosła i wolna. Przynajmniej formalnie. Bo Sergiusz jakoś nie zdołał zebrać się w sobie, rozwieść się wreszcie z tą swoją neurotyczną, chorą żonką i oświadczyć się swojej kobiecie. Nawet kwiatów jej nie przyniósł ani razu. No, może raz. Ale kawy do łóżka to nie podał jej nigdy. Najgorsze jednak było to, że wieczorem odwracał się od niej i mówił, że jest zmęczony. A ona usychała. Teraz stał przed nią młody bysio, który na pewno nie powie jej, że jest śpiący. Był całkiem do rzeczy, podobał jej się. Trzymał w dłoni jakiś przesychny kubek z herbatą.

Gdy wzięła kubek do ręki, przykucnął i zaczął delikatnie podciągać jej czarną spódniczkę. Gosia małymi łykami piła herbatę i udawała, że nic takiego się nie dzieje.

Sergiusz obudził się o piątej. Skacowany jak jasna cholera. Postanowił pójść do domu. Na piechotę. Bo na taksówkę nie miał pieniędzy. Miała wyłączoną komórkę. Martwił się o nią. Musiał sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Wsiadł do tramwaju. Na gapę. Trochę był zaniepokojony, bo ona nigdy nie wyłączała komórki. Pewnie się obraziła, pomyślał. Od tramwaju szedł szybkim krokiem. Prawie biegł. Wpadł do domu jak oparzony. Nie było jej. Łóżko zaścielone. Jeszcze za wcześnie, żeby wyszła do pracy. Nie nocowała w domu? Więc u kogo? U przyjaciółki, żeby się wyzalić? Nie miała takiej przyjaciółki. Coś jej się stało? Miała wypadek? Chyba nie, bo samochód dała do warsztatu. Więc co się wydarzyło? No, chyba nie to. To byłoby idiotyczne. Całkiem niedorzeczne. Wstawił wodę na herbatę. Usiadł przy kuchennym stole. Powinien się wykapać, zmienić ubranie i iść do pracy jakby nigdy nic. I nie myśleć o niej. Na pewno coś jej wypadło. Po prostu. Nie ma co podnosić larum. Poza tym bolał go ząb. Powinien jeszcze dziś pójść do dentysty. Już wolałby go wyrwać, byle nie borowanie.

Postanowił, że będzie na nią czekał do skutku. Ząb bolał go coraz bardziej. Trzeba będzie wziąć kacowe. Tym bardziej że naprawdę wczoraj wypił. O wiele za dużo. Było jeszcze wcześniej. Postanowił wziąć prysznic. I się przebrać. Jego ciuchy śmierdziały potem. Gosia nie lubiła, gdy był niechlujny. I po alkoholu. Bardzo się starał dla niej. Ale wczoraj po prostu nie wytrzymał. Nie powinna kręcić tyłkiem przed tym młodym gliniarzem. I zachowywać się jak jakaś dziwka spod latarni. Dlatego zapił. Ale postanowił, że to ten jeden jedyny raz. Teraz już będzie jak przedtem. Tylko gdzie ona się podziewała? Ta jego piękna Gosieńka.

Ponieważ prysznic nie przyniósł mu ulgi, postanowił napić się gorzkiej herbaty. Trochę go mdliło. Odstawił się od wódki i jego organizm zareagował prawidłowo. Gorzka herbata i jakiś środek przeciwbólowy powinny pomóc. Ale nawet pijąc herbatę, czuł niepokój. Bo miała wyłączoną komórkę. Za oknem było pochmurno. Zdrzemnął się na chwilę. Na siedząco. Nagle usłyszał zgrzyt klucza w zamku. To ona. Wróciła. Nareszcie.

– Gdzie byłaś? – zaczął przesłuchanie, gdy tylko weszła do kuchni. – I dlaczego wyłączyłaś komórkę?

Jakieś zasady chyba nas obowiązują. – Gosia najwyraźniej się zmieszała. Poczerwieniła jak burak. Miała coś na sumieniu. Gdzieś się szlajała. I nie chciała się teraz przyznać gdzie. – No, gdzie byłaś? Pytam po raz drugi i ostatni.

– Nie twoja sprawa. Wódką od ciebie jedzie. Strasznie. Zapiłeś. No ładnie.

– Nie odwracaj kota ogonem. Gadaj, gdzie byłaś. Bo się wnerwię!

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, tylko wzruszyła ramionami, obróciła się na pięcie i poszła do łazienki. Długo tam siedziała. Sergiusz czekał cierpliwie. Nie śmiał wejść do środka, bo wiedział, że to ją zirytuje. Cierpliwie czekał, aż wreszcie wyjdzie z tej łazienki i będą mogli spokojnie porozmawiać. Bardzo na to liczył.

Gosia tymczasem nasypała do wanny sól kąpielową i puściła duży strumień ciepłej wody. Żeby była piana, tak jak lubiła. Postanowiła się zrelaksować po dość intensywnej nocy. Czuła się nie w porządku wobec Sergiusza, ale przecież to on zaniedbywał ją ostatnio, a nie ona jego. Wyjechał nagle z Kazimierza, gdzie mieli mieć czas na to, co od pewnego czasu najbardziej ją zajmowało. A jego jakby coraz mniej. Nic nie pomagały rozmaite afrodyzjaki, które mu podsuwała. Nic na niego nie działało. Ani ciasteczka z imbirem, ani owoce morza, nie mówiąc już o szparagach czy truskawkach. Nie działała na niego nawet ona – w czerwonym koronkowym komplecie bielizny, który zakupiła specjalnie na wyjazd do tego nieszczęsnego Kazimierza. Sergiusz i tak zasypiał z okularami na nosie, nawet po lubczyku. I chrapał jak jakiś staruch. A ona nie mogła znaleźć sobie miejsca. Było jej gorąco. Bolały ją piersi. Z pożądania chyba. Albo przez ten silikon. Zarejestrowała się nawet na jakimś portalu randkowym. I kupiła sobie wibrator. Ale to było już po prostu żałosne. I dopiero wczoraj rano, jak zobaczyła maślane oczy Bodziocha, wpatrującego się w jej powiększone operacyjnie cycki, poczuła się nieco lepiej. Była zadowolona, że Sergiusz zrobił się zazdrosny, i pomyślała, że może to jakoś na niego podziała. Że wreszcie się zmieni w stosunku do niej. Ale sprawy potoczyły się nieco inaczej. Dość nieoczekiwanie. Po nocy i poranku w obskurnej kawalerce Bodziocha na Dolnym Mieście miała trochę wyrzutów sumienia, ale czuła się znakomicie. O parę lat młodsza. I o kilka kilogramów szczuplejsza. Teraz musiała się wyspać. A z Sergiuszem rozmawiać nie będzie, chociaż najwyraźniej się na nią zasadził w tej kuchni. I nie będzie chciał odpuścić. Niczego się od niej nie dowie. Poza tym to był jednorazowy wyskok. Waldek zarzekał się, że będzie dyskretny. I że nie będzie do niej telefonował.

Tak jak przypuszczała, Sergiusz cały czas na nią czatował. I koniecznie chciał rozmawiać. Teraz, zaraz.

– Ale ja jestem zmęczona. Poza tym nie mamy o czym gadać.

– Powiedz tylko, gdzie byłaś? U kogo spędziłaś noc?

– Daj mi spokój! U przyjaciółki byłam!

– Przecież ty nie masz żadnej przyjaciółki.

– Nie bądź upierdliwy. Poza tym nie jesteś moim mężem. A teraz muszę się położyć spać. Rozumiesz?

Muszę się wyspać! – ton Gosi robił się histeryczny.

A więc użyła tego argumentu. Że on nie ma do niej prawa. Bo chociaż od półtora roku żyli ze sobą, to był to tylko konkubinaty. Nic więcej. Związek nieformalny. Bez żadnych zobowiązań. Na takie dictum mógł odpowiedzieć tylko w jeden sposób – wziąć z wieszaka katanę i wyjść z tego domu, który nie był jego.

ONE

Wreszcie musiała z nim porozmawiać. Za długo to odkładała. Ze strachu oczywiście. Bała się, że po raz kolejny w życiu zostanie odrzucona. Najpierw przez rodziców i rodzeństwo, potem przez Wieśka, a teraz znów ktoś ją tak potraktuje. Ktoś ważny. I znów usłyszy, że jest nie taka, jak być powinna, że nie zasługuje na miłość i szacunek, bo pojawiła się na świecie nieproszona i zawiodła wszystkich pod każdym względem, bo nie miała długich nóg jak matka ani talentu literackiego jak ojciec, napisała tylko nikomu niepotrzebny doktorat o zwyczajach funeralnych gdańskich patrycjuszy, zamiast być przykładną żoną i matką, a teraz wbrew całemu światu i zdrowemu rozsądkowi walczy o urodzenie dziecka, którego znów nikt poza nią nie chce. A co będzie, jeśli nie uda jej się wyzdrowieć albo jeśli choroba ustąpi tylko na jakiś czas, a potem wróci i zmiecie ją na amen? Koszmarne poranne myśli. Trudne do poskromienia. Trzeba zapalić światło, bo o tej porze jest jeszcze ciemnawo. Początek jesieni. Najpierw herbata. Potem warto coś zjeść. I wreszcie telefon. Dzisiaj nieodwołalnie musi się z nim rozmówić. Nawet jeśli ta rozmowa będzie bardzo nieprzyjemna. Trzeba to zrobić dla małej.

Była dziesiąta, a ona wciąż nie mogła się zdecydować, czy zadzwonić do Svena, czy jednak odłożyć to na popołudnie, a potem na wieczór, a wieczorem na dzień następny. Każda wymówka była dobra. Wtedy usłyszała dźwięk telefonu. Na wyświetlaczu ukazał się nieznany numer. Odebrała.

To była Marianna. Widocznie adwokat Sonnenberg dał jej namiar na Ankę. Z nią też nie umiała rozmawiać. Ale mimo wszystko było nieco łatwiej niż ze Svenem, bo Mańka mówiła dużo i gładko (wiadomo – pani z telewizji), natomiast Sven był jeszcze bardziej zamknięty w sobie i chropawy niż ona.

– Nie dajesz znaku życia, wszyscy cię szukamy. I ja, i twój partner, i adwokat, a ty zaszyłaś się gdzieś i nie wiadomo, co się z tobą dzieje. Martwimy się o ciebie. Twoja matka jest w bardzo złym stanie i dlatego powinnaś jak najszybciej tu przyjechać. Bo może być gorzej. Pora, żebyście się spotkały. Twoja mama leży na Woli, na Kasprzaka. Miałam ją dać na Szaserów, żeby była pod dobrą opieką, ale nie chciała. Jej stan jest poważny, więc postaraj się przyjechać najprędzej, jak to będzie możliwe.

Marianna mówiła szybko, ale wyraźnie i składnie, zupełnie jak prezenterzy stacji informacyjnych. W jej głosie nie było śladu emocji. Tak przynajmniej Ance się wydawało. Pewnie uważa, że jestem wyrodną córką, pomyślała. I było w tym ziarno prawdy. Grażyna nie umiała być matką, a Anka nie umiała być córką. Może obie za mało się starały, a może zły los tak to wszystko poukładał? Pozrywał te niewidzialne, ale z natury bardzo mocne niteczki, które zwykle łączą najbliższych spokrewnionych ze sobą ludzi. Powinna zapytać, co się stało Grażynie (nie umiała nazwać jej matką).

– A jak ty się czujesz, Aniu? – To pytanie w końcu też musiało paść. Anka spodziewała się go, ale nie umiała na nie odpowiedzieć. Ponieważ jednak chyba trzeba będzie pojechać do Warszawy, Mańka i tak zobaczy jej ciężowy brzuch, z każdym dniem na szczęście coraz większy. Zobaczy też niestety jej głowę zawiniętą w chustkę, zdradzającą, co tak naprawdę się dzieje. Więc trzeba na to pytanie odpowiedzieć.

Tylko jak?

– Jestem w siódmym miesiącu ciąży i właśnie skończyłam kolejną chemię – poczuła ulgę, gdy to powiedziała. Krótka, na temat, treściwie.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Pani z telewizji na chwilę straciła łatwość wypowiadania się.

– Jak ci mogę pomóc? – zapytała w końcu. – Chcesz, żebym przyjechała? Podaj mi adres, będę najszybciej, jak to tylko możliwe.

Chyba zwariowała, pomyślała Anka. Wprawdzie były przyrodnimi siostrami, ale istnienie Anki od zawsze stanowiło w rodzinie Baumannów wstydliwą tajemnicą, temat tabu. I niech tak zostanie. Nie ma potrzeby tego zmieniać. Przecież to właśnie Marianna nie chciała jej zaakceptować. To jej najbardziej zawadzało, że gdzieś tam po świecie chodzi jej przyrodnia siostra, wprawdzie zupełnie do niej niepodobna, ale jednak krew z krwi (tak to się chyba mówi).

– Nie kłopotz się. Teraz już dobrze się czuję. Pojadę do matki najprędzej, jak to będzie możliwe. – Z emfazą powtarzając frazę, której przed chwilą użyła Mańka, Anka była rada, że choć w ten sposób mogła się odgryźć siostrze. W końcu Marianna Baumann była ostatnią osobą, która mogła jej cokolwiek wypominać.

– Czy Sven... to znaczy twój partner jest z tobą? – Marianna starała się dowiedzieć jak najwięcej na temat siostry. Wszak obiecała Dibeliusowi, że gdy tylko będzie miała jakieś wieści o Ance, natychmiast da mu znać.

No tego już było za wiele! Jak ona śmie mówić o nim po imieniu. Pewnie skontaktował się z nią. Może się spotkali? A może nawet spodobał się Mańce? Na pewno był w jej guście! A jakże. Taki wysoki, postawny. W sam raz partia dla niej. Nagle Anka poczuła zazdrość. Wiedziała, że Mańka jest samotna i niewykluczone, że szuka kogoś odpowiedniego dla siebie. Wpadam w paranoję, zbeształa się w myślach.

– Nie jesteście razem. Mieszkam w Gdańsku.

– Wróciłaś do męża?

Ta kobieta chyba nie słyszy tego, co się do niej mówi! Jak w ogóle może mieszać się w nie swoje sprawy. I do tego bardzo bolesne, bo Wiesiek nie chciał dać Ance rozwodu i dręczył ją swoimi teatralnymi odwiedzinami, gdy była w szpitalu. Dźwięk jego głosu i to nieznośne nazywanie jej Anulką przyprawiały ją o większe mdłości niż to świństwo, którym szprycował ją doktor Zagrobny.

– Mieszkam sama. Wynajmuję mieszkanie w Oliwie – odpowiedziała, siląc się na spokojny ton.

Marianna nie dawała za wygraną. Wyciągnęła od niej dokładny adres. Widocznie naprawdę miała ochotę bawić się w samarytanek. Niech jej będzie, w końcu taka ciocia może być kiedyś potrzebna malutkiej. Chociaż może lepiej nie. Bo pokrewieństwo to za mało. Czasem nic nie znaczy. Jak nie ma bliskości. Między Anką a Marianną bliskości nie było nigdy. A co z Grażyną?

Od dawna nie odwiedzał matki. Tak naprawdę nie lubił u niej bywać. Bo zawsze jakoś tak dziwnie na niego patrzyła. Z wyrzutem. Kiedyś, dawno temu, po prostu się jej wstydził. Tego, że ma na imię Swietłana, a jeszcze bardziej tego, że kaleczy język polski i wszyscy się z niego wyśmiewają, że ma ruską matkę. Bo to oznaczało, że sam jest ruski. I chociaż ci wszyscy prześmiewcy kochali się w Marusi Rosjance, która była ryza i czasem zaplatała włosy w warkocz, zupełnie jak matka Sergiusza, nie dawało to marusiopodobnej Swietłanie Możdżonkowej żadnej taryfy ulgowej u kolegów jej syna. Wręcz przeciwnie – dziewczyny z klasy wypominały mu, iż rzeczona Marusia Srusia podwała się do Janka, robiąc im zupełnie niepotrzebną, internacjonalistyczną w dodatku, konkurencję. Sergiusz podobał się

dziewczynom, był najwyższy w klasie i do tego blondyn, zupełnie jak Janek, tyle że nie tleniony, tylko naturalny. Ale był ruski, nie swój, więc nie do zaakceptowania. Dziewczyny lubiły wprowadzić nie-Polaków, ale takich, którzy przyjeżdżali do kraju solidnymi limuzynami i mieli portfele wypchane obcą walutą. Nie-Polak z „drugiego obszaru płatniczego”, jak to się wtedy mówiło, mógłby mieć u dziewczyn branie, tyle że takich akurat nie było na stanie ani w siódmej be, ani w żadnej z równoległych klas. Natomiast skoro trafił się ruski, to należało go tępić dla zasady. I nie było ważne, że jego ojciec był Polakiem. Bo był także inżynierkiem i partyjniakiem. A to tylko pogarszało sprawę. Stary Sergiusza przywiózł sobie ruską żonę aż spod Saratowa, a potem zmaistrował jej ślicznego synka i się ulotnił. Pojechał na budowę do Berlina Wschodniego i zakochał się w jakiejś enerdówce. I jej również w tempie ekspresowym zmaistrował dzieciaka, tym razem jednak urodziła się dziewczynka. Na imię dostała Angela. Przynajmniej ładne imię, obecna pani kanclerz też takie nosi. Dobrze, że to nie był chłopak, bo pewnie nazywałby się również po kanclersku – Helmut. Sergiusz nie miał jednak żadnego kontaktu ze swoją młodszą przyrodnią siostrą Angelą Schmidt. Może z winy ojca, który był niespokojnym duchem i całe życie szukał guza. I wreszcie go znalazł – rozbił się na motorze gdzieś w okolicach Pułtusza. Jak nic gnał do kolejnej kochanki. Inżynier Jerzy Możdżonek zginął w wieku trzydziestu sześciu lat, zostawiając swoją żonę Rosjanekę i nieletniego syna w poważnych finansowych i tożsamościowych tarapatkach. Swietłana nie chciała wracać do swojej ogromnej ojczyzny, zawzięta się, pracowała jako nauczycielka muzyki i starała się wychować jedynaka na dobrego Polaka, co jej się chyba udało. Ale została jej zadra w sercu. Bo syn zawsze prosił ją, żeby broń Boże i pod żadnym pozorem nie chodziła na wywiadówki do jego szkoły. Bo dobrze się uczył i w ogóle. Tak mówił. Że nie ma takiej potrzeby. I zawsze się czerwienił, jak podawał imię matki, jednoznacznie rosyjskie, a jeszcze gorzej się czuł, gdy musiał powiedzieć, jak jego mama nazywa się z domu. A ona to wszystko widziała i słyszała. I dlatego patrzyła na syna z wyrzutem, gdy ten z rzadka i jakby ukradkiem ją odwiedzał. Żony Sergiusza ani też swoich wnuków, Antoniny i Adriana, raczej nie widywała. Nie chcieli do niej przychodzić. Bo chociaż była stara, dalej zaplatała włosy w warkocz, zabawnie przekręcała różne słowa i miała ten nieznośny, zdaniem ich mamy, rosyjski akcent. Synowa, absolwentka polonistyki, nie mogła ścierpieć, gdy jej dzieciaki, jak jeszcze były małe, śpiewały rosyjskie piosenki. Bo przecież nie po to wyrzuciliśmy ruskich z naszej Polski, żeby teraz nasze dzieci po rusku się uczyły. Synowa nie cierpiała więc teściowej i *vice versa*.

Dlatego gdy Sergiusz po raz kolejny zakradł się do mieszkania swojej matki, niemal jak jakiś złodziej, ta spojrzała mu z wyrzutem w oczy i powiedziała po swojemu: *dobryj wieczier*. A Sergiusz odruchowo skrzywił się i rzucił pod nosem słowo: „dobry”, wypowiedziane nienaganną polszczyzną. Potem natychmiast wślizgnął się do swojego kawalerskiego pokoju, w którym matka nic nie zmieniała od lat. I może dzięki temu czuł się tam naprawdę u siebie. Chociaż początkowo nie lubił tej dzielnicy i kamienicy, w której zamieszkali po śmierci jego ojca. Swietłana chciała zacząć nowe życie. Rozpoczęła pracę w szkole muzycznej i dostała przydział z kwaterunku na skromne, dwupokojowe mieszkanie na Biskupiej Górze. Przy ulicy Biskupiej. *Posmotri zdies, kakoj krasiwij wid otsjuda* – zachwalała istotnie wspaniałą panoramę Gdańska, którą można było podziwiać z Biskupiej Górki. Ale Sergiusz docenił ten widok dopiero po latach. Przenosiny z Oliwy na Biskupią Górkę były dla niego przeżyciem traumatycznym. W Oliwie mieszkała elita, tutaj – czarny lud. Ale przynajmniej w nowej szkole nikt mu nie dokuczał, że jest ruskiem. Bo nikt o tym nie wiedział. Matka już nie pracowała w zwykłej podstawówce. Awansowała na panią nauczycielkę w szkole muzycznej. Więc przenosiny do gorszej dzielnicy i mniejszego mieszkania były dla niego szansą na nowe otwarcie. Koledzy i nauczyciele współczuli mu, że jego ojciec nie żyje, a matka, bidula, musi na dwóch etatach harować, więc nawet nie ma czasu przyjść na wywiadówkę do szkoły. Ale Sergiusz dobrze się uczył, więc nie było potrzeby

wzywać jego mamy. No, może tylko jeden raz. Bo jego nowa szkoła została zbudowana na dawnym niemieckim cmentarzu. Nagrobki usunięto, ale kości zmarłych pozostały w ziemi. Sergiusza zawsze pociągała eksploracja. To, czego nie widać. I wykopał na szkolnym boisku czaszkę jakiegoś szkopa. Potem z chłopakami straszili tym truchłem dziewczyny. Zrobiła się z tego straszna chryja. O mało z budy nie wyleciał. Stare dzieje. Może dlatego gdy niedaleko kamienicy, gdzie mieszkała jego matka, znaleziono kobiecy szkielet sprzed lat, poczuł, że to temat dla niego. Że napisze o zaginionej Idzie Martens. To była ponura historia, właściwie miejska legenda. Pani Swiętłana Możdżonkowa pamiętała ją lepiej niż on. Mówiła, że takiej młodej pięknej kobiety usilnie poszukiwała rodzina – chyba mąż i brat. Że jej zdjęcie i komunikat o zaginięciu pojawiły się w „Wieczorze Wybrzeża”. I chyba nawet w „Dzienniku Bałtyckim”. Wszystko to musiał sprawdzić. Będzie świetny materiał na artykuł, bo czytelnicy lubią tajemnice sprzed lat. Ale czy to nie będzie nadużycie budzić nadzieję rodziny zaginionej, że oto odnaleziono szczątki bliskiej im osoby i wreszcie będzie można ją pochować i przeżyć spóźnioną niemal o pół wieku żałobę? Z drugiej strony taki artykuł może spowoduje, że zgłoszą się rodziny innych zaginionych przed laty kobiet i uda się ustalić tożsamość szkieletu, o którym on od pewnego czasu myślał – Ida.

Sergiusz usiadł przy biurku. Trzymał w nim wszystkie swoje papiery. Nieukończony doktorat. Szkice ambitnych esejów, artykułów, które dopiero miał napisać. Wszystko to czekało na lepszy moment, kiedy wreszcie będzie trochę czasu na rzeczy ważne, a nie tylko na te pilne. Przechowywał tu również swój pieczołowicie kompletowany księgozbiór, którego jego żona nie chciała widzieć w ich mieszkaniu na Zaspie. Bo kto to będzie odkurzał, no kto? Darła się na niego, gdy przynosił do domu jakąś książkę. Więc zaczął je gromadzić tutaj. U matki.

Położył na biurku czarną tekturową teczkę. W środku było kilkanaście kartek, które opowiadały historię zaginionej wiele lat temu kobiety. I dwa zdjęcia. Jedno legitymacyjne, a właściwie z dowodu osobistego, retuszowane. A drugie czarno-białe; miała na głowie taką śmieszna czapkę z daszkiem. Bardzo twarzową zapewne. Ale twarzy spod niej prawie nie było widać. No i było trzecie zdjęcie – *post mortem*. O ile oczywiście szkielet i czaszka znalezione w piwnicy należały do Idy Martens.

Postanowił zacząć od początku. Ida Martens – córka Edny z domu Schroeder i Gerda Martensa. Urodziła się w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku w Danzigu. Wraz z rodzicami mieszkała na Biskupiej Górze. Niedaleko dzisiejszego kościoła zielonoświątkowców. Szkielet tej bezimiennej na razie kobiety znaleziono niedaleko miejsca, gdzie urodziła się Ida. Przypadek? A może jednak jakaś rodzinna lub polityczna wendeta? Tutaj Sergiusz powinien wstawić jakiś fragment o menonitach w Gdańsku. Byłoby niezbyt długi, bo czytelnicy nie za bardzo lubią historię. A poza tym na pewno pod tekstem pojawią się komentarze internautów, że po co to komu, że czasy się zmieniły i trzeba zapomnieć o menonitach i o cmentarzach, które przerobiono na szkolne boiska albo parki. Albo, co gorsza, że nie warto niemieckich śladów odgrzebywać. Tu już pachniało polityką, a od polityki Sergiusz wolał się trzymać jak najdalej. Interesowała go po prostu historia skazanych na niepamięć menonitów. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych zaczęto głośniej mówić, że ci osadnicy rodem z Flandrii, Holandii, Fryzji, a także ze Szwajcarii, Szwecji oraz Niemiec, zwani popularnie olędrami, nie powinni być utożsamiani z nazistami, że to uproszczenie. Że nie byli militarystami, żądnymi podbojów i kolonizacji, tylko miłującymi pokój ludźmi ciężkiej pracy, uchodźcami, żyjącymi od wieków wśród obcych. Że mogli budzić zazdrość, a nawet niechęć, bo umieli się bogacić. I wiejski sklepikarz trzymał dla nich pod ladą kawę i herbatę, których nie kupowali okoliczni chłopci, bo byli dla nich za drogie. Ten sklepikarz wiedział, że menonici mają pieniądze i kupią drogie towary, dlatego je dla nich trzymał pod tą ladą. Ci olędrzy, jak ich nazywano, byli zazwyczaj wysocy, niebieskoocy, o jasnych włosach przeważnie. Większość z nich ewakuowała się w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym. Zostali tylko nieliczni, niedobitki. Jak Ida.

Była niespokojna. Coraz bardziej i bardziej. Powinna jak najprędzej do niej pojechać. Do swojej matki. Jeszcze dzisiaj. Najdalej jutro. Ale się bała. Najpierw musi zobaczyć Madonnę. Najpiękniejszą z pięknych. Żeby się uspokoić. Zebrać myśli. I zebrać się w sobie. Musi ją zobaczyć dziś, teraz, zaraz. Tę najpiękniejszą z bazyliki Mariackiej. Popatrzeć na jej spokojną, delikatnie uśmiechniętą twarz. Z jasnym wysokim czołem. Jak była dziewczynką, zawsze szkicowała podobne twarze. Łagodne i spokojne. Bo marzyła, że kiedyś zostanie matką – Madonną. Taką, jakiej sama nie miała. Łagodną – a nie ostrą, nerwową i gniewną. Spokojną, a nie targaną wiecznym niepokojem i żalem. Wyrozumiałą i cierpliwą, a nie nieposkromioną złością.

BIKINI BRIDGE

Agnieszka fatalnie się czuła w pustym mieszkaniu, którego nigdy tak naprawdę nie lubiła. Mieszkanie babci Romci przesiąknięte było zapachem pudru i perfum Chanel 5. Nienawidziła obu tych zapachów. Od pudru się dusiła, bo chyba miała jakąś alergię. W dodatku nie mogła się dodzwonić do Sergiusza. Ani do mamy. Oboje nie odpowiadali ani na jej telefony, ani na esemesy. Mama najwyraźniej była czymś zajęta. Albo raczej kimś. Tego właśnie najbardziej obawiała się Agnieszka – kolejnego bezmyślnego osiłka u boku swojej rodzicielki. Najgorsze byłoby, gdyby matka znów „się zakochała”. A to bardzo możliwe, niestety. Odkąd rozwiedli się z ojcem, ciągle jakaś *big love* ją dopada. Pewnie dlatego milczała. Bo robiła wiadomo co. Od kilku dni całkowicie ignorowała swoją jedynaczkę. Zwykle odpowiadała na telefony i wiadomości od córki, ale gdy wpadała w kolejną miłość, nie miała czasu dla nikogo. Czyżby aż tak się zaangażowała? Sergiusz się od niej wyprowadził. Więc to musiał być jakiś nowy mężczyzna, zapewne w typie Wieśka Formeli, bo tacy właśnie podobali się jej matce. Tym razem to też musiał być kawał chłopca. Niezbyt mądrego w dodatku. Takich matka lubiła najbardziej. To się nazywa mieć wyrafinowany gust. Ale Seba, do niedawna narzeczony Agnieszki, epuzer – jak nazywała go babcia Romcia – wcale nie był lepszy. A jeszcze gorszy okazał się ojciec Seby, który miał czelność przystawiać się do dziewczyny swojego syna. Młodszej o trzydzieści parę lat. Obrzydliwość. Wszyscy faceci są obleśni. No, może z wyjątkiem Sergiusza Możdżonka. On był do zaakceptowania. Nie miała nic przeciwko temu, żeby został jej ojczymem. Szkoda, że nie był jej ojcem. Bo jej prawdziwy ojciec, ten, który ją spłodził – tata Kuba – był całkiem do niczego. Kompletne dno. Wstyd i poruta straszna mieć takiego ojca. Już lepiej nie mieć ojca wcale.

Siedziała teraz w buduarze babci Romci, którego nie lubiła chyba najbardziej. Tego wielkiego lustra – „lustereczko powiedz przecie” – i zdjęć Romy Herbst z wcześniejszej i późniejszej młodości. W studenckiej czapce. I na balu sylwestrowym Anno Domini tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt osiem, zawsze w pełnym makijażu i z doklejonymi rzęsami. Ta dbałość o wygląd została babci do dziś, chociaż rzęsy już sobie nie przykleja, mimo że niedawno wróciła moda na sztuczne.

Rodzina Agnieszki całkiem się rozpadła. I nic się z tym już nie da zrobić. Skoro wszyscy się od niej odwrócili – matka, ojciec, a nawet Sergiusz – to trudno. Jej rodzicielka wołała jakiegoś gacha od córki, a ojca to Agnieszka jakby wcale nie miała. Tak czy inaczej, musi nauczyć się żyć sama. Nawet babcia Romcia, która nigdy do niczego nie była potrzebna swojej wnuczce, gdzieś się zapodziała. Wołała wygrzewać swoje stare, powykręcane artretyzmem członki w Hajfie u boku liczącego już chyba ze sto lat dziadka Leona, który na stare lata zmienił imię na Lejb, co zdaniem Agnieszki było naprawdę dziwaczne. Jeśli nie niebezpieczne. Przynajmniej dla tych członków rodziny Herbstów, którym przyszło pozostać w Polsce. Poza tym już Leon brzmi wystarczająco idiotycznie. A Lejb podejrzenie semicko, jak się wyraził pan Krzysio, ten śliniący się do niej tatuś jej byłego chłopaka, Sebastiana Snopka. Żeby było

weselej i bardziej pieprznie, babcia Romcia zamieszkała w tej Hajfie wspólnie z dziadkiem Leonem, swoim byłym mężem, i jego drugą żoną, niejaką Vered, młodszą od dziadka i babci tak na oko o jakieś trzydzieści lat. I ta Vered, o dziwo, była jedyną osobą z rodziny, która wykazywała zainteresowanie Agnieszką. Poznały się, jak tu zjechali z dziadkiem półtora roku temu, jeszcze zanim urodził się Dawidek. I wtedy się okazało, że Vered jest naprawdę fajną kobietą. I że znajdują z Agnieszką wspólny język. Potem wiele razy rozmawiały na czacie i przez telefon. To właśnie Vered zaprosiła Agnieszkę do Hajfy. Przekonywała ją, że mogłaby zostać u nich na zawsze. Studiować. W końcu to była ojczyzna jej dziadka. A więc trochę i jej. Bo Agnieszka też była z Herbstów. Chociaż blondynka z zadartym noskiem.

Z tej całej rodziny nie rodziny dla Agnieszki strawni byli tylko Sergiusz – jak się wydawało, niestety, już były epuzer jej matki – i właśnie Vered z Hajfy, druga żona dziadka Leona Herbsta. To nie przypadek, że w tej rodzinie normalni byli tylko ci niespokrewnieni z przekłętą bandą Herbstów i Koljaczków, której Agnieszka przez długie lata zdawała się być ostatnią przedstawicielką, w dodatku tylko po kądzieli, więc bez większego znaczenia. Niedawno jednak pojawił się dziedzic rodu po mieczu – niejaki Dawidek Herbst – liczący niewiele ponad roczek synuś ojca Agnieszki, Kuby Herbsta, i jego drugiej żony, Honoraty Badziągowskiej *de domo*. Łojezu, co za nazwisko. Imię zresztą też od czapy.

Ojciec chyba zszikował. Ciągłe tylko Dawidek i Dawidek. Ten pieprzony Dawidek (Weiser Dawidek chyba jakiś) miał oczęta jak węgielki, dołeczki w policzkach i prześliczne kędziorki. Zupełnie takie same jak jego tatuś na zdjęciach z dzieciństwa i zapewne jak dziadek Leon, zanim wyłysiał. A że Dawidek taki był cudny i w przeciwieństwie do Agnieszki miał siusiaka, to wszystko miało być dla niego. Cały spadek. A już na pewno mieszkanie po babci Romci. A dla niej, dla Agnieszki, figa z makiem. Jasne, że mama się na to nie zgodzi za żadne skarby. Zawalczy jak lwica o dziedzictwo dla swojej jedynej latorośli. Pod warunkiem, że nie będzie akurat zajęta swoim kolejnym gachem. Kimkolwiek on jest aktualnie lub będzie w przyszłości. Bo z mamą to przecież nigdy nie wiadomo. Poza tym babcia Romcia, właścicielka tego dużego i w gruncie rzeczy pięknego mieszkania przy Jaśkowej Dolinie, wciąż jeszcze żyła (dzięki Bogu i na pohybel cholernemu, nikomu niepotrzebnemu Dawidkowi). Wprawdzie przebywała daleko stąd, ale z tego, co mówiła przez telefon, wynikało, że nie zamierza szybko przenieść się na łąki Abrahama, podobnie jak sporo od niej starszy dziadek Leon. Będą żyć wiecznie w tym swoim żydowskim raju na ziemi, spoglądając na majestatyczną górę Karmel, górującą nad miastem, i na ogrody bahaitów.

I chociaż mieszkanie babci Romci było naprawdę wspaniałe, wysokie, ze stiukami i w dodatku urządzone ze smakiem, którego babci nigdy nie zbywało, Agnieszka czuła się tu źle. Może dlatego, że od dłuższego czasu nie mogła się porozumieć sama ze sobą. A ściślej mówiąc – ze swoim ciałem, które stawiało opór. Za żadne skarby i mimo jej wielkich wyrzeczeń nie chciało się zmienić. Dostosować do wymogów aktualnej mody. Po prostu nie miało zamiaru być takie, jakiego ona pragnęła.

Trzeba coś z tym zrobić – ta myśl przebiegła jej przez głowę, gdy obudziła się w środku nocy. Po co się tu przeprowadziła? Mogła zamieszkać z matką. I pilnować jej. Zadawała sobie to pytanie wiele razy. I matce też, przez telefon. Dlaczego nie chcesz być ze mną? Dlaczego nie mieszkamy razem? A Gosia odpowiadała wymijająco albo wcale. Agnieszka nie czuła się tu bezpiecznie, zwłaszcza w nocy, gdy budziła się i wydawało jej się, że ktoś chodzi po sąsiednim pokoju, że skrzypi podłoga albo stare, dębowe drzwi. To mieszkanie napawało ją lękiem. Może dlatego, że było takie stare, że dawniej mieszkali tu jacyś Niemcy. Tak naprawdę nie wiadomo kto. W każdym razie obcy. Wolałaby wrócić na Polanki, do matki. Ale tam najwyraźniej nie miała wstępu. Może rzeczywiście powinna skorzystać z zaproszenia Vered?

Postanowiła, że będzie pisać pamiętnik. Żeby jej się nie przykrzyło. Bo nie miała żadnej koleżanki ani nikogo bliskiego. A większość jej krewnych albo wyjechała z Polski, albo już od dawna gryzła ziemię.

Tak mówił ojciec. O gryzieniu ziemi. Lubił to określenie. Stary pijak, cholerny alkoholik, który wszystko zmarnował. Swoje życie i życie jej matki. I nawet jej, Agnieszki, młode życie też. Tak o nim myślała. Że jest stary, zdziwaczały i zwyczajnie głupi. I wstydziła się, że ma takiego ojca.

Ale prawda o Herbstach była jeszcze inna. To nie oni gryźli ziemię, tylko ziemia ich. Bo Niemcy ich spalili, a przedtem zagazowali. Więc Herbstowie unosili się gdzieś w powietrzu albo po prostu spłynęli Wisłą do Bałtyku. Kto ich tam wie. Z jej krewnymi po kądzieli, Koljaczkami, sprawa też nie była taka prosta. Pradziadek Johann, co służył w Wehrmachcie i miał piękne zdjęcie w mundurze w kolorze *feldgrau*, zginął na froncie wschodnim, bijąc ruska. W efekcie nie miał żadnego grobu. Pewnie jego kości walały się po polach gdzieś tam w rejonie Orła, Kurska albo Smoleńska. Prababcia Gizelka i jej syn, dziadek Joachim, mieli za to wspólny grób na Kaszubach, na małym wiejskim cmentarzyku, całkiem nastrojowym. O ile leżenie w grobie i bycie zjadanym przez robaki może być w ogóle nastrojowe. Agnieszkę ta nieuchronna perspektywa wprowadzała w fatalny nastrój. Myślała wtedy, że powinno jej zostać jak najmniej. Dla tych robaków przeklętych.

Włączyła tablet. Postanowiła, że zacznie swoje zapiski od zdania: „Mam dwadzieścia jeden lat i jestem hipochondryczką”. Ale niestety ani drugie, ani trzecie zdanie jakoś nie chciały się ułożyć. Brakowało jej słów, które byłyby wystarczająco dobitne. Nic nie przychodziło jej na myśl. Na przykład o sobie. Nic wystarczająco okrągłego, żeby ogarnąć wszystko, co niezgrabne, kanciaste i porowate. Chociaż może powinna zacząć od tego, że od jakiegoś czasu miała obsesję na temat przerwy między udami. Tak bardzo chciałyby ją mieć. Tę przerwę. Za wszelką cenę. Ale podobno miała budowę niesprzyjającą powstawaniu tego, co pisma dla dziewczyn nazywały *bikini bridge* albo *thigh gap*. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że kształt jej kości miednicznych nie dawał większych szans na to, żeby i ona miała taką przerwę, bardzo modną i cenioną przez projektantów ubrań. Nie ustawała jednak w wysiłkach, w codziennych bojach, żeby upragniona szczelina wreszcie się u niej pojawiła. Może być nieco mniejsza, ale żeby była. I żeby mogła włożyć spodnie rurki i pokazać się dziewczynom i chłopakom z roku w takim stroju. I wszystkim tym burakom dookolnym też. Żeby sobie nie myśleli, że Aga H. to jakaś grubaska jest. Pracowała nad tym codziennie z wielką gorliwością i pasją. Ćwicząc jak najwięcej i jedząc jak najmniej. Podpisałaby się obiema rękami pod zdaniem, które przeczytała w internecie: „Przyjrzyj się swoim udom i nie jedz więcej”. A przecież nawet restrykcyjna dieta tysiąca kalorii nie dawała szansy na to, że i ona kiedyś wreszcie dołączy do grona tych najszcześniejszych pod słońcem kobiet – kobiet z przerwą między udami. Które pyszną się nią, paradując w miniówkach albo rurkach. Marzyła, że mimo niesprzyjającej budowy również ona zostanie członkinią tego elitarnego klubu. Że będzie mogła bez wstydu włożyć bikini. Ale zanim ten moment nadejdzie, musiała pracować. Długo i ciężko. Ciężej niż inni. Dzień zaczynała od pomiaru tkanki tłuszczowej. I od przeglądania się w lustrze. A wielkie tremo babci Romci było jeszcze bardziej bezwzględne niż lustro w domu jej matki przy ulicy Polanki, nie mówiąc o lustrze w mieszkaniu Seby Snopka w Matemblewie. Przyglądała się sobie z każdej strony. Bardzo dokładnie. To była najtrudniejsza chwila w ciągu dnia. I najważniejszy rytuał. Porównywalny tylko z momentem stawania na wadze. Istna tortura. Ale niezbędna, żeby kiedyś osiągnąć ideał.

Póki co może to i lepiej, że nie mieszkała z matką. Bo ona była niesłychanie podejrzliwa i zawsze chciała Agnieszkę kontrolować. Pewnie szybko zorientowałyby się, co jest grane, i zaczęła sprawdzać, ile i czego jej córka zjadła. I zapewne zaczęłyby co chwila podstawiać jej talerz z jakąś cholerną bombą kaloryczną. To była właśnie specjalność jej mamy – sama dbała o swoją sylwetkę (choćby rezultaty tych starań były raczej mizerne, zwłaszcza w odniesieniu do dolnych partii jej ciała), ale w stosunku do córki zachowywała się jak typowa mamuska gastronomiczna. I dlatego Agnieszka zgodziła się zamieszkać sama w pustym mieszkaniu babci Romci. Bo każdy dzień spędzony tutaj przybliżał ją do realizacji jej największego marzenia – żeby wreszcie schudnąć na tyle, by jej uda nabrały właściwego kształtu.

Wierzyła, że wtedy będzie naprawdę szczęśliwa, a wszystkie trudne sprawy ułożą się po jej myśli.

Nie chciała pisać o tym wszystkim w pamiętniku, bo przecież mogłaby go przeczytać matka. Ona była strasznie wścibska i prostacka, w przeciwieństwie do Sergiusza, urodzonego dżentelmena, który zawsze szanował prywatność Agnieszki. Za to właśnie go lubiła. Za to, że był tak inny niż matka. I niż ojciec też. Za delikatność i takt. Za dobre wychowanie. Za piękny tembr głosu, za staranne dobieranie słów. Za to, jak się poruszał – elegancko i z gracją. I za to, że kupował jej i matce kwiaty. Że nie przeklinał, że był szczodry. Ale przede wszystkim za tajemnicę, którą w sobie nosił. Natomiast jeśli matka dowiedziałyby się o drakońskiej diecie Agnieszki i o jej celu, życie Agi zamieniłoby się w piekło. Tylko to jedno zdanie – o hipochondrii – może więc zostać w dzienniku. Bardzo dobre otwarcie. Wręcz brawurowe, nieprawdaż? Ale chyba trzeba będzie na nim poprzestać, skoro nie mogła napisać o tym, co naprawdę ją trapiło. O swoich udach, między którymi, mimo niemałych wysiłków z jej strony, nie chciało się pojawić upragnione światło. Ani o ojcu, którego nigdy nie miała, bo najpierw pił, a potem zrobił sobie durnego Dawidka z jakąś głupią tłustą laską. A gdy była mała, zmuszał ją, żeby jeździła z nim po cmentarzach. Na grób prababci Koljaczkowej. I na kilka innych grobów, gdzie były pochowane szczątki zupełnie nieznanymi jej osobom. Takie to wszystko skomplikowane i ponure. Polska to tylko groby, cmentarze. Niekończące się Święto Zmarłych skrzyżowane z wigilijnym karpem i śmigusem-dyngusem. I jeszcze ten nieznośnie szeleszczący język, którym naprawdę nie było się co chwalić. Jak na przykład było się na Erasmusie. Agnieszka jeszcze nie była, ale się wybierała. I właśnie dlatego chciała być *comme il faut*. I mieć wspaniałą *bikini bridge*, który wydawał się jej niezbędny, żeby paradować w modnych ciuchach. I wreszcie – mieć piękne życie. Nie takie jak dotychczas. W cieniu neurotycznych rodziców.

Ale teraz czuła się opuszczona przez wszystkich. W końcu miała zaledwie dwadzieścia jeden lat. Oczko. Tak mówiła babcia Romcia, która kiedyś podobno grywała w oczko. Roma lubiła karty. Brydza, a nawet pokera. Gry i zabawy towarzyskie. Pewnie teraz brakowało im czwartego do brydza. I niewykluczone, że z tego właśnie powodu Vered tak uparcie zapraszała ją do Hajfy. Nawet jeśli widzieli w niej tylko czwartą do brydza, należało rozważyć tę propozycję, bo tu nikomu do niczego nie była potrzebna. A tam czekał ją przynajmniej brydż.

Póki co Agnieszka czekała na telefon od matki. Albo od Sergiusza, który tak naprawdę nie był dla niej nikim. Właściwie to nie wiedziała, kim dla niej jest. Jeszcze niedawno miała nadzieję, że kiedyś zostanie jej drugim ojcem. Ale gdy o to pytała, matka nabierała wody w usta. On też milczał. W ogóle niewiele mówił. Matka za to mówiła dużo za dużo. Tak czy inaczej, byliby ładną parą, gdyby nie to, że parą nie byli już od jakiegoś czasu. Bo im się przestało układać. Matka zamiast niego wołała chyba tego młodszego od siebie faceta. Agnieszka widziała ich razem z daleka kilka dni temu. Zaczaiła się w pobliżu domu matki i obserwowała, co się dzieje. W końcu zobaczyła ją z tym paskudnym, nowym gachem. Starła się wyprzeć ten fakt. Ukryć sama przed sobą, że wie, że ich widziała, że teraz ten wieprzek będzie towarzyszem życia Gosi. Oczywiście tylko przez jakiś czas, ale jednak. To właśnie było najgorsze – równia pochyła. Gosia będzie sobie brała coraz młodszych i młodszych. Będzie ich zmieniała jak rękawiczki. Takie lateksowe. I będzie ich gubiła jak rękawiczki. Bo wszyscy zapewne będą nieodpowiedni. Kompromitujący. Tatuaze, sześciopaki. Mamusia miała temperament. I specyficzny gust.

Agnieszka postanowiła, że jeśli matka nie odezwie się do jutra, to zadzwoni do niej jeszcze raz. Da jej ostatnią szansę. A jeśli już tak całkowicie ją porzuci, to przyjmie zaproszenie Vered i pojedzie do Hajfy. Żeby leżeć na plaży i patrzeć na ogrody bahaitów. Z drugiej strony każdy dzień samotnej głodówki w mieszkaniu babci przybliżał ją do ideału. Mogła nie jeść, bo się odzwyczaiła. Już tylko piła wodę. Regularnie. Właśnie kończyła jej się mineralna. Ale chyba ta z kranu nie jest taka zła. W razie czego mogła pójść do sklepu i coś kupić. Jakiś jogurt. Albo owoce. Stała na wadze. Już były widoczne efekty drakońskiej diety. Ale niestety, mimo starań, żadnej, najmniejszej nawet szczeliny między udami nie

mogła się dopatrzeć. Musiała bardziej się starać.

SEKRETNE ŻYCIE W.

Weronika postanowiła, że wreszcie z tym skończy. Z nim, to znaczy z Hemem czy też z Latającym Holendrem. Jak zwał, tak zwał. W każdym razie z mężczyzną, który nawet nie raczył jej się przedstawić. I chociażby z tego powodu skończy z nim raz na zawsze. Coraz bardziej się go bała. Ale wciąż była do niego przywiązana. Jak pies. Uznała, że to jakaś patologia. I dlatego postanowiła zerwać z nim raz na zawsze. Chociaż to nie było łatwe, bo on ciągle mieszkał naprzeciwko. Pojawiał się i znikał. Czasem nie było go tydzień, dwa, a potem nagle się zjawiał jakby nigdy nic, w tym swoim czarnym garniturze i śnieżnobiałej koszuli. I właśnie od wczoraj jego volkswagen garbus w kolorze bahama yellow znowu stał nieopodal starej kamienicy w Oliwie. Więc jednak wrócił ze swoich tajemniczych wojaży. I w każdej chwili mogła go spotkać. W korytarzu albo pod domem, albo gdziekolwiek. Poza tym mógł do niej zapukać i poprosić o jakąś sąsiedzką przysługę. I co wtedy? Na szczęście (albo na nieszczęście) przestał przynosić koszule do prasowania. Ciekawe, kto teraz o nie dbał? Bo przecież nie on sam. Hem ani nie prasował, ani nie gotował. I dobrze. Tak nawiasem mówiąc, powinien wezwać kogoś z gazowni do tego swojego junkersa, bo pewnego dnia wszyscy wylecą w powietrze. Pójdzie z dymem cała kamienica samotnych popaprańców. A co do koszul, to przestał je przynosić, bo chyba wyczuł, że ona nie chce już tego robić. Chociaż przecież lubiła te jego koszule. Szczególnie ich zapach. I ten luksusowy materiał. Mocne szwy. W dodatku dobrze jej płacił za to prasowanie. Ale problem polegał na tym, że nie tylko za prasowanie jej płacił. Dlatego czuła się z tym źle. Na wszelki wypadek nic nie powiedziała Magdzie, która ciągle wypytywała ją o Hema. Nie chciała uwierzyć, gdy Weronika oświadczyła, że ma go dość. I że już nie będzie się z nim spotykała. Że to koniec.

– Jaki koniec, jaki koniec? Przecież nie masz nikogo innego. A on ci się podoba. No i układa wam się w tym, co naprawdę się liczy między dwojgiem ludzi. – Bo Magdzie z jej mężem to od dawna się nie układało. Jeszcze przed wypadkiem i kalectwem Madzi coś było nie tak. Właściwie to nigdy, od samego początku, nie było między nimi stuprocentowo na tak. Wszystko było na nie (przynajmniej w sferze intymnej), a jednak się pobrali. Nie wiadomo dlaczego. Więc jeśli ludziom się układa i mają z tego trochę satysfakcji, po jaką cholere się obrażać? – Jesteś beznadziejna, wiesz? – marudziła Madzia. – Sama jesteś. Nie masz nikogo. Co ci zależy? Przecież ani piękna nie jesteś, ani młoda. W naszym wieku trudno kogoś znaleźć. Stałyśmy się przezroczyście. Tak się mówi. Że kobieta koło czterdziestki robi się przezroczysta. Nie istnieje po prostu. Nas już nie ma, rozumiesz?

Weronika nie mogła dłużej tego słuchać. Ona przezroczysta? Nie ma jej? Co za bzdury! Poza tym była o całe półtora roku młodsza od Madzi.

– Nie mogę pojąć, jak można budować samoocenę na tym, czy faceci oglądają się za mną na ulicy, czy nie, i ustawiać sobie tę „niewidzialność” jako jeden z głównych problemów życiowych. Ścinając zakręt, można by powiedzieć, że te wszystkie możliwości rozwoju dla kobiet, które otworzyły się w ostatnim

półwieczu, można o kant dupy rozbić! Edukacja? Możliwość pracy zawodowej? Niezależność prawna? Po co? Jeśli dla dobrego samopoczucia najważniejsze jest to, czy komuś jeszcze staje na nasz widok! Tak to wygląda, proszę pań i panów! Starzenie się, zmiany dynamiki życia to normalna kolej rzeczy. Tylko wczesna śmierć pozwala tego uniknąć.

Magda słuchała przyjaciółki ze zdumieniem. Fiu, fiu – Weronika Mossakowska, po mężu Siembida (Boże, co za koszmarnie nazwisko!), takie mądre rzeczy mówi. Zupełnie jak z jakiejś gazety. Takiej genderowej, której ksiądz proboszcz nie pochwała. Nie na darmo listy do „Wysokich Obcasów” pisała. Jeden to nawet został opublikowany. Weronika wygrała wtedy książkę i zestaw kosmetyków. Taki pachnący balsam do ciała. I chyba jeszcze jakąś wodę toaletową. Wspaniałe prezenty. Magda to wręcz przeciwnie. Zawsze przegrywała, i to na całej linii. Tylko długi miała, bo mąż pieniędzy do domu nie przynosił, a z jej renty na nic nie starczyło. A Weronice się powodziło. Oj, powodziło się. A to dlatego, że jej mąż – ten ponury sadysta – w porę przeniósł się na tamten świat. Dzięki temu korzystnemu zrządzeniu losu Weronisia, chociaż młoda już nie była, mogła jeszcze trochę sobie poszaleć. Z tym sąsiadem na przykład (o ile ów tajemniczy mężczyzna istniał naprawdę, bo Magda nie do końca dawała wiarę opowieściom przyjaciółki). Albo znaleźć sobie kogoś na portalu randkowym. W ostateczności do Ciechocinka pojechać, do sanatorium. Magda też by chciała. Przynajmniej do tego Ciechocinka. Ale nie było jej stać. A poza tym kto by się tam oglądał za kaleką na wózku. Dla niej życie już jakby się skończyło. Ale Weronika? Ona była wolna. Więc po jaką cholere rezygnowała z sąsiada przystojniaka? Fajnie tak się poprzytulać. Zwłaszcza do pociągającego mężczyzny. Do takiego, od którego wodą nie jedzie ani drogimi perfumami kochanki. Szkoda, że to Weronika została przedwcześnie wdową, a nie Magda. Bo wolnością trzeba umieć się cieszyć. Pomysł rozstania z takim ciachem – jak mówią nastolatki – wydał się Magdzie po prostu idiotyczny. No, chyba że ta cała historia była zmyślona. I realny był tylko kot sąsiadki, który u Weroniki przez chwilę pomieszkiwał. Ale podobno jakiś doktorek zabrał zwierzaka na przechowanie. Więc nawet kota już nie ma. Bidulka.

Tak naprawdę Weronika nie chciała zrywać kontaktu z Hemem. Unikała tylko spotkań jak się dało. Czas pokaże, czy coś z tego jeszcze będzie, myślała. Na razie jednak strach brał górę nad innymi uczuciami, które do niego żywiła. Niespotykanie go nie było proste, ponieważ pojawiał się na korytarzu nieregularnie. Nie miał stałych pór wychodzenia i powrotów. Czasem nie wychodził z domu przez dwa dni. Zdarzało się jednak, że kilka razy dziennie paradował po korytarzu i nie sposób go było nie spotkać. Zawsze więc przed wyjściem robiła staranne rozpoznanie. Żeby wyslizgnąć się z mieszkania wtedy, gdy go nie ma. Najlepiej zaraz po jego wyjściu. Bo wychodził zwykle na długo. Zabierał wtedy auteczko, do którego, nawiasem mówiąc, chyba z trudem się mieścił, i wiadomo było, że gdzieś pojechał. Z tych wypadów wracał jakiś taki zmarnowany. I w dziwnym nastroju. Właśnie przez te jego zmienne nastroje zaczęła się go obawiać.

Ale tamtego dnia od rana była dziwnie spokojna. Jakby cała ta sprawa z mężczyzną z naprzeciwnka nie miała już większego znaczenia. On pewnie niedługo się stąd wyprowadzi i nie będą się spotykać. Nie pasował tu przecież. Jego światem były Holenderskie Indie Wschodnie, jakaś Jawa czy Sumatra, dalekie kraje, do których takie szare myszki jak Werka, rodem spod Ciechanowa, nie miały wstępu. Bo ona była dziewczyną znikąd, przybłądą z wiochy, jak jej kiedyś w złości wykrzyczała teściowa. Prawie całe swoje dorosłe życie mieszkała kątem u kogoś, na łaskawym chlebie, w obcym domu. W jej rodzinnej chałupie też nie było za dużo miejsca. I wilgoć była, i grzyb się pojawiał. Z radością przeniosła się więc do miasta. Przez lata gnieździłi się tu we czwórce – z synem i teściową – w dwóch pokojach w amfiladzie, niezbyt wygodnych dla tak licznej rodziny, w dodatku zwaśnionej. Musiała wszystko sprzątać, gotować, bo teściowa leżąca była, po wylewie. Teraz wreszcie, po latach harówki, jako stosunkowo jeszcze młoda wdowa, mogła nieco odpocząć. Miała dla siebie całe mieszkanie. To może nie tak wiele, ale wolność

wielka. Mogła robić, co jej się żywnie podobało. Renta po mężu wpływała na jej konto co miesiąc. Regularnie i bez opóźnień. Skromna kwota, ale Weronika umiała za to przeżyć. Dobrze, że Rysiek umarł. Trochę z tym było zachodu, bo bardzo cierpiał w ostatnim stadium raka, ale teraz wszyscy byli szczęśliwi. On na Srebrzysku, gdzie mu postawiła całkiem okazały pomnik z lastryka, a ona tutaj, w Oliwie, przy ulicy Polanki, w mieszkaniu, które Rysiek odziedziczył po matce. Ją też pochowali na Srebrzysku, tylko w innym grobie. Pomnik teściowej był elegancki. Na bogato. Z czarnego marmuru. Teściowa Weroniki, Halina Siembida, sprzedała rodzinną biżuterię, żeby sobie ten pomnik postawić. Jeszcze za życia. Drogi jak jasna cholera. Jakby z lastryka nie można było, po taniości. Już takie fanaberie mają te cholerne staruchy. Ale to dawne dzieje. Najważniejsze, że dziś Weronika miała dach nad głową i z czego żyć też miała. Na wszelki wypadek zamki w drzwiach zmieniła, żeby Piotrek, jej syn, nie miał dostępu do mieszkania. W końcu był dorosły i na swoim. I z wyrokiem w zawieszeniu. Za czynną napaść i rozbój. Ale teraz w tej angielskiej ubojni zapewne dobrze mu płacili. Poza tym wreszcie robił to, co naprawdę lubił. A ona mogła się dokszałcać, czytać książki, które wypożyczała z biblioteki. Wszystkie nowości (tylko te z górnej półki), ale klasykę też. Chociaż najbardziej lubiła biografie, reportaże i eseje. Pogardzała babskimi czytadłami, tymi rzekomo o życiu albo z życia wziętymi, które z prawdziwym życiem miały niewiele wspólnego. Teraz był czas na jej drugie życie, sekretne, pełne ciekawych książek. Wciąż jeszcze marzyła, że może kiedyś skończy przerwane przed laty studia, zrobi dyplom i zostanie bibliotekarką.

POLOWANIE NA MUCHY W NOSIE

Waldemar Bodzioch miał zły dzień. Nic mu nie szło. Ani z tym truposzem z Biskupiej Górki, ani z Gosią. Dzwonił do niej już trzy razy, ale nie odbierała telefonu. Szelma, udaje, że nic się nie stało. Zresztą zapowiedziała mu, że to był tylko jednorazowy wyskok. I że jest w związku. Z tym dupowatym redaktorkiem. Głupia sprawa. Ale tak wyszło. Zdarza się. To ona prowokowała. Diabli nadali tę babę. Niestety, chyba się w niej zakochał. A ona nie raczyła nawet odebrać telefonu. Postanowił, że więcej nie będzie do niej wydzwaniał. Miał swoją dumę. W końcu był jeszcze stosunkowo młody. I całkiem do rzeczy. Nasłuchiwał się od niej komplementów. Tamtej nocy. I to połechtало jego ego. Nawet nie wiedział, że może tak się podobać kobietom. Chociaż był nieco przy kości. Próbował z tym walczyć, ale nie umiał ani wytrwać na diecie, ani regularnie chodzić na siłownię. Za słaby miał charakter. No i mamusia za dobrze gotowała. Teraz jednak był zdany na jądanie w barach, a tam nie za bardzo mu smakowało. No i waliło po kieszeni. Może więc jednak czas na dietę? Drogo było w tym Gdańsku jak jasna cholera i przez to wszystko już nawet trochę schudł. To było widać po ciuchach. Spodnie mu z tyłka spadały, koszule stały się luźniejsze. Ale wyglądał lepiej. Chociaż dalej nie za bardzo lubił swoje odbicie w lustrze. Był dość pospolitym, świńskim blondynem. Gęba nalana. Kiedyś nosił wąsy. Bardzo je lubił i golenia mniej było, ale teraz wąsy to obciach, wieśniactwo. Nawet prezydent się ich pozbył. I od razu słupki poparcia mu skoczyły. Więc Bodzioch też zgolił wąsy. Jeszcze w Bytowie. Od razu kobiety patrzyły na niego łaskawszym okiem. Głupia moda. I od lat się nie zmienia. Taka metroseksualna więcej. Obcisłe spodnie, zero zarostu. Chociaż ostatnio brody zrobiły się *cool*, ale same wąsy niestety nie. Kiepsko się czuł bez swoich ukochanych wąsów, ale jakoś przywykł. Może jednak warto było się ich pozbyć, skoro taka wspinała rycząca czterdziecha, a właściwie już chyba pięćdziesiątka, wskoczyła mu do łóżka. Nawet nie musiał się wysilać. Łatwo przyszło. I Bodzioch miał ochotę na kolejny raz. Ona chyba też, ale miała skrupuły. Z powodu tego jej Sergiuszka. Tak właśnie o nim mówiła: „Sergiuszek to, Sergiuszek tanto”. A jemu niedobrze się robiło, jak to słyszał. Bo w końcu co go ten cały Sergiuszek obchodził? Dzisiaj nie odbierała telefonu, więc pewnie była z tamtym. A w nocy to tylko wzdychała: „Waldi...”. Wszystkie kobiety takie właśnie są. W nocy stękają, a w dzień stroją fochy. Przyjdzie koza do woza. Bo to nie może tak być, żeby kobieta go wykorzystała i sobie poszła. Do jakiegoś Sergiuszka. Poza tym mógł zadzwonić na jej służbowy numer, ten stacjonarny. Bo przecież miała być ekspertyza z tego instytutu z Krakowa i powinna o tym napisać w swojej gazecie. Planowali zamieścić zrekonstruowany na podstawie ekspertyzy portret truposzki z Biskupiej Górki. Ludzie lubią takie makabryczne historyjki. Nakład im skoczy jak nic.

Wystukał na klawiaturze stacjonarny numer Gosi, a przedtem poprosił sekretarkę szefa, niejaką Milenę Kubicę, żeby wezwała wszystkich funkcjonariuszy z wydziału. Mieli się stawić w gabinecie komisarza Ulińskiego. Biegusiem, jak zaznaczył Bodzioch. Gosia odebrała po trzecim sygnale.

– Małgorzata Herbst, słucham – ton pani redaktor był więcej niż oficjalny. Wyczuł to od razu.

– Bodzioch z tej strony. – Podkomisarz zawiesił głos. Najwyraźniej czekał na reakcję Gosi. Ale ona nie odpowiedziała. Zapanowała kłopotliwa cisza. Jeszcze niedawno mówiła do niego zupełnie inaczej. – Ja w służbowej sprawie. – Bodzioch starał się zwracać do niej bezosobowo. Nie chciał zdradzać niedawnej zażyłości między nimi, tym bardziej że do jego pokoju właśnie weszli koledzy z wydziału.

– Słucham, o co chodzi? – Gosia najwyraźniej była bardzo niezadowolona z tego, że Bodzioch ją niepokoi, wykorzystuje służbowe relacje. Przecież prosiła go o dyskrecję. I żeby to, co się stało, pozostało tylko między nimi. Obiecał, że będzie tak, jak ona chce, ale najwyraźniej nie zamierzał dotrzymać tej obietnicy. A ona po scysji z Sergiuszem bardzo żałowała tego, co zrobiła. Miała wyrzuty sumienia. Chodziła z kąta w kąt. Mimo że minęło już trochę czasu, dalej czuła się brudna, a właściwie nieczysta. Nigdy wcześniej nie zrobiła czegoś takiego. Bo przecież związek z Sergiuszem to było coś zupełnie innego, podobnie jak jej poprzedni romans z Wieśkiem. A taki wyskok zdarzył się jej po raz pierwszy. I jak na złość ten facet nie umiał się zachować, chociaż wydawało się, że rozumiał, o co go prosiła. Teraz nie będzie jej dawał spokoju. Tak to jest, jak się romansuje w pracy. Nic dobrego z tego nie wynika. Tylko kłopoty. Sergiusz chyba wszystkiego się domyślił i najwyraźniej wyprowadził się od niej, bo zabrał część swoich rzeczy. Nawet szczoteczkę do zębów. Bała się, że naprawdę ją porzucił. Nie umiała żyć sama, bez mężczyzny. Ale to wcale nie znaczyło, że Waldemar Bodzioch będzie mógł się do niej wprowadzić, zastąpić Sergiusza. Oj, narobiło się. I to wszystko jej wina.

– Chodzi mi o tę ekspertyzę, o której rozmawialiśmy wtedy, podczas narady. No, o ten instytut z Krakowa. – Podkomisarz udawał, że wszystko jest w porządku. Robił dobrą minę do złej gry, zwłaszcza że obserwowali go koledzy. – Może włączę na głośnomówiący. Są u mnie śledczy Sobków i Kłos i chciałbym, żeby uczestniczyli w naszej rozmowie. – Wiedział, że stąpa po cienkim lodzie, ale postanowił iść za ciosem. W słuchawce zapadła cisza. Wiele by dał, żeby widzieć teraz minę pani redaktor.

– Przecież nic od was jeszcze nie dostałam. Póki co nie ma więc tematu. Oddaję słuchawkę redaktorowi odpowiedzialnemu za ten temat.

Gosia była bardzo niezadowolona. Sergiusz, który właśnie wszedł do jej pokoju, wywnioskował to z tonu jej głosu. Dobrze znał ten ton. Aż za dobrze. Pewnie wściekła się, że się wyprowadził. Freud miał rację – trudno zrozumieć, czego tak naprawdę chce kobieta. Sergiusz chwilowo miał dość tej uroczej pani. Jej ciągłych fochów, czepiania się o byle co. O skarpetki, o ubłocone buty, o ubranie nie takie, jak trzeba. Pierdoły. Znosił to wszystko ze stoickim spokojem, ale kiedy nie wróciła na noc, miarka się przebrała. Musiał się wyprowadzić.

– Porozmawiaj z panem podkomisarzem, proszę – szepnęła Gosia, przekazując mu słuchawkę.

– ...W takim razie skontaktuję się z panią, jak tylko otrzymam ekspertyzę – usłyszał Sergiusz.

– Czekamy na tę ekspertyzę, panie komisarzu. Z niecierpliwością – Sergiusz nie starał się ukryć ironii.

Gdy Bodzioch się rozłączył, Sergiusz spojrział wymownie na Gosię i wyszedł z pokoju. Nie zatrzymywała go. Nie miała mu nic do powiedzenia.

KWIATY WE WŁOSACH

Postanowiła pójść do fryzjera. Żeby wreszcie zmienić kolor i może nawet poddać się strzyżeniu. Dla Sergiusza wystarczyło spiąć włosy, najlepiej gumką recepturką, żeby nie leciały na twarz podczas pracy przy komputerze. Pojawiająca się tu i ówdzie siwizna też raczej mu nie przeszkadzała; sam miał siwe włosy, w dodatku na czubku głowy coraz bardziej przerzedzone. Tak czy inaczej, postanowiła nieco się rozjaśnić i przykryć siwiznę. Może nawet zrobić pasemka, żeby było bardziej naturalnie i z klasą. Bo to nie wypada, żeby niestara jeszcze kobieta, bądź co bądź dziennikarka, pokazywała światu siwe włosy. To po prostu nie wypada, nie godzi się i już! Terror młodości, któremu opierała się przez tyle lat, w końcu ją dopadł.

Siedziała z farbą na głowie w modnym zakładzie fryzjerskim. Na to, żeby nie pójść do dobrego zakładu, tylko załatwić to gdzieś u osiedlowej fryzjerki, nie umiała się zdobyć. Musiała zacząć z wysokiego „C”, więc pojechała do najbardziej renomowanego salonu w mieście. Wzięła taksówkę, bo jej toyota znowu była w warsztacie. Coś z nią było „nie tak”, jak twierdził pan Krzysio, zaufany mechanik Goški. Trzeba będzie wymienić na nowszy model. Widocznie terror młodości dotyczył nie tylko kobiet. Gosia siedziała więc w fotelu i popijała kawę. Rozpuszczalną, kwaśną, ale zawsze to jakaś namiastka jej ulubionego napoju. W takim renomowanym salonie powinni serwować dużo lepszą kawę. Z ekspresu. A nie takie barachło. Zażyczyła sobie pasemek, żeby wyglądać mniej tandetnie, jak się wyraziła, więc zabieg musiał potrwać. Piekło, szczypało. Nie była przyzwyczajona do takich operacji. Długo nie musiała farbować włosów. Była naturalną blondynką i zawsze ją to cieszyło. Jednak z czasem jej włosy wyblakły i zszarzały. Starła się tego nie zauważać. Zwłaszcza że po tym, jak półtora roku temu rzucił ją Wiesiek, nie miała głowy do niczego. Wpadła w depresję, z której wyciągnął ją dopiero Sergiusz. Gdyby nie on, pewnie skończyłaby w psychiatryku. Powinna być mu za to dozgonnie wdzięczna. Ale niestety jej hormony domagały się czegoś zupełnie innego. Myślała też o Agnieszce. Zaniedbywała ją od lat. A teraz działo się z nią coś niepokojącego. Rozstała się z tym całym Sebą, chłopakiem jeszcze z czasów licealnych. I ostatnio bardzo schudła. Za bardzo. Gosia powinna się tym zająć. Przecież z tego może się wywiązać jakaś anoreksja albo bulimia. Powinni się nią zainteresować – ona i Kuba. Ale niestety jej były mąż był zajęty swoją nową kobietą i rocznym synkiem – Dawidkiem (cóż za kretyńskie imię!). Poza tym Agnieszka nigdy nie miała dobrego kontaktu z ojcem. Wolała Sergiusza. Parę razy wspominała, że chciałyby, żeby to właśnie on był jej ojcem, a nie Kuba. Egoista i alkoholik.

Goška próbowała czytać gazetę, ale jakoś jej nie szło. Obserwowała inne panie w salonie. Wszystkie przyszły tu z tym samym pragnieniem – chciały wyglądać nieco młodziej.

– Siwizna odbiera twarzy koloryt. Ożywienie miodowymi tonami zawsze wyjdzie pani na dobre – fryzjerka, pani Arleta, trajkotała jak najęta, nakładając farbę kolejnej klientce.

– Nieważne, co mamy w głowie, ważniejsze co na głowie – westchnęła Gosia z rezygnacją. Była trochę

przygnębiona faktem, że odtąd już regularnie będzie musiała poddawać się zabiegom odmładzającym, które w końcu staną się równie ważne jak codzienna toaleta. Fryzjerka miała rację z tymi miodowymi tonami. To najlepszy wybór. Gosię zawsze odstraszały hebanowe czernie i sfiociałe kasztany na głowach pań w średnim wieku. Niestety, siwizna to starość. Zwłaszcza u kobiet. Bo mężczyznom szpakowata grzywa często dodaje uroku. Posiwiałe kobiety natomiast traktuje się protekcyjnie. Jak zidiociałe staruszki. Babcie. Boże, cóż to za okropne słowo! Chociaż każdy przecież kocha swoją babcię. Ale mało kto chce nią zostać. Gosia zdecydowanie nie chciała. Przynajmniej nie teraz. Może to i lepiej, że Agnieszka rozstała się z tym głupawym Sebą. Przynajmniej dzieci z tego nie będzie.

Waldek od kilku dni nie mógł sobie znaleźć miejsca. I pomyśleć, że wszystko przez babę. Nie odpowiadała na jego esemesy. Nie odbierała telefonu. Czuł się upokorzony i wykorzystany. Tak nie może być. To on był tym, który porzucił. I guzik go obchodziły niedorzeczne tłumaczenia, że ona jest w związku. No jasne, jest w konkubinacie z tym niewydarzonym redaktorkiem! Za stary dla tej kocicy. Nie da rady sprostać jej wymaganiom. A poza tym chyba żonaty. W każdym razie nosił obrączkę.

Postanowił, że napisze do niej wprost i bez ogródek. Że chodzi mu tylko o parę spotkań. Takich jak to pierwsze. Bez żadnych zobowiązań. Szybko napisał wiadomość, nie poprawił nawet literówek, bo tak mu się spieszyło. Jeśli się obrazi, to trudno. Ale spróbować trzeba, zwłaszcza że naprawdę zagustował we wdziękach tej pani. Wyjątkowo powabnej. W jego rodzinnym Bytowie starsze od niego kobiety prezentowały się raczej nieciekawie. A Gosia to było to, czego szukał. Postanowił więc nie odpuszczać. Liczył, że zareaguje na tego prowokacyjnego, co tu kryć, esemesa. Bo poszedł na całość. Na coś takiego pani redaktor po prostu musi zareagować.

Ciągle zerkała na wyświetlacz swojej starej nokia, takiej z klawiszami. Z tym też trzeba będzie coś zrobić. Zamienić na jakiś smartfon z dużym wyświetlaczem. Kupiła taki Agnieszce w zeszłym roku na gwiazdkę, drogi był jak diabli. A sobie pożalowała. Trzeba będzie to nadrobić. Bo ta byle jaka komórka ją postarzała, podobnie jak zszarzałe włosy. Póki co miała tylko trzy nieodebrane wiadomości od Bodziocha i ani jednej od Sergiusza. Chyba naprawdę się obraził. Spotykali się tylko w redakcji. Wyraźnie jej unikał. Ciekawe, dokąd się wyprowadził. Bo chyba nie do żony na Zaspę? A może kogoś ma? Jakąś inną kobietę i dlatego tak ostatnio zaniedbywał Gośkę? To by się nawet składało w logiczną całość. Zaraz trzeba będzie umyć głowę. Ale tu przyszła kolejna wiadomość. Znowu ten Bodzioch. Widać, że jest bardzo napalony. Wiadomość była gorąca. Gosia chciałaby dostawać takie od Sergiusza, ale on nie miał fantazji w tych sprawach. Fryzjerka splukiwała włosy Gosi, a ona, zamiast zastanawiać się nad nową fryzurą, myślała o tym, co napisał podkomisarz. Była wściekła, że wypisuje takie rzeczy, że sobie pozwala, chociaż wyraźnie mu zapowiedziała, że nie będzie dalszego ciągu tej znajomości, ale z drugiej strony nie mogła przestać myśleć o tym, że za godzinę, z nową fryzurą, z włosami w kolorze brond – czyli brązowymi z miodowymi refleksami – mogłaby pojechać do niego i spędzić kolejną noc w jego wynajętej kawalerce na Dolnym Mieście. Czuła się z tym źle. Pogardzała sobą. Przecież jeszcze niedawno mówili z Sergiuszem o ślubie.

– Więc jak strzyżemy? Zdecydowała się pani na coś? Bo chyba tak, jak jest, nie może zostać – w głosie pani Arlety pobrzmiwała troska.

– No nie, nie może. Niech będzie przedłużony bob. Byłe nie za krótko. Tylko może za chwilę, bo muszę wysłać pilną wiadomość.

O, tak! Bardzo pilną i niezmiernie ważną. Oczywiście w sprawach ściśle służbowych. Żadne tam dyrdymały. Flirty czy inne bezceństwa.

Fryzjerka gorliwie przystąpiła do pracy. Nożyczki tańczyły wokół głowy Gosi, a jej telefon uparcie milczał. Żadnej wiadomości od Waldemara B. Ani jednego słowa. To już była potwarz. Celowo ją sprowokował tym świńskim esemesem, a potem się wycofał. Obrzydliwy, tłusty knur. Postanowiła, że nigdy więcej nie zareaguje na żadną wiadomość tego typu, żeby nie wiem jak była pikantna i prowokacyjna.

Efekt pracy pani Arlety był imponujący. Gosi ubyłło kilka lat, może nawet więcej niż kilka. W nowej fryzurze wyglądała młodo i świeżo. Wyszła z zakładu szczęśliwa i uśmiechnięta. Wiatr rozwiewał jej włosy. Szła lekkim krokiem, kołysała biodrami. Wydawało jej się, że dwóch facetów, mniej więcej w wieku Waldemara B., bo tak w myślach nazywała Bodziocha, obejrzało się za nią. Dawno czegoś takiego nie odnotowała. Czuła, że wreszcie coś musi się zmienić w jej monotonnym życiu, w którym poza chodzeniem do pracy, podawaniem domowych obiadków Sergiuszkowi i świadczeniem mu usług seksualnych w zastępstwie żony mało się działo. Tak naprawdę nie działo się nic.

Po drodze uświadomiła sobie, że niewiele ma w lodówce i może być problem ze zrobieniem kolacji. Ale skoro Sergiusz się wyprowadził, nie musiała się starać. Mogła zjeść odrobinę francuskiego sera, którego spory kawałek został z wczoraj, i popić go winem. Wieczera w sam raz dla samotnej kobiety.

Gdy już była pod samym domem, zauważyła go. Stał przed furtką i patrzył na nią wygłodniałym wzrokiem.

– Wyglądasz zjawiskowo. – Wiedział, jak zacząć rozmowę z kobietą.

– Czyżby?

– Obłędna fryzura. Wpuścisz mnie?

– Mówiłam ci, żebyś tu nie przychodził. Nie mieszkam sama.

– Ale przecież mnie zaprosiłaś...

– No dobrze, wejdz. Ale tylko na chwilę.

– Myślisz, że chwila nam wystarczy?

Gosia była wściekła, a jednocześnie cieszyła się, że odpowiedział na jej wiadomość w ten sposób. Ale Sergiusz mógł w każdej chwili przyjść. Przecież to, że zabrał z łazienki swoją szczoteczkę do zębów, jeszcze nic nie znaczyło. Gosia była więc przez cały czas niespokojna i spięta. Natomiast jej gość był aż nadto wyluzowany. Zamiast grzecznie usiąść w fotelu w salonie albo, jeszcze lepiej, na stołku w kuchni, zaczął zwiedzać jej dom. W końcu rozwalił się na wielkim małżeńskim łóżu w sypialni i szepnął:

– Chodź tu do mnie wreszcie.

– Nie tu, nie teraz... – stęknęła Gosia, nie wierząc własnym oczom: mężczyzna, który po raz pierwszy u niej gościł, właśnie zdejmował spodnie. Jeśli Sergiusz teraz przyjdzie, to zastrzeli nas oboje z pistoletu gazowego, który zwykle nosił przy sobie, i pójdzie biedak siedzieć, przeszło jej przez myśl. Na szczęście z gazowego pistoletu raczej nie można zastrzelić, a tylko ogłuszyć, więc cała sprawa skończy się farsowo. Poczowała ulgę i zamiast przywołać Bodziocha do porządku, bezwiednie zaczęła rozpinać swoją bluzkę, czerwieniąc się przy tym jak burak. Jeszcze tylko ten jeden raz, a potem już nigdy więcej. Przecież kochała Sergiusza, a na pewno była do niego przywiązana i nie chciała go stracić. A ten nagi mężczyzna w jej łóżku to tylko tak na chwilę, żeby zaspokoić potrzeby, o których jej stały partner ostatnio chyba zapomniał. To się nazywa *casual dating*. Przygodny seks bez konsekwencji. Wielu zapracowanych i żyjących w ciągłym napięciu ludzi tak robi, żeby zaspokoić swoją ciekawość albo po prostu ulżyć sobie. Gosia myślała raczej o tym drugim. Dobrze, zrobmy to, ale bez żadnego nocowania, żadnych

wspólnych śniadań, po prostu – szast-prast i po wszystkim, pomyślała, zsuwając z nóg pończochy, które były ostatnią częścią garderoby, jaką na sobie miała. Bodzioch był wyraźnie zachwycony. Chyba nie tylko nową fryzurą Gosi, ale też całą resztą, bo zawieszał wzrok kolejno na coraz to niższych partiach jej ciała. Czowała się dowartościowana. A to już była połowa sukcesu. Nad resztą trzeba się będzie jeszcze trochę napocić. Ale to zadanie dla jej partnera.

Ze snu wyrwał ją dźwięk komórki, która leżała tuż obok, na nocnym stoliku. Sergiusz. Też sobie znalazł porę na dzwonienie! Pewnie zapił i zebrało mu się na nocne rozmowy. Nie ma mowy, nie odbierze tego telefonu. Ale jeśli nie odbierze, to on może tu zaraz się przyturlać, a przecież na jego części łóżka chrapał teraz ktoś inny. Trzeba jednak odebrać i dowiedzieć się, o co chodzi. I obudzić Bodziocha, niech już sobie idzie. Jeszcze tego by brakowało, żeby Sergiusz go tu zastał.

– Wstawaj. – Dwa razy szturchnęła podkomisarza w ramię, ale ten dalej pochrapywał. – Przecież cię uprzedzałam, że nie możesz zostać na noc. Mój partner właśnie dzwoni. Wstawaj! – syknęła, poirytowana.

– To mu powiedz, żeby tu nie przyłaził – odparł Bodzioch asertywnie i przewrócił się na drugi bok. Najwyraźniej nie miał ochoty wstawać w środku nocy, tym bardziej że pani redaktor go nie oszczędzała.

Gosia chciała dodać, że Sergiusz ma klucze od mieszkania, ale Bodzioch najwyraźniej nie miał ochoty słuchać jej wynurzeń na ten temat.

Wyślizgnęła się z łóżka i poszła zamknąć drzwi wejściowe na łańcuch. Zawsze to jakaś mała przeszkoda do sforsowania, gdyby miał się sprawdzić najczarniejszy scenariusz. Potem poszła do kuchni napić się wody. Bardzo ją suszyło. I jeszcze ten niesmak w ustach. To po amorach z Bodziochem. Czowała do siebie obrzydzenie, ale jednocześnie wiedziała, że nie może być inaczej, że potrzebuje takiego związku, w którym liczy się tylko fizyczna strona. Nie zapaliła światła, tylko otworzyła lodówkę. Na szczęście obok napoczętej butelki białego wina stała butelka wody. Piła zachłannie, prosto z butelki. Odruchowo podeszła do okna i zerknęła na ogród. Było ciemno. Tylko mała żaróweczka nad wejściem do domu oświetlała przestrzeń dookoła. Mimo słabego oświetlenia zauważyła skąpaną w mroku postać. To mógł być mężczyzna. Na przykład Sergiusz. Stał przed jej domem, tuż koło furki, i wpatrywał się w okna. Ścisnęło ją w gardle. Powlekła się do łazienki, cichutko łkając.

Czowała się kiepsko. Od powrotu ze szpitala właściwie cały czas leżała w łóżku. Nie miała na nic siły. Wyszła na własną prośbę, chociaż Zagrobny protestował, straszył ją. „Ma pani jeszcze dwa miesiące do rozwiązania, w pani stanie lepiej by było zostać w szpitalu. Bezpieczniej po prostu”.

Anka nie chciała tego słuchać. Wolała być w domu ze swoim kotem. Móc zamknąć za sobą drzwi i nie patrzeć na obcych – niepożądanych, a ciągle obecnych, chrapiących, gapiących się, przeczesujących wścibskim spojrzeniem jej walizkę.

Powinna pojechać do Warszawy, dowiedzieć się, co z Grażyną. To był jej obowiązek. Ale nie wiedziała, czy da radę. Zagrobny ciągle wydzwaniał. Nie chciała jego pomocy. Mogła zatelefonować do Mańki, ale to nie było w jej stylu, żeby prosić o cokolwiek obcą osobę. Z sąsiadką też nie chciała wchodzić w żadną komitywę. Czas amorów za ścianą na szczęście się skończył, więc miała odrobinę spokoju, którego tak łaknęła w szpitalu. Panującą w kamienicy ciszę zakłócał tylko ten cholerny ujadający

piesek sąsiada, tego staruszka. Okropnie uciążliwa bestia. Na szczęście był jeszcze Nikodem. Miękki, ciepłutki, przymilny Nikuś. Wybrała numer Svena. Nie odbierał. Pewnie nie wiedział, że to ona, bo nie znał tego numeru. A może wiedział i właśnie dlatego nie odbierał? Po nim wszystkiego mogła się spodziewać.

Dopiero wieczorem udało jej się dodzwonić.

– Halo.

– To ja – wydusiła z siebie. Żadnej odpowiedzi. Znowu się zaczyna, pomyślała. Może lepiej się rozłączyć, skoro nie chce z nią rozmawiać. – Jestem w Gdańsku – miała nadzieję, że może zareaguje na jakiś konkret. Mężczyźni przecież lubią konkrety.

– Wiem.

– Mógłbyś przyjechać.

– Nie mam czasu.

– Aha.

Rozłączyła się. Ta rozmowa nie miała sensu. Tak długo ją odkładała, bo wyobrażała sobie Bóg wie co. Że on się zmienił, że jest jednak dla niego ważna, skoro jej szukał w Gdańsku, i nawet z Mańką się spotkał, w Warszawie chyba. Ale nic z tego. To było złudzenie. Więc była sama. No może niezupełnie – miała kota. No i, o ironio, męża, który mieszkał kilkaset metrów stąd. I wciąż nie chciał jej dać rozwodu.

Gosia obudziła się z nadzieją, że to był tylko zły sen. Że to nie Sergiusza widziała tej nocy i że on nie widział jej upadku. Ani jej nowej fryzury. Bodziocha na szczęście już nie było. Poszedł sobie nad ranem. Ale jego zapach został w łóżku. Na poduszkach. Cała pościel była do wymiany po ich nocnych ekscesach. Ona też była spocona i nieświeża. Na szczęście była sobota, więc miała dużo czasu, żeby dojść do siebie. Postanowiła się wykapać. Poleży w wannie godzinę, żeby się oczyścić i wszystko przemyśleć. I żeby zapomnieć o tym, co się stało. Co wczoraj wyrabiała. Bała się tego, co zobaczy, gdy zerknie w lustro. Na początek rzuciła ukradkowe, kontrolne spojrzenie. Ruina. Jej twarz i fryzura były zrujnowane i w niczym nie przypominały tego, co widziała jeszcze wczoraj, przeglądając się w sklepowych witrynach. Włosy miała w nieładzie, a na jej twarzy i dekolcie wykwitły obrzydliwe czerwone plamy. Jej oczy były podkrążone nabrzmiałymi workami. Piersi też były nabrzmiałe. To akurat ją cieszyło. W końcu nie na darmo je powiększyła. Zrobiła to dla Wieśka Formeli, jednak on nie docenił jej wysiłku. Ale mimo to było warto. Znacznie lepiej się czuła z powiększonym biustem.

Włączyła komórkę. Miała cztery nieodebrane połączenia. Od Sergiusza aż trzy (to zły znak). I jedno z jakiegoś nieznanego numeru. Postanowiła, że oddzwoni do Sergiusza po kąpieli. Nalała do wanny dużo wody. Znacznie więcej niż normalnie. Zanurzyła się i wreszcie poczuła ulgę. Trzeba będzie to wszystko uporządkować. I rozmówić się z Sergiuszem. W każdym związku są kryzysy, ale to nie oznacza, że trzeba od razu ze sobą zrywać. Wręcz przeciwnie. Trzeba porozmawiać. Przemóc się i porozmawiać.

Gdy leżała w wannie, zadzwonił telefon. To był Bodzioch. A ten czego znowu chce? Bezczelny typ. Wystarczająco już namieszał. Nie odebrała. Nie będzie się do niego odzywać i tyle. Po wyjściu z wanny włożyła szlafrok. Biały, czystutki, pachnący. Czuła, że wraca do normalności. Miniony tydzień należało wyrzucić z pamięci.

Poszła do kuchni i nastawiła ekspres. Podwójne espresso z kroplą mleka. Do szklanki nalała soku pomarańczowego, który również uchwował się w lodówce. Była bardzo spragniona. I coraz bardziej odprężona. Trzeba będzie ułożyć włosy, żeby jej fryzura choć trochę przypominała tę wczorajszą od fryzjera. I może warto włożyć jakąś sukienkę na wypadek, gdyby Sergiusz jednak przyszedł. Wybrała jego

numer. Odezwał się dopiero po czwartym sygnale.

– Halo – powiedział oschle.

Pewnie jednak był tu w nocy. Wszystko widział. W słuchawce zapadła cisza. Może się rozłączył?

– Przyjdiesz? – wystękała wreszcie. – Chciałabym porozmawiać.

– Ty porozmawiać? Myślałem, że masz zupełnie inne zainteresowania.

Teraz już była pewna. O wszystkim wiedział. Może to i lepiej. Nie będzie pokusy, żeby go okłamywać.

Czasem prawda przynosi ulgę, rozładowuje konflikty.

– Musimy porozmawiać – powtórzyła.

– A mamy o czym?

– Serż, po prostu przyjdź. – Czasem wymawiała jego imię z francuska. Wiedziała, że to lubi. – Czekam na ciebie.

Rozłączyła się. Nie chciała kontynuować tej rozmowy przez telefon. Czekwała do wieczora. Nie przyszedł.

– Mamy już tę ekspertyzę z Krakowa. I raport w sprawie trupa z piwnicy przy Menonickiej. Całkiem niebrzydka buzia. Możemy teraz porównać ją z wizerunkami naszych zaginionych. Miała raczej doktor Kopec, że ofiara mogła mieć jakieś dwadzieścia osiem lat. Ekspertyza potwierdza jej wstępną hipotezę. Może należy opublikować wizerunek denatki w prasie?

Komisarz Uliński z uznaniem pokiwał głową i nawet poklepał młodszego kolegę po plecach, co było jawnym wyrazem aprobaty.

Bodzioch był bardzo zadowolony z wyników swojej pracy. Sprawa zwłok z Biskupiej Górki powoli się wyjaśniała, chociaż jakoś specjalnie się do niej nie przykładał. Niestety, pani redaktor z brukowca, z którą udało mu się nawiązać naprawdę ciekawą współpracę, nie odbierała telefonów od niego. Chciał się nawet do niej wybrać, ale miał pewne opory. W końcu ta kobieta, starsza od niego o kilka lat, traktowała go jak natręta. To go bardzo ubodło. A teraz dobijała się do niego mamusia.

– Synku, dlaczego nie przyjeżdżasz?

– Nie mogę, mamu, praca. Sama rozumiesz.

– Ale ty pewnie nic nie jesz w tym Gdańsku.

– Jem, mamusiu, jem.

– A może ty jakąś kobietę masz?

– Nie mam teraz czasu, zadzwonię później.

– To znaczy, że masz, ale nie chcesz mi powiedzieć. A może ty się zakochałeś? W jakiejś pani z dużego miasta. Uważaj, synku, uważaj, bo serce ci złamie, a potem porzuci.

Bodzioch był wściekły, że matka przerwała mu rozmowę z Ulińskim. W końcu wreszcie miał jakieś sukcesy i chciał być odpowiednio doceniony.

– To na czym skończyliśmy, panie komisarzu? – zapytał z nadzieją w głosie. Tak bardzo pragnął wrócić do tej ekspertyzy z Krakowa. I usłyszeć słowa pochwały od zwierzchnika.

– Musimy ją zidentyfikować, więc niech opublikują ten portret w gazecie i w telewizji. Może ktoś się zgłosi. A jak się zgłosi, to będzie z tym sporo pracy, panie kolego. – Uliński chciał wyjaśnić sprawę do końca. Szukał zabójcy. Praca była jego największą pasją. Był pewien, że intuicja go nie zawodzi. A ten nowy policjant, zamiast wykonywać swoje zadania, ciągle rozmawiał przez telefon, a w nocy miał wyłączoną komórkę. Nie przykładał się. To przeniesienie do Gdańska to był chyba zły pomysł. Pan Bodzioch powinien zostać w tym swoim Bytowie. Całkiem przyjemne miasto. I chyba dość spokojne, bo

wampir z Bytowa to już odległa przeszłość. Podobnie jak szkielet tej młodej kobiety. Należało ją zidentyfikować, a nie cieszyć się z tego, że z Krakowa przysłano jej wizerunek. To była dopiero zapowiedź sukcesu. A Bodzioch już chciał spocząć na laurach. Nic, tylko gapił się w wyświetlacz komórki. Idiota.

Waldek ciągle jeszcze miał nadzieję, że ona jednak oddzwoni. Zastanawiał się, czy aby nie zakochał się w tej pani. To niemożliwe, natychmiast sobie odpowiadał. Przecież wcale nie była taka ładna, a w dodatku starsza od niego. Mamusi by się nie spodobała, tego był pewien. Zwłaszcza jak kręciła tym swoim tyłeczkiem i rozpiniała trzeci guziczek sukieneczki, co akurat jemu się podobało. Nawet bardzo. Ale teraz musiał się skupić na pracy, chociaż miał jej dość. Męczył go zwłaszcza ten Uliński, który chyba nie miał życia prywatnego, skoro wydzwaniał do niego nawet po północy.

– Więc opublikujemy to zdjęcie i może zgłosi się ktoś, kto znał denatkę. To jedyny sposób, żeby ruszyć z miejsca.

– Jak pan uważa. – Uliński uważał zupełnie inaczej, ale postanowił nie dzielić się swoją opinią z tym powierzchownym podkomisarzem.

Sam zawsze drążył głęboko. Chciał się dowiedzieć, kim naprawdę była ta kobieta. Czy to jedna z tych zaginionych z listy? A może to naprawdę Ida Martens? Chociaż to mało prawdopodobne. Owszem, istniała taka kobieta i rzeczywiście zaginęła. Ale to zdarzyło się w grudniu siedemdziesiątego roku. Wtedy zginęło wielu ludzi. Pogrzeby ofiar odbywały się w nocy, potajemnie. Więc może tę Idę też wtedy pochowano, bez wiedzy rodziny? Chociaż ofiary Grudnia to sami mężczyźni. Głównie młodzi. Ale wszystko trzeba sprawdzić. Każdy szczegół. Miał przed sobą kserokopię komunikatu opublikowanego w „Głosie Wybrzeża” w styczniu siedemdziesiątego pierwszego roku. Komunikat był zdawkowy, jak zwykle komunikaty zaczynające się od słów: „Wyszła z domu i do dziś nie wróciła”. W notatce dotyczącej zaginięcia Idy były dwa istotne, zdaniem Ulińskiego, szczegóły. Po pierwsze, data zaginięcia Idy – szesnasty grudnia siedemdziesiątego roku. A więc środa, przed czarnym czwartkiem, kiedy strzelano do robotników w Gdyni, a potem manifestanci ponieśli na drzwiach Świętojańską martwego Zbyszka Godlewskiego. Ale to było w Gdyni – a w Gdańsku właśnie dzień wcześniej padły strzały z ostrej amunicji. Milicja strzelała do robotników. Był jeszcze drugi ślad. Adres Idy. Uliński był tam kilka razy. Mieszkanie od śmierci właściciela stało puste. Podobno czasem pojawiał się tam ktoś z rodziny, ale rzadko. Uliński postanowił obserwować to lokum. Tym bardziej że sam mieszkał niedaleko. Wieczorami, gdy było już ciemno, chodził tam, wypatrując światła w oknach. Niestety, jak dotąd nie miał szczęścia.

Inne rzeczy też trzeba sprawdzić. Twarz kobiety zrekonstruowana w Krakowie była nawet trochę podobna do twarzy Idy, tej ze zdjęcia. Ale zdjęcie to za mało. Tym bardziej że to tylko mała fotka z dowodu osobistego. Chyba retuszowana, więc nieoddająca rzeczywistego wyglądu kobiety. Uliński uważał, że trzeba odnaleźć jej rodzinę i że to Bodzioch powinien poszperać w tym temacie, ale ten obibok najwyraźniej miał zupełnie inne zainteresowania. Obchodziły go głównie kontakty z panią redaktor Herbst.

CZARNY PIOTRUŚ

Obudziły ją łomot i wrzask. Ktoś szarpał za klamkę.

– Otwieraj, suko! – dobrze znała ten głos. A właściwie dwa prawie identyczne głosy. I dwóch mężczyzn, łudząco do siebie podobnych. Pod każdym względem. Na szczęście wstawiła mocne, antywłamaniowe drzwi i solidne zamki. Nie musiała niczego się obawiać. Przynajmniej na razie. Tak jej tłumaczył adwokat. Wymeldowała go. Był dorosły i samodzielny. I szalenie brutalny. Więc chyba nie otworzy mu tych drzwi. Na pewno nie otworzy.

Nie udał się jej. Jak miał siedem lat, utopił małe kociaki. Piwniczne dzikusy – dwa szarobure i jeden czarny. Cudne były. Weronika nosiła im mleko, bo piszczały żałośnie. A on je utopił w Potoku Oliwskim. Potem otrął psa sąsiadów, tych z parteru. I z tego już była niezła chryja, ale zatuszował to jakiś daleki kuzyn teściowej, który pracował w komisariacie na Białej. Jako czternastolatek zaczął ją bić – bił własną matkę. Brał przykład z ojca. Ostatnio dostał wyrok w zawieszeniu za czynną napaść i usiłowanie gwałtu na młodej dziewczynie.

Pragnęła o tym wszystkim zapomnieć. A zwłaszcza o nim. Że wydała go na świat. Ze wszystkich jej życiowych porażek on był największą i najbardziej bolesną. Miała nadzieję, że na zawsze zostanie w tej angielskiej rzeźni. Zajęcie w sam raz dla niego. Ale nie, musiał tu przyjechać. Dręczyć swoją matkę. Bo przecież nikogo innego do dręczenia nie znajdzie. Żadna normalna dziewczyna nie wytrzyma z tym brutalem i sadystą.

– Jak nie otworzysz, to cię zabiję, stara kurwo! – wulgarne bluzgi dobiegały zza drzwi. Już chyba wszyscy sąsiedzi się pobudzili, ale nikt nie miał odwagi zainterweniować. Woleli siedzieć cicho. Tak najwygodniej. Tylko ten staruch, co mieszkał przez ścianę, chyba zapomniał już, na co stać czarnego Piotrusia. Otworzył drzwi i żałośnie zapiszcział cieniutkim głosem:

– Proszę o ciszę!

A Piotrek natychmiast rzucił się w jego kierunku. Na szczęście stary zdążył zatrzaskać mu drzwi przed nosem. Piotr zaczął kopać w drzwi. Bardzo energicznie i z werwą. Nie na darmo trenował kick-boxing, a wcześniej karate. Sama prowadziła go na te zajęcia. I teraz miała za swoje.

W końcu zapadła cisza. Weronika nasłuchiwała. Może już sobie poszedł? Zerknęła przez wizjer. Nie było go widać. Ale pewnie gdzieś na nią czatował. Pełen agresji i złości. Jak to on. I jak jej mąż. Byli tacy sami. Ten sam głos. I twarze, i pięści. Zwłaszcza one. Ojciec Piotra po raz pierwszy walnął ją pięścią w brzuch, gdy powiedziała mu o ciąży. Była na drugim roku polonistyki. Ale wciąż jeszcze mocno niepewna siebie, jakby nieopierzona. Nie miała skończonych dwudziestu lat. Bo wszystko w jej życiu przychodziło za wcześnie. Do szkoły posłali ją, jak miała sześć lat, a właściwie pięć z kawałkiem. Teraz to już normalne, ale wtedy dzieci zaczynały naukę później. A ona wcześniej. Żeby jak najszybciej z chałupy wypchnąć córkę, za mąż wydać. I żeby po kłopotcie było. Bo dziewczucha to kłopot tylko i żadnej

pociechy z niej być nie może. No i wydali ją – za starszego, ustatkowanego – chociaż tak między Bogiem a prawdą sama się wydała, a właściwie wdała się w niebezpieczną znajomość. Któregoś dnia poszła z koleżankami z roku do Kwadratowej. I tam się spotkali. Wcale jej się nie podobał. Jakiś taki kwadratowy był, zupełnie jak nazwa tego klubu. Wolała mężczyzn smuklejszych, o delikatniejszych rysach. A Siembida był grubo ciosany. Długi tułów, krótkie nogi. Metr siedemdziesiąt siedem wzrostu. Szeroki w barach. Zupełnie nie w jej guście. Do tego to idiotyczne imię – Rysiek. No i był o piętnaście lat od niej starszy. Pracował w stoczni w Gdyni. I mieszkał razem ze swoją mamusią w Oliwie. Stary kawaler. Najgorsza partia z możliwych. Ale nie miała nic do gadania. Wszystko potoczyło się o wiele za szybko i prawie bez jej udziału. Szast-prast i po wszystkim. Po niej. Najpierw wygibasy w dyskotecce, potem dwa piwa i jakiś podejrany drink z parasolką. Jasna cholera wie, co do niego dosypał. Ale osiągnął swój cel. I na bonus się załapali. Oboje. Z początku nie przejmowała się, że okres jej się spóźnia, bo normalnie spóźniał się często (teraz zresztą też spóźnia się już o całe trzy tygodnie). Ale po miesiącu zaniepokoiła się na serio. I poszła do lekarza. To był mężczyzna w średnim wieku. Bardzo niedelikatny i niesympatyczny. Jak wszyscy faceci w jej życiu. Badanie było bolesne. Potem lekarz sarkastycznym tonem oświadczył, że Weronice gratuluje. Jakby było czego. Poszła zaraz do Ryśka z tą wspaniałą nowiną. Uderzył ją w brzuch tak mocno, że aż się przewróciła. Wróciła więc do akademika. Tam na szczęście nikt o nic nie pytał, nikt nie bił. Całą ciężę przechodziła w okropnych ogrodniczkach. Taka głupia moda wtedy była. Wyglądała jak bambaryła, ale udało jej się zaliczyć letnią sesję. I to z dobrą średnią, nawet bardzo dobrą. Rodzicom nic nie powiedziała. Ani o średniej, ani o brzuchu. Po prostu nie jeździła na wieś. Tłumaczyła, że ma dużo nauki i mało pieniędzy. Studia córki i tak uważali za nikomu niepotrzebną fanaberię. Więc nie pomagali jej finansowo. Jakoś sobie radziła sama i to się liczyło. A że nie przyjeżdżała do domu, do wioski pod Ciechanowem, zwłaszcza w czasie żniw, żeby pomóc starzejącym się rodzicom, to się zaczęły plotki. Że na złą drogę zeszła. I było w tym wiele prawdy.

Wody odeszły jej w nocy. Koleżanki z akademika zadzwoniły po karetkę. Urodziła w dwie godziny. Chciała zostawić małego w szpitalu, ale Madzia Barszcz, wówczas – podobnie jak Weronika – studentka polonistyki, nie mogła dopuścić do tego, żeby „dzieciaka zmarnować”. Już lepiej zmarnować życie Weronice, najlepszej studentce na roku. A do tego naprawdę ładnej dziewczynie. Madzia zawsze cierpiała, patrząc na smukłą sylwetkę Weroniki i jej subtelne, delikatne rysy. Ciekawe, po kim tak miała, zastanawiała się. Bo chyba nie po tych chłopach spod Ciechanowa, z których się wywodziła. Madzia w młodości zmagala się z lekką nadwagą i trądzikiem, więc zazdrościła przyjaciółce. A do tego praca roczna Madzi została oceniona zaledwie na trójkę, natomiast ta wieśniara Werka dostała za swoją nagrodę rektorską. Trzeba więc było działać. I to szybko. Oczywiście w imię dobra dziecka. Przecież dobrem dziecka można usprawiedliwić nawet podłość i okrucieństwo dorosłego. To za sprawą Madzi Mariolka, kumpela z akademika, której chłopak pracował w stoczni na jednym wydziale z Siembidą, zawiadomiła go, że został tatusiem. Ma syna. A syn się przecież zawsze bardziej liczy niż córka, prawda? No i przyszedł Rysiek odebrać ze szpitala dzieciaka, a przy okazji jego Weronikę. A potem zawiózł oboje na Polanki, do mieszkania swojej matki. Weronika dalej chodziła w tych paskudnych, wytartych ogrodniczkach, bo ciuchy sprzed ciąży na nią nie pasowały. Brzuch jej urósł, piersi były większe. Dawna figura niestety nie wróciła, chociaż przez oszczędność jadła niewiele. Ale jakoś tak zbabiła. I to bardzo cieszyło Madzię. Odpadła jej najgroźniejsza konkurentka nie tylko na polu urody, ale i akademickich zmagani. Weronika przerwała studia, a Madzia parła do przodu. Wkrótce zrobiła dyplom i to ona dostała pracę w bibliotece uniwersyteckiej. Natomiast Weronika ugrzęzła w roli bezrobotnej żony popychadła. Madzia, która tak naprawdę z siebie tylko znanych powodów zaaranżowała małżeństwo Weroniki, świadkowała na jej pożał się Boże ślubie. Nawet rodzice panny młodej nie przyjechali, bo co to za ślub

– bez księdza, bez wesela? Ale za to z dzieciakiem w wózku.

Teraz Weronika nasłuchiwała pod drzwiami, czy Piotrek ciągle tu jest, czy jednak sobie poszedł i będzie mogła wyjść po zakupy. Postanowiła, że pojedzie szóstką do Hali Targowej. Byle jak najdalej stąd. Po cichu się ubrała, chwyciła siatkę i torebkę. Wyjrzała na korytarz. Pusto. Drobnymi kroczkami, na palcach, zeszła po schodach. Na dole też go nie było. Może naprawdę poszedł? Zrezygnował? Oby! Nigdy nie był wytrwały. Zwłaszcza w nauce i w pracy, bo w biciu słabszych od siebie to i owszem.

Gdy była już na dole, ruszyła pędem przed siebie. Nie wiedziała, że potrafi tak szybko biegać. Gdy wreszcie dopadła tramwaju, z satysfakcją stwierdziła, że jest dużo wolnych miejsc. Z ulgą klapnęła na jedno z nich. Nareszcie. Mogła chwilę odpocząć i zebrać myśli. Chyba należało wyjechać z miasta. Pojechać do brata na wieś. Dogadywała się z nim przecież. Był dyrektorem gimnazjum. Dojeżdżał do pracy do Ciechanowa. Mogłaby u niego odpocząć i poradzić się, co zrobić z Piotrkim. Chociaż wiedziała, że nic się nie da zrobić. Był taki jak jego ojciec. Patologiczny, nieubłagany sadysta.

Naprzeciwko niej usiadła elegancka kobieta w grafitowym trenczu. Gapiła się na Weronikę dość nachalnie. Niby taka elegancka, a jednak nie przestrzegała podstawowych zasad obowiązujących w cywilizowanym społeczeństwie. Niegapienie się na współpasażerów było jedną z nich. Tramwaj zatrzymał się na przystanku. Do środka wtargnęła grupa rozkrzyczanych dzieci z podstawówki. Weronika nie umiała powstrzymać grymasu niechęci. Wtedy damulka w markowym trenczu, chyba marki Burberry, powiedziała głośno, tak żeby wszyscy dookoła słyszeli:

– Tacy jak pani to nie powinni mieć dzieci. I dobrze, że ich nie mają.

Weronika udawała, że nie słyszy, że nie rozumie, że nie jej dotyczy ten komentarz. Może po prostu kobieta mówiła sama do siebie? Kto ją tam wie. Weronika swoje odcierpiała jako matka. I pewnie przyjdzie jej przecierpieć jeszcze więcej, skoro synuś – czarny Piotruś – wrócił z emigracji.

Jednak go nie doceniła. Miał więcej wytrwałości, niż sądziła. I jeszcze więcej nienawiści. Do niej. Gdy wróciła do domu, powitał ją w sieni.

– Synka nie przywitasz, mamuśka, ty stara zdiro? – wysyczał pod nosem i chwycił Weronikę za podbródek. – Nie stęskniłaś się? Zamki w drzwiach zmieniłaś? Żeby mnie nie wpuścić? Własnego syna! Jedyńka! Rentę po starym bierzesz i nie chcesz się ze mną podzielić. Ale będziesz musiała, bo masz obowiązek alimentacyjny.

Pod Weroniką ugięły się nogi. Właśnie spełnił się jej najgorszy sen. Powrót Piotrka z Anglii. Tego najbardziej się obawiała. Miał długi tułów i krótkie nogi po ojcu. I taką samą jak ojciec kwadratową czaszkę. Był spocony, bo ubrania pewnie nieprane od dawna. Śmierdziało od niego na odległość. Hormony agresji szalały w nim, podobnie jak kiedyś w jego ojcu. Nie świeć Panie nad jego duszą nieczystą i marną, niech się smaży w piekle. Na ramionach Piotrka, który mimo chłodnej aury miał na sobie tylko T-shirt, zauważyła nowe tatuaże – *Made in England*. Jego ojciec przynajmniej tego nie robił.

Ale był tak samo brutalny i bezwzględny. Bił ją w obecności syna. I mówił, żeby ten patrzył i się uczył. To były jedyne lekcje wychowawcze, jakich udzielił swojemu jedynakowi. Teraz procentowały. Piotrek trzymał ją mocno za podbródek. Bardzo bolało. Będą siniaki albo nawet złamie jej kark. Całe życie jakiś mężczyzna ją tłukł. I tak już chyba miało zostać. Była typem ofiary. Od dziecka. Po śmierci Ryśka miała nadzieję, że coś się zmieni w tej materii, ale oto wrócił jego synalek i koszmar zaczął się od nowa.

– Zostaw mnie w spokoju – jęknęła.

Ale Piotrek nie odpuszczał. Wyrwał jej siatkę z dłoni.

– Zobaczmy, co mi kupiłaś, mateńko! Pewnie same pyszności prosto z Hali Targowej? Mleczko, świeże bułeczki i twarożek. I jajeczka zapewne. Może zrobimy jajeczniczkę? Taką, jaką zawsze robiłaś dla Piotrusia, ukochanego syneczka. Jak jeszcze ci się chciało, suko. Więc teraz zrobisz mi jajeczniczkę, o tu, na posadzce – to mówiąc, z całej siły cisnął siatką o ziemię i jeszcze mocniej, oburącz, chwycił matkę za

gardło.

Weronika stała tyłem do schodów, więc nie zauważyła, że z góry schodzi jej dobry znajomy. Elegancki jak zwykle. W czarnym garniturze i białej koszuli, którą całkiem dobrze знаła, bo kiedyś zdarzyło jej się ją prasować. Trzymał w ręku laskę. Weronika widziała ją wiele razy w jego mieszkaniu, ale bała się dopytywać, po co mu taki sprzęt, skoro jest w pełni sprawny.

Wystarczyła chwila, by Piotr runął na posadzkę, z głową umoczoną w rozbitych jajkach. Wybawca Weroniki natychmiast się ulotnił. Wszystko to trwało kilka sekund. Weronika stała jak wryta. Nie wiedziała, co ma zrobić. Instykt podpowiadał jej, żeby uciekać, ale przecież to był jej syn. Wyrodny, bo wyrodny, może jednak potrzebował pomocy. Pochyliła się nad nim. Chyba był nieprzytomny. Postanowiła go nie dotykać, tylko od razu wezwać pomoc. Zadzwoiła na pogotowie, ale niestety policja pojawiła się równocześnie z karetką.

Zdecydowała, że nic im nie powie. Ani słowa o nim. O swoim wybawcy. Będzie milczała jak grób. Była mu wdzięczna za pomoc, bo przecież gdyby nie on, zapewne sama leżałaby teraz na posadzce. Nieprzytomna. Ze skrzyconym karkiem. Skazana na spędzenie reszty życia na wózku w jakimś obskurnym domu opieki. A może nawet martwa?

Sanitariusze szybko wynieśli Piotrka na noszach, a ona cały czas stała nieruchomo. Nie wiedziała, dokąd pójść. Do domu? Zamknąć się? Odgrodzić się od wszystkiego? Zasnąć i zapomnieć? A może uciec? Tylko dokąd pójdzie? Do Magdy?

W końcu podszedł do niej policjant. Tęgawy, z lekka rudy, typ świńskiego blondyna.

– Pani jest w szoku, rozumiem, ale jest pani jedynym świadkiem zajścia, więc muszę panią poprosić na komisariat celem złożenia wyjaśnień.

– Ale ja, ale ja... – Weronika szukała argumentu, żeby uniknąć wizyty na komisariacie. – Muszę to wszystko posprzątać, no przecież sam pan widzi. To moja siatka, moje zakupy...

– Niczego pani nie będzie sprzątać. To są dowody w sprawie. Zajmie się nimi policja. A pani pójdzie z nami.

Weronika niechętnie ruszyła w kierunku zaparkowanego przed domem radiowozu. Była głodna, zmęczona i dopiero teraz poczuła, że ma zdrętwiałą górną wargę. Może to paraliż, przemknęło jej przez myśl. Nie miała przy sobie lusterka. Nie mogła więc zobaczyć, że jej szyja i dolna część twarzy są całe w sińcach po żelaznym uścisku jej syna.

– Może zaczniemy od tego, co łączy panią z ofiarą napadu?

– Zaczniemy od tego, że chciałabym się czegoś napić. – Weronika miała dość policyjnego nagabywania. Odzyskała rezon. Ten podkomisarz był chyba słabo rozgarnięty i zupełnie nie miał podejścia do ludzi. Do kobiet zwłaszcza.

– A tak, zaraz podamy. Kawa, herbata? A może woda?

– Poproszę herbatę. Tylko mocną. – Weronika chciała dodać, że jest głodna, bo jej śniadanie zostało na posadzce w domu przy ulicy Polanki, ale nie miała zamiaru wdawać się w pogawędkę. Trzeba ważyć słowa.

Gdy już miała przed sobą kubek z gorącą herbatą, poczuła się bardzo zmęczona i senna. Brakowało jej siły, żeby odpowiadać na pytania policjanta o proletariackim nazwisku – Bodzioch. Nieco spoconego i pachnącego jakimś pośledniej jakości dezodorantem.

– Co łączy panią z ofiarą zajścia?

– Ofiarą to chyba ja tu jestem. – Trzeba odwracać kota ogonem, pomyślała i po chwili dodała: – A ten

chłopak, którego zabrało pogotowie, jest moim synem.

– Więc to była rodzinna awantura?

– Tak. Przemoc domowa, ściślej mówiąc.

– Proszę opisać całe zdarzenie i będzie pani wolna.

– Syn mnie zaatakował. To wszystko. – Weronika czuła, że awantura rodzinna to dla policji żadna atrakcja, więc gliniarz szybko powinien odpuścić.

– Ale jak to „zaatakował panią”?

– Normalnie – zaatakował. Chwycił za gardło i chciał udusić. Chyba mam jakieś ślady?

– Tak, ma pani. Trzeba zrobić obdukcję. Ale co się stało z synem? Kto go tak urządził? Pani?

Weronika przez chwilę miała ochotę skłamać. Powiedzieć, że Piotrek w szamotaninie po prostu poślizgnął się na tych rozlanych po posadzce jajach, przewrócił, grzmotnął łbem o ziemię i stracił przytomność. Wtedy nie musiałyby opowiadać o interwencji Hema. Przecież postanowiła, że nie zdradzi swojego wybawcy.

– No ktoś go uderzył, a może tylko przestraszył, i Piotrek poślizgnął się i upadł.

– Uderzył czy przestraszył? Bo to istotna różnica. Ale kto?

– Nie zauważyłam. Jakiś mężczyzna. Zbiegał po schodach. Ja stałam tyłem, więc nie miałam czasu mu się przyjrzeć. To wszystko szybko się stało. A ja byłam w szoku.

Podkomisarz najwyraźniej chciał już zakończyć przesłuchanie, ale w tym momencie do pokoju wszedł drugi policjant. Znacznie starszy. Siwowłosa, o szlachetnej, surowej twarzy. Weronika od razu pomyślała, że z nim nie poszłoby jej tak łatwo. Wyglądał na upierdliwego wygę. Tym bardziej liczyła na to, że Bodzioch pozwoli jej odejść. Niestety, ten starszy chyba nie wszedł tu przypadkowo. Podkomisarz na jego widok aż się wyprężył i kontynuował z większą werwą:

– Byłbym jednak wdzięczny, gdyby przypomniała sobie pani jakieś szczegóły.

– Ale ja naprawdę nic nie zapamiętałam. Byłam w szoku, pan rozumie?

– Ja nic z tego nie rozumiem, prawdę mówiąc – wtrącił ten drugi. – Ktoś pobił pani syna, prawda? Chcemy znaleźć tego człowieka, a pani najwyraźniej stara się nam to utrudnić.

Cholerny gliniarz, stary wyjadacz. Przekłęte dziadziśko, jeszcze z milicyjnej szkoły, wyklinała w duchu Weronika. Ciężko będzie się wykręcić.

– Po prostu to się działo tak szybko, że nie zdążyłam się przyjrzeć temu mężczyźnie. Poza tym, powtarzam to już po raz enty, byłam w szoku. Przyzna pan chyba, że nie codziennie dziecko chwyta matkę za gardło i próbuje udusić! – Ostatnie słowa wypowiedziała tonem pełnym emocji, niemal płacząc.

– No właśnie, może nam pani wyjaśni, co się stało? Dlaczego syn chciał panią udusić?

– Nie wiem dlaczego. Chyba mu odbiło. Zresztą przed wyjazdem do Anglii leczył się psychiatrycznie. I miał wyrok w zawieszeniu.

– Przed wyjazdem do Anglii? Może nam pani powie coś więcej na temat tego wyjazdu?

– Wyjechał dwa lata temu. Pracował w rzeźni. Podobno. Gdzieś w Bristolu.

– W rzeźni? Pani syn jest rzeźnikiem?

– Nie. Po maturze chciał studiować. Ale miał za słabe wyniki, żeby się dostać na dzienne studia, a na te płatne nie było nas stać, więc wyjechał. Co jeszcze chcą panowie wiedzieć? – W głosie Weroniki zniecierpliwienie mieszało się z wściekłością. Była głodna, zmęczona i było jej już wszystko jedno. No, może nie do końca. Zależało jej na tym, żeby go chronić. Przyjaciela, który stanął w jej obronie.

– Proszę się uspokoić – upomniał ją ten starszy.

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego mam panom opowiadać o moich najintymniejszych sprawach.

– Najintymniejszych? Czy łączyła panią z synem jakaś szczególna relacja? – Ten dziad najwyraźniej kpił sobie z niej w żywe oczy. Stary satyr!

– Pan chyba żartuje!

– Może trochę – mruknął pod nosem gliniarz. – Proszę sobie tylko przypomnieć jakiś szczegół dotyczący mężczyzny, który uderzył pani syna. Coś charakterystycznego. Musimy go odnaleźć. I to jak najszybciej.

– Ale ja naprawdę nic nie zapamiętałam. I nie powiedziałam, że go uderzył. Bo nie widziałam. Nic nie widziałam.

– Nic? Naprawdę nic? Nie pamięta pani, jak wyglądał? Wysoki? Niski?

– Taki średni chyba...

– Szczupły, gruby?

– Powiedziałam, że średni, więc nie gruby i nie chudy.

– No dobrze, to już nie będziemy pani męczyć. Na dziś wystarczy. Proszę podpisać zeznanie.

Weronika skwapliwie podpisała protokół. Pannieńskim nazwiskiem: Mossakowska. To po mężu zawsze ją uwierało. A od kiedy Rysiek nie żyje, jest zupełnie zbędne. Trzeba to będzie jakoś załatwić, żeby znowu nazywać się Mossakowska. I wreszcie być sobą.

Gdy wyszła z pokoju, starszy komisarz spojrzał wymownie na Bodziocha i wycedził przez zęby:

– Kłamie jak z nut. Trzeba poszukać innych świadków. To twoje zadanie, Bodzioch. Wrócisz tam i przejdiesz się po tej kamienicy. Popytasz sąsiadów. Jej sąsiadów przede wszystkim. Ta sprawa śmierdzi na kilometr.

Weronika Mossakowska-Siembida trochę przypominała Bodziochowi pewną znajomą. Wesoła wdówka. Jak nic daje tam z kimś. Ma kochanka. Takiego z doskoku. Zupełnie jak ta zdzira, która udawała cnotkę, a okazało się, że wcale cnotliwa nie jest. Z tą tutaj było podobnie. Niewykluczone, że synek nakrył ją na gorącym uczynku i coś się wydarzyło. Tylko co? Sama walnęła młokosa w zakutą łepetynę czy może jakiś jej kochaś? Bo wszystkie one, te cholerne kobiety w średnim wieku, mają kochasiów. Przeważnie młodszych. Czasem nawet sporo młodszych. Wszystkich dookoła okłamują: mężów, synów, a nawet wieloletnich narzeczonych. A potem komuś puszczają nerwy i nieszczęście gotowe. Miejmy nadzieję, że ten Piotr jakoś się wyliże, bo jak nie, to sprawa zrobi się poważna.

Weronika miała dość. Pojechała prosto do domu. Liczyła na to, że może go spotka, że zjedzą razem śniadanie, a potem będzie mogła się do niego przytulić. To okropnie sentymentalne i głupie, ale mimo wszystko, wchodząc do klatki schodowej, miała nadzieję, że go spotka, chociaż żółtego autka nie było przed domem. Posadzka na parterze została dokładnie wysprzątana. Może powinna myśleć o Piotрку, dowiedzieć się, co z nim, ale jakoś nie mogła znaleźć w sobie dostatecznie dużo macierzyńskiej czułości dla syna.

Wbiegła po schodach. Bała się, że ten stary Bućko będzie na nią czatował. Stała pod drzwiami Hema i nacisnęła dzwonek. Ciągle się łudziła, że może jednak jest u siebie, chociaż rozsądek podpowiadał jej, że więcej go nie spotka. Że to naprawdę koniec.

Nie było go.

Wróciła do siebie. Na sekretarce miała kilka wiadomości. Ktoś pilnie chciał z nią rozmawiać. Pewnie Madzia. Ale nie miała jej nic do powiedzenia. Zresztą nikomu nie miała nic do powiedzenia. Była pora obiadowa, a ona nie zjadła jeszcze śniadania. Postanowiła, że tylko napije się mleka, a potem się położy. Miała dość. I bolała ją twarz. Coraz bardziej. Do tego ta drętwiejąca górna warga. Niepokoiło ją to. Weszła do łazienki i zerknęła w lustro. Widok był porażający. Cały podbródek miała w siniakach. A może to jednak paraliż? Może powinna zrobić obdukcję i w ogóle jakieś badania. Ale nie miała siły.

Nie teraz, nie dziś. Zdjęła ubranie. Stała pod prysznicem, żeby zmyć z siebie zmęczenie. Wypiła jeszcze jedną szklanek mleka. I padła na łóżko. To był długi poranek. Zbyt długi.

Obudził ją telefon i hałas w korytarzu. To pies sąsiada czekał. I ktoś do niej dzwonił. Nie miała ochoty podnosić słuchawki, ale ten ktoś po drugiej stronie uparł się, żeby ją niepokoić. Nie знаła tego numeru. Pomyślała, że to może Hem. Tylko dlatego odebrała.

– Słucham?

– Pani Siembida?

– Mossakowska-Siembida.

– Czy jest pani matką Piotra Siembidy?

– Tak.

– Dzwonię ze szpitala. Chciałbym poinformować, że pani syn jest w stanie krytycznym.

– Ach tak... – Odłożyła słuchawkę. Nie zapytała nawet, w którym szpitalu leży. Trzeba się będzie tym zająć. Ale nie dziś. Nie miała siły. Jutro. Wszystko jutro. Dzisiaj żadnych wspomnień o Piotrusiu. Tym maleńkim, sprzed lat, i tym dorosłym, sprzed paru godzin. Absolutnie nie będzie myśleć o tym, w jakim kolorze były maleńkie buciki, które wydziergała jeszcze w akademiku. Były niebieskie, bo spodziewała się chłopczyka. Nie było jeszcze wtedy powszechnych badań USG i nie znała płci dziecka, ale przeczuwała, że to będzie chłopiec. I miała nadzieję, że nie wda się w ojca. Zrobiła dla niego też niebieski sweterek i ciepłe śpioszki. Te pamiątki były chyba w jednym z kartonów, które trzymała w piwnicy. Ale nie miała siły o tym myśleć. I wzruszać się. Opłakiwać syna, który okazał się nic niewartym bęcwałem. I nie wiadomo, co z nim teraz będzie. Czy wyzdrowieje, czy może... Bo skoro był w stanie krytycznym, to może po prostu umrze. Tego nie można było wykluczyć. Dlaczego nie pojechała do szpitala, nie chciała z nim być, ze swoim jedynym synem? Czuwać przy nim. Ano nie chciała. Nie potrafiła w tej chwili znaleźć ani krztyny współczucia dla niego. Nie kochała go. Tak jak nie kochała jego ojca. Bardziej bała się tego, że wyzdrowieje i znowu będzie ją tłukł albo że ona do końca życia będzie musiała pchać wózek ze sparaliżowanym synem. Tę ewentualność też brała pod uwagę i bała się tylko tego, że jeśli Piotr będzie miał sparaliżowane tylko nogi, a ręce sprawne, nadal będzie ją bił.

Już prawie zasypiała, gdy usłyszała hałas za ścianą. Sąsiad chyba miał gościa. Słyszała piskliwy głos starucha. Coś tam opowiadał, a właściwie wykrzykiwał, zapewne intensywnie gestykułując. Podniesionym tonem. Widocznie się podniecił. Głupi dziad, pomyślała. Nie mogła się doczekać tej błogiej chwili, kiedy zapanuje wokół niej idealna cisza i wreszcie będzie mogła zasnąć. I nie obudzić się aż do jutra rana. Wyłączyła telefon, żeby jej nie przeszkadzał. Zapadła w niespokojną drzemkę. Taką, która nie przynosi ulgi, nawet jeśli trwa długo.

Obudził ją dzwonek do drzwi. Chamski, przenikliwy. Rodem z peerelowskiej, zamierzchłej przeszłości. Tyle razy chciała wymienić ten dzwonek na jakiś elegancki gong. Taki ding-dong-song. Zwiastujący przybycie gości. Dobrze ubranych i wyperfumowanych. Ale niestety ani takiego dzwonka, ani gości z wyższej półki – co to zawsze przychodzą w porę i z bukietem kwiatów dla gospodyni – nie zdołała się dorobić. Zerknęła na budzik. Siódma trzydzieści. Wstała, zaspana i kompletnie rozbita po tym, co zdarzyło się wczoraj. Poczwała, że ma zdrętwiałe już obie wargi. Może to wylew? Podeszła do drzwi i zerknęła przez wizjer. No jasne, kogóż innego mogła się spodziewać? A niby czasy, gdy funkcjonariusze przychodzili aresztować delikwenta o świcie albo w środku nocy, minęły.

Uchyliła drzwi i obrzuciła obu, znanych jej już, funkcjonariuszy spojrzeniem pełnym niechęci. Nie mieli wesołych min.

– Widzę, że nie nauczyliście się niczego i dalej macie w zwyczaju nachodzić bezbronne kobiety skoro świt – zaczęła zaczepnie.

– Pani Siembida? Pójdzie pani z nami – zaczął ten młodszy dziarsko, bezceremonialnie, ale jakoś tak niezręcznie. – Musi pani uzupełnić zeznania.

Ten drugi milczał, tylko patrzył na nią spode łba. Posepnie. Podejrzliwy jak jasna cholera. Od razu widać. A przecież nic takiego nie zrobiła, żeby o tak wczesnej porze jechać na policję. To nie ona uderzyła Piotrka. Przeciwnie, to on chciał ją udusić i prawie mu się to udało.

– Ale ja muszę się ubrać. I uczesać. – Spojrzała na nich przepraszającym wzrokiem. Nie chciała przecież konfliktu. – Może dadzą mi panowie piętnaście minut, dobrze? Zaraz będę gotowa. – Starszy kiwnął głową. – Tylko dlaczego przychodzą panowie tak rano? Wystarczyło zadzwonić. Może trochę później. Przecież stawiałabym się na komendzie. No co też panowie? Jestem o coś oskarżona? Podejrzana?

– O nic nie jest pani oskarżona póki co. Po prostu wydaje nam się, że nie złożyła pani pełnych zeznań, może z powodu szoku. Bo wczoraj była pani w szoku, prawda? A poza tym pojawiły się nowe okoliczności i mamy zeznania dodatkowego świadka. Bardzo ważne zeznania – cały czas mówił ten młodszy. Miał takie śmieszne nazwisko: Bałdzioch czy Bodzioch. Wczoraj je pamiętała, ale dziś już jej się myliło. Tak czy siak – nie bała się go. Za to ten starszy wyglądał groźnie. Niewiele mówił, tylko patrzył na nią takim nieprzyjaznym, przenikliwym wzrokiem.

– Byłam, byłam w szoku... I dalej jestem – powtarzała, jakby chciała się usprawiedliwić. – To ja może się ubiorę.

Starszy gliniarz ponownie skinął głową, ale widać było, że jest bardzo niezadowolony i najchętniej zgarnąłby ją tak, jak stała, w podomce. Na szczęście już zdążyła zamknąć drzwi łazienki. Mogła teraz zrobić wszystko. Nawet wyskoczyć przez okno. To łazienkowe było wprawdzie wąziutkie, ale mogła spróbować. Gdyby tylko chciała. Ale przecież nie miała takiego zamiaru. Zwłaszcza teraz, gdy znów była wolna. Dzięki niemu. I dlatego zamierzała go kryć. Udawać, że nic nie wie. Jak długo się da. On tu już nie wróci. Pewnie uciekł do Holandii albo jeszcze dalej, do tych swoich Holenderskich Indii Wschodnich. Bo przecież zawsze był stamtąd, a nie stąd. I tak naprawdę nie wiadomo, co tu robił. Może był szpiegiem, jakimś agentem specjalnych służb? Tak od początku przeczuwała. Te jego koszule. I czarne garnitury. No i laska. Dziwny był. Jak ze snu zupełnie. Ale to był jej najlepszy sen. Więc będzie go bronić. Żeby nie wiem co.

Gdy wsiadali do policyjnej kii, zaparkowanej przed kamienicą, sąsiedzi stali z nosami przyklejonymi do szyb. Mimo wczesnej pory wszyscy już byli na nogach. Bo wreszcie coś się działo. W tym nudnym domu, na skraju miasta, działy się rzeczy dziwne i tajemnicze. Ciekawsze niż w telewizji. Sąsiadkę zabrała policja. Aresztowali ją? Powinni. A jakże! Za całokształt. A przede wszystkim za to, że się puszczała z tym dziwnym typem w czarnym garniturze. Pewnie jej płacił. Albo ona jemu! Z takimi popaprańcami to nigdy nie wiadomo. Saturnin Bućko chichotał na wspomnienie wszystkiego, co ostatnio się tu wydarzyło. Co zdołał podsłuchać. I sobie wyobrazić. Jego pies, nie zważając na okoliczności, domagał się spaceru.

– Zaraz, Ir, piesku, pójdziemy na spacer. Wszystko będzie dobrze.

Gdy usiadła na bardzo twardym i niewygodnym krześle w pokoju przesłuchań, poczuła pragnienie. I silne mdłości.

– Poproszę o szklankę wody – powiedziała.

Podejrzliwy policjant z siwymi włosami skinął na młodszego kolegę, żeby tamten podał Weronice coś do picia. Wzięła szklanke i przechyliła łapczywie. Liczyła na to, że mdłości ustąpią.

– Pani Weronika Siembida? – nie wiedziała, który już raz pytano ją o nazwisko.

– Nazywam się Mossakowska. Przecież mówiłam panom, jak się nazywam.

– Ale w dowodzie ma pani inaczej – skwitował młodszy z funkcjonariuszy. Nie odpowiedziała. Postanowiła przecież, że nic im nie powie. – Proszę opisać, jak to się stało.

Znowu głupie pytanie. A tamten drugi nic. Ani słowa nie powiedział. Tylko słuchał.

– Ale co konkretnie? Przecież wczoraj powiedziałam wszystko, co wiem na temat tego... zajścia.

– Wczoraj to było wczoraj. A dziś są nowe okoliczności i dlatego proszę opowiedzieć, jak doszło do zabójstwa pani syna, Piotra Siembidy?

– Zabójstwa? To on nie żyje?

– Tak jest. Pani syn nie żyje. Nie wiedziała pani o tym?

– Poproszę jeszcze o szklanke wody... – Weronikę замуrowało. Teraz naprawdę była wolna. Tylko co będzie? Co z nim? Przecież za zabójstwo może trafić do więzienia. Piła powoli. Łyk za łykiem. Teraz najważniejsze było nawodnić się i nic im nie zdradzić. Nie dać się podejść temu starszemu. – To on mnie chciał zabić – zaczęła. – Udusić. Rozumie pan? Przecież mówiłam wczoraj.

– Zrobimy obdukcję. To się okaże.

Wzruszyła ramionami. Ślady palców Piotra na jej szyi powoli robiły się sine, potem żółkną. Nie miała czego się obawiać.

– Mówiła pani, że nie zna mężczyzny, który to zrobił. Czy podtrzymuje pani to zeznanie? – to było pierwsze pytanie, które zadał starszy policjant. Sytuacja stawała się poważna.

– Bo nie zdążyłam mu się przyjrzeć. Poza tym mam astygmatyzm i jestem krótkowzroczna, pan rozumie. To wszystko bardzo szybko się potoczyło.

– Ale ja pytam, czy go pani zna. Czy to jest pani znajomy?

Weronika przez chwilę milczała. Nie chciała kłamać, a prawdy nie mogła powiedzieć.

– Byłam w szoku – powtórzyła.

– Mamy zeznania pani sąsiada – powiedział policjant. – Bardzo ciekawe zeznania. Wiele wnoszą do sprawy.

– Jakiego znowu sąsiada?

– Może wreszcie przestanie pani się wygłupiać i zacznie zeznawać? To jest sprawa o zabójstwo, radzę to wziąć pod uwagę – warknął funkcjonariusz, wyraźnie zirytowany. Spojrzał na Weronikę bardzo nieprzyjaźnie. Wręcz z pogardą.

– Ale ja nic nie wiem...

– To może sobie pani przypomni w areszcie – tym razem zaatakował młodszy, i to ostro.

– Ale co mam sobie przypomnieć?

– Zacznijmy od mężczyzny, który mieszka naprzeciwko pani.

– Drzwi w drzwi mieszkacie – dorzucił Bodzioch. – I odwiedzacie się dość często. On panią odwiedza znaczy się. – Spojrzał na Weronikę.

– Powiem krótko – rzucił starszy. – Podejrzewamy, że to pani sąsiad zabił pani syna. Pani kochanek. I że morderstwo było ukartowane. Chciała pani pozbyć się syna, żeby móc rozporządzać całością spadku po zmarłym mężu.

– Ale ja nic nie widziałam... – jęknęła Weronika bezradnie.

– Potwierdza pani jednak, że łączyły ją intymne relacje z sąsiadem z naprzeciwka? – starszy policjant był nieubłagany.

– Ja mu tylko koszule prasowałam, to wszystko. Poza tym on już dawno stąd wyjechał. To chyba

obcokrajowiec. Nie mógł więc mieć nic wspólnego z tym zajściem. – Weronika szła w zaparte.

– Nasz świadek zeznał co innego. Pani sąsiad odwiedzał panią regularnie i łączyły was intymne relacje. Proszę się do tego ustosunkować! – wrzasnął ten młodszy.

– Pan Saturnin Bućko, bo pewnie on jest tym waszym świadkiem, ma bujną fantazję. Erotyczną. To pewnie dlatego, że jest stary i samotny. I nie ma co robić. A poza tym mózg mu skleroza zżarła! – Weronika po raz pierwszy podniosła głos.

Uliński postanowił, że na razie zwolnią podejrzaną. Ale będą ją bacznie obserwować. To było ryzykowne, ale nie przypuszczał, żeby ta kobieta zdołała im uciec. A może skontaktuje się z tym swoim gachem i dzięki temu trafią po nitce do kłębka? Wszystkie baby to wiarołomne kłamczuchy. I tylko jedno im w głowie. Zwłaszcza tym po czterdziestce. On też miał problem z kobietą. Bardzo piękną i elegancką. Ale również wiarołomną. Może dlatego tak się zachowała, bo nie poświęcał jej dostatecznie dużo uwagi, bo ciągle nie miał czasu dla niej ze względu na te swoje śledztwa, na szkielety znajdowane w piwnicach i pijackie bójki na ulicach. Tym cholernym truposzom i ich zabójcom poświęcał więcej czasu niż jej. Może to była prawda, ale w końcu nawet jeśli jeszcze nie przysięgała mu przed ołtarzem, to była do czegoś zobowiązana. Do jakiejś elementarnej uczciwości i lojalności wobec mężczyzny, który był w nią zapatrzony, o czym ona dobrze wiedziała.

A w tej konkretnej sprawie wszystko byłoby śmiechu warte, gdyby nie fakt, że ten młody wyciągnął kopyta. Sekcja zwłok ma być jutro albo pojutrze. Uliński wyśle na nią Bodziocha, niech się napatrzy chłopak, pewnie nienawykły do takich widoków. W tym jego Bytowie to raczej spokojnie jest, zabójstw jak na lekarstwo, nie to co tutaj. A on nie będzie musiał oglądać tego obrzydlistwa. Swoją porcję paskudnych widoków już w życiu zaliczył. Więcej mu nie potrzeba.

Wypuścili ją. Czy to jakaś podpucha? Pewnie ktoś ją śledzi. Jakiś cholerny ogon ciągnie się za nią. A raczej rzep. Bo go szukają. Hema szukają. Chcą go złapać. Wiadoma sprawa. Ale nie dorwą go. Za mali są na niego ci gliniarze. Za głupi, zbyt ograniczeni, żeby coś zdziałać w tej materii.

Dopiero teraz dotarło do niej, że jej syn nie żyje. Tak przynajmniej wynikało z tego, co mówili policjanci podczas przesłuchania. A ona nawet na to nie zareagowała. Powinna płakać, rozpaczać po stracie jedynaka jak prawdziwa matka, ale zamiast tego poczuła ulgę. I wyrzuty sumienia. Bo to wszystko jej wina, że go urodziła, że wyszła za męża za Ryśka, że nie skończyła studiów, że nie pracowała i przez całe życie posłusznie odgrywała rolę ofiary. Pozwoliła się wykorzystywać i poniżać.

Gdy szła korytarzem, wydawało się jej, że wszyscy sąsiedzi gapią się na nią przez swoje wizjery. Judasze cholerne. Tylko on jeden się nie gapił. Bo nie było go w mieszkaniu. Ale i tak postanowiła to sprawdzić. Nacisnęła dzwonek. Głucha cisza. Zupełnie tak jak wczoraj.

Wróciła do siebie. Nareszcie w domu. Kąpiel, a potem śniadanie. Dobrze, że po drodze kupiła mleko i bułki. Wyglądała jak upiór. Ta sina broda i sińce na szyi. Oczy podkrążone, włosy rozwiane. Weszła pod prysznic i puściła mocny strumień gorącej wody. Ostatnio jakby przytyła. Ta obrzydliwa oponka na jej brzuchu pojawiła się całkiem niedawno. I piersi jej się powiększyły. To chyba początek menopauzy. Wszystkie staniki zrobiły się za małe. Powinna kupić jakiś nowy. Przynajmniej jeden. Może też zapisze się na siłownię albo zacznie biegać? Pocieszała się, że Magda ma zdecydowanie większą oponkę,

a do tego grube uda. Mogłyby ćwiczyć razem. Dla tych na wózkach też są przecież odpowiednie zestawy ćwiczeń. Rehabilitacyjnych. Na szczęście Weronika wciąż miała raczej smukłe nogi i dość wąskie biodra. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ten odstający brzuszek.

Nie myślała o synu, chociaż powinna. Ale to było zbyt bolesne. Wolała koncentrować się na bieżących sprawach. Te wszystkie egzystencjalne dywagacje i rozpacz po prostu nie miały sensu. I tak trzeba będzie poczekać z pogrzebem. Bo sekcja, bo śledztwo. Bo DNA i inne takie. To wszystko była jej wina – ta nieznośna myśl wracała do niej raz po raz. A największą jej winą było to, że nie uroniła ani jednej łzy, nie pojechała do szpitala, jak wczoraj zadzwonili z informacją, że stan Piotrka jest krytyczny. Każda inna matka by pojechała, a ona wolała spać. A jak dziś dowiedziała się o śmierci swojego jedynaka, to nawet nie westchnęła. Przeciwnie – poczuła ulgę. Jeszcze raz zerknęła w łazienkowe lustro. Siniaki wyglądały coraz gorzej. Chyba naprawdę chciał ją zabić.

Gdy się wycierała, usłyszała, że dzwoni jej komórka. To pewnie Magda. Albo ci cholerni policjanci. Najlepiej, jak wyłączy telefon i pójdzie spać. Ale niestety znów się rozdzwonił. Jakiś nieznan numer. Może ze szpitala.

To była Magda, dzwoniła z telefonu córki. Można się było tego spodziewać. W końcu nie rozmawiały od przedwczoraj. A dręczenie Weroniki przez telefon stanowiło dla Magdy najskuteczniejsze lekarstwo na nudę.

– No co się nie odzywasz? Myślałam, że ktoś cię zamordował albo co – zaczęła bardzo wojowniczym tonem.

– Dużo się nie pomyliłaś. – Weronika stała bosa, zawinięta w ręcznik i jeszcze ociekająca wodą.

– Coś ty! Opowiadaj, bo umieram z ciekawości. – Magda pewnie miała ochotę na jakąś opowieść ze świata harlequinów czy brukowych romansów, a to, co spotkało Weronikę, to przecież zgoła inna historia. Nie tak ekscytująca, ale za to naprawdę bolesna.

– Piotrek nie żyje – uderzyła z grubej rury, bo chyba nie warto było owijać w bawełnę czy kluczyc. Lepiej powiedzieć, co się stało. Może jednak bez szczegółów, bo te z pewnością mogłyby zainteresować policję.

– Jak to? Twój syn zmarł? Tam, w tej Anglii?

– Nie w Anglii, tylko tutaj. A wcześniej o mało mnie nie udusił.

– To ty go zabiłaś? W obronie własnej? – Madzia omal nie spadła z wózka, tak była przejęta.

– To długa historia. Nie na telefon. Opowiem ci, jak się spotkamy.

– Jak chcesz – w głosie Magdy słychać było zawód i irytację. Weronika rozpałała jej ciekawość, a potem się wycofała. Zawsze taka była: zamknięta w sobie i fałszywa. Bo co to za przyjaciółka, która nie chce się zwierzyć? Opowiedzieć o okolicznościach, tragicznej zapewne, śmierci swojego syna.

Weronika wiedziała, że Magda jest wściekła. A niech się złości. Na szczęście raczej tu nie przyjedzie, bo jej mąż, który dysponuje ich rodzinnym autem, póki co jest zbyt zajęty pewną panią. A na taksówkę Magdy nie stać.

Była bardzo zmęczona, chociaż dochodziła dopiero dwunasta w południe. Tyle jednak się wydarzyło od rana, że nie miała siły tego ogarnąć. Na takie kłopoty znała tylko jeden sprawdzony sposób: szklanka mleka i pod kołdrę.

Znała ten głos. Zapytał ją, czy jest u siebie. Nie liczyła na to, że jeszcze go usłyszy. I właściwie nie chciała go usłyszeć. Bo najlepiej dla niego będzie, jak stąd zniknie. Powinna mu powiedzieć, że ją torturowali ci gliniarze. Ale ona nic, ani słowa o tym nie wspomniała. Niech nie wie, że jest źle. Ale

musi wiedzieć, że go szukają. I żeby tu nie wracał. Nigdy. Nie powinien nawet dzwonić. Bo przecież jej telefon na pewno jest na podsłuchu. A Piotrek wcale nie umarł. I pewnie też czaił się na niego pod domem. Bo się zemścić chce. Bućko wszystko mu wygadał. O tym, co robili. I teraz czarny Piotruś, najgorsza ze wszystkich kart, chce zamordować ich oboje. Najpierw ją, a potem jego. Ale, ale – on właśnie powiedział coś do słuchawki. Nie Piotruś, tylko Hem. Powiedział, żeby była o jedenastej przy Złotej czterdzieści cztery.

– Dlaczego tam?

No wiadomo – jego imię to czterdzieści i cztery. Dlatego nigdy się nie przedstawił, bo po prostu nie mógł. Właśnie się zreflektowała, że przecież to nie w Gdańsku, bo tu jest ulica Złotników. A Złota to chyba w Warszawie. Gdzieś koło Złotych Tarasów, o których czytała w gazecie. Trzeba sprawdzić, co jest na tej Złotej czterdzieści cztery. Chciała wiedzieć więcej. Ale on już się rozłączył. Więc teraz pośpi, bo nie ma dokąd się spieszyć. To dopiero za miesiąc, to spotkanie z czterdzieści i cztery. A może coś zje? Musiała jeszcze kupić bilet do Warszawy. Ale nie teraz, chociaż teraz pewnie byłoby taniej. Może jednak nie powinna tam jechać? Policjanci pewnie ją obserwują, śledzą każdy jej krok. Czarny Piotruś też śledzi. I jeśli się z nim spotka, to go złapią. Złota czterdzieści cztery.

Powinna na to spotkanie ubrać się jakoś lepiej. Niestety, wszystkie ciuchy, jakie miała, były z lumpeksu. Zupełnie nie pasowała w nich do faceta w drogim garniturze. Od lat nie kupowała ubrań w normalnych sklepach. Ostatnie nowe rzeczy dla siebie kupiła jeszcze na studiach, za stypendium. Potem już nie miała swoich pieniędzy. Przecież chciała pracować w bibliotece, skończyć studia, ale Rysiek się nie zgodził. Rysiek pewnie też ją śledził. Patrzył na nią swoim argusowym okiem z zaświatów. Ale, ale, trzeba wrócić do tych ubrań, bo jej najlepsze ciuszki nadawały się najwyżej na takie trasy jak na bazarek na Przymorzu i z powrotem. W towarzystwie starej siatki. Na spotkanie przy Złotej czterdzieści cztery weźmie pierwszą z brzegu sukienkę. Błękitną w kropki. Krój niemodny i trochę za krótka, ale chyba i tak najładniejsza. Tak jej się wydawało. Do tego granatowy, bawełniany sweterek. Przynajmniej kolorystycznie wszystko zagra. Ale to na wyjazd do Warszawy, a teraz wystarczy jej codzienna szmizjerka, trochę przyciasna, bo przytyła ostatnio. Jeszcze tylko parę łyków mleka i już będzie gotowa, żeby jechać na Złotą, najlepiej tramwajem z Oliwy do Gdańska, szóstką pojedzie z Wita Stwosza. Gdy zamykała drzwi, ten obrzydliwy staruch wyszedł z mieszkania. Spojrzał na nią, jakby chciał coś powiedzieć. Coś bardzo nieprzyjemnego. Nawet otworzył gębę, ale ona starała się na niego nie patrzeć. Unikała kontaktu wzrokowego. Stary jednak nie odpuścił.

– Ale się porobiło, co?

Szła w kierunku windy. Zaraz, zaraz, tu przecież nie ma windy. Są schody. Ale stary, zamiast schować się w swojej dziupli, podążał za nią.

– Niech lepiej uważa, bo jeszcze w kiciu wyląduje. Policja wczoraj o nią rozpytywała. I musiałem powiedzieć to i owo – staruch ujadął, a jego pies stał w drzwiach i warczał. Nie ma co, okropne sąsiedztwo. Ale Weronika spieszyła się i nie zwracała uwagi na zaczepki. Gdy już była na dole, rozejrzała się, czy ktoś na nią nie czeka. Jakiś ogon. Ale w holu było pusto. Przed domem też nikogo nie zauważyła. Spieszyła się, a pantofle na obcasie uwierały ją. Powinna włożyć płaskie czółenka, ale nie chciała już wracać do domu. Poza tym czatowali na nią staruch i jego paskudny kundel. I jeszcze czarny Piotruś, który wyglądał jak karta do gry i wcale nie przypominał jej syna.

Obudziła się cała spocona. I – o zgrozo – chyba się zsiusiała do łóżka. Nigdy wcześniej jej się to nie przydarzyło, ostatnio jak miała jakieś dwa lata. Zrozumiała, że nikt do niej nie dzwonił ani nie umawiał się na spotkanie w Warszawie przy ulicy Złotej czterdzieści cztery. Już nigdy go nie zobaczy. Ani jego, ani swojego syna. Bo nie zamierzała oglądać Piotrka w trumnie, niech zrobi to Janusz, jej brat. Trzeba do niego zadzwonić. Ktoś będzie musiał zająć się pogrzebem, bo ona nie ma na to siły. Teraz musiała się

wykopać i poprać. Potem zadzwoni do Janusza.

Nagle zanosła się głośnym płaczem.

– To był tętniak mózgu. Po prostu pękł. To mogło się zdarzyć w każdej chwili.

– A więc zgon nie miał związku z upadkiem?

– Na to pytanie w zasadzie już mogę odpowiedzieć, panie komisarzu. Chociaż potrzebne będą dalsze analizy. Ale już dziś raczej możemy wykluczyć udział osób trzecich w zdarzeniu. Ten chłopak był jak tykająca bomba.

Doktor Kopec była zawiedziona, że Uliński nie przyszedł sam, tylko przysłał tego komisarza Bodziocha. Obraził się jak nic, że nie poszła z nim na kawę. A ona po prostu nie miała czasu. Bo tak w ogóle to nie miała nic przeciwko pójsciu na kawę z Ulińskim. W końcu znali się od lat i oboje byli wolni, więc dlaczego nie?

Bodzioch patrzył wyczekująco na panią patolog. Czekał na jakieś konkrety. Chciałby się dowiedzieć więcej i na pewno, a nie „w zasadzie”. Bo jeśli to był wypadek, a nie działanie osób trzecich, to będzie można umorzyć śledztwo i dać spokój tej nieszczęsnej Siembidzie. Ostatnio był bardzo nieprzychylny kobietom. Na Siembidę od rana wygadywał jakieś nedorzeczności. Że dziwka. Zdzira. Że ją zapuszkuje za zabójstwo syna. A tu coś takiego – żadne zabójstwo, tylko tętniak. Wypadek. Nieszczęście.

PALI SIĘ, MOJA PANNO

No co ty powiesz? Jesteś prześladowana przez policję? Och, och! Naprawdę? – Madzia nie mogła się doczekać rewelacji na temat ostatnich dramatycznych wydarzeń, które rozegrały się w pewnej starej, poniemieckiej kamienicy przy ulicy Polanki. Nareszcie coś się działo. Koniec turlania się z kąta w kąt. Życie nabrało tempa.

– Aż tak cię to cieszy? – zdziwiła się Weronika.

– Nie cieszy, ale wydaje mi się ekscytujące! – Madzia niemal wywinęła pirueta na wózku.

– To się ekscytuj. Mnie to jakoś nie bawi.

– To takie romantyczne...

W tym momencie Weronika się rozłączyła. Szkoda. Madzia miała ochotę sobie na niej poużywać. Żeby lepiej się poczuć. Bo życie na wózku nie było przecież łatwe. Zwłaszcza jak się nie miało prawa jazdy. A dzieci nie chciały pomagać. Ani tym bardziej mąż. On miał swoje sprawy. Zawodowe oczywiście. I nie miał czasu na to, żeby swoją Madzię zawieźć tu i tam. Siedziała więc, biedaczka, sama w domu. Ze smartfonem w dłoni. Z książką na kolanach. Ale przecież życie było ciekawsze od książki. Zwłaszcza cudze. Na przykład życie tej nieudacznicy Weroniki, które ostatnio nabrało niebywałych rumieńców. Więc to chyba normalne, że chciała wiedzieć więcej. Każdy by chciał. Czy to takie dziwne? I czy od razu trzeba się obrażać o byle co?

Madzia pojechała do kuchni. Wstawił zupę. Krupnik. Będzie na dwa dni. Dużo kaszy, jeszcze więcej chleba. Jakoś się dzieciarnia zapcha i stary też. Wiecznie narzekali, że są głodni. Ale przecież z pustego nawet Madzia, chociaż Barszcz z domu, nie należy. A pod koniec miesiąca po prostu brakowało forsy na jedzenie. I to nie była niczyja wina. A już na pewno nie Madzi. Raczej to jej nogi były wszystkiemu winne. Bo gdyby nie była uziemioną na wózku inwalidką, to jej rodzina z całą pewnością miałaby co jeść. Nawet pod koniec miesiąca.

Źle się czuła. Już od kilku dni miała mdłości. Chyba z tych nerwów. A może jednak to jakaś niestrawność? Wrzody żołądka. Też z nerwów oczywiście. Powinna pójść do lekarza. Ale nie miała siły. Musiała teraz odpocząć. Przed pogrzebem Piotrka. Jej brat miał przyjechać z Ciechanowa. Rodzice i pozostali krewni powiedzieli, że nie przyjadą, bo Piotrek do dziadków też nie lubił jeździć. Bo za biedni. Prezentów porządnych nie dawali. Ani pieniędzy. Więc Piotrunio nie interesował się rodziną matki, głupiej wieśniary, jak o niej mówił zupełnie bez skrępowania. Co innego babcia Halina – matka ojca. Ta zawsze ukochanego wnusia zasypywała drogimi prezentami. Słodyczkami. A nawet pieniędzmi.

Ale babcia Halina nie przyjedzie na pogrzeb jedyne go wnuka, bo sama już od jakiegoś czasu nie żyje. Więc oprócz brata Weroniki na pogrzeb Piotrka nie przyjdzie nikt z rodziny. Jakie życie, taki pogrzeb. Trzeba będzie i przez to przejść. Musiała nabrać sił przed jutrzejszym dniem. Pospać. Bo jeść i tak nie mogła. Wszystko jej szkodziło. Musiała jeszcze wybrać jakąś sukienkę. Czarną oczywiście. Miała tylko dwie bardzo małe czarne. Obie zdecydowanie za krótkie, w dodatku wełniane i z długim rękawem. Chyba niezbyt odpowiednie. Był już koniec września, ale pogoda wciąż jeszcze niemal letnia. Może warto się przejść do jakiegoś lumpeksu po kolejną starą nową małą czarną? Bardziej odpowiednią na letnią pogodę. Ale czy wygląd jest taki ważny? Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie? Powinna rozpaczać po śmierci jedyne go syna. Ale ona czuła tylko pustkę. Pustkę i mdłości. Nie miała już nikogo. Ale to nie śmierć Piotrka ją bolała. Ciągłe jeszcze spoglądała przez judasza na drzwi naprzeciwko. I miała nadzieję, że go zobaczy albo usłyszy znajomy szcęk klucza w zamku. I jego kroki. To jego najbardziej jej brakowało. A nie syna. Syn był jej największą porażką i nieszczęściem. Gdy wreszcie go pochowa, będzie mogła uruchomić cudowny mechanizm zapomnienia, a właściwie wypierania wszystkich złych wspomnień. Po pogrzebie wyrzuci z pamięci czarnego Piotrusia. Nie będzie już musiała o nim myśleć. I zastanawiać się, czy to wszystko stało się z jej winy, czy jednak zadziało jakieś fatum, zły los. Dobrze, że nie powiedziała Madzi o pogrzebie. Bo pewnie przyjechałaby z mężem i z dziećmi. Pogapić się i poczuć się lepiej. W końcu cudze nieszczęście to najlepszy środek znieczulający.

Położyła się w ubraniu. Tylko na minutkę. Żeby się zdrzemnąć. Stracić świadomość chociaż na kilka chwil. Nie słyszeć. Nie myśleć. Nie czuć.

Już drugi dzień koczował w starym mieszkaniu, którego nie znosił, bo kojarzyło mu się z ojcem. I czytał wszystko, co napisali na temat incydentu z tym gówniarzem. Przecież nawet go nie dotknął. No, może raz. Czubkiem laski. A ten po prostu się poślizgnął i upadł. Nic takiego się nie stało. Ale napisali, że on nie żyje. Więc sprawa jest kryminalna. Już się z tego nie wywinie. Mógł tylko uciec. Szkoda, że zostawił samochód u Renske, ale nalegała, żeby wracał samolotem, a auto zostawił u niej, to się da do przeglądu, bo taki stary gruchot. Powinien się na nią obrazić za tego gruchota, ale jej darował. Miał słabość do starszych od siebie kobiet. Ciepłych wdówek. Pewnie szukał w nich matki. Zresztą nieważne, czego szukał. Nikomu nic do tego. Teraz będzie musiał jechać do Eindhoven jakimś autobusem. Ze dwadzieścia godzin. Koszmar. Samolotem byłoby znacznie szybciej, ale w jego sytuacji lepiej unikać kontroli. Żadnego listu gończego za nim nie puścili, ale jak to mówią, *tisze jemiesz*. Chciał tylko zabrać stamtąd swoje rzeczy i zobaczyć, jak ona się czuje. Strasznie ją zmasakrował ten bydlak. Czasem jednak to wielkie szczęście nie mieć dzieci. Postanowił, że pójdzie na Polanki nocą, jak będzie całkiem ciemno. Jakoś się prześlizgnie. No, chyba że policja obserwuje dom. Ale ryzyk-fizyk. Trzeba być dobrej myśli. Jego garnitury były sporo warte. Sprzęt też. Poza tym chciał się wreszcie wykąpać, bo u ojca to nawet ciepłej wody nie było. Bojler popsuty. Stary, zamiast wezwać technika, żeby to naprawił, wyciągnął kopyta. Zawsze umiał sprytnie uciec przed kłopotami, zostawiając je na głowie innym.

Na szczęście chyba nikt nie obserwował domu. Mieszkanie też, o dziwo, nie było zaplombowane. To znaczy, że policja raczej tam nie wchodziła. Wszędzie cisza, spokój. Nawet pies sąsiada nie warczał, gdy przechodził obok drzwi. Przez chwilę zawahał się, czy do niej nie zapukać, ale pewnie w środku nocy spała. Nie chciał jej budzić. Kąpiel też przełożył na rano, jak już inni się obudzą. Te staruszki z parteru zwykle zaczynały dzień o piątej, jak kury. Teraz nie chciał robić hałasu. Taka tu cisza panowała, że słyszał bicie własnego serca.

W dodatku ten jego junkers był całkiem do niczego. Po odkręceniu ciepłej wody gaz nie zapalał się od

razu, ale leciał, dopiero po chwili następował zapłon, a właściwie wybuch. I to wcale nie było jego zaniedbanie, bo za jego pobytu na Polankach piecyk dwukrotnie sprawdził facet z serwisu i nie miał zastrzeżeń. Administrator przysłał kominiarzy, ale oni też orzekli, że wszystko jest git, tylko okna trzeba rozszczelnić, żeby cug był. Kłopoty z piecykiem pewnie wynikały z tego, że tak często wyjeżdżał i mieszkanie stało puste, okna pozamykane. Zwyczajnie brakowało powietrza. W każdym razie z kąpielą postanowił poczekać do rana. I rozszczelnić okna, żeby cug był.

Obudził ją huk. Chwilę później usłyszała wrzask sąsiada zza ściany:

– Pali się, pali się!

Myślała, że to znowu jej się śni. To, że się dusi, że jest gorąco i nic nie widać. Rzeczywiście za oknem było ciemno, a ona kaszłała. Chyba z nerwów, bo żadnego dymu nie było. Tylko mdliło ją coraz bardziej. A na korytarzu krzyk, gwałt, rwetes. Pies ujadał, Saturnin Bućko wydierał się histerycznie. Nie wiedziała, co robić. Usiadła na tapczanie. I wtedy usłyszała kolejny huk. Do niczego niepodobny. Chyba jakiś następny wybuch. Ale to nie był wybuch, tylko ktoś wbiegł do jej mieszkania, wyważywszy uprzednio drzwi. Te jej wspaniałe, rzekomo antywłamaniowe, niezdołyte wrota, kupione w cenie promocyjnej w Castoramie, okazały się niewiele warte. Jakiś olbrzym wyłamał je bez trudu. Może to jednak sen? Wyjątkowo plastyczny. Przecież takie rzeczy nie mogły się dziać naprawdę...

Ale jednak się działy. Dwa wozy strażackie stały przed kamienicą. Bo piecyk wywaliło w mieszkaniu na pierwszym piętrze. I zaczęło się hajcować. Ogień buchał przez niewielkie okienko w łazience. A dym widać było z daleka. Zleciało się sporo gapiów. Do tego pogotowie. I policja oczywiście. Znowu ci sami funkcjonariusze.

Gosia przybiegła na Polanki, wiedziona dziennikarską ciekawością. Wszak ta stara kamienica znajdowała się tuż obok jej domu. Z tego da się zrobić całkiem niezły materiał do gazety. Ludzie lubią takie historie. Wzrośnie klikalność. Swoją drogą, to ta sama kamienica, w której w wyniku bójki zmarł młody mężczyzna. Chociaż podobno w świetle ustaleń policyjnych patologów chłopak umarł z przyczyn naturalnych. Ale jednak jakaś bójka była. O kobietę podobno poszło. Może to dalszy ciąg tej barwnej historii? Szekspirowskiej niemal. Ludzie lubią takie klimaty! Gosia też lubiła. I miała nadzieję, że z tego, co tu się działo, sporo da się wycisnąć. Znowu miała temat i to było najważniejsze. Trzeba jeszcze wymyślić jakiś zgrabny tytułik. *Pali się, moja panno* – nieźle. W młodości przepadała za czeskim kinem i tamtejszym humorem. Będzie z tego niezły kawałek krwistego mięska!

Na miejscu pojawił się podkomisarz Bodzioch, jej dobry znajomy. Tego tylko brakowało! Nie było jej to za bardzo na rękę, bo zamierzała ograniczyć ich kontakty do sytuacji czysto służbowych. Ale z drugiej strony może da się od niego coś wyciągnąć? Jakiś smakowity, jadowity szczegół. Tajemnicę śledztwa.

W końcu się do niego dopchała.

– I co tu się stało, panie komisarzu? – Uśmiechnęła się do Bodziocha najśłodziej, jak tylko umiała.

– Nie mam teraz czasu na rozmowy. Jestem na służbie. Nie widzisz? – Nawet nie spojrzał jej w oczy.

Zgrywał ważniaka, żaloszny krety. Ale byli jeszcze lokatorzy kamienicy. Z nimi Gosia mogła rozmawiać do woli. Z pogorzalcami. Tak o nich napisze – pogorzalcy. Słowa obrazujące cudze nieszczęście przyciągają uwagę czytelników. O, na przykład ten starszy pan z pieskiem na rękach.

Kurczowo trzymał pupila. A zwierzak piszczał. Wyraźnie wystraszony. Od tego staruszka z pewnością czegoś się dowie. Na temat wypadku. I nie tylko.

– Zabrali ją! Pani rozumie? Nieprzytomna była. Moja sąsiadka, całkiem młoda kobita. I jeszcze jedną osobę zabrali, ale nie powiem, kto to był. Nie rozpoznałem... Bo tam wybuchł gaz. W tym mieszkaniu przeklętym. A ja mówiłem, uprzedzałem, nawet do administracji chodziłem i policji też meldowałem o tym feralnym mieszkaniu. Ale nikt mnie nie chciał słuchać. Myśmy z Irem ledwo z życiem uszli...

Gosia była bardzo zainteresowana opowieścią staruszka, ale pracę raz po raz przerywał jej dźwięk komórki. Agnieszka uparła się, żeby dzwonić akurat teraz. Niesamodzielną dziewczuchą, ciągle czegoś chce i głowę zawraca z byle powodu.

Tym razem wybrał się do Gdańska promem. Spieszył się. O mało co nie wpadł w poślizg, zjeżdżając z estakady Kwiatkowskiego w Gdyni. Źle to rozegrał. Ale inaczej nie umiał. Nie znosił tych babskich fochów. A Anna była w tym specjalistką. I to wysokiej klasy. Nie umiał z nią rozmawiać. I bał się tego, co zastanie. Zastanawiał się, jak ona teraz wygląda i co z jej ciążą. Musiał tam być jak najszybciej. Czuł ucisk w żołądku. To oznaka zdenerwowania. Na zewnątrz był spokojny. Niewzruszony. Taki już był. Zrównoważony i zamknięty w sobie. Zawsze umiał się odnaleźć. W każdej sytuacji. A tu po prostu zawiódł. Jeśli ona odejdzie, tak na dobre, zostaną mu tylko wyrzuty sumienia. Powinien jeszcze kupić wielki bukiet kwiatów i jak najszybciej dojechać na miejsce. Dobrze, że ruch był niewielki, ze względu na wczesną porę, a do tego wolny dzień, sobota. Jej adres dostał od Marianny Baumann. Siostra Anki była nieoceniona, no i do tego babka z klasą. Trzeba przyznać, że znacznie łatwiej było się z nią porozumieć niż z Anną. Całkiem miła kobieta z tej „szwagierki”, jak nazywał ją w myślach. Nie była chyba taka uparta i zacięta jak Anna. Ani tak małomówna. Marianna mogła mówić za nich dwoje, oczywiście gdyby byli razem. Wysoka, postawna, elegancka. Reprezentacyjna. Anna z kolei był dzika, chimeryczna, wiecznie przed czymś lub przed kimś uciekająca. Jakaś taka zapętlona w sobie, pełna sprzeczności i kompleksów. Po prostu zupełnie taka jak on. W dodatku oboje słabo radzili sobie z okazywaniem uczuć. Miał jednak nadzieję, że gdy go zobaczy z tym bukietem, pełnego skruchy, to zmięknie przynajmniej trochę. I od razu będzie lepiej.

Gdy dojeżdżał pod jej dom, dostrzegł zbiegowisko. Kilkanaście osób. Może nawet ze dwadzieścia parę, licząc z policjantami. I dwa wozy strażackie. Cholera, to na pewno nie ta kamienica. Przecież nie mogło jej się stać coś złego. Dzwoniła do niego dwa dni temu, no, może trzy, i chyba wszystko było z nią dobrze. Co prawda mówiła takim słabym głosem... Mógł przyjechać wcześniej. Nie, nie mógł. Bo kończył ważny projekt. Przecież praca była koniecznością. Nie chodził tam dla przyjemności, w każdym razie nie tylko dlatego, że bardzo lubił swoją pracę. Tak czy inaczej, nie mógł wcześniej przyjechać. Koniec, kropka.

Wysiadł z samochodu. Powoli podszedł do wianuszka gapiów zebranych przed kamienicą. Wśród nich rozpoznał charakterystyczną sylwetkę Wieśka Formeli.

Wiesiek ledwie wyrwał się z domu. Bo Daga jakaś histeryczna się zrobiła. I ciągle tylko jadła i jadła. A rano rzygała. Wszędzie tymi jej rzygowinami śmierdziało. Na dodatek w domu panował straszny bałagan. Trzeba będzie kogoś wynająć do sprzątnięcia, i to szybko. Bo nie mógł już znieść walających się

wszędzie Dagusiowych majtek i brudnych legginsów. Poza tym czuł do niej wstręt. Do tego jej rozdętego brzucha i olbrzymich piersi. Lubił obfite kobiece kształty, ale co za dużo, to niezdrowo. Nie podniecała go już ani trochę. Nie mógł sobie nawet przypomnieć, co mu się w niej podobało. Chyba nic. Po prostu zajęła miejsce Gośki Herbst. Bo nikt inny mu się nie nawinał. Ale to nie znaczy, że mogłaby awansować do roli żony, bo ta należała do jego ukochanej Anulki. Już nie mógł się doczekać rozwiązania. To jeszcze dwa miesiące, właściwie sześć tygodni. Tak twierdził lekarz. Ciężko będzie wytrzymać z Dagusią, oj, ciężko. A potem może być jeszcze gorzej – z wrzeszczącym, malutkim ludzikiem. Jego córką podobno. Nie do końca wierzył, że to jego dziecko. Miał pięćdziesiąt cztery lata, za sobą dwa bezdzietne związki i wiele krótszych lub dłuższych romansów, ale dzieci nigdy z tego nie było. Nawet jego matka, chociaż nie mówiła tego głośno, sądziła, że Wiesiek jest po prostu bezpłodny. On sam ciągle miał opory, żeby się zbadać. Ale teraz zbada wszystko dokładnie. Bo nie wierzył w to swoje dość późne ojcostwo.

Jak tylko usłyszał wybuch, a potem wyjące syreny straży pożarnej i karetek pogotowia, chciał wybiec z domu. Nie spał mimo wczesnej pory. Ostatnio cierpiał na bezsenność. Wiedział, że musi sprawdzić, co się stało, ponieważ niedaleko mieszkała Anulka, a właśnie z tamtych okolic dochodziły te przerażające dźwięki, ale Daga lamentowała, że się boi. Głupia histeryczka. Dlatego przyszedł, a właściwie przybiegł tu cały spocony, jak już było po wszystkim. Właśnie odjeżdżały dwie karetki. Obie na sygnale. Mógł tylko obserwować dym wydobywający się z okna mieszkania na pierwszym piętrze. Nie był pewien, czy właśnie tam mieszkała Anulka, czy może jednak w mieszkaniu obok.

I wtedy zobaczył Gośkę. Trzeba przyznać, że zmieniła się na korzyść. Wyraźnie zeszczupłała. I nawet te jej sztucznie powiększone piersi już mu się podobały. Włosy też miała fajnie zrobione. A do tego po swojemu kręciła tyłkiem, tak jak lubił. Po rozstaniu widywali się często. Ale tylko przelotnie. W końcu byli prawie sąsiadami i nie dało się tego uniknąć. Więc od czasu do czasu zdarzało się im zamienić kilka słów. Tak kurtuazyjnie. Teraz też chciałby z nią porozmawiać. Może dowiedzieć się czegoś o Anulce. Bo Gośka, jako dziennikarka, mogła wiedzieć więcej niż reszta gapiów. Z policją wolał nie gadać. Podświadomy lęk przed „panem władzą” to pamiątka jeszcze z czasów Peerelu.

– Co tu się stało? – od razu przeszedł do rzeczy.

– Nie wiem. Chyba są ofiary tego wybuchu, przynajmniej jedna. Ale niczego nie mogę się dowiedzieć. Psy nie chcą informować prasy. A co u ciebie?

– Nic ciekawego. Coraz gorzej, prawdę mówiąc. – Wiesiek miał ochotę komuś się wypłakać. I napić się przy okazji. Gośka zawsze miała jakąś butelczynę w chałupie, a Daga, gdy tylko coś kupił, wylewała do zlewu, że niby w trzeźwości trzeba żyć. Z jego matką tak jakoś się spiknęły, odnalazły wspólny, babi język, a matka to do jakiegoś kościelnego bractwa trzeźwości należała. Może wyciągnie Gośkę na kielicha. Chociaż było jeszcze rano, za wcześnie, żeby pić. Ale przecież przy sobocie, po robocie mógł sobie strzelić jakąś lufkę albo nawet dwie. Co mu szkodzi?

– To może byś do mnie wpadł? I tak niczego się tu nie dowiem. – Gosia chyba czytała w jego myślach. Nie po raz pierwszy zresztą. W końcu znali się od czasów liceum.

Tak naprawdę chodziło jej o to, żeby Bodzioch widział, że odchodzi z facetem. I to z całkiem postawnym facetem. I żeby Sergiusz też zobaczył. Dwie pieczenie na jednym ruszcie. Gosia bardzo chciała się zemścić na obu panach i właśnie nadarzyła się po temu okazja. Postanowiła należycie ją wykorzystać.

– To ty tu zostań, spróbuj czegoś się dowiedzieć, a ja spadam. Sam rozumiesz – rzuciła na pożegnanie do oniemiałego Sergiusza, uśmiechając się łobuzersko. – A artykułik zatytułujemy *Pali się, moja panno*. Fajnie, prawda?

– Chyba raczej *Wiele hałasu o nic* – syknął ze złością Sergiusz i wymamrotał pod nosem: – Bładź. – Jego matka właśnie tak by ją nazwała. Po rusku i dosadnie. A on w końcu był synem Rosjanki. Mama

Sergiusza nosiła piękne, rosyjskie nazwisko Dołgopółow, które wszystkich tu śmieszyło. Jego też. Ale dosadne rosyjskie przekleństwa czasem najlepiej opisywały różne dziwne sytuacje, a jeszcze lepiej ludzi.

Nie bacząc na kwaśną minę Sergiusza i na to, jak brzydko ją nazwał, Gosia pocałowała go w policzek. Po przyjacielsku, ale nie bez erotyzmu, zostawiając na jego policzku ślad różowej szminki.

Wtedy zdarzyło się coś, czego ani Sergiusz, ani Gosia zupełnie się nie spodziewali. Obok nich zatrzymała się taksówka. Wysiadł z niej kierowca i wyciągnął z bagażnika wózek inwalidzki. Potem usadowił na nim pasażerkę taksówki. To była żona Sergiusza. Mówił o niej Magdalena. Magdalena to, Magdalena tamto. Gosia zawsze się wściekała, gdy o niej wspominał. Co ją obchodziła jakaś obca baba? W dodatku na wózku inwalidzkim? I chora z zazdrości. Od samego początku Sergiusz zapowiedział Gosi, że się nie rozwiedzie – ani dla niej, ani dla żadnej innej. Bo rodzina to świętość. A jego żona jest wspaniałą kobietą. To dlaczego ją zdradzał?

Magdalena, chociaż poruszała się na wózku, była raczej zadbana. Gosia знаła ją z fotografii, którą Sergiusz nosił w portfelu. Zdjęcie zrobiono chyba dość dawno, ale Magdalena nie zmieniła się aż tak bardzo. Wyglądała na panią po czterdziestce. Włosy miała blond, ostrzyżone na polkę, z grzywką. Ta nieco dziecinna fryzura z pewnością ujmowała jej lat. Buzię miała zaokrągloną, piersi całkiem spore. Chyba jeszcze nieobwisłe albo nosiła dobry stanik, pomyślała Gosia, dla której ten atrybut damskiej urody liczył się bardziej niż inne. Sama dopiero niedawno, po operacji powiększenia biustu, przestała cierpieć z powodu bycia „płaską deską”. Natomiast Magdalena Możdżonek *de domo* Barszcz nie musiała martwić się tym, że miała małe piersi. No ale pozostawała cała reszta. Bezwładna reszta. Podobno kilka lat temu jakiś tir na nich najechał. Jechali fiatem punto, siódemką, do matki Magdy, do Ostródy. Ledwo uszła z życiem, a Sergiusz, który prowadził auto, wyszedł z wypadku bez szwanku. Ale co tu teraz robi? Czyżby śledziła swojego męża?

– A więc to tak! – Madzia podjechała do oniemiałego Sergiusza. – Więc to jest ta twoja dupa, z którą się szlajasz, zamiast wracać do domu po pracy! – Wiedziała, że to banalne, nie na miejscu i przecież w ogóle nie po to tu przyjechała, ale po prostu nie wytrzymała, jak zobaczyła tych dwoje razem. Wprawdzie Sergiusz od pewnego czasu nocował wyłącznie w domu, ale wciąż nie byli tak naprawdę razem, żyli osobno. Najchętniej obiłaby tę damulkę, tę panią dziennikarkę z bożej łaski, jakimś kijem. Ale niestety nie miała przy sobie nic takiego. Bezczelne babsko z wielkim dupskiem. Zabrała jej męża. Wiedziała, że to ona. Że razem pracują w redakcji brukowca, chociaż Sergiusz powinien wykonywać zupełnie inną pracę. Był taki utalentowany, a wylądował w pospolitym, grząskim bagnie, u boku paniusi, która swoje napisane nieporadnym językiem wycpiny podpisywała „Gosia Herbst”. Dobrze sobie! Jaka z niej Gosia? To zdrobnienie w sam raz dla pięcioletniej dziewczynki, a nie dla baby po pięćdziesiątce!

Ludzie zaczęli się na nich gapić, sytuacja zrobiła się bardzo niezręczna.

– No nie denerwuj się, Magdaleno – Sergiusz próbował uspokoić żonę. – Przecież ja tu jestem służbowo, ta pani też. Proszę, porozmawiajmy o tym w domu, bo to nie czas i nie miejsce na takie sceny. – Mówił niemal błagalnym tonem, ale Madzia nie zamierzała odpuścić.

– A pani to chyba się specjalizuje w kradzieżach cudzych mężów – zwróciła się do Gosi. – I nie wstyd pani tak się całować z żonatym mężczyzną? I to publicznie! W obliczu takiego nieszczęścia! – darła się bez opamiętania. Nie spodziewała się, że zastanie tu Sergiusza. A tym bardziej tę jego lafiryndę. Przyjechała, bo usłyszała w radiu, że był wypadek, wybuch gazu. Ponieważ podali adres, od razu skojarzyła, że to w kamienicy, w której mieszka Weronika, a że od dwóch dni nie mogła się do niej dodzwonić, pomyślała, że przyjaciółka zrobiła jakieś głupstwo. Może jednak załamała się nerwowo po tragicznej śmierci syna i odkręciła gaz... Takie rzeczy przecież się zdarzają.

Gosia miała już dość tej niepotrzebnej sceny. Gdyby odeszła stąd kilka minut wcześniej, nic by się nie stało. Ale niestety ta rozhisteryzowana baba musiała urządzić cyrk. Jedyne sposoby na takie panie to

udawać, że nic się nie stało, że jej to nie dotyczy. Jak ktoś ma dziurę w rozumie, to jego kłopot. Ona – Gosia Herbst – czuła się ze sobą dobrze, nawet bardzo dobrze, więc postanowiła jak najszybciej opuścić to zbiegowisko. Oczywiście razem z Wieśkiem. Może dawna namiętność wróci, kto wie? Wszak wciąż była spragniona pieśczot. Czegoś, co pozwoliłoby jej oderwać się od tych przykrych spraw.

Sven przysłuchiwał się temu wszystkiemu z uwagą. Na szczęście Formela chyba go nie poznał. Albo raczej udawał, że go nie poznaje. Nie rozumiał, co tu się dzieje, irytował go jazgot kobiety na wózku, która nie wiadomo, co tu robiła. On był tu tylko z powodu Anny i nic więcej go nie interesowało.

I znowu siedzieli u niej w domu, jak dawniej. Wiesiek rozwalił się na wielkiej skórzanej kanapie w salonie. Chociaż nie było jeszcze południa, opróżniał drugą szklaneczkę whisky z lodem, już nieźle zawiany, bo rano nie zjadł śniadania. Spojrzał na Gosię niezbyt już przytomnym wzrokiem i nieco bełkotliwie wyszeptał:

– Ślicznie wyglądasz, wiesz?

– A ty jesteś podejrzanie miły. Czyżbyś miał do mnie jakiś interes?

Gosia intensywnie myślała, czy między nimi mogłoby być jeszcze tak jak dawniej. W końcu przez cały rok marzyła o takiej właśnie sytuacji. Niby lubiła Sergiusza, niby z nim była, zapewniała go o swoich uczuciach, ale to nie było to samo, co z Wieśkiem. Prawda była taka, że przez cały rok oszukiwała i siebie, i Sergiusza. A Sergiusz oszukiwał swoją żonę. Ale to o Wieśku wtedy marzyła. Dlatego że był niedostępny. To on ją rzucił. To on powiedział, że woli swoją żonę. Akurat! Nie dość, że chucherko, to na dodatek chore. Gosia znała swoje zalety. A Wiesiek najwyraźniej miał ochotę odświeżyć sobie pamięć. Tylko teraz Gosia chyba nie była w nastroju. A może po prostu przeszedł jej cały ten afekt do Wieśka? To podobno się zdarza – kiedy marzenia się spełniają, nie poznajemy ich. Teraz nie mogła sobie przypomnieć, co ją tak naprawdę w Wieśku pociągało. Jego pękaty brzuch? A może te kędziorki rudawe, na głowie i nie tylko. No i oczywiście różowa cera prosiaczka. Niech wypije łyśkacza do dna, a potem wraca do siebie. Do tej panny, która o dziwo z nim zaciążyła. Gosię trochę zaskoczyło, że nowa laseczka Formeli spodziewa się dzidziusia. Ona też uważała, że Wiesiek jest bezpłodny.

Mimo wszystko była rada z sukcesu, jaki udało jej się odnieść. Waldek Bodzioch, ten niewdzięczny policjant, który najwyraźniej lubił wykorzystywać samotne kobiety, miał za swoje. Był zazdrosny. Widziała jego minę, kiedy odchodziła z Wieśkiem. Sergiusz też spoglądał na nią ze zdumieniem. Ale on miał całkiem inne problemy i pewnie nie było mu łatwo okiełznać tę rozjuszoną kobietę. W każdym razie cel został osiągnięty. I Formela nie był jej już do niczego potrzebny. Poza tym powinna jak najszybciej skontaktować się z Agnieszką. Bo z jej córką naprawdę działo się coś niedobrego. I to ją niepokoiło.

Sven przyglądał się reporterowi, który przeprowadzał wywiady z gapiami zgromadzonymi przed blokiem. Towarzyszyła mu kobieta na wózku, chyba jego żona. Ona też wypytywała gapiów o to, co się tam naprawdę stało. Kto był poszkodowany. Czy jakaś kobieta, czy może jednak mężczyzna?

Nie znał tu nikogo. W każdym razie nie chciał znać. Na szczęście Formela sobie poszedł. Z jakąś babą. Postanowił, że porozmawia z tym reporterem. To był jedyny sensowny człowiek wśród tej gawiedzi.

– Czy wie pan, co tu się stało? – zaczął niepewnym głosem. Może powinien podejść do kogoś z policjantów, ale ten reporter wydawał mu się znacznie bardziej przystępny. Poza tym był mniej więcej

w jego wieku, a policjanci znacznie młodszy.

– Wybuchł gaz na pierwszym piętrze, podobno jakiś stary junkers. Zresztą widzi pan, że jeszcze się dymi.

– A ofiary? Podobno są jakieś ofiary.

– Dwie osoby odwieziono do szpitala.

– Dwie? Bo ja właśnie przyjechałem tu do... do narzeczonej i ona też na tym pierwszym piętrze mieszka. Więc rozumie pan, niepokoję się. – Sven był bardzo zdenerwowany. Wszystko to: najpierw telefon Anny, a teraz pożar, wytrąciło go z równowagi. Jeśli coś się stało jej i dziecku – po raz pierwszy pomyślał z niekłamany niepokojem o dziecku – to sobie tego nie daruje. Jeśli dobrze liczył, Anna była mniej więcej w siódmym miesiącu ciąży. Musi się dowiedzieć, dokąd przewieźli te ofiary. Bo na górę policja go nie wpuści. Wejście do kamienicy było zagrodzone czerwoną taśmą. Pilnowali go policjanci. A większość lokatorów stała przed domem i drżała o swoje mienie. Strażacy, gasząc pożar, zalali wszystko poniżej pierwszego piętra. Pewnie zamokły siermiężne meblościanki, te lepsze, ze Swarzędza, wystane w kolejkach, kupione po znajomości albo za łapówkę, i skórzane kanapy z Ikei, i plazmowe telewizory. Z tym będzie największa bieda. Bo bez telewizora żyć się nie da.

– Czy nie widział pan takiej drobnej kobiety, w ciąży, mieszka tu, na pierwszym piętrze. To znaczy wynajmuje tu mieszkanie. Taka blondynka – tym razem Sven zwrócił się do starszego pana, kurczowo przyciskającego do piersi trzęsącego się psa.

– Ona teraz jest łysa, wie pan... I ma taki śliczny, malutki brzuszeczek – staruszek wyraźnie się rozmarzył. A Sven poczuł niesmak.

– Ale czy ona tam była? W tym mieszkaniu? Zabrali ją do szpitala, tak?

– Ja nic nie wiem, pan policję zapyta.

Policjant był wysoki, kanciasty, krótkonogi, opryskliwy, a do tego straszny waśniak. Rzekomo nic nie wiedział na temat poszkodowanych zabranych do szpitala. Jego zdaniem były to dwie osoby, ale nie zauważył, czy któraś z nich była w ciąży.

Jazda samochodem zwykle go uspokajała. Wreszcie mógł pobyć sam. W samochodzie miał własną przestrzeń, niewielką, ale zawsze. Wrócił do mieszkania ojca dopiero po dziesiątej wieczorem. Objechał wszystkie szpitale, ale nigdzie jej nie było.

Gdy zaparzył herbatę i otworzył karton z pizzą, ktoś zadzwonił do drzwi. Zerknął przez wizjer. To był wysoki, szpakowaty mężczyzna. Chyba nieco starszy od niego. W pierwszej chwili nie chciał otwierać. W końcu był tu przejazdem i nie miał ochoty na rozmowy z postronnymi osobami. Ale otworzył. I bardzo szybko tego pożałował, bo niestety zanosilo się, że tego wieczoru nie uda mu się odpocząć od ludzi i bolesnych spraw.

– Słucham, czym mogę panu służyć? – zapytał lekko zniecierpliwionym tonem.

– Moje nazwisko Uliński, jestem z policji – głos niespodziewanego gościa był oficjalny. Policjant machnął mu przed nosem odznaką.

– Ale ja, ja... – jąkał się Sven. – Jestem tu tylko przejazdem.

– Obiecuję, że nie zajmę wiele czasu.

Nie miał innego wyjścia, jak tylko wpuścić intruza do domu. Z policją lepiej nie zadzierać. Zaproponował herbatę, ale Uliński grzecznie odmówił. Weszli do gabinetu ojca.

– Widzi pan, przychodzę tu nie do końca służbowo. W tym mieszkaniu przed laty była zameldowana Idalia Martens. Czy może to jakaś pańska krewna? – Funkcjonariusz nie marnował czasu.

Svena tak zaskoczyło to pytanie, że aż usiadł z wrażenia. Nie chciał babrać się w sprawach sprzed lat. W dodatku nie swoich. Postanowił, że nie będzie współpracował z tym policjantem. Skoro, jak twierdził, nie do końca służbowo wypytywał o dawną kochankę jego ojca, nie widział powodu, żeby opowiadać o rodzinnych zaskońciach, które jeszcze dziś wydawały mu się bolesne.

– Nie, skądże. Jestem obywatelem szwedzkim. Wyemigrowałem z Polski w sześćdziesiątym ósmym, jeszcze jako dziecko, i bywam tu sporadycznie. W tej chwili też jestem w Gdańsku przejazdem. Obawiam się, że nie będę mógł panu pomóc.

Uliński spojrział na niego podejrzliwie. Widać było, że mu nie wierzy.

– No to nie pamięta pan Grudnia – kontynuował niezrażony. – Ja pamiętam znakomicie. Chodziłem wtedy do liceum. Nie w Gdańsku, tylko w Gdyni. Nigdy nie zapomnę tego chłodnego, ponurego dnia. Siedzieliśmy w klasie. To była lekcja historii. Nasza profesorka, którą szanowaliśmy, bo walczyła w powstaniu warszawskim i to, czego nas uczyła, było zaprzeczeniem komunistycznej propagandy, która wylewała się z ówczesnych podręczników historii, kazała nam wstać z ławek i podejść do okien. Powiedziała, że teraz tutaj jesteśmy świadkami historycznych wydarzeń. I byliśmy. Patrzyliśmy, jak demonstranci nieśli na drzwiach zakrwawione ciało młodego chłopaka, który potem stał się legendą. Ten chłopak i drzwi, na których go ponieśli. A wracając do Idy Martens – ciągnął Uliński – ona też była jedną z ofiar Grudnia. Najprawdopodobniej została pochowana na cmentarzu oliwskim, tu, niedaleko. Jako NN, czyli bez tożsamości.

– To wszystko bardzo ciekawe, ale obawiam się, że nie będę mógł panu pomóc – Sven silił się na chłodny, obojętny ton, ale głos mu drżał. I brzmiała w nim fałszywa nuta.

– Rozumiem, że nie ma pan czasu na rozmowę, ale jeśli jednak coś by się panu przypomniało na temat Idy albo kogoś z jej rodziny, proszę się ze mną skontaktować. – Wychodząc, Uliński podał mu swoją wizytówkę. – Naprawdę będę wdzięczny za każdą informację, panie Dombrowski.

Skoro ten gliniarz znał nazwisko, które nosił, gdy jeszcze mieszkał w Polsce, to musiał sporo wiedzieć o nim i o jego rodzinie. Znacznie więcej, niż powinien. Czy dawne grzechy jego ojca będą się za nim ciągnąć przez całe życie?

Miał nadzieję, że wreszcie będzie mógł choć chwilę odetchnąć i wypić herbatę, która już całkiem wystygła, ale niestety znowu zaterkotała jego komórka.

Strasznie był ciężki. Ważył chyba ze sto pięćdziesiąt kilo. Spasł się jak knur, pomyślała z obrzydzeniem. Ale jakoś musiała pozbyć się go z domu. Bo spodziewała się Agnieszki. Umówiły się tutaj. Nie w kawiarni, nie w redakcji, nie u babci Romci, gdzie pomieszkiwała Aga, tylko w domu. W jej domu. W ich domu. A Wiesiek mógł to ważne spotkanie popsuć, bo się tu zwalił, upił i zasnął. Na szczęście przy pomocy taksówkarza jakoś dała radę go wyekspediować. Kierowca trochę się zdziwił, że ma zawieźć gościa dwie przecznice dalej, ale za odpowiednią dopłatą się zgodził. Poza tym padało. Przecież ten pijany jegomość nie mógł zmoknąć.

– Ale czy tam, pod tym adresem, który mi pani podała, ktoś pana odbierze? – zatroszczył się taksówkarz.

– Będzie na niego czekała taka młoda pani, pan się nie martwi. – Gosi śmiać się chciało na myśl o wścieklej Dadze Drożdżyk, która będzie musiała zapłacić nie tylko za przywiezienie, ale i za wciągnięcie półprzytomnego Wieśka do domu.

Maciej wreszcie mógł odetchnąć. Matka nieco się uspokoiła, odkąd Nikodem ponownie zamieszkał w ich domu. Tylko na dwa, trzy dni, jak zaznaczyła jego właścicielka, najwyżej na tydzień. Potem miała wrócić i go odebrać. Pani Monika co prawda dalej narzekała, że kot to nie krzesło i nie szafa, żeby tak go przestawiać, ale bardzo się cieszyła z powrotu pupila. „Widzisz, jaki jest szczęśliwy, Maciusiu. A to wszystko dlatego, że podjadł sobie dobrze. Bo u niej, tej twojej królowej śniegu, to chyba głodował. Wystarczy spojrzeć na panią Anię i od razu widać, że o siebie nie dba. Nawet w ciąży. Nie obraż się, Maciusiu, bo wiem, że ona niestety ci się podoba, chociaż w brzuchu nosi dziecko innego mężczyzny, a w głowie ma raka, ale to nie jest partia dla ciebie, tyle razy ci to mówiłam. Mógłbyś czasem słuchać, co matka ma ci do powiedzenia. Bo tylko matka dobrze ci życzy”.

Zagrobny jednak nie tracił nadziei. Wszystko układało się po jego myśli. Dwie chemie chyba podziałały, pacjentka jeszcze słabiutka, ale nadzieja była. A jego mamusia najwyraźniej polubiła kotka. Polubi też dzidziusia i jego mamusię. Ale to później.

Właśnie wychodził ze szpitala po nocnym dyżurze, gdy rozbrzmiała jego komórka. Dzwonił pan Saturnin Bućko, sąsiad z ulicy Polanki. Był bardzo zdenerwowany, głos mu się łamał.

– Panie Zagrobny, u nas w bloku wybuch gazu był. Pana mieszkanie chyba się spaliło... Musi pan tu przyjechać, i to szybko.

OKRUCHY

Gdy Maciej pobiegł ratować swoje rzekomo spalone mieszkanie, w którym lokował kolejne niedoszące kochanki (pewnie dlatego się spaliło – gniazdo nierządu!), pani Monika postanowiła rozmówić się ze Zdziśkiem. W końcu nie można tego tak zostawić. Z samymi niedomówieniami, półsłówkami, półuśmiechami. Wciąż nie mogła zrozumieć, skąd się wziął ten jego nagły chłód. Więc jeśli nie teraz, to kiedy? Czas naglił. Włożyła czarne koronki pod spód i małą, mocno wydekoltowaną czarną na wierzch. Na nogi szpilki. Pończochy samonośne. I jeszcze kolczyki z diamentami, które dostała od teściowej za urodzenie Maćka. Na to wszystko narzuciła szary prochowiec. Dla niepoznaki. Żeby oprócz niego nikt postronny nie dostrzegł jej chwilowej ekstrawagancji.

Zatrzasnęła drzwi i zbiegła po schodach, stukając obcasami (a nuż usłyszysz i jak kiedyś otworzy drzwi swojego mieszkania, żeby ją powitać?). Ale nic, cisza. Może nie było go w domu? Taki był zapracowany? Stała przed jego drzwiami. Na obcasach była dużo wyższa, dzięki temu czuła się pewniej. Ale nie na tyle, żeby zapukać. Czegoś jej jednak brakowało. Chyba powinna napić się koniaku albo jakiegoś innego alkoholu. Maciek miał w barku niezwykle cenny zasób, który ciągle uzupełniał kolejnymi butelkami drogich bimbrów. Niewiele myśląc, wbiegła po schodach i wróciła do mieszkania. Pociągnie mały łyżeczek koniaczku, no, może dwa... albo trzy, a potem umyje ząbki i jeszcze raz psiknie się ulubioną wodą perfumowaną. I dalej będzie kobietą *glamour*, ale nieco bardziej rozluźnioną w środku.

Wypiła cały kieliszek koniaku. A potem drugi. Duszkciem. Maciek miał w tym swoim barku istną bimbrownię! Jeszcze ktoś powie, że jest łapówkarzem. Tyle się mówi o korupcji wśród lekarzy.

Po ilości alkoholu, do której nie była przyzwyczajona, poczuła się nieco senna. Tym razem schodziła po schodach ostrożnie. Żeby się nie poślizgnąć, nie wyrzucić. Cały czas zastanawiała się, czy zapukać, czy jednak nacisnąć na dzwonek. Wstydziła się tego, co robi. Ale przecież nie mogła dłużej czekać. Tak bardzo chciała znów poczuć jego dotyk. Tak jak tamtego wiosennego dnia, gdy zaskoczył ich Maciek. Stał wtedy za nią i właśnie wkładał rękę do jej stanika, kiedy zgrzytnął zamek w drzwiach. Zostało jej jeszcze kilka schodków. I wtedy się potknęła. Zakręciło się jej w głowie. Potężnie. Wywinęła takiego orła, że hej. Nie mogła wstać o własnych siłach. Na pewno cała jestem połamana, pomyślała ze zgrozą. Obcas chyba też złamany... Wszystko na nic.

– Aaa!ć, boli w kostce! – jęczała, próbując wydobyć z kieszeni płaszczka komórkę. Żeby zadzwonić po Maćka. – Co za straszny dzień, co za straszny dzień – mruczała sama do siebie.

Wtedy skrzypnęły drzwi mieszkania na parterze.

– Co się stało, pani Moniko? Mogę w czymś pomóc? – zapytał uprzejmie, ale chłodnym tonem pan Zdzisiek.

Spojrzała na niego żałośnie. Tak żeby wzbudzić współczucie. To wszystko jego wina. Gdyby nie był taki oschły, gdyby z nią porozmawiał, nie zrobiłaby tego głupstwa, nie wypiłaby drugiego kieliszka tego

koniaku, nie zaszumiałoby jej w głowie i nie poleciałaby jak długa z tych schodów wprost pod jego drzwi. Ona naprawdę tego wszystkiego nie ukartowała. Nie było tu żadnej reżyserii. Tylko pech, głupota i za dużo koniaku. Oraz nieczułość pana Zdzicha.

Wyglądał na zaspanego. Był rozczochrany. Fajne miał te szpakowate włosy i taki trzydniowy zarost. Bardzo seksowny. Czyżby zapuszczał brodę? Coraz bardziej jej się podobał. Ale ona jemu najwyraźniej mniej niż kiedyś, albo nawet już wcale. Chyba okropnie się wygłupiła. Jak nic on zareaguje jak ostatnio. Chłodno. Spojrzał na nią uważnie. Nic nie powiedział. Więc jednak był obojętny, już wcale się nią nie interesował.

I wtedy stało się coś, czego się zupełnie nie spodziewała. Po prostu wziął ją na ręce i podniósł bez najmniejszego wysiłku, jakoś tak lekko, a następnie wniósł do swojego mieszkania, w którym nigdy wcześniej nie była. Położył ją na kanapie, która wraz z konsolą telewizyjną stanowiła jedyne meblowanie nader ascetycznie wyposażonego saloniku. Zdjął z jej stopy pantofel ze złamanym obcasem.

– To chyba trzeba oddać do szewca? – Po raz pierwszy uśmiechnął się do niej jakoś tak serdecznie.

A potem zaczął masować jej stłuczoną stopę. Umiejętnie. I podśpiewywał pod nosem: „A wszystko te czarne oczy, gdybym ja je miał...”.

Wzruszyła się bardzo.

Oprócz mieszkania, które wcale nie było spalone (Bućko jak zwykle przesadzał), Maciej miał jeszcze jeden problem. I zupełnie nie miał pomysłu, jak opowiedzieć o tym mamusi. W ogóle nie wiedział, co ma począć.

Zawinił wobec dwóch kobiet. Obie mogły mieć do niego pretensje. O to mieszkanie głównie, chociaż nie tylko. W końcu z Elką był prawie zaręczony. No, może nie do końca, bo nie było ani oświadczyn, ani pierścionka. Nawet jeszcze ze sobą nie spali. Ale chodzili pod rękę. A to już coś znaczy, prawda? Ludzie widzieli ich razem. Sąsiedzi z ulicy Polanki na przykład. Pan Saturnin Bućko, jak wychodził z pieskiem na spacer, widział ich nieraz. Ale mamusia nie widziała. I nie wiedziała o tym, że jej jedyny syn czuje miętę do tej rudej Elki, która lubiła kolor czerwony i nosiła ekstrawaganckie kapelusze. A o tej mięcie to babcia Sobańska mówiła i Maciek, jej ulubiony wnuczek, zapamiętał to. Mówiło się też, że młodzi mają się ku sobie. Dzisiaj już tak się nie mówi. Ani o mięcie, ani o tym ku sobie „sięmaniu”. Wszystko się strywializowało. Nikt już nie potrafi delikatnie nazywać subtelnych uczuć, rodzącej się między ludźmi sympatii. Zamiast tego młodzi i starzy strzelają, gdzie popadnie, najczęściej na oślep. A Maciek tak do końca nie wiedział, co go łączyło z Elką. Wiedział tylko, że ogromnie mu się podobała i że obiecał jej mieszkanie, jak wróci z tego stażu w Leeds. Ale jego mieszkanie w Oliwie wciąż zajmowała Ania, a właściwie pani Ania, bo nigdy nie przeszli na ty – ku wielkiemu rozczarowaniu Macieja. A teraz w związku z wybuchem gazu w łazience u sąsiada i całym tym zamieszaniem już ani Ania, ani Elka zamieszkać tam nie mogły. Ania na szczęście wyjechała do Warszawy i Maciej nie miał z nią kontaktu, ale Elka właśnie miała przylecieć z Anglii. Wracała ze stażu nieco wcześniej, niż pierwotnie zakładała, i liczyła, że ma dokąd wrócić. Maciek uspokajał ją przez telefon, że wszystko jest w porządku, że mieszkanie wkrótce będzie wolne, a póki co Elka może zamieszkać u nich. To znaczy u mamusi Moniki i u Maciusia synusia. Miejsca przecież było dość. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie to, że mamusia nic nie wiedziała o planach Maćka. Pewnie będzie zaskoczona, a może nawet zła. Bo chyba za Elką nie przepadała. Mówiła zawsze, że rude to wredne. Chociaż Maćkowi rude na głowie Elki bardzo się podobało. I marzył, że kiedyś zobaczy ją w jakimś gustownym negliżu, z tymi wspaniałymi, rozpuszczonymi, płomienistymi lokami. Ach! Maciek się rozmarzył, ale póki co sytuacja nie sprzyjała

marzeniom. Mieszkanie na Polankach wprawdzie nie ucierpiało, ale na razie nie mógł tam umieścić Elusi. Z Anią nie mógł się skontaktować, bo od wczoraj nie odbierała telefonu, a po Elkę właśnie jechał na lotnisko. Bał się, jak zareaguje na wiadomość o całym tym galimatiasie. Pewnie się wścieknie.

Ciekawe, dlaczego wróciła wcześniej? Zaraz pewnie się pojawi, bo maszyna powinna już lądować. Jednak na tablicy elektronicznej wyświetliła się informacja, że samolot ma opóźnienie. Po kolejnych kilku minutach samolot, którym miała przylecieć Elka, zniknął z wyświetlacza.

Nie znosiła podróżować samolotem. Cierpiała na aerofobię. Cały czas było jej niedobrze. Zwykle odliczała czas do lądowania, co chwila nerwowo spoglądając na zegarek. I bała się. Tak jak dziś. Zaraz po starcie zaczęły się turbulencje. A potem samolot jakby się zatrzymał. Po prostu stanął w miejscu. Silniki pracowały, ale jakoś tak cicho. Jakby na pół gwizdka. Stewardesa roznosiła pasażerom wodę. Do wyboru – gazowaną i bez gazu. A ona właśnie dostała duszności. I nogi zaczęły jej drżeć. Nie mogła tego opanować. Zupełnie jakby miała atak jakiejś egzotycznej choroby, febry albo malarii. Robiło jej się zimno i gorąco na przemian. I wtedy pilot ogłosił, że z powodu złej widoczności nie mogą wylądować na lotnisku imienia Lecha Wałęsy. Dlatego jeszcze trochę pokrążą, a potem polecą na lotnisko zapasowe. Tylko gdzie ono jest? Tego pilot nie powiedział. A ona z każdą minutą bała się coraz bardziej. I woda mineralna gazowana nie pomagała. Może przydałby się jakiś alkohol? Piwo albo wino. Elka nie dawała sobie rady z myślami uparcie krążącymi po jej głowie. Zaraz spadną. Jak nic. I nie urodzi tego dziecka. Bała się za dwoje. Zaczęła płakać. Pasażerka siedząca obok patrzyła na nią ze zdumieniem i lekką pogardą. Przecież nie ma się czego bać. To tylko przekierowanie na lotnisko zapasowe. O ile nie da się wylądować w Gdańsku. Ale może jednak się da? Trzeba być dobrej myśli, zamiast ścigać nieszczęścia czarnowidztwem. Wreszcie maszyna zaczęła schodzić w dół. Elka czuła, że zatyka jej uszy. Poczwała, że otwiera się podwozie. Klapy też. Więc jednak się uda. Zaraz będą na ziemi. Nareszcie. Poczuje tę jedyną w swoim rodzaju ulgę. Gdy już się uspokoiła i pomyślała o Maćku, który zapewne na nią czekał, poczuła szarpnięcie. Samolot odchodził na drugi krąg. Nie wylądują w Gdańsku.

Gdy z głośników popłynęła informacja, że samolot wyląduje w Bydgoszczy, postanowił, że będzie czekał na nią tu, na lotnisku, bo pasażerów mieli przywieźć autokarem. Wysłał tylko esemesa do mamusi, żeby się o niego nie martwiła. Ale nie odpisała. Telefon Elki też nie odpowiadał. Maciek postanowił czekać. Był cierpliwy i miał dużo czasu.

Autokar przyjechał kwadrans po ósmej wieczorem. Trochę się zdziwił, gdy zobaczył ją tylko z jedną walizką. Kobiety na wyjazdach kupują przecież całe mnóstwo niepotrzebnych rzeczy: ubrań, butów, bibelotów. A ona nic. To naprawdę dziwne. No chyba że nadała wszystko jakąś paczką, żeby nie dźwigać. Maciej chciał ją ucałować na przywitanie. Tak po przyjacielsku, po bratersku niemal. W końcu miała ciężką podróż z przygodami. I powinna docenić to, że czekał na nią tyle godzin. To chyba o czymś świadczy. Tak uważał. Elka jednak uchyliła się od pocałunku. Wyciągnęła tylko rękę i uściśniła jego dłoń. To był całkiem niekobiecy, zdecydowany uścisk. Ta Elka to jednak babka z jajami, pomyślał, a nie taka mimoza jak Anka. Był odurzony zapachem jej perfum. Podobała mu się w tym czerwonym płaszczu, bardzo dopasowanym. Może nawet za bardzo. Bo chyba trochę przytyła w tej Anglii. Tak czy inaczej, marzenie, nie kobieta.

– No co taki smętny stoisz? – zaatakowała go po swojemu. – Co masz taką zrezygnowaną minę?

Wróciłam, nie cieszysz się?

– Ależ cieszę się, cieszę.

– Myślałam, że nie będziesz tu na mnie czekał.

Maciej nie mógł zapanować nad swoją mimiką. Uśmiech nie chciał pojawić się na jego twarzy. Nie było mu do śmiechu. Bał się reakcji mamusi. Bardzo się bał. Pierwsze koty wprawdzie poszły za płoty podczas afery z Nikodemem. Postawił się i wygrał. Ale z tymi dwiema nieobliczalnymi paniami chyba sobie nie poradzi.

– Dokąd mnie wieszysz? – zagadnęła Elka już w samochodzie. – Mam dość nieoczekiwanych podróży, chciałabym się położyć.

– Musimy pojechać do mnie, bo mieszkanie na Polanki jeszcze nie jest wolne. Twoje mieszkanie znaczy się... – plątał się Maciej. – Dzisiaj był tam pożar, to znaczy nie u ciebie, ale u sąsiada. Wywaliło junkers i trochę się zadymiło w kamienicy. Śmierdzi, wywietrzyć trzeba i porządek zrobić, więc zatrzymasz się u nas. To znaczy u mnie i u mamusi. Jest przecież dość miejsca.

Elka nie miała ochoty na obcowanie z mamusią Maćka. Nie znosiła tej starej lampucery. I nie miał znaczenia fakt, że były dalekimi krewnymi. Właściwie tylko nosiły to samo nazwisko. To znaczy pani Monika była z domu Sobańska, jak Elka, i obie były z tych Sobańskich, wprawdzie z nieco uboższej, ale za to bardzo zacnej i patriotycznej linii tego rodu. Z racji historycznych koligacji Elka nie zamierzała nigdy zmieniać nazwiska ani stanu cywilnego. Poswawolić sobie trochę, mieć chłopaka, faceta, jak zwał, tak zwał. Ale pakować się w małżeństwa, zmieniać nazwisko – tego byłoby za wiele. Nawet teraz, gdy była przy nadziei, nie zamierzała szukać tatusia dla swojego dziecka. W rubryce „ojciec” każe wpisać „nieznany”. A nazwisko będzie miało po niej. Bo Elka nigdy nie będzie jak ta Monika – żona przy mężu, bez męża w dodatku. Życie sobie zmarnowała i Maćkowi też. Uczepiła się syna i wisi na nim jak kula u nogi. Biedny Maciek. Fajtlapa i nieudacznik. Chociaż zdaniem Kaczmarka bardzo zdolny onkolog.

Maciej postanowił, że odda Elce swój pokój, a sam będzie sypiał na kanapie w gabinecie. To było najlepsze rozwiązanie. Przeniósł już nawet swoje rzeczy do gabinetu i pościelił łóżko dla Elki. A wszystko to wczoraj, w tajemnicy przed mamusią. Aż dziw, że się nie zorientowała. Zawsze taka czujna jest.

Mimo późnej pory mamusi nie było w domu. Pewnie poszła po zakupy. A może na spacer do Parku Oliwskiego? Albo do biblioteki? Mamusia bardzo lubiła czytać. I to nie tylko romanse, ale i reportaże. Nie skończyła studiów, bo za mąż wyszła tak szybko, że nie zdążyła. No i Maćka urodziła bardzo młodo. Ale miłość do książek jej została. W każdym razie będzie bardzo niezręczna sytuacja, jak już z tej biblioteki czy parku wróci. Ale ten rzekomy pożar na Polankach pozwoli wszystko zatuszować. Maciej miał taką nadzieję.

Zaniepokoił się, że o tak późnej porze matki nie było w domu. Tak naprawdę to nie była pora na spacer czy wizyty w bibliotece. Normalnie o tej godzinie mamusia sposobiała się do snu. A w dodatku komórkę zostawiła na kuchennym stole. Nigdy nie wychodziła bez telefonu i bez uprzedzenia, w dodatku na tak długo. Maciej denerwował się coraz bardziej.

Elka poszła się zdrzemnąć, a on już chciał dzwonić na policję, kiedy wreszcie zgrzytnął klucz w zamku. W drzwiach stanął pan Zdzych – mężczyzna wysoki i postawny. Na jego ramieniu wisiła mamusia. Jak winogrono, przemknęło przez myśl Maćkowi. Elka powiedziałaaby raczej, że jak bluszcz – kobieta, która wije się wokół mężczyzny, oplata go, nie daje spokojnie odetchnąć, ubierając go w swoje ręcznie robione pulowerki i kamizelki.

Mamusia była zaczerwieniona i speszona, zupełnie jak wtedy, gdy nakrył ich podczas namiętnych uścisków.

– Nogę chyba skręciłam, synku. Czy mógłbyś mnie zbadać?

– Gdyby kózka nie skakała... – mruknął pod nosem Maciej. Chciał podać matce ramię, ale pan Zdzych wziął ją na ręce i zaniósł do salonu. Dopiero wtedy Maciej zauważył, że mamusia jest wyjątkowo odświętnie i seksownie ubrana. Zupełnie jak na randkę.

Elka, najwyraźniej wyrwana ze snu przez powrót pani Moniki, stanęła w drzwiach salonu. Przecierała oczy ze zdumienia. Mamusia bluszcz najwyraźniej miała adoratora.

– A ty, dziecko, co tu robisz? Sama i do tego z brzuchem! Nieźle się tam zabawiałaś w tym Albionie! – zaczęła pani Monika bez słowa wstępu. W dodatku powiedziała to, o czym Maciuś nawet nie śmiał pomyśleć. Tak, Elka była w stanie błogosławionym. Wyglądała jak Madonna. I podobała mu się coraz bardziej.

Elka była zaskoczona nieoczekiwanym atakiem pani Moniki.

– Mamusiu, mamusiu – zaczął zdesperowany Maciej – przecież wiesz, że tam, na Polankach, było dziś małe bum, więc Elżbietka na razie zamieszka z nami – wypowiadając ostatnie zdanie, zmienił ton i wyprostował się, zupełnie tak jak wtedy, gdy walczył o pobyt Nikusia w ich domu.

Teraz kot był już zadomowiony i właśnie wskoczył pani Monice na kolana, co zostało przyjęte z entuzjazmem. Pani Zagrobna jak mała dziewczynka skoncentrowała całą swoją uwagę na zwierzaku. Wstydziła się swojej reakcji na pojawienie się Elki, ale nie chciała się do tego przyznać ani tym bardziej przeprosić.

Elka rzuciła Maćkowi nienawistne spojrzenie, a potem wybiegła z pokoju i zaczęła się pakować. Maciek poszedł za nią, żeby ją udobruchać, pan Zdzych natomiast ulotnił się po angielsku. I tyle go widzieli. Wtedy Maciek zrozumiał, że być może przez tę niesmaczną, rodzinną scenę, jaka rozegrała się na oczach ich sympatycznego skądinąd sąsiada, stracił wspaniałą okazję ponownego wydania matki za mąż.

O DWÓCH TAKICH

Zaniedbał go. To prawda. Ale dlaczego to wszystko musiało stać się akurat teraz, gdy zupełnie nie miał czasu? Przyjechał tu przecież z powodu Anny. I z powodu dziecka. A nim naprawdę nie miał czasu się zajmować. I chyba nie chciał.

Jarek albo, jak kto woli, Jens był jak jego trzeci syn. Chociaż dzieliła ich stosunkowo niewielka różnica wieku. Ale ten człowiek nigdy nie dorośnie. Bo jest chory, zaburzony. Wariat po prostu. Sven bał się takich ludzi. Może dlatego całe życie stronił od brata, który był oczkiem w głowie ich ojca. Profesor Dombrowski (wówczas jeszcze tylko docent), który lubił uchodzić za wzór cnót i moralności, zmajstrował dzieciaka swojej ówczesnej asystentce. W środowisku wybuchł mały skandal. Po kątach Wyższej Szkoły Pedagogicznej plotkowano, że docentowi D. odbiło – zabujał się w młodej, zdolnej dziewczynie.

Gdy tylko Ida Martens pojawiła się na wydziale, wzbudziła niezdrową ciekawość u przedstawicieli płci przeciwnej. W większości żonatych i dzieciatych. Ale przede wszystkim zainteresował się nią Jan Dombrowski, który dociekał, skąd się wzięło jej obco brzmiące nazwisko. Zresztą imię też miała rzadkie i jakieś takie niepolskie, jak z przekąsem podkreślał sekretarz podstawowej organizacji partyjnej. Dombrowskiemu bardzo się podobało imię Idalia, a jeszcze bardziej zdrobnienie – Ida. Przy każdej okazji wpatrywał się w duże bladoniebieskie oczy dziewczyny. Takie niewinne. No i się stało. Matka Svena, towarzyszką Matylda, o niczym nie chciała wiedzieć. Ani o tej młodej kobiecie, ani tym bardziej o jej synu. A Dombrowski, który tak naprawdę powinien się nazywać Johannes Dibelius, cierpiał katusze rozdwojenia w Boże Narodzenie. I na Wielkanoc też cierpiał, bo nie mógł tych świąt spędzać w pełnym, rodzinnym gronie. Ze swoimi synami: starszym Szczepanem i młodszym Jarosławem. Obu przecież kochał jednakowo. Chociaż ten młodszy, Jareczek, bardziej chwycił go za serce. Szczepan już jako dzieciak był oschły, nieco usztywniony. Zdecydowanie chłodniejszy. Zupełnie jak jego matka. Zaciekle komunista. Tylko partia się dla niej liczyła i to, żeby związek ich bratni ogarnął wreszcie zacofany i nierozumiejący istoty sprawy polski lud. Matka Svena nie nuciła kolęd, nie chciała choinki w domu (Jan i tak stawiał ją w salonie i uczył syna śpiewać kolędy, zwłaszcza *Cichą noc*). Niestety, towarzyszką Matylda nie była w stanie przyrządzić żadnych świątecznych potraw, bo najzwyczajniej w świecie nie umiała gotować. Pan docent szedł na pasterkę sam albo z matką swojego drugiego syna. Wiarołomny. Chociaż przecież żadnej ze swoich kobiet nie przysięgał przed ołtarzem. Bo matka Svena, któremu ojciec nadał niezbyt wygodne, jak się potem okazało, imię Szczepan, była z zasady niewierząca, niepraktykująca i niechętna wszelkim religijnym rytuałom. Natomiast matka Jarosława uwielbiała święta, choinkę, a nade wszystko chóry kościelne, chociaż nie była katoliczką. Jej ojciec, Gerd Martens, mieszkał na Biskupiej Górze jeszcze za czasów Wolnego Miasta; podobno wywodził się z gdańskich menonitów, których większość opuściła Polskę pod koniec wojny. Stąd obco brzmiące nazwisko i dziwny akcent u ojca Idy.

Dombrowski lubił go odwiedzać. Pili razem kawę zbożową i rozmawiali długo w jakimś dziwnym, niezrozumiałym dla innych narzeczu. To był plattdeutsch. Dombrowski zetknął się z nim w dzieciństwie, gdy jeszcze był Johannesem Dibeliusem i trudno mu było sobie wyobrazić, że w przyszłości będzie badał dzieje Polski i dowodził w swoich artykułach i książkach, że Gdańsk – miasto jego niemieckich przodków, mieszkających tu od wieków – zawsze był polski i tylko polski. Szczególną gorliwością w tej kwestii musiał się wykazywać w połowie lat sześćdziesiątych, gdy zbliżały się obchody tysiąclecia polskiej państwowości, a tak naprawdę chrztu Polski, o czym jednak niezręcznie było wtedy mówić, zwłaszcza jeśli nie chciało się mieć kłopotów w pracy. A Dombrowski za wszelką cenę chciał zachować status naukowca, poza tym marzyła mu się profesura, więc choć nie należał do partii, robił wszystko, co nakazywała przewodnia siła narodu, i siedział cicho. Ale dusił się w tej nieznośnej atmosferze podejrzeń i donosów. Pewnie dlatego rozmowy ze starym gdańszczaninem o niderlandzkim rodowodzie, który – podobnie jak on – cudem ocalał z wojennej pożogi, były dla niego chwilą wytchnienia. Stanowiły coś w rodzaju wentyla, niezbędnego wyposażenia każdego inteligenta w czasach Gomułki, a potem jego następców.

Po śmierci ojca Ida wraz z młodszym bratem Erykiem, uczniem Conradinum, przeprowadziła się do mieszkania w Oliwie, które odziedziczyli po jakiejś ciotce. Zamieszkali przy ulicy Polanki, dwa kroki od domu przy Obrońców Westerplatte, gdzie wraz z rodziną mieszkał Dombrowski. Dzięki temu pan docent miał swoją Idę w zasięgu ręki. Zdarzyło się raz czy dwa razy, że to u niej zjadł tradycyjną, polską wieczerzę wigilijną (choć ani on, ani Ida jako protestanci nie świętowali w dzieciństwie Wigilii), patrząc z dumą, jak rozwija się jego młodszy synek. Ten starszy tłukł się po domu, osowiały i markotny. Nie dostawał tego dnia prezentów, gdyż matka była temu przeciwna. A ojciec bał się działać wbrew jej woli. Dawał mu więc upominki dopiero na Nowy Rok. Żeby były od Dziadka Mroza, a nie od jakiegoś kapitalistycznego Świętego Mikołaja. Podejrzanego ze wszech miar burżuazyjnego pacholka.

A potem, jak już wyrzucili towarzyszkę Matyldę z partii za jej rzekomy syjonizm (o którym biedaczka, w przeciwieństwie do swojego męża historyka, nie miała zielonego pojęcia), Jan został sam w wielkim, pustym mieszkaniu przy Obrońców Westerplatte. Jego żona, poślubiona zgodnie z komunistycznymi kanonami w urzędzie stanu cywilnego w Gdańsku-Wrzeszczu, wyemigrowała z synem do Szwecji. Prawie natychmiast po jej wyjeździe do ponurego i nieźle już zakurzonego mieszkania Dombrowskiego wprowadziła się Ida z małym Jarkiem. I Jan był znów szczęśliwy, chociaż cierpiał z powodu rozłąki ze starszym synem, który po osiągnięciu pełnoletności zmienił nie tylko imię, ale też nazwisko. Twierdził, że wraca do korzeni. Do rodzowego miana dziadka Gottlieba Dibeliusa, zmarłego w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku gdańskiego zegarmistrza. Spokojnego i pracowitego obywatela byłego Wolnego Miasta. Dombrowski po cichu był dumny z tego, że jego pierworodny wrócił do rodzowego nazwiska. Ale zmiana imienia go bolała. Rozumiał, że imię Szczepan, z tą brawurową niczym szarża szwoleżerów pod Samosierrą serią spółgłosek, nie pasowało do szwedzkiej prowincji, gdzie zdecydował się osiaść jego syn. Ale żeby ze Szczepana zrobić Svena, to już lekka przesada! Nie wiedział jeszcze, że jego młodszy syn również zechce opuścić Polskę i starzejącego się ojca, żeby szukać swoich korzeni, tych po kądzieli, aż w Holandii, gdzie od dwudziestu lat mieszkał jego wuj Eryk. Jarosław Martens, bo tak po matce nazywał się drugi syn profesora Dombrowskiego, studiował w Eindhoven, na tamtejszym Technische Universiteit, a potem ożenił się z jedną pyskatą Holenderką, starszą od niego o jakieś piętnaście lat, której profesor bardzo nie lubił. Tak czy inaczej, wydawało się, że Jarek podzieli los brata. Że na zawsze zostanie na emigracji, wtopi się w tamto społeczeństwo, będzie prawdziwym Holendrem. Przecież nawet zmienił imię na Jens, bo to imię wraz z nazwiskiem po matce brzmiało bardziej po holendersku. Mógł sam przed sobą grać rolę zagubionego potomka plantatorów z dawnych Holenderskich Indii Wschodnich, który po latach pobytu w jednej z egzotycznych kolonii, na jakiejś

wschodnioeuropejskiej Jawie czy Sumatrze, w każdym razie z całą pewnością na menonickiej Atlantydzie, położonej nieopodal miasta Danzig, wrócił do swoich. Ale potem zaczęło się chorowanie, ataki były coraz częstsze i Jens z powrotem przedzierzgnął się w Jarosława, wrócił do Polski i zamieszkał z ojcem. Profesor był bardzo szczęśliwy, że nie jest już sam w swoim ponurym, wypełnionym książkami i nadbitkami artykułów mieszkaniu. Ale tak naprawdę nie miał żadnych powodów do radości, bo z trudem wiązał koniec z końcem, utrzymując ze swojej profesorskiej emerytury siebie i niepracującego chorego syna. Na szczęście miał oszczędności i zawsze mógł sprzedać mieszkanie po Idzie albo je wynająć. Poza tym trochę pomagał mu starszy syn, więc jakoś utrzymywali się na powierzchni. Ale było coraz trudniej. Po śmierci profesora stan Jensa pogorszył się na tyle, że brat przekonał go do poddania się kuracji. I tak Jarosław trafił do szpitala psychiatrycznego na Srebrzysku. Niestety, kilka miesięcy temu, a właściwie to już będzie z pół roku, wypuścili go stamtąd i nawet nie byli tak uprzejmi, żeby poinformować o tym Dibeliusa – było nie było najbliższego krewnego i tak naprawdę jedyne go opiekuna Jarka.

Ale dlaczego teraz, właśnie teraz był mu potrzebny? Jechał do szpitala wojewódzkiego, który nosił piękną nazwę Copernicus. Kilkadziesiąt lat temu właśnie w nim przyszedł na świat. Jego młodszy brat chyba też tam się urodził, ale co do tego Sven nie miał pewności. Bo przecież nigdy nie byli ze sobą blisko. Nie mieszkali razem, nie wychowywali się razem. Mieli tylko wspólnego ojca. I to właśnie ojciec prosił go przed śmiercią, żeby opiekował się Jarkiem. Mimo wszystko. Bo sam sobie nie da rady, chociaż wyrósł z niego chłop jak dąb, a do tego bardzo przystojny i wszechstronnie uzdolniony. „Przecież wiesz, jaki jest”, powtarzał profesor. Ale Sven nie wiedział. Nie znał brata. Nigdy z nim tak naprawdę nie rozmawiał. Zupełnie jak Anka ze swoją przyrodnią siostrą. Chciał teraz odnaleźć tę swoją Annę, wreszcie się z nią dogadać, wziąć na siebie ciężar jej choroby i dziecko, i wszystko to, co może się zdarzyć, a czego tak bardzo się obawiał. Ale okazało się, że pierwszeństwo miał jego brat. Że to nim powinien się zaopiekować, jemu udzielić wsparcia. Cholera wie, co jeszcze był mu winien. Był wściekły, że musi to robić. Ale nie dało się inaczej. W końcu to jego jedyny brat. A do tego chory człowiek.

Jarek leżał w wieloosobowej sali chorych. Miał zabandażowaną twarz. Cały był w bandażach. Wyglądał jak mumia. Trzeba będzie pogadać z lekarzem, co mu się stało. Przez telefon niewiele powiedział. Tyle tylko że w mieszkaniu Jarka jakiś piecyk wywaliło. I że leży w szpitalu, poparzony. Sven nie znał tego mieszkania, wiedział tylko, gdzie jest, i sam się sobie zdziwił, że rano, stojąc tam, pod tym domem, i patrząc na dym wydobywający się z okienka na pierwszym piętrze, od razu nie skojarzył, że pali się u jego brata. Ale tak naprawdę nigdy nie złożył tam wizyty, a poza tym to były wspomnienia sprzed ponad czterdziestu lat, więc nic dziwnego, że w jego pamięci wszystko się zatarło. Miejsca i twarze ludzi. Pamiętał za to anonimy, które przychodziły do matki. Życzliwi pisali, że niejaka Ida Martens zamieszkała właśnie w Oliwie, po sąsiedzku. Żeby się częściej widywać ze swoim docencikiem. Żeby ją tam mógł regularnie obracać w tę i z powrotem, cały czas grając rolę przykładnego małżonka.

Zapamiętał, jak któregoś dnia siedzieli z matką sami, bo ojciec wyjechał na sympozjum do Krakowa. Było zimno i ciemno. I nagle ktoś zapukał do drzwi. Tak energicznie. Matka aż podskoczyła w fotelu. To były te jej okupacyjne lęki. Głośne rozmowy z korytarza, pukanie do drzwi, a nawet wizyg przejeżdżającego niedaleko pociągu wywoływały u niej cały ciąg nieznośnych skojarzeń, przed którymi wciąż uciekała.

– Idź zobacz, kto to – powiedziała do syna drżącym głosem.

Sven, wówczas jeszcze Szczepek, niechętnie wstał od stołu i powłókł się do przedpokoju, żeby sprawdzić, kto zacz. Zerknął przez wizjer i ze zdumieniem dostrzegł za drzwiami młodą dziewczynę. No,

trochę od niego starszą, ale wyglądała jak licealistka. Miała jasne, krótkie włosy ostrzyżone na chłopaka i oczy, których nigdy później nie mógł zapomnieć. Niebieskie, koloru wody. Jakby przezroczyste. Była wysoka i taka wiotka. Trzcinka po prostu. Już wtedy podobały mu się takie eteryczne blondynki. Ta była od niego starsza i nie nadawała się na obiekt westchnień. Poza tym była dziewczyną jego ojca. Wiedział o tym. I jego matka też to wiedziała. Dlatego oboje byli zdumieni, że odważyła się przyjść do ich domu.

– Czy zastałam pana docenta? – zaczęła nieśmiało.

– Nie – rzucił Szczepek bardzo nieuprzejmie. Nastroszył się przy tym jak kogut. Już wtedy rozumiał znacznie więcej, niż powinien. Młoda kobieta od razu to wyczuła i zdołała tylko bąknąć:

– Bo ja książkę przyniosłam dla pana docenta.

– Pani da tę książkę i sobie pójdzie. – Niespodziewanie zza pleców Szczepka wychyliła się jego matka.

A potem drzwi się zatrzasnęły. A oni wrócili do salonu i długo siedzieli w milczeniu. Matka miała taką minę, jakby chciała się rozplakać, a on nie wiedział, jak ją pocieszyć. Nigdy tego nie potrafił.

Te wspomnienia bardzo Svena bolały, uwierały do dziś, chociaż minęło już tyle lat. Podwójne życie docenta Dombrowskiego trwało kilka lat. Podobno wiele razy chciał przyznać się do wszystkiego żonie, ukorzyć się przed nią i poprosić o rozwód, zwłaszcza że Ida zaszła w ciążę i urodziła mu syna. Ale nie znalazł w sobie odwagi, żeby zostawić żonę oraz pierworodnego i odejść do tamtej – namiętnej i nieco szalonej kobiety. Towarzyszka Matylda darła i wyrzucała do kosza wszystkie anonimy donoszące o niewierności jej męża. A Szczepek wyjmował je z kosza, pracowicie składał kawałeczki w całość i czytał. I od tej zakazanej lektury rosła w nim złość na ojca. I nienawiść do Idy. Życzył jej śmierci. Gdy dzwonił kolejny życzliwy, żeby opowiedzieć jego matce, nie szczędząc pikantnych szczegółów, o tym, jak to przy ulicy Polanki pod numerem takim a takim jej wiarołomny mąż chędoży właśnie swoją piękną asystentkę, niejaką Idę M., Matylda, a właściwie Hadassa Miriam Lewicka, rzucała na widełki czarną ebonitową słuchawkę ich domowego telefonu. Zawsze była ponad to. W końcu żyła dla idei. A jak już dłużej się nie dało, zaczęła pić. Wyjmowała z kredensu butelkę wódki, siadała przy kuchennym stole i opróżniała ją, nie bacząc na smutek w oczach syna i rosnącą obojętność męża. A kiedy życie stało się nie do zniesienia, bo wyrzucili ją z partii, oskarżając o syjonizm, i wręczyli ten nieszczęsny dokument podróży w jedną stronę, zabrała syna, trochę książek i wyjechała do Szwecji. Jan miał do nich wkrótce dołączyć. Jak tylko upora się z „tym wszystkim”. Tak mówił. Obiecywał, że pojedą do Ameryki albo do Australii i wreszcie zaczną nowe, wspaniałe życie. We troje. Szczepan w swojej dziecięcej, a właściwie już młodzieńczej naiwności chciał w to wierzyć i mimo wszystko czekał na ojca. Ale niemal zaraz po ich wyjeździe okazało się, że ojciec ma już drugą rodzinę. Nowego syna, nową kobietę. I że wszyscy troje mieszkają sobie w najlepsze w ich dawnym mieszkaniu w Oliwie. A młodszy, przyrodni braciszek Szczepka to nawet śpi w jego łóżku i bawi się jego starymi zabawkami. To wtedy postanowił, że zapomni o ojcu i zatrze wszystkie ślady swojego polskiego pochodzenia, zerwie więzy łączące go z ojczyzną. Nie chciał jednak pójść w ślady rodzicielki, która z Marii Lewickiej-Dombrowskiej przedzierzgnęła się w Miriam Levi. Postanowił poszperać głębiej w rodzinnej historii i dzięki opowieściom matki, których prawdziwość potwierdził po latach także jego ojciec, doszukał się dziadka po mieczu, Gottlieba Dibeliusa, i informacji, że jego ojciec do dwunastego roku życia też nosił to nazwisko, a na imię tak naprawdę miał Johannes, a nie Jan.

I tak narodził się Sven Dibelius, obywatel szwedzki, człowiek podchodzący z dystansem do świata, a zwłaszcza do swoich nielicznych krewnych: coraz bardziej zdegradowanej przez alkohol i depresję matki oraz ojca zmagającego się z chorobą rujnąjącą życie jego młodszego brata, a także z upokarzającym niedostatkiem. Sven pomagał rodzicom, jak mógł, ale był wobec nich oschły, nigdy nie usłyszeli, że ich kocha. Tego słowa nie usłyszała również jego pierwsza żona. Nawet synom, których kochał bardzo, oszczędził nadmiaru ojcowskiej czułości. Anka chyba od początku zaakceptowała jego chłód, zresztą

sama też była skryta, oszczędna w okazywaniu uczuć. Tylko Frida, gdy już była ciężko chora i umierała na jego rękach, słyszała jego ciche „kocham”, które szeptał jej do ucha w tajemnicy przed całym światem. Po jej śmierci bał się bezradności, którą czuł, gdy jego żona umierała, i tego, że złośliwy krawiec zawiadujący ludzkim losem znowu postawi go pod ścianą płaczu i każe mu patrzeć na śmierć następnej bliskiej mu kobiety, do której nieopatrznie za bardzo się przywiązał.

Teraz miał inne zadanie. Równie niewdzięczne. Musiał zająć się bratem poszkodowanym w jakimś wybuchu gazu. Zastanawiał się, czy to zbieg okoliczności, czy naprawdę jakieś cholerne fatum. Bo jak inaczej tłumaczyć fakt, że Jarek i Anna mieszkali w tym samym domu? A jednak chyba tak właśnie było. W myśl zasady, że świat jest mały. Bo taki właśnie jest.

Ubrany w zielony szpitalny fartuch, Sven podszedł do łóżka, na którym leżał Jarosław Martens.

– Jestem – tylko tyle umiał powiedzieć na powitanie.

– To nie była moja wina, to ten pieprzony junkers. I z tym chłopakiem to też nie ja – wyszeptał Jarek. Mówił wyraźnie, chociaż całą głowę miał w bandażach. Widać było tylko jego spieczone usta i duże oczy o barwie wody, takie same, jakie miała jego matka.

– Nic nie mów, nie męcz się. Ja wszystko załatwię. I zostanę tu, jak długo będzie trzeba.

Sven sam się dziwił, że obiecał bratu tak wiele. Dotychczas raczej się nim nie interesował, upchnął go w szpitalu psychiatrycznym, żeby mieć święty spokój, chociaż wciąż czuł ciężar odpowiedzialności. Ale teraz wiedział, że nie może inaczej. Postanowił, że zaopiekuje się tym chorym człowiekiem. Jeśli będzie trzeba, to nawet zabierze Jarka do siebie, do Oskarshamn. Ankę również zabierze. I dziecko, jeśli oczywiście urodzi się żywe (do końca nie mógł uwierzyć w realność swojego późnego ojcostwa). Zamieszkają wszyscy razem. Jego dom jest przecież wystarczająco duży. Już podjął decyzję. I nic jej nie zmieni. Teraz będzie musiał porozmawiać na temat stanu zdrowia brata z lekarzem. Potem oddzwoni do Marianny Baumann, bo próbowała się z nim skontaktować.

Sergiusz długo nie umiał przekonać Madzi, żeby wróciła z nim do domu, zamiast poszukiwać w szpitalu tej swojej Weroniki.

– To nie ma sensu!

– Co nie ma sensu? Co? Przecież Weronika jest moją przyjaciółką, nie mogę jej tak zostawić!

– Uspokój się. Odwiozę cię do domu i sam jej poszukam. – Sergiusz jak najszybciej chciał się ulotnić z tego feralnego miejsca. Miał do napisania artykuł, a poza tym musiał odpocząć. Od wszystkiego. I wcale nie zamierzał jeździć po szpitalach i poszukiwać tej Madzinej Weroniki. Nie lubił tej kobiety. Taka jakaś niezdecydowana była, rozmamłana. Życiowo i nie tylko. Tylko się upewni, czy w ogóle żyje, bo tej informacji potrzebował do artykułu. Reszta zupełnie go nie obchodziła. Na dobre wrócił do żony. Do domu. Dość miał Gosi i jej wybujałego temperamentu. Imponowała mu, to fakt. W jej świecie czuł się podekscytowany, ale na dłuższą metę go męczyła.

Madzia w końcu dała się zapakować do auta. Gdy ruszyli spod domu Weroniki, pomyślała, że może jeszcze między nią a Sergiuszem się poprawi. W końcu tak czule sadowił ją w tym swoim aucie. Prowadził spokojnie, uważnie. Cały on. Zrównoważony. Poukładany. I wciąż taki przystojny. Tylko co ona mogła mu dać? Była do niczego. Wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek. A jednak gdy już byli

w mieszkaniu i Sergiusz chciał pojechać do szpitala dowiedzieć się o zdrowie Weroniki, Madzia zatrzymała go. Dzieci były dziś poza domem. Adrian na zielonej szkole na Kaszubach, a Antonina z koleżankami w Krakowie. Przynajmniej taka była oficjalna wersja, w którą podejrzliwa Madzia ani trochę nie wierzyła. Zrzędziła od rana, gdy córka się pakowała, że pewnie jedzie się szlajać z jakimś gachem. Ale Tosia puszczała te uwagi mimo uszu. Lekceważyła ją. Jak wszyscy. Teraz jednak Magda cieszyła się, że zostali sami. Marzyła o tym, że mąż wreszcie pocałuje ją tu i tam, jak robił kiedyś. Dawno temu. Że wreszcie znów poczuje się kobietą. Mimo wszystko.

– Tak rzadko jesteście sami. Zostań, proszę, jeszcze chwilę. – Od dawna nie mówiła do męża takim miękkim tonem, z tą swoją charakterystyczną chrypką, którą kiedyś tak lubił. Bo zawsze oznaczała, że Madzia ma na niego chęć. Sergiusz popatrzył na nią uważnie. Nie zachowywała się tak od wypadku.

– Naprawdę tego chcesz? – zapytał wprost.

– Tak. – Magda zaczerwieniła się jak podłotek, co dodatkowo go zachęciło. Nagle jego niepełnosprawna żona wydała mu się o wiele bardziej ponętna niż Gosia Herbst, z tymi jej sztucznie powiększonymi cyckami i odessanym z pośladków i ud tłuszczem, z ustami rozdętymi do granic możliwości za pomocą zastrzyków z botoksu. Artykuł o tajemniczych wydarzeniach, które miały miejsce w ciągu ostatnich kilku dni w starym, poniemieckim domu przy ulicy Polanki, mógł poczekać. Sergiusz usadowił żonę w wygodnym fotelu i zaczął rozpinać jej bluzkę.

Znowu czuł się dobrze u siebie w domu. I ze sobą czuł się dobrze. Teraz mógł zająć się pasjonującą sprawą, właściwie kryminalną, którą od jakiegoś czasu rozpracowywali wspólnie z komisarzem Ulińskim. Nie wtajemniczył jednak starego policjanta w sedno całej łózkowej afery jego niewydarzonego przybocznego Bodziocha Waldemara, jak mówił o nim z przekąsem, celowo stawiając nazwisko przed imieniem. Nie znosił tego typu. Jeszcze żaden dupek nie odbił mu kobiety. A Bodzioch, ten nieciekawo osiłek, półmózdzek, zdołał tego dokonać. Ale szkoda czasu na Bodziocha i na Gosię. Było, minęło.

Teraz musiał uporządkować zebrane materiały. Pracował starą metodą. Fiszkową. Zostało mu to ze studiów na wydziale historycznym uniwersytetu toruńskiego. Szkielet kobiety znaleziony w piwnicy starego domu przy Menonickiej na Biskupiej Górze mógł należeć do zaginionej w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku Idalii Grety Martens, asystentki i nieoficjalnej żony profesora Jana Dombrowskiego. Sergiusz opublikował niedawno artykuł o tej kobiecie, zatytułowany *Ida*, który narobił sporo hałasu. Ale o rodzinnych koneksjach Idy niewiele napisał, chcąc zachować się etycznie. Gdyby Gosia miała jego wiedzę, z pewnością popełniłaby artykułik na temat Idy M., kochanki profesora D., której zaginięcie podczas grudniowej zawieruchy tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku niektórzy traktowali jako esbecką zemstę na naukowcu, wciąż nie do końca pokornym wobec partii i innych wiodących sił narodu. Chociaż, zdaniem Sergiusza, bardziej prawdopodobne było, że Ida mogła być jedną z niezidentyfikowanych ofiar czarnego Grudnia, pospiesznie pochowanych przez funkcjonariuszy w jakimś nieoznakowanym grobie. Jednak śledztwo prowadzone przez komisarza Ulińskiego i rekonstrukcja twarzy kobiety z Biskupiej Górki pozwalały przypuszczać, że to jednak szkielet Idy. Niestety, dysponowali tylko jednym jej zdjęciem, zrobionym chyba zaraz po maturze, w dodatku retuszowanym. Przydałyby się jakieś badania genetyczne, ale jedyny krewny Idy – jej brat Eryk – mieszkał podobno we Fryzji, dokąd ani Uliński, ani Moźdzzonek przecież się nie wybiorą, bo nikt im takiej eskapady nie sfinansuje. Był jeszcze jeden trop: syn Idy, niejaki Jarosław albo raczej Jens. Ale ten gdzieś wsiąkł, chociaż Uliński wciąż miał nadzieję, że go odnajdzie. Miał zamiar go przesłuchać w sprawie śmierci pewnego chłopaka. Co prawda okazało się, że gówniarz umarł śmiercią naturalną

i wykluczono udział w zdarzeniu osób trzecich, lecz Uliński dysponował bardzo niepokojącym zeznaniem niejakiego Saturnina Bućki, sąsiada matki tego chłopaka. Facet twierdził, że kochankiem Weroniki Siembidy był właśnie Jarosław Martens. Sugerował też, że Martens zabił syna swojej kochanki z premedytacją. Dowodów na to jednak nie było. Wręcz przeciwnie – sekcja zwłok niezbitcie wykazała, że chłopak zmarł z powodów naturalnych, i śledztwo trzeba było umorzyć. Ale Uliński, który wciąż nie mógł zapomnieć o tej sprawie, po cichu szukał Martensa. Chociaż teraz chodziło mu przede wszystkim o Idę, a właściwie o ten szkielet. Wystarczy pobrać próbkę od Jensa i zagadka będzie rozwiązana.

REORGANIZACJA

Reorganizacja. Nie znam gorszego słowa – westchnęła Gosia. – Zwolnią nas, zobaczysz, zwolnią jak nic. Stąporka już posunęli, teraz to będzie efekt domina. Polecimy wszyscy. Wymiotą staruchów. Żeby zrobić miejsce młodemu. To znaczy swojemu.

– Co ty zrobisz, Gosiu, jak rzeczywiście cię posuną? – zapytał Sergiusz z udawanym smutkiem i równie nieszczerą troską. Tak naprawdę Gosia nie obchodziła go już ani trochę.

– Nic nie zrobię. Palcem w bucie nie kiwnę.

Była zdolowana jak nigdy. Dotąd wszystko wokół niej było takie kolorowe, ciekawe. Cały czas gnała do przodu. A teraz czekał ją koniec błyskotliwej kariery. I to bardzo marny koniec. Bezrobocie. Bo przecież dziennikarki po pięćdziesiątce nikt nigdzie nie zatrudni. Będzie siedzieć w domu, który nawet nie należał do niej, lecz do banku. Nieopatrznie wzięła kredyt we frankach szwajcarskich. I jak nie będzie go spłacać, to jej ten dom zabiorą. Wyląduje pod mostem z gołym tyłkiem. I nikt się o nią nie zatroszczy. A już na pewno nie jej córka, amatorka drakońskich diet, zbzikowana anorektyczka, z jakimś felerem w głowie, kolejna nikomu niepotrzebna pacjentka szpitala psychiatrycznego, wstyd i hańba dla rodziny. A przede wszystkim dla niej, dla matki, bo się nie sprawdziła, nie dała rady ukształtować jedynaczki, jak należy. Może dlatego, że nie wiedziała, co to znaczy dobrze wychować córkę. Jej mama starała się, żeby została bogobojną katoliczką. Żeby miała męża i gromadkę dzieci i w każdą niedzielę oraz święta podążała z nimi na sumę. I co z tego wyszło?

Prawda była taka, że tylko praca trzymała Gosię w pionie. Ale przecież zapowiedzieli reorganizację. A to oznaczało likwidację, ostateczne rozwiązanie. Nowy pan prezes już liczył forszę, którą zaoszczędzi na tych wszystkich starych i zużytych babach po czterdziestce, lub co gorsza – po pięćdziesiątce. Ale zanim ogłosi ostateczny wyrok, może się jeszcze przez kilka dni pobawić z nimi w kotka i myszkę, żeby to dziennikarskie barachło dostało rozwolnienia albo wrzodów żołądka i spać nie mogło po nocach. Niech im się trzęsą nóżki w galarecie i flaki niech im się przewracają w oleju. Część pewnie tego nie wytrzyma i zapije. Albo zaćpa. Wpadnie w kolejne tarapaty i w koszty. Ale firma zaoszczędzi. Potem zatrudni młodych. Nowe pomysły, mniejsze koszty. I o to przede wszystkim chodzi. O kasę. Choć z tymi młodymi to różnie bywa. Gosia wiedziała to najlepiej.

Taka na przykład Agnieszka. Niestety, tydzień temu trzeba ją było ulokować w szpitalu. Wstyd i hańba, jak powiedziałyby mama Gosi, gdyby o tym wiedziała. Ale nie wiedziała. Bo Gosia nie była w ciemni bita. O kłopotach z dorosłą już córką nikomu nie opowiadała. Chwały jej to nie przynosiło. Jako matce. Ale jednak mogła tej swojej córuchy lepiej pilnować. Mieć z nią kontakt. Jednak wołała wypchnąć ją z domu. Najszybciej, jak się dało. Byleby mieć ją z głowy. Nigdy nie umiały się ze sobą dogadać. Każda ciągnęła w swoją stronę. Wołała więc po prostu dawać jej pieniądze. Niech sobie radzi sama. Niech popróbuje dorosłości. Nacieszy się nią. Niestety, zamiast cieszyć się swoim życiem i młodym ciałem,

Agnieszka lubiła je niszczyć, katować. Byleby jej było mniej. Byleby osiągnąć ideał. No to osiągnęła.

Gosia była zbyt zajęta sobą, żeby zauważyć, że coś niepokojącego dzieje się z dziewczyną. Niezbyt często odwiedzała córkę w mieszkaniu babci Romci, jak mówiła Agnieszka o dużym apartamencie będącym własnością Romy Herbst, która od ponad roku pomieszkiwała w Izraelu z byłym mężem i jego drugą żoną. Cudowne, wielce egzotyczne trio. Gosia też by tak chciała. Morze, plaża, śródziemnomorski klimat. I żadnych trosk. Żadnych zmartwień. Nie trzeba pracować ani spłacać tych sum bająskich, cholernych rat kredytu we frankach i martwić się, że kurs znowu skoczył, a skoczyć może jeszcze wyżej i co wtedy? Trzeba będzie znowu zrobić kilka małych kroków wstecz albo nawet jeden duży. Roma Herbst nigdy nie musiała się martwić takimi przyziemnymi sprawami. Mało ją obchodziło, że jej jedyna wnuczka cierpi na anoreksję i jest pacjentką szpitala psychiatrycznego na Srebrzysku, a synowa za kilka dni może stracić posadę. Bardzo ciepłą posadę i nieźle płatną. Na domiar złego będzie musiała zamieszkać razem z córką, to znaczy zaakceptować fakt, że Agnieszka z powrotem pojawi się w jej domu przy ulicy Polanki. Swoją drogą, to szczyt szczytów, żeby dorosła kobieta mieszkała u matki, zamiast się usamodzielnic i wreszcie wyfrunąć z gniazda. Była na to szansa, ale niestety – Jakub Herbst wraz ze swoją drugą żoną i synkiem Dawidkiem właśnie wprowadził się do mieszkania babci Romci, które niestety było również jego mieszkaniem. Dotąd przemieszkiwał u tej swojej nowej żony, gdzieś tam, na peryferiach, w blokowisku, ale teraz to mniejsze mieszkanie postanowili wynająć, a sami zamieszkali przy Jaśkowej Dolinie. Gosia już nawet chciała zadzwonić do Romy. Teściowa zawsze była krytyczna wobec swojego syna i mogła zdecydować, że mieszkanie zostanie podzielone między niego i Agnieszkę, jej wnuczkę. Wtedy Kuba musiałby Agnieszkę spłacić albo sprzedać apartament przy Jaśkowej Dolinie i podzielić się z córką pieniędzmi. Tak byłoby najuczciwiej. W końcu Kuba, jako ojciec, był coś Agnieszce winien. I Roma też. Ale babunia umyła ręce. Wolała leżeć na leżaku w Hajfie, wystawiać swoją pomarszczoną twarz do słońca i nie mieszać się w trudne rodzinne sprawy. Zapewne wszyscy Herbstowie uważali, że odpowiedzialność za Agnieszkę spoczywa wyłącznie na barkach Gosi. Bo Kuba to Kuba. Nieodpowiedzialny był, jest i będzie. W dodatku z chorobą alkoholową, chociaż przy tej nowej kobiecie, zdaniem Gosi, zupełnie nieatrakcyjnej i pospolitej, pił jakby mniej. I całą uwagę skupiał na Dawidku. Dawidek to, siamto, owamto. Tylko o tym berbeciu potrafił gadać. Starzy Herbstowie w tej swojej Hajfie też pewnie się cieszyli, że w końcu doczekali się wnuka płci męskiej. Niczego dobrego nie spodziewali się już po swoim synu, a tu taka miła niespodzianka. Ród Herbstów nie wyginie dzięki małemu Dawidkowi.

Gosia musiała jakoś poprawić sobie nastrój. Nalała do kieliszka trochę białego wina, ale to niewiele pomogło. Wybrała więc numer, którego nie powinna wybierać. Obiecywała sobie to już kilka razy. Że to koniec. Że więcej się z nim nie spotka. Ale niestety ciągle łamała te przyrzeczenia. Tym razem też to zrobiła. Ale po drugim sygnale rozłączyła się. W końcu to on powinien odezwać się pierwszy. A jeśli tego nie robił, to widać miał powody.

Po chwili oddzwonił.

– Mam przyjechać? – zapytał bezceremonialnie.

Rozłączyła się. Lepiej, żeby nie przyjeżdżał. Ale jeśli jednak się pojawi, to przecież nie zatrzaśnie mu drzwi przed nosem. Położyła się na skórzanej kanapie w salonie. Bardzo bolała ją głowa. To przez te zmartwienia. Dzwonek do drzwi i dźwięk telefonu zabrzmiały jednocześnie. Zerknęła na wyświetlacz. Kuba. Pewnie znów będzie miał do niej pretensje, że nie odwiedziła Agnieszki. Na szczęście ten drugi dzwonek mógł być zapowiedzią czegoś znacznie przyjemniejszego.

Podeszła do domofonu i niskim, nieco ochrypłym głosem powiedziała:

– Halo.

Obudziła się na solidnym kacu. To chyba po tym białym winie. Wyglądała okropnie. Oczy podkrążone. Dobrze, że Waldek swoim zwyczajem wyszedł od niej z samego rana, zanim jeszcze wstała, i nie widział jej w tym stanie.

Usiadła przy kuchennym stole. Powinna szybko się zebrać i pojechać do redakcji, ale nie miała siły. Mdlilo ją. Może to jakaś grypa żołądkowa czy inne cholerstwo? Ledwo dobiegła do łazienki. To było obrzydliwe. Zadzwoi do redakcji, powie, że jest chora, że nie da rady przyjść. Wtedy usłyszała dzwonek do drzwi. To był Kuba. Niestety. Koniecznie chciał z nią pogadać. Sprawa była pilna.

– Nie mogłeś wybrać sobie gorszego momentu na odwiedziny – zaczęła z grubej rury. Miała ochotę wyrzucić go za drzwi. Niech idzie w jasną cholere.

– Nie odbierasz telefonu, więc musiałem przyjść. – Kuba był spokojny, trzeźwy, dobrze ubrany i nawet ogolony, co dawniej rzadko mu się zdarzało. Zmienił się. To był zupełnie inny facet niż ten, którego znała. Ojciec Dawidka, mąż Honoraty. Znany jej Alko Kuba gdzieś zniknął. Ten nowy był zupełnie inny. Podobno wziął się nawet do jakiejś pracy. Dorabianie kluczy czy coś takiego. Śmieszne trochę. Zajęcie zupełnie niepasujące do dawnego Kuby, niespełnionego, wysoko aspirującego literata. Ale temu nowemu najwyraźniej służyło uregulowane życie tatuśka i żonkosia. Nawet auto kupili, ale to ona prowadziła, bo Kuba prawka nie zrobił i pewnie już nie robi. Na szczęście Honorata Herbst i prawko miała, i chyba jakąś kasę na to całkiem przyjemne auteczko. Kto wie, czy go tu nawet dzisiaj nie podwiozła i nie czekała na niego w samochodzie na dole? To podobne do Kuby tak wykorzystywać kobietę.

Usiedli w salonie. Nie zaproponowała mu kawy. Ani wody. Żadnej kurtuazji. Ubrana tylko w szlafrok, rozczochrana, rozwaliała się na kanapie i podwinęła nogi. Po chwili głośno kichnęła.

– Na zdrowie. – Kuba wykorzystał kichnięcie Gosi, żeby jakoś zacząć rozmowę, chociaż czuł opór byłej żony, która nie patrzyła mu w oczy, lecz gdzieś obok niego, a mowa jej ciała wyrażała niechęć do konwersacji. – Nie zajmę ci dużo czasu. Rozmawiałem z Agnieszką. Postanowiła wyjechać z Polski.

– To może dobrze – odparowała Gosia. – Usamodzielni się trochę. Języka się poduczy. Ja już nie mam siły jej holować, też mam swoje sprawy.

– Właśnie widzę. Masz swoje sprawy łóżkowo-alkoholowe i masz gdzie naszą córkę! – Kuba musiał to wykrzyknąć, powiedzieć jej prosto w oczy – że jest złą matką, że to przez nią Agnieszka trafiła do szpitala psychiatrycznego. Jego zdaniem to wszystko była wina Gosi i tych cholernych gachów, którzy przewalali się przez jej dom. Jeden za drugim.

– Ja mam gdzieś? Ja?! – wykrzyzczała tymczasem Gosia. – Tatusiek się odezwał! Może Aga nie chciałyby stąd uciec, gdyby miała gdzie mieszkać. Gdybyś się z tą swoją grubą babą nie zwalił do mieszkania po dziadkach, które powinna dostać nasza córka. Twoja córka, Kuba.

– Aga ma gdzie mieszkać. Tutaj chyba miejsca nie brakuje! Tylko ty wypchnęłaś ją stąd najpierw do tego chłopaka, a potem na Jańskową Dolinę. Byłe mieć córkę z głowy i móc się łajdaczyć ze swoimi gachami!

– No, Kubuniu, tak to nie będziemy rozmawiać! Wychrzanasz stąd, i to szybko, bo zadzwonię po policję! – Gosia trzęsła się ze złości. Zrobiła gwałtowny obrót, tak niefortunnie, że odsłoniła się jej lewa pierś. Cała pokąsana przez Waldka.

Kuba trochę się zawstydził. Za jego kadencji Gosia miała znacznie mniejszy biust. No i nigdy nie było na nim widać śladów gorących igraszek. Bo też ich igraszki nigdy nie były zbyt gorące.

Po wyjściu Jakuba Gosia długo nie mogła dojść do siebie. Powiedział jej prawdę, a prawda w oczy kole. Ale przecież nie miał prawa tak do niej mówić, skoro sam też zaniedbywał córkę. Od wielu lat. Postanowiła, że jakoś się pozbiera z tego kaca i pojedzie do szpitala. Powinna porozmawiać z Agnieszką.

Zastanowić się, co dalej. Jak żyć?

Agi nie było w szpitalu. Wypisali ją na własne żądanie. Gdy Gosia próbowała się kłócić z lekarzem prowadzącym, że wypuścił chorą dziewczynę bez powiadomienia jej matki, pan doktor z rozbijającym uśmiechem powiedział, że skoro nawet nie odwiedzała córki, to nie widział powodu, żeby się z nią konsultować. „Bo przecież różne są matki, pani rozumie”, tak powiedział, skubaniec. Drugi taki bezczelny facet w ciągu jednego dnia. Tego już było za wiele. Ponieważ Agnieszka nie odbierała telefonu, Gosia zadzwoniła do Kuby. Ale on też nie odpowiadał. Obraził się. Cholerny paniczyk! Nie było wyjścia, musiała się pofatygować na Jańskową Dolinę, bo pewnie tam była Aga. W domu swojego tatusia alimenciarza. Jak nic bawiła cudnego Dawidka, który ją wysiadał z mieszkania po dziadkach.

W Gosi złość aż kipiała. Wbiegła po schodach i dwa razy nacisnęła dzwonek. Szybko, nerwowo. Niech otwierają, te cholerne Herbsty!

Przez chwilę za drzwiami panowała cisza. A potem usłyszała tupot małych stópek. To pewnie on. Ten cholerny niewinny winowajca. Drzwi otworzyła Honorata. W podomce, rozczochrana. Obok niej stał Dawidek, wpijając małą łapkę w matczyną łydkę. Patrzył ze zdumieniem na Gosię. Chyba trochę się jej przestraszył. Gosia poczuła jakiś nowy zapach dobiegający z wnętrza mieszkania teściowej. Pospolita woń przypalonej kaszki i dziecięcej oliwki. Dawniej w mieszkaniu Romy unosił się zapach jej piżmowych perfum i pudru, buduaru starszej damy. Gosia go lubiła. Natomiast to, co poczuła teraz, kojarzyło jej się z bylejąkością, od której uciekała przez całe życie.

- Ale Jakuba nie ma, proszę pani... – zaczęła Honorata niepewnie.
- Przyszłam do mojej córki – rzuciła ostro Gosia bez słowa przywitania.
- Ale Agi też tu nie ma.
- A gdzie, do jasnej cholery, jest?
- Jak to? To pani nie wie?
- Czego nie wiem?
- Agnieszka jest u dziadków.
- U jakich dziadków, do jasnej ciasnej!
- No w Hajfie jest. U pani Romy i pana Lejba. Bo pani Vered ją zaprosiła. Ona jest taka dobra i gościnna. Agnieszka dzwoniła dziś do nas po wylądowaniu w Tel Awiwie. Teraz to chyba już jest w Hajfie.

MOJA NAJMILEJSZA

Nie zabrała ze sobą Nikodema. Smutno będzie bez niego, ale przecież nie mogła pojechać do matki do szpitala z kotem. To było zabronione. U Mańki też nie chciała go zostawiać. W ogóle nie chciała z nią gadać, bo i po co? Dlatego Nikodem został u Zagrobego. Jego matka bardzo się ucieszyła. „Zostawiam go tylko na kilka dni”, zaznaczyła stanowczym tonem właścicielka Nikusia. Ta cholerna *Snow Princess* (równie chłodna i nieprzystępna jak królowa śniegu). Pani Monika tak właśnie myślała o najpoważniejszej, jej zdaniem, pretendencie do roli kolejnej pani Zagrobnej. O swojej rywalce. Nazywała ją tak jedynie w myślach, bo tak naprawdę nigdy nie miała okazji porozmawiać z Anką. Z wyjątkiem tego jednego razu, gdy ta królowa śniegu, albo raczej lodu, powiedziała jej, że Nikodem zostanie u nich tylko na chwilę. I wtedy pani Monika posmutniała.

Bez kota Anka czuła się jeszcze bardziej samotna niż zwykle. A do tego martwiła ją opuchlizna na nogach. Nie dało się ani stać, ani siedzieć, ani leżeć. Wszystko ją bolało, całe ciało. Takie obrzmiałe. I cały czas była zła na Mańkę, że ta próbuje organizować jej życie. Wydzwaniała do niej wczoraj z pięć razy. I truła, truła, truła. Koniecznie chciała porozmawiać w cztery oczy. Tylko o czym? Bo Anka nie miała jej nic do powiedzenia. Była zdumiona tym, że jej przyrodnia siostra zaczęła odgrywać rolę samarytanki. Cholernej siostry miłosierdzia. Wyczuwała w tym fałsz. A może znów chodziło o jakiś geszefcik mały lub większy? Takie osoby jak Marianna Baumann we wszystkim potrafiły dostrzec swój interes, a potem ubijać go z całą bezwzględnością. Może więc opieka nad Grażyną była częścią jakiegoś większego, ważniejszego planu? Mańka po prostu chciała ją upokorzyć, pokazać całemu światu, że Anka jest nieczułą, wyrodną córką, która porzuciła matkę i nawet w chorobie nie raczyła jej odwiedzić.

Pociąg zbliżał się do stacji Warszawa Wschodnia. Ance przemknęło przez myśl, że powinna wysiąść właśnie tu, a nie na Centralnej, i uciec. Ale dokąd? Do mieszkania, w którym od początku czuła się źle? Sama nie rozumiała, co ją tam trzymało. Przecież nie powinna wchodzić w prywatne relacje z Zagrobnym. Dawać mu powodów do skracania dystansu, a właściwie do przekraczania wszelkich granic. Czuła się od niego uzależniona, nie tylko dlatego, że był jej lekarzem, ale przede wszystkim z powodu tych zupełnie niepotrzebnych poufałości, do których sama dopuściła. Była naiwna, sądząc, że to po prostu miły, uczynny człowiek, który pomoże jej przejść przez trudny okres ciąży. Tylko tyle i aż tyle. To było głupie i nieodpowiedzialne.

Ostatecznie wysiadła na Centralnej. Stąd będzie bliżej na Kasprzaka. Zastanawiała się, dlaczego Grażyna woli leżeć właśnie tam, w tym ponurym, starym, niegdyś żydowskim szpitalu? Podobno nie chciała na Szaserów, do kliniki rządowej, gdzie starała się umieścić ją Marianna. Przyrodnia siostra Anki nie mogła zrozumieć uporu Grażyny. To było takie nieracjonalne – wybrać gorsze miejsce zamiast lepszego. Ale to właśnie była cała Grażyna. Zawsze wolała być na swoim. Teraz pewnie dogorywała na szpitalnym korytarzu. I przeklinała na czym świat stoi, że nie może sobie zapalić. Biedna stara, pomyślała

Anka. Rzecz w tym, że Grażyna wcale nie była taka stara. Nie miała jeszcze sześćdziesiątki. Ale podobno była bardzo wyniszczona – tak twierdziła Mańka. „Musisz przyjechać, porozmawiać, może ciebie posłucha i zechce zmienić szpital”, powtarzała. „Przecież to bez sensu, żeby sobie samej szkodzić”. Była słabym psychologiem. Grażyna przez całe życie z upodobaniem rujnowała samą siebie. Niszczyła swoje zdrowie, urodę. I to nie tylko paleniem papierosów. Przede wszystkim tym, że nawet jej do głowy nie przyszło uciec z szemranej dzielnicy, od ojca – okrutnika i sadysty, który od dzieciństwa ją dręczył i prawdopodobnie molestował. A przecież z łatwością mogło jej się udać. Była młoda, atrakcyjna, energiczna, nie brakowało jej fantazji i pomysłów. Jednak uparcie trzymała się swoich korzeni, tego brudnego pod każdym względem mieszkania, starych mebli, pochodzących jeszcze z powojennego szabru, na których znać było ślady krwi. Anka, która przez całe życie uciekała od tego niechcianego dziedzictwa i od matki będącej jego najważniejszą częścią, nie potrafiła tego zrozumieć. Gdyby mogła, jeszcze dziś sprzedalaby to feralne lokum razem ze starymi gratami z demobilu. Ale dla jej matki to był cały świat. Sąsiadki, którym stawiała karty, i stary kioskarz. To u niego kupowała papierosy, jeszcze jako młoda dziewczyna, po kryjomu przed ojcem.

Anka wiele razy obiecywała sobie, że tam nie wróci. Zwłaszcza teraz, gdy była pochłonięta walką o wszystko, co najważniejsze. O Marysię. Żeby się urodziła zdrowa. I żeby jak najdłużej miała matkę. Takie sobie ustawiła priorytety. Opieka nad chorą matką nie zmieściła się na liście ważnych spraw. Zresztą dwa lata temu zerwała z nią wszelkie kontakty. I to naprawdę nie była jej wina, że Grażyna nazwała ją żydowicą. Że takie słowo – brudne i knajackie – przeszło jej przez gardło, że plunęła nim we własną córkę. W dodatku chorą. Wyniszczoną. Pozbawioną włosów. Wykrzyzczała to okropne, podłe słowo. I od tej chwili Anka uważała, że ma prawo nie wracać na Gibalskiego. Nawet myślą. Że nie ma już matki. Została tylko Grażyna. Obca kobieta. Zupełnie nieważna. To wtedy coś w niej pękło. Pozostał tylko formalny obowiązek córki wobec matki. I ten wypełniała skrupulatnie. Co miesiąc na Gibalskiego pojawiał się listonosz z przekazem. Bo Grażyna nie chciała brać pieniędzy z konta, musiała dostać do ręki plik banknotów. Od córki. A tak naprawdę od adwokata, który się tym zajmował. I to wszystko. Więcej nic. Ani jednego telefonu. Zdawkowego pytania: Co słychać? Jak się czujesz? Anka nie dopuszczała do siebie nawet myśli, że wciąż ma matkę. Że ona na nią czeka. Na telefon choćby. Na jedno marne słowo. Pewnie Mańka ją za to potępiała. Dlatego ściągnęła ją do Warszawy. Bo pani Baumann zapewne pielęgnowała w sobie to nieznośne, mieszczańskie poczucie obowiązku wobec rodziców. Zwłaszcza wobec matki. A także poczucie przyzwoitości, dbałość o formy, które koniecznie trzeba zachować, nawet jeśli są całkowicie pozbawione treści. A przecież to treść była ważna. Przynajmniej dla Anki. Dlatego właśnie nikomu nie wspominała o matce. Ani Zagrobnemu, który ją wypytywał o rodzinę, ani nawet Svenowi, który miał zostać ojcem jej dziecka. A więc kimś bliskim. Ale przecież nie mówili sobie o takich sprawach. Zbyt osobistych. To była część ich porozumienia bez słów. Nie mówić o sobie. Bo to może zabołec. Zupełnie niepotrzebnie.

Na Kasprzaka pojechała taksówką. Taryfą, jak by powiedziała Grażyna i pewnie byłaby oburzona, że jej córka niepotrzebnie szasta pieniędzmi. Zawsze gdy zamawiała taksówkę, czuła takie dziwne ukłucie. Przypominało jej się, jak matka ciągnęła ją za rękę i powtarzała, że jeśli jej zimno, to powinna iść szybciej. Żeby się rozgrzać. A ona, pochlipując, prosiła, żeby wsiadły do jednej z tych pięknych, lśniących taksówek, które stały na postoju. Był chyba styczeń, mroźny, wietrzny dzień, czuła, że jej stopy zamieniły się w dwa maleńkie lodowce. Ale Grażyna była nieubłagana. Jak zawsze, nie tylko w kwestii taksówki.

Trzasnęła drzwiczkami, zostawiwszy taksówkarzowi napiwek. Niech ma, niech się cieszy. Nie zносиła tego Wichurowego skąpstwa. Oszczędzania, na czym tylko się dało, niepłacenia za komitet rodzicielski w szkole, niechodzenia do restauracji, a jeśli już, to tylko na cudzy koszt. Czasem śniło jej się, że znów

nauczycielka pyta przy całej klasie: „Kiedy wreszcie przyniesiesz pieniądze na komitet rodzicielski i dlaczego matka nie kupi ci chińskich tenisówek na wuef, nawet tych najtańszych?”. Teraz miała na sobie dość drogą sukienkę ciążową i specjalne buty na płaskiej podeszwie. Trochę babciowate, ale w innych jeszcze bardziej puchły jej nogi. Bolało ją w krzyżu, ale najbardziej wstydziła się tej chustki na głowie. Znowu będzie się czepiać, że jestem łysa i w tej okropnej chustce, pomyślała. Pewnie powie, że choroba wróciła, bo zaszłam w ciążę. I sama jestem sobie winna. To byłoby w jej stylu. Nawymyślać córce, że śmiała zająć w ciążę. W dodatku tuż przed czterdziestką, gdy już nie pora na takie ekstrawaganckie wyskoki. Bo tylko jakieś nieszczęście z tego może być. Jakiś down albo coś jeszcze gorszego. I mówiąc to wszystko, będzie potrząsać tą swoją bujną czupryną.

Długo nie mogła jej odnaleźć. Obeszła wszystkie sale, zaczynając od tej, którą wskazała jej dyżurna pielęgniarka. Ale nigdzie jej nie było. Może poszła do toalety? Pewnie trudno jej wytrzymać w pozycji leżącej. Zawsze ją nosiło. Musiała wywijać tymi swoimi długimi nogami. Taka była, a właściwie jest – niedoszła primabalerina, cyrkówka, której obiecującą karierę przerwał niechciany dzieciak. Anka poruszała się z coraz większym trudem. To przez te spuchnięte nogi. Było jej duszno, chociaż zaczął się czas pierwszych jesiennych chłódów. Pociła się, jakby panował upał. Dotąd zwykle marzyła o tej porze, jednak teraz wszystko było na opak.

Poznała ją po włosach. Leżała bezwładnie na szpitalnym łóżku, zgodnie z przewidywaniami Anki – na korytarzu. Zupełnie zmieniona na twarzy, jakby w jednej chwili postarzała się o wiele lat. Niepodobna do dawnej Grażyny, do jej matki. Tylko te włosy, o płomiennorudej barwie, pozostały witalne. Dawniej gwałtowna, dynamiczna, uparta, teraz leżała, jakby nieprzytomna, całkowicie pozbawiona energii, nieobecna. Anka bała się podejść, spojrzeć na nią z bliska. Na te wijące się włosy. Nadal bardzo piękne, zupełnie niepasujące do szpitalnej rzeczywistości. Wreszcie stanęła przy jej łóżku. Chora leżała z zamkniętymi oczami. Była wychudzona. Anka patrzyła na długie, przeraźliwie kościste i żyłaste ramiona Grażyny i na jej zniszczone, choć jak dawniej piękne dłonie. Ktoś obciął jej paznokcie – zawsze miała długie szpony, pomalowane czerwonym lakierem.

Anka czuła się winna. Zostawiła ją. Na próżno przez ten cały czas przekonywała się, że nie ma między nimi bliskości. Była. Mimo wszystko była. I teraz, stojąc przy łóżku swojej matki, wyraźnie to czuła. Że są sobie bliskie, choć tak niepodobne. Chociaż wszystko je dzieliło. Tak jej się przynajmniej wydawało. Gdy obwiniała matkę o całe zło w swoim życiu. O to na przykład, że zostawiła ją wtedy z Wichurą. A przecież wiedziała, czym to grozi. Ale występy w objazdowym cyrku były dla niej ważniejsze niż „głupi bachor”. Siedziała, jak zwykle, przed lustrem i malowała paznokcie, te swoje długie szpony. To była stara, toporna toaletka. Dar od Marysi Wichury. Pewnie jeszcze stoi gdzieś w kącie, w mieszkaniu przy Gibalskiego. Wichura pomalował ją na czarno. Stary zawsze lubił takie cmentarne klimaty. Gadał, że minął się z powołaniem, bo powinien zostać grabarzem. I może dlatego nawet toaletka w ich domu wyglądała jak trumna. Dziewięcioletnia Ania bała się tego starego mebla. Patrzyła, jak matka dokleja sztuczne rzęsy. Żeby się podobać różnym panom, którzy dużo mogą. Jeszcze tylko pociągnie pomadką usta, przypudruje nos i będzie gotowa do drogi. A Ania, mała, nieznośna Ania, wciąż plątała się pod nogami i powtarzała: „Mamo, weź mnie ze sobą, ja nie chcę z nim zostać, ja się boję. Mamo, proszę cię!”. Grażyna jednak była odporna na to dziecięce skamlenie. Była nieugięta. Niech się dziecko życia nauczy, dotąd chowane w puchu, pod kloszem przez Maryskę Wichurę. Niech zobaczy, jak to naprawdę w życiu jest. Grażyny też nikt nie przytulał i nie chronił przed złem wszelakim. Wręcz przeciwnie. Była nanie wystawiona od samego początku. Delikatnie odepchnęła córkę: „Nie przeszkadzaj mi, idź się pouczyć”. A gdy mała pochlipywała, spojrzała na nią swoimi wielkimi, smutnymi oczami i potrząsnęła rudymi lokami, a następnie zbliżyła swoją pokrytą pudrem i szminką twarz do twarzy dziecka i wyszeptowała: „Musisz z nim zostać, nie ma innego wyjścia”. Taką ją właśnie zapamiętała. Smutną,

depresyjną i piękną, ale też obcą i daleką. Więc dlaczego tu była? Dlaczego czuła ten dziwny ucisk w gardle, nad którym nie mogła zapanować? Bo to była jej matka. I chyba właśnie umierała. W tym samym wolskim szpitalu, w którym podobno kiedyś urodziła ją – Ankę. Prawie czterdzieści lat temu. To był ciężki, kleszczowy poród. Wtedy lekarze się nie patyczkowali, jak dzieciak nie chciał wyjść na świat, to się go brało w kleszcze i się wyciągało. Za łeb. Nieszczęsna przyszła matka, jak się za bardzo darła, to słyszała od personelu medycznego takie epitety, że momentalnie się uciszała. A Grażyna miała wtedy niespełna dziewiętnaście lat, właściwie to osiemnaście, i nic nie wiedziała o porodach i o dzieciach. O tym, że to tak strasznie boli, a nowo narodzone dziecko jest małe, czerwone i ciągle się drze wniebogłose, też nie wiedziała. Sama wychowała się bez matki i te wszystkie kobiece sprawy były dla niej jak jakaś *terra incognita*.

Anka pochyliła się nad nią.

– Mamo – szepnęła.

Powieki Grażyny drgnęły. Może usłyszała głos córki. Przecież chyba czekała na nią, liczyła, że jednak w końcu przyjedzie, że to ona zamknie jej oczy, a nie ta obca pani menedżer, Marianna Baumann, która usiłowała wtłoczyć ją w ramki swojej szlachetnej dobroczynności. Szpital MSW na Szaserów, jakiś doktor Zengteler. To nie był świat Grażyny Wichury. Ona wolała do rejonowego, na Wolę, i leżeć na korytarzu, gdzie ludzie przechodzili obok niej obojętnie, nie bacząc, że śpi po kolejnej dawce morfiny, uśmierzającej trudny do zniesienia ból. Najchętniej w ogóle wróciłaby do siebie, na Gibalskiego, żeby tam spokojnie umrzeć w swoim własnym mieszkaniu. Niepotrzebnie zabrali ją do tego szpitala. Chociaż morfinowy sen przynosił jej ulgę. Niestety, nie wolno jej było palić papierosów i stawiać pasjansów. Z drugiej strony i tak samodzielnie już by nie zapaliła, nie mogła unieść głowy ani ruszyć ręką. Ale ktoś naprawdę życzliwy może by pomógł. Zapalił i dał jej się sztachnąć choć parę razy. Gdyby jej córka była inna, może by to zrozumiała i dała jej wypalić tego ostatniego. Przecież nawet skazaniec może mieć jakieś ostatnie życzenie, taki mały kaprys przed śmiercią. Ona miała jeden – puścić dymka.

– Moja najmilsza – westchnęła, patrząc na Ankę, takim czułym, miękkim spojrzeniem jak nigdy wcześniej. A raczej jak bardzo dawno temu, gdy jako młoda dziewczyna pochyliła się nad małą dziewczynką. Żeby wyciągnąć ją z ciemnego kąta, gdzie ustawione było dziecięce łóżeczko. I zanieść do światła. Ku słońcu. Żeby mogły się w nim ogrzać – matka i córka. Ance zadrzała broda. Najpierw lekko, nieznacznie. Niemal niezauważalnie. A potem coraz wyraźniej. W końcu z jej piersi wydobył się szloch, który dławił ją od dawna. – No nie płacz, najmilsza – wyszeptła matka. I po raz kolejny spojrzła na córkę z czułością. Była naprawdę szczęśliwa, że Anka się tu zjawiała. – Chcę papierosa. Raz się sztachnąć... – dodała, a w jej oczach pojawił się ten łobuzerski, młodzieńczy błysk, który Anka zapamiętała z dzieciństwa. Kojarzył się jej z radosnymi momentami, gdy matka zabierała ją na spacer nad Wisłę albo do kina. A w późniejszych latach – do biblioteki po nowe książki. Bo przecież obie lubiły czytać. Grażyna biografie artystów i wszelkie nowości, byle nie łzawe romanse. Anka klasykę.

– Ale ja nie mam papierosów. Tutaj nie wolno palić – jęknęła Anka bezradnie, jak to ona. Chociaż wiedziała, że tę ostatnią wolę matki musi spełnić. Znowu to samo. Od dziecka była wysyłana po te cholerne fajki. Znajomy kioskarz sprzedawał dziecku śmierzące, chyba najtańsze, popularne. Wiedział, że to dla pani Grażynki, tej pięknej, rudej artystki, która mieszkała niedaleko.

Wyszła ze szpitala, by znaleźć kiosk. Szła z trudem. Od rana miała jakieś dziwne skurcze. Powinna pójść do lekarza, coś mogło być nie tak. Ale przecież ten dzień był dla jej matki. Więc szukała kiosku. W końcu się udało. Kupiła paczkę papierosów i zapalniczkę. To były vogi z niebieską kropką. Ance wydawało się, że Grażyna właśnie takie pali.

Wracała ze swoją zdobyczą, z trudem brnąc po schodach, a potem znów korytarzem. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Jakaś pielęgniarka zwróciła na nią uwagę. Zaproponowała szklanek wody.

Powiedziała też, żeby usiadła, bo w jej stanie nie można się przemęczać. To może zaszkodzić maleństwu. Ale Anka szła dalej – długim korytarzem, aż wreszcie dostrzegła płomienistą czuprynę matki. Zawsze myślała o niej zaimkowo: ONA, nigdy matka, czasem nawet Grażyna, po prostu. Bo zwracać się do niej „mamo”, „mamusiu” przez długie lata nie potrafiła. I teraz, gdy stała tuż obok tego szpitalnego łóżka, które zapewne było łóżem śmierci Grażyny Wichury, miała przed sobą najtrudniejsze zadanie. Musiała zapalić papierosa, czego nigdy wcześniej nie robiła, i dać się matce sztachnąć. Taką ostatnią misję wyznaczyła jej rodzicielka – jak zwykle niewdzięczną i ponad siły Anki. Każdy ruch wiązał się z dużym wysiłkiem, cały czas coś ją ciągnęło w dole brzucha, miała mroczyki przed oczami i zaczęło jej szumieć w uszach. Ale twardo stała przy łóżku. Rozejrzała się dookoła, czy nie idzie jakaś pielęgniarka. Potem wzięła papierosa do ust i trzęsącymi się dłońmi usiłowała go zapalić.

Chora nieco się ożywiła. Anka miała wrażenie, że z politowaniem patrzy na jej daremne wysiłki. Pewnie pomyślała, że ona to nawet papierosa nie umie zapalić, niedojda, fajtłapa. Przecież zawsze tak źle myślała o swoim jedynym dziecku, chyba nie umiała inaczej. W cyrku uczą różnych sztuczek, ale nie rodzicielskiej miłości.

Ale twarz Grażyny wyrażała tylko czułość. Dopiero teraz dostrzegła wielki brzuch Anki. Zapomniała, że jej córka jest w ciąży, tyle się ostatnio działo. Stanowczo za dużo. Znaczy, że dziecko będzie. Jej wnuk albo wnuczka. Już go pewnie nie zobaczy. Życie zatacza krąg – jedni odchodzą, drudzy przychodzą, przemknęło jej przez głowę. Może to jest ten jedyny raz, gdy są tu razem, całą rodziną, trzy pokolenia. W tym starym szpitalu, gdzie się obie urodziły. Ona i jej jedyna córka.

– Daj, pokażę ci, jak się zapala. Musisz wciągnąć. – Grażyna z trudem uniosła głowę i wzięła do ust papierosa, którego podała jej córka. – Daj ogień – mruknęła półgębkiem. Anka posłusznie wykonała polecenie. Grażyna zaciągnęła się i poczuła w ustach błogi smak. Nareszcie, pomyślała. Wprawdzie wołała takie z zieloną kropką, ale te też były całkiem niezłe. Spojrzała z wdzięcznością na córkę. I znowu wyszeptwała: – Moja najmilejsza.

Niestety, ta chwila rodzinnej harmonii, być może ostatnia, nie mogła trwać zbyt długo. Pielęgniarka, która wcześniej chciała dać Ance szklanekę wody, zauważyła, że po drugiej stronie korytarza dzieje się coś niepokojącego.

– No co też panie wyrabiają! Papierosy tutaj! Przecież mamy zakaz! – miała tak donośny głos, że Anka aż podskoczyła. Znowu poczuła ucisk w dole brzucha, tym razem znacznie silniejszy. Do tego wciąż te mroczyki przed oczami i szum w uszach. A potem poczuła na udach ciepłą strużkę i zobaczyła krew. Dużo krwi.

Madzia wiedziała, że musi tam być. Po prostu musi, żeby nie wiem co. W końcu to syn jej przyjaciółki. Zmarł tragicznie. Chociaż zupełnie zwyczajnie. Przez całe swoje krótkie życie był taką bombą. Tykającą. Tik-tak, tik-tak. Aż w końcu nastąpiła eksplozja. Po prostu. Może to była tylko detonacja, kto wie. Madzia nie znała się na pociskach. Szkoda, że matki chłopaka nie będzie na pogrzebie. Ale może to i lepiej. Biedna Weronika. Czarny Piotruś też biedny. Smutno jak jasna cholera. Do tego ta najtańsza trumna. Obskurna, wołająca o pomstę do nieba. I jeszcze ksiądz jakiś taki nierozgarnięty, coś pod nosem bełkoczący. Nic z tego zrozumieć nie można. Nie tak to powinno wyglądać. Ten pogrzeb. I całe życie Weroniki i jej jedynego syna. Ostatnia droga też nie powinna być taka. Byle jaka, prząsna.

No ale na szczęście pojawił się ktoś z rodziny. Ten Janusz, brat Weroniki. Madzia nigdy wcześniej go nie widziała. A był naprawdę przystojny. Prawie jak jej Sergiusz. Też taki wysoki. Nieco szpakowaty, ale włosy wciąż w komplecie, dobrze ostrzyżone. Do tego całkiem jeszcze młoda twarz. Naprawdę piękny

był ten Janusz Mossakowski, podobnie jak jego siostra. Chociaż po Weronice nie było tej urody widać, taka była zaniedbana i przydeptana, jak ranne pantofle. Ale przecież miała dziewczyna swoją urodę. Szkoda, że nie przekazała jej synowi. Bo Piotruś specjalnie urodziwy nie był. Za to braciszek się udał Weronice. I podobno rozwiedziony był. Więc do wzięcia. Na pogrzebie Piotrka tylko brat Weroniki reprezentował liczną podobno rodzinę Mossakowskich, rodem z jakiejś zapadłej wsi pod Ciechanowem (Magda, urodzona w Ostródzie, zawsze uważała, że daje jej niebyszącą przewagę nad przyjaciółką). No i Madzia z mężem, ale to już nie rodzina, tylko przyjaciele domu, a właściwie nieszczęsnej matki Piotrusia. Nikt oprócz Madzi nie wiedział o tym, że to właśnie dzięki jej staraniom powstała ta całkowicie nieudana komórka rodzinna Siembidów. I jeszcze jakiś staruszek się przyplątał. Chyba sąsiad Weroniki. A gdy już stali nad grobem, pojawił się policjant. Madzia była pewna, że widziała go pod domem przyjaciółki podczas tego całego zamieszania z wybuchem. Wtedy też spotkała swojego męża z tą wywłoką, Goską Herbst. Na szczęście to już przeszłość. Sergiusz przysięgał jej na kolanach, że odtąd będzie wiernym mężem, a poza tym wrócił do ich małżeńskiej sypialni, co znaczyło więcej niż całe to klękanie i zaklęcia. Tak czy inaczej, policjanta zapamiętała całkiem dobrze. Bo miała pamięć do twarzy. Wtedy, pod domem, było ich dwóch. On i jeszcze jeden, młodszy, nieco grubaśny. Ale to on nie wpuszczał nikogo do środka. Miał bardzo poważną minę i ściągnięte brwi, z nikim nie rozmawiał.

Szkoda, że tkwiła na tym cholernym wózku, że nie mogła wstać. I popatrzeć, jak pierwsze grudki gliniastej, cmentarnej ziemi spadają na trumnę Piotrusia. Bo gdyby za blisko podjechała do tego dołu, sama mogłaby tam wpaść, razem z tym cholernym wózkiem, i byłby kłopot. Zadowolili się więc głuchym dźwiękiem gliny uderzającej o drewniane wieko. Chciała wszystko zapamiętać. Ze względu na Weronikę. Była jej to winna.

No więc jest! Dziewczynka! Prześliczna, chociaż taka malutka. Marianna zawsze chciała mieć córeczkę. Właśnie taką. Maciupenką córeczkę Calineczkę. I żeby miała oczęta takie bystre, ciemnoniebieskie. I koniecznie włoski na maleńkiej, kształtnej główce. Najlepiej loczki. A do tego te maleńkie nóżki. Paluszki. Dokładnie je policzyła, te u rączek i nóżek. Niczego nie brakowało. I lekarz powiedział, że jak na wcześniaka jest zdrowa i silna. Będzie dobrze, będzie normalnie i pięknie jeszcze będzie. Marianna i Marysienka były już razem. Nareszcie! Ciocia zdążyła już kupić wózek. Prześliczny – czerwony, bardzo praktyczny i ekologiczny. I bardzo drogi oczywiście. I różowe śpioszki. I sukieneczki też różowe. Całą wyprawkę kupiła. Ale póki co Marysienka leżała w inkubatorze. Na szczęście można ją było odwiedzać. I patrzeć na nią przez szybę. Codziennie! Odwiedzała ją więc ciotka Mańka. I ojciec też ją odwiedzał. Więc maleńka nie była sama na świecie. Z pewnością czuła ich obecność. Zwłaszcza ciotki. Bo ojciec to nie był zbyt wylewny. Ale za to przystojny. Coraz bardziej podobał się Mariannie. Był w jej typie. Może kiedyś coś z tego wyniknie, jakiś związek? W odległej przyszłości oczywiście.

Marianna od rana dyżurowała na korytarzu. Czekwała na niego, a właściwie czyhała. Ale on najwyraźniej nie spieszył się do dziecka. Pewnie musiał się wyspać. A przecież powinien gnać do Marysi skoro świt. Tak jak ona. Wstała o piątej rano, żeby się umyć, zrobić stosowny makijaż i ubrać się, oczywiście elegancko, no i jeszcze wypić kawę, bez której nie wyobrażała sobie poranka. A potem wsiąść w samochód i być w szpitalu przy Kasprzaka już przed ósmą. Proponowała mu, żeby zamieszkał u niej, że tak będzie wygodniej po prostu. Wszak mieli wspólną sprawę. I powinni działać razem. Ale stanowczo odmówił. Cholerny sztywniak. Wolał jakiś zapyziały hotel. Marianna w końcu ustąpiła.

I tak będzie ją miała. Swoją maleńką siostrzenicę, a to przecież prawie jak córka. Prędzej czy później

mała będzie należała już tylko do niej. Niewykluczone, że nawet prędzej niż później. Bo Marianna była zdrową i jeszcze całkiem niestara kobietą. Miała przed sobą wiele lat życia i siły na to, żeby wychować córeczkę swojej przyrodniej siostry, ostatnią z rodu Baumannów. Była gotowa, żeby zastąpić jej matkę. W końcu była ciotką. Najbliższą krewną po kądzieli. I tylko to się liczyło. Pokrewieństwo. Wprawdzie niemitochondrialne. Bo Mania i Ania nie miały wspólnej matki. I tu tkwił malutki szkopuł. Jak kolec. Ale do przewyciężenia. Najważniejsze, że dziewczynka już była na świecie. A jej ojciec chyba nie miał wielkiej ochoty przewijać niemowlaka. Zupki, kupki, podróbki. Małe rączki, małe nóżki. Na kołysce kogut złoty. Ckliwe, różowy świat. Szkoda, że Anka przygotowała wszystko na niebiesko. Przy sobie, w torbie, miała ten niebieski kaftanik (chyba własnoręcznie wydziergany) i do tego śliczną błękitną czapeczkę. Bardzo wzruszający pierwszy dar od matki. I może ostatni. Kto wie? Ale zupełnie nietrafiony, niestety. Bo wiadomo, że niebieski jest dla chłopczyka, nie dla dziewczynki. A przecież Anka wiedziała, że urodzi córeczkę. Chyba po prostu nie znała się na tych kolorach. Wszystko przez tę jej matkę. Na opak wywróconą cyrkówkę. Matkę wariatkę.

Ale mała była zdrowa i śliczna. Tylko to się liczyło. Reszta była nieistotna. Będzie miała cudowne życie. Nie takie jak Anka. Ani jak Grażyna. To Marianna wychowa Marysię. Zawsze będzie stała obok niej. Jak anioł stróż. Jeszcze jedno było ważne, wręcz kluczowe – ona i jej siostrzenica nazywały się prawie tak samo. Chociaż ona była Marią Anną (ktoś najwidoczniej nie mógł się zdecydować na żadne z tych pięknych imion i wyszło jakies ni to, ni owo), ale dzięki temu była zarówno Marią – córką, jak i Anną – matką. Stanowiła syntezę. To przeznaczenie. Zawsze wierzyła, że istnieje coś takiego, chociaż niektórzy drwią z tego słowa. Mówią, że staromodne, sentymentalne. I że tak naprawdę nie wiadomo, co oznacza. Jasiek, jej brat, ciągle to powtarzał. Że nie ma przeznaczenia ani miłości. Ani szczęścia w miłości, ani odrobiny serca czyjegoś... Bo chociaż o tym właśnie marzy dziewczyna, gdy dorastać zaczyna, to tak naprawdę to tylko mrzonki. „Mrzonki, siostrzyczko, mrzonki”, lubił powtarzać jej ukochany braciszek, Jasieczek, który właśnie postanowił zamieszkać na jakiś czas u starszej siostry. Bo u matki mu się sprzykrzyło. W końcu ile można mieszkać u mamusi? Zwłaszcza jak się jest grubo po czterdziestce. U siostry znacznie ciekawiej. I więcej luzu mimo wszystko. Więc po co ci, Marianno, to cudze dziecko? Pomyśl, jak fajnie i ciekawie będzie ci się mieszkało z nieco tylko młodszym, ale za to rodzonym bratem.

Ale Mańka nie dawała za wygraną. To dziecko musi być jej. Tak miało być. Ktoś gdzieś to zaplanował. Tam na górze, a gdzież by indziej? Niestety, ten ponury Szwed nie chciał jej zrozumieć. Tego, że kochała córeczkę swojej siostry. Że to była miłość od pierwszego wejrzenia, najczystsza, najprawdziwsza z prawdziwych. Stał teraz przy inkubatorze w milczeniu. Marianna natomiast ciamkała, gugała do małej, robiła wdzięczne miny. A Marysieńka nic, ani dudu... Obojętna zupełnie jak jej ojczulek. Ani słowa do ciotki Marianny, ani cienia uśmiechu. Mańka jednak nie traciła nadziei. Najpierw on się do niej odezwie, a za rok lub dwa Marysia. Jak już zaczniesz mówić.

– Śliczna, prawda? – zagadnęła.

– Uhm. – Sven widać nie miał ochoty na rozmowę.

– Podobna do naszej wspólnej babci, mojej i Anki. Naprawdę. – Mania wiedziała, że jeszcze za wcześnie, żeby mówić o rodzinnym podobieństwie, ale ufała, że Marysia będzie podobna właśnie do Beli Baumannowej. – No i dobrze, że nosi nasze nazwisko. Maria Grażyna Baumann – to brzmi jak należy. Cieszę się, że moja siostra przeprowadziła urzędową zmianę nazwiska i mała nie musi nazywać się po tym jej kaszubskim mężu – Formela. Też mi coś!

Sven był mocno zirytowany komentarzami tej egzaltowanej baby, która przyczepiła się do nich jak rzep do psiego ogona. Chciał jak najszybciej wyjechać z Warszawy i z Polski. I żeby Marianna nie miała styczności z dzieckiem. W żadnym wypadku. To była jego córka. Jego i Anny. A co do nazwiska to był

zdania, że Marysia musi nazywać się tak jak on – Maria Dibelius. Ale nie zamierzał się o to spierać z Marianną Baumann.

Zerkał na ekran swojego iPada. Otworzył weekendowe wydanie trójmiejskiego brukowca. Na pierwszej stronie znalazł artykuł podpisany przez jakiegoś Sergiusza Możdżonka. Pisał o jego ojcu. I o Idzie Martens. Szlag by trafił. Najpierw ten gliniarz, a teraz jakiś pismak wtykał nos w nie swoje sprawy.

Svenowi przypomniały się dawne czasy. Jak chodził do podstawówki w Oliwie. I był najwyższy w klasie. Siedział w ławce z jednym takim, co miał na imię Włodzimierz, ale w domu wołali na niego Wołodia. Wołodia Sołdatow. Co za nazwisko! Imię też niezgorsze! Na cześć wodza wielkiej rewolucji. Jego ojciec podobno był ruski, ale matka Polka, z Wileńszczyzny. Zaciągała z wileńska. Wołodia też zaciągał. Siedzieli z tym Wołodią razem w ostatniej ławce, bo byli najwyżsi. I obu odrzuciła ze wstrętem klasowa społeczność. Na Wołodię mówiono, że ruski. Z racji nazwiska i tego nieszczęsnego zaciągania. Również imię Włodzimierz zdradzało pewne inklinacje ku bratniemu wówczas krajowi, z którym mało kto chciał się bratać. Natomiast imię i nazwisko Szczepana Dombrowskiego nie sugerowały żadnych niepożądanych odchyłeń, ale od pewnego czasu źle się mówiło o jego matce, nawet bardzo źle. Że Żydówka. A takie wieści, jak wiadomo, szybko się rozchodzą. Jak kręgi na wodzie. Nie dość, że Żydówka, to jeszcze partyjniaczka. Partyjna tuba, komunistka. Aktywna członkini podstawowej organizacji partyjnej na polibudzie, a co gorsza syjonistka. Wróg narodu polskiego. Taka niby prawomyślna towarzyszka, a swoje prawdziwe nazwisko ukrywała przed aktywem partyjnym – i imię, co gorsza, też. A właściwie dwa imiona (nie wiadomo, które bardziej kompromitujące: Miriam czy Hadassa?). A ładnie to tak taić przed towarzyszami przeszłość? Swoje pochodzenie i fakt, że rodzice byli wyznania mojżeszowego. Ale z towarzyszki Matyldy była twarda sztuka i samokrytyki złożyć nie chciała, choć powinna. Chociaż gdyby złożyła, to i tak z partii by ją usunęli. Za fałszowanie swojej biografii. Za te imiona głównie. I za to, że je ukrywała. Następnego dnia po posiedzeniu egzekutywy wezwano ją do Białego Domu, żeby oficjalnie wydalić ją z partii. Konsekwencją było rozwiązanie umowy o pracę. To wtedy coś w niej pękło. Taka mała sprężynka, co ją napinała, trzymała w pionie.

Jej partyjni towarzysze, a także bezpartyjni koledzy triumfowali. Wszak niepotrzebne Polsce te lisy witalisy – farbowane, z dorabianymi biografiami, fałszywymi nazwiskami i syjonizmem w sercu. I w umyśle. Towarzysz Wiesław piętnował ich w telewizji. I dobrze! Niech się żydy wynoszą z socjalistycznej Polski. Wszyscy oglądali w telewizji, jak Gomułka, popijając herbatę ze szklanki ustawionej na głębokim spodku, grzmiał do rozjuszonych partyjniaków o ideologii syjonistycznej. O żydowskim nacjonalizmie i o poważnych zaniedbaniach w pracy dydaktycznej części kadry naukowej na wyższych uczelniach. Wreszcie o tym, że pewni ludzie powinni unikać tych dziedzin pracy, w których „afirmacja narodowa staje się rzeczą niezbędną”.

Koledzy Szczepana nie rozumieli większości słów, które wypowiadał partyjny wódz narodu. Ale wiedzieli, że wreszcie mogą podokuczać niezbyt lubianemu klasowemu koledze. Temu zarozumiałemu bubkowi Dombrowskiemu, niedościgłemu, zwłaszcza w matematyce, prymusowi, który bezczelnie przywłaszczył sobie polsko brzmiące imię i nazwisko. A tak naprawdę mosiek był z niego, jak się patrzy, chociaż miał jasne włosy i niebieskie oczy. Ale to kolejna zmyłka. Nie z nami te numery Brunner, ty żydowska świno! I niech do mošków wypierdala, do Dajana, do syjonistycznego, imperialistycznego państwa Izrael, bo tam jego miejsce! A ruski Wołodia do budy dla Szarika, lizać buty Jankowi i Gustlikowi. I nawet Grigorijowi Saakaszwilemu.

Po kilku latach, gdy do Polski ze Szwecji przyleciał zespół Abba i wystąpił w Studiu 2, wielu dawnych kolegów, którzy najgłośniej ujadali przeciwko Szczepanowi – „żydowskiemu wypierdkowi” – zaczęło mu skrycie zazdrościć tego, że jako znieawidzony syjonista mógł swobodnie opuścić socjalistyczną ojczyznę i udać się nie do Syjamu, jak skandowali nieświadomi niczego robotnicy na masówkach, lecz do kraju raj, gdzie można było spokojnie pić coca-colę i zagryzać ją słodkimi batonami, w Polsce dostępnymi wyłącznie w Peweksie lub w Baltonie. Wołodia został w kraju i stracił kontakt ze swoim kolegą z ławki. Został znanym działaczem Solidarności i nawet go internowano w stanie wojennym. Przesiedział ponad pół roku w Strzebielinku. W doborowym towarzystwie. Potem wyemigrował do Stanów albo do Kanady, dokładnie nie wiadomo. I słuch po nim zaginął.

Sven z uwagą czytał artykuł o Idzie. Sporo w nim było przekłamań i nieścisłości. Kiepski warsztat mają ci polscy dziennikarze. Sam również nie wiedział o tej sprawie zbyt wiele, ale jednak coś wiedział. Od ojca. Chociaż stary nie chciał na ten temat rozmawiać. Podobno nawet wynajął detektywa, żeby odnalazł jego ukochaną Idę, Idusię, jak o niej mówił, ale tamten nic nie wskórał, chociaż wziął sporą zaliczkę. To się stało w grudniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego, kiedy płonął komitet partii, a nad miastem krążyły wojskowe helikoptery, z których strzelano do demonstrantów. Jan Dombrowski po raz pierwszy był wtedy rad, że jego pierworodny syn mieszka daleko, w bezpiecznym, spokojnym kraju. Bo gdyby był na miejscu, to kto wie, co by takiemu młodzieniaszkowi do rozpalonej głowy strzeliło. Jakaś zabłąkana kulka mogłaby go dosięgnąć. Jak dosięgła Idę.

Bo Ida, niestety, pstro miała w głowie i nie czuła strachu. To Jan się bał, bo był starszy i pamiętał wojnę. A ona wcale. Taka już była i pewnie to ją zgubiło. Mówiła, że musi odnaleźć brata, Eryka, wówczas ucznia trzeciej klasy Conradinum. Dziecko zostawiła u sąsiadki i pobiegła zobaczyć, co się dzieje. Bo podobno ktoś podpalił komitet wojewódzki partii. I zrewoltowani robotnicy nie dopuszczali doń straży pożarnej. Więc się paliło i paliło, aż miło było patrzeć. Ludzie na mieście gadali, że to Reichstag się pali. A Ida zacierała ręce. To był bunt młodych – urodzonych tuż po wojnie, jak ona i jej brat, co nie chcieli przez całe życie, zgięci w pół przed komunistycznymi bonzami, dzielić zapałki na czworo. W mieście słychać było strzały i wycie syren. Była wojna, stan oblężenia. A milicyjni oprawcy, w mundurach i po cywilnemu, tylko wyglądali tych młodziaków. Żeby ich stłuc do nieprzytomności, obciąć włosy wraz ze skórą. Poniżyć i skopać. Bili tyle razy, ile liter miało nazwisko i imię delikwenta zapisane w dowodzie osobistym lub w legitymacji szkolnej. A jak tego było mało, to jeszcze brali datę urodzin i adres zameldowania. I tłukli dalej. Najgorzej, jak złapali jakiegoś studenta albo magisterka. Nie daj Boże.

Ida zawsze była szalona i ciekawska. I miała władzę nad Janem. Całe to nieszczęście z tego się wzięło. Więc jak wybiegła z domu z samego rana, rzekomo brata poszukać, to już wtedy Jan się bał. Że zginą oboje. Ale nie wiedział, co robić. Eryka poniosło w miasto. Fala rewolucji. A jego siostra pobiegła za nim. Za braciszkiem młodszym, ukochanym. Gdy już byli w pobliżu stoczni, nagle w wąską uliczkę wjechał opancerzony transporter. I puścił krótką serię po murze. Zanim się spostrzegli, Eryk miał dziurę w udzie. Dostał rykoszetem. Potem utykał na lewą nogę. Nie pomogły operacje i kuracje w Holandii. Młody Martens już na zawsze został kuternogą. Podobno ostatni raz widział ją, gdy go upychała w karetce. Była taka jak zawsze – jasna, pogodna, w swojej nieśmiertelnej wełnianej czerwonej czapce z daszkiem. W spodniach i ortalionowej kurtce brata wyglądała zupełnie jak chłopak. Tak właśnie ubrana wybiegła z domu. Bez szalika nawet, choć było zimno. Przez ramię przewiesiła sfatygowaną torebkę listonoszkę. Nigdy nie wróciła. Nie było jej na żadnej liście ofiar. Zaginęła. Jak kamień w wodę.

Dombrowski nie podniósł się po stracie Idy. I mały Jarek też nie. Ciągle o mamę wypytywał, coraz bardziej natarczywie, a gdy podrośł, wszedł w buntowniczy okres, obwinił ojca o to, co się stało. „Coś ty zrobił z moją matką! Zabiłeś ją!”, oskarżał zapalczywie młody kogucik. Jan, nie mogąc dać sobie rady

z synem, wysłał go do prywatnej, męskiej szkoły w Warszawie. Pod wezwaniem Świętego Augustyna. Jakby to mogło w czymś pomóc.

Wszystkie kobiety Dibeliusów spotkała tragedia. Tę fatalną passę rozpoczęła jego babka, piękna gdańszczanka, Erika Dorothée Dibelius, z domu Dombrowski, wielokrotnie zgwałcona przez rozjuszonych czerwonoarmistów, która skończyła jako pacjentka szpitala dla nerwowo i psychicznie chorych w Kocborowie. Następna była jego matka, towarzyszka Matylda, a właściwie Maria Dombrowska alias Miriam Levi, od lat nierozpoznająca swojego jedyne syna pensjonariuszka domu spokojnej starości w okolicach Lund. Tuż za nią biegła ze swoją listonoszką na ramieniu Ida Greta Martens. Fatalny los żeńskiej linii Dibeliusów podtrzymały dwie młodo zmarłe żony Svena – Sylvia i Frida. No i Anna... Co będzie z maleńką Marią? Strach pomyśleć.

BARBÓRKA

Daga miała wyznaczony termin na dwudziestego czwartego listopada, ale Wieškowi powiedziała tylko, że rozwiązanie ma być na przełomie listopada i grudnia. Dobrze zrobiła, że nie podała mu konkretnej daty, bo teraz by ją nękał. Że się spóźnia, że coś jest nie tak. A wszystko było dobrze. Daga to czuła. W końcu to ona miała zostać matką, miała niezawodny instynkt, a nie Wiesiek. Jej brzuch był już taki wielki, że nie mogła nawet włożyć botków. Na szczęście późna jesień rozpieszczała słońcem, dzięki czemu Daga wciąż mogła chodzić w balerinach.

Trzeciego grudnia zaczęła się trochę niepokoić. Poza tym ciągle nie miała nic dla dziecka. Żadnych ciuszków ani łóżeczka. Nawet wózka nie kupili. Bo podobno to przynosi pecha, jak się kupuje wyprawkę przed narodzinami. Wiesiek będzie musiał wszystko kupić, jak już będzie po. Tego, co ją czekało, bała się ogromnie. I nie miała się komu zwierzyć z tych obaw. Bo Wiesiek zupełnie jej nie rozumiał. Poza tym to facet. W dodatku taki był dla niej nieczuły. Na szczęście ta cała Anna wyniosła się z Polanek. Jakoś zaraz po tym wybuchu. Gdzieś wyjechała albo szlag ją trafił. Wszystko jedno. Najważniejsze, że chłop trochę się uspokoił. Nie pił tyle i pracował więcej. Tylko wciąż o tych badaniach genetycznych gadał. Że jak dziecko się urodzi, to będzie trzeba sprawdzić, czy aby na pewno jego. Widocznie jej nie wierzył. Bardzo ją to bolało, ale nic nie mogła poradzić. „Jak już się rozsypiesz i dzieciak się pojawi, to się wszystko zmieni”, powtarzały jej znajome, a właściwie znajome jej matki, starsze, doświadczone kobiety. Ale ciągle coś nie mogła się rozsypać. Czas oczekiwania coraz bardziej jej się dłużył. A Wiesiek codziennie po powrocie z pracy patrzył na nią takim zdumionym wzrokiem, jakby chciał zapytać: A co tu robi ta baba z tym wielkim brzuchem? Dlaczego jeszcze nie urodziła? I nawet nic nie ugotowała, bo mówi, że nie ma siły, że jej za ciężko. A prawda była taka, że Daga gotować nie umiała. Nic nie umiała. No, może trochę w internecie serfować i autem śmignąć, jak trzeba. Ale do tych kobiecych robótek to wcale powołania nie czuła. Dwie lewe ręce miała.

Tego dnia Wiesław znów zaparkował na podjeździe. Zaraz się zacznie, pomyślała Daga z rezygnacją.

– Dzisiaj na obiad znów woda z kranu? – zaczął jak co dzień sarkastycznym tonem. – Cięża nie choroba i usprawiedliwieniem dla lenistwa być nie może. – Tym razem jego głos zabrzmiał bardziej po mentorsku.

A ona nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Jakaś taka płacziwa się zrobiła ostatnio. Wszystko ją wzruszało albo przerażało. A Wiesław to ją po prostu irytował. Powlekła się więc na górę, po schodach, noga za nogą. Chciała sobie popłakać w samotności i nie słuchać szyderstw Wiesława.

Zaczęło się o drugiej – w noc barbórkową. Wody jej odeszły i okrutnie bolało ją w krzyżu. Całe łóżko mokre. Wiesiek się wściekł, że wszystko zasikane. Pościel, a co gorsza materac. Z tymi babami to zawsze tak jest. Byle jak. Zwłaszcza jak baba byle jaka. Ze wsi. Bez klasy i rasy. Anulka to co innego. Z nią to mógłbym konie kraść, myślał Wiesiek. Dom piękny był i pachnący. Porządek jak w pudełeczku. Wszystko wychuchane, wydmuchane, a teraz takie barachło. I jeszcze ta Daga wyła jak zarzynana maciora. Żadnej elegancji, finezji. Tylko czysta fizjologia. To już chyba nie były bóle przepowiadające, które towarzyszyły Dadze od kilku dni, tylko właściwa akcja. Porodowa. Zwijała się na łóżku, a Wiesław nie wiedział, co robić. Bo zapisał poprzedniego wieczora i chyba jeszcze nie powinien prowadzić. Musieli więc pojechać taksówką.

Już w szpitalu Wiesław zorientował się, że zapomniał włożyć pasek do spodni. Idąc przez korytarz, musiał je trzymać, żeby nie spadły. A Daga jęczała w kółko: „O Jezu, o Jezu...”. Strasznie się bała. I nie śmieszyło jej nawet, że Wiesławowi o mało co portki z tyłka nie spadły. Za to pielęgniarki, znudzone nocnym dyżurem, od razu zauważyły, że facet – całkiem niczego sobie, jeszcze niestary i w drogich ciuchach na dodatek – ma problem z utrzymaniem spodni. Będzie się działo, mrugały do siebie siostrzyczki. Zawsze jakaś odmiana w tej szpitalnej nudzie. Bo ryczących bab miały już serdecznie dosyć.

– Ale pamiętaj, żeby była Lenka. To śliczne imię dla dziewczynki i podoba mi się bardzo – wyszeptwała Daga, gdy wreszcie było po wszystkim, a dorodne czteroipółkilogramowe niemowlę płci żeńskiej, z rudawym meszkiem na głowie (cały Wiesiek), było już na świecie.

– Lenka sarenka, a może syrenka – przedrzeźniał ją Wiesiek. Niedoczekanie, żeby jego pierworodna, a być może w ogóle jedyna córka, dostała jakieś głupie ruskie imię. Tylko dlatego, że takie półdiotki jak Dagusia ulegają durnowatej modzie. A imię dla córki urodzonej w ciemny grudniowy poranek, całkiem sprawnie, choć nie bez bólu, już miał. Bo dziecko powinno mieć imię godne i historyczne. Basia, Basieńka, Barbórka!

Pani Bolesława aż promieniała. Takiej pomyślności to już nie oczekiwała od losu. Trzeba było to uczcić – z sąsiadką, panią Krysią Walasek. Ajerkoniaczkiem należało to szczęście podlać. I do tego ciasto, musowo. Murzynka upiekła. Takiego z torebki, ale zawsze. Wiesiek tylko do niej zadzwonił. Bo żeby przyjechać do matki, to już nie. Przecież wypić musiał. Więcej niż zwykle. A że mocnej głowy nie miał, z panią Bolesławą świętować nie mógł. Zresztą nigdy z nią nie świętował. I w tym swoim domu, eleganckim i pięknym, przyjmować matki nie lubił. Ale mniejsza z tym. Ważne, że wreszcie miała wnusię. Śliczną Barbarkę. Wiesiek dał jej jeszcze drugie imię: Anna. Całkiem ładne. Tylko niestety widać, że tamtej kochać nie przestał. Ale ona przecież nie jemu dziecko urodziła, ale jakiemuś innemu. I za co tu kochać taką żydowicę zdradziecką? Już lepiej by się Wiesio z tą Dagmarką ożenił, zamiast tamtą po próżnicy rozpamiętywać.

Wiesiek był szczęśliwy jak nigdy przedtem. Jeszcze kieliszeczek koniaczku, no, może dwa, i wreszcie zdobędzie się na to, żeby zadzwonić do swojej ukochanej Anulki, która już nigdy nie będzie jego, albo nawet do tego całego Svena, i zapytać, co słyhać, czy nie potrzebują jakiejś pomocy. Bo Wiesiek teraz chciałby przytulić do swojej szerokiej piersi cały świat, a zwłaszcza Anulkę. Już wiedział, że życie ma sens. Że nigdy więcej nie będzie sam. Bo miał Basieńkę. I dla niej zrobi wszystko, absolutnie wszystko.

Nawet więcej, niż był skłonny uczynić dla swojej Anulki. Bo tak między Bogiem a prawdą poza wyrzuceniem tej pięknej willi przy ulicy Polanki niewiele zrobił dla swojej drugiej, ukochanej żony. Teraz powinien wreszcie zachować się jak mężczyzna i dać jej ten rozwód, skoro tak o to prosiła. Serce mu krwawiło, bo bardzo chciałby odbudować ten cenny związek. Przecież mogliby zamieszkać tu we czwórkę: on, Basieńka, Anulka i jej dziecko. Niczego by im nie brakowało. Nieba by przychylił swoim ukochanym kobietkom. Ale wiedział, że to mrzonki, że Ania chce od niego tylko rozwodu. Żeby się z powrotem nazywać Baumann, jak jej szanowny tatuś nieboszczyk, i żeby jej dzieciątko nie dostało z automatu nazwiska Formela. Anulka też już pewnie urodziła. Chłopca czy dziewczynkę? Bardzo był ciekaw. Dlatego bez zastanowienia wybrał numer swojej ukochanej żoneczki. Niestety, abonent był niedostępny – tak powiedział stateczny kobiecy głos, który z pewnością nie należał do jego drugiej żony.

Chyba za dużo wypił, a przecież tyle miał do załatwienia. Całą wyprawkę musiał kupić dla swojej prześlicznej czteroipółkilogramowej Barbórki. I łóżeczko, i wózek. Śpioszki i sukienusie maleńkie, i czapeczki, i pieluszki. Kaftaniki, sweterki. Wszystko takie tyci, tyci. Nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Ale musiał. W końcu to był pierwszy dzień jego ojcowania. W dodatku nieźle już ubzdryngolonego.

Postanowił zadzwonić do Gośki. Ta baba znała się na wszystkim. W dodatku sama była matką. Odebrała już po pierwszym sygnale. Nie to co Anulka. Zawsze taka niedostępna. A teraz to w ogóle poza zasięgiem. Gośka mieszkała dwie przecznice od niego. I była jak najbardziej w jego zasięgu.

– Hello, Gosiaczku – zaczął wesoło.

– O, Wiesiek. Pewnie znów chlejesz.

Gosi wcale nie było do śmiechu. Nie mogła wykrzesać z siebie nawet odrobiny entuzjazmu. Jeszcze jakiś czas temu telefon od Wieśka byłby wydarzeniem, ale teraz wszystko się zmieniło. Czekala raczej na telefon z Hajfy. Ale Herbstowie chyba najlepiej czuli się w swoim towarzystwie. Gdzieś tam, na plaży albo spacerując po ogrodach bahaitów. Ukradli jej córkę. Ta przebiegła, podstępna Vered zwabiła Agnieszkę do Hajfy. Pewnie obiecała jej złote góry. Ona i Lejb, i Roma pewnie też. Roztoczyli przed młodą świetlane wizje. Że skończy tam studia, zacznie nowe życie w Erec. Ona tymczasem musiała stawić czoła reorganizacji w redakcji, która na dobre zacznie się po Nowym Roku. Pewnie ją wyrzucą albo przesuną do biura ogłoszeń czy magazynu. Najpewniej jednak po prostu wywalą na zbity pysk, bo idzie nowe – młode i żarliwe. I z czego będzie spłacała kredyt, skoro nawet na jedzenie nie wystarczy z zasiłku? A tu jeszcze Wiesiek czegoś chce. I w dodatku znów ubzdryngolony.

– Ach, Gosiu, Gosiaczku, właśnie tatusiem zostałem! Córuchnę mam śliczną. A do ciebie gorącą prośbę. – Wiesiek był bardziej pijany, niż się Gosi wydawało. Mimo wszystko postanowiła być dla niego uprzejma. Nigdy nie wiadomo, co się może przydać na tonącym okręcie. Może poprowadzi Wieśkowi biuro, jeśli już ją zwolnią? Zawsze miał jakąś kasę i biznes prowadził. Mógłby ją zatrudnić zamiast kolejnej głupiutkiej laseczki. W końcu biegle znała dwa języki i kurs księgowości skończyła. I była podwójnym magistrem.

– Jaką masz prośbę? Mów, nie krępuj się. – Była nad wyraz uprzejma.

– Bo ja muszę wyprawkę dla małej kupić, a jestem nie tego. Sama rozumiesz...

Formela nie chciał mówić więcej na temat swojego stanu, bo chyba było z nim gorzej, niż przypuszczał. Ale to nie tylko przez alkohol. Po prostu wrzuciły go te narodziny Basieńki; miał ochotę płakać i śmiać się jednocześnie. W tej chwili jednak najbardziej chciało mu się wymiotować. Pobiegł więc do toalety, zostawiwszy telefon na skórzanej kanapie w salonie. Gosia jeszcze parę razy powiedziała do słuchawki: „halo, halo”, a potem się rozłączyła. Ale po kilkunastu minutach Wiesiek zatelefonował ponownie. I zgodziła się pomóc mu w kompletowaniu wyprawki dla jego córeczki. Zgodziła się nawet na to, że pojedą do sklepu jej samochodem. Wprawdzie trochę się obawiała o tapicerkę i o to, że Wiesiek

zaniemoże i znów jakiegoś osiłka będzie musiała wezwać, żeby odwiózł go do domu, ale gra była warta świeczki. Wiesiek był jej wyjściem awaryjnym.

MIŁOŚĆ CI WSZYSTKO WYBACZY...

Postanowił, że weźmie samochód Svena. Ten drugi, który jego brat i tak zamierzał opylić, ale ciągle jeszcze tego nie zrobił, bo lubił zwlekać. A Jens przeciwnie – wolał działać szybko i niczego nie odkładać na później, bo tego później po prostu mogło nie być. Więc cieszyło go, że prowadził to volvo, co prawda nie pierwszej nowości, ale wciąż jare. Skórzana tapicerka, nie za dużo elektroniki. Wszystko sprawne. Sprawdził to przed podróżą, bo jako potomek menonitów był zapobiegliwy. Auto przypominało jego starszego brata. Niezawodne, chociaż niezbyt efektowne. Nie jakaś tam Francja elegancja, ale solidna, skandynawska robota. W każdym razie volvo jego brata było jak on pozbawione fantazji, śmiertelnie poważne i bez poczucia humoru. Jens jednak czuł się w nim komfortowo, chociaż tęsknił za swoim żółtym garbuskiem. Zanim wyjechał z Oskarshamn, pakował się długo i starannie. Zabrał ze sobą dwie duże walizy, bo zawsze przywiązywał wagę do ubrania. Nie to co Sven – z tym jego niezdolnym, skandynawskim dress code'em. Zawsze za skromny w ubiorze i irytująco powściągliwy w zachowaniu. Jensa bardzo to drażniło, chociaż z racji menonickiego pochodzenia to on powinien się tak ubierać i zachowywać. Być niemal niezauważalny – cichy, pokorny – i tylko pracować w pocie czoła, jak Pan Bóg przykazał. Ale w przeciwieństwie do brata nie umiał poprzestawać na małym i ubierać się w byle jakie szmaty zakupione w sieciówce, najlepiej na przecenie. To do niego niepodobne. Wziął więc ze sobą w podróż pokaźną ilość ubrań. Wszystko nowe, bo jego stare rzeczy zostały na Polankach. Nowych nakupował już całkiem sporo, w dobrym gatunku i drogich, ale co tam, skoro braciszek dał mu kartę, żeby sobie kupił coś do ubrania, to zaszalał. Straszny naiwniak był z tego Svena!

Bagaż prezentował się okazale, ale w końcu Jens nie wiedział, na jak długo wyjeżdża. Może na zawsze? Ta myśl go nie opuszczała. Nie dawała mu spokoju. Bo Jens chciał uciec. Nie po raz pierwszy w życiu. Uciec od tego, co go ścigało. Od siebie, od swojej choroby. I od wszystkich chorobliwych, natrętnych myśli, które go nawiedzały, zwłaszcza nocami. Sven nie miał racji w sprawie choroby. Zresztą nie miał racji w żadnej sprawie. Znowu zamknąłby go w jakimś domu dla czubków. Żeby mieć święty spokój i żyć sobie statecznie, z dala od brata wariata. Albo wampira. Taka jedna baba, obła jak walec salowa w szpitalu, tak właśnie mówiła o Jensie. Że wampir. Drakula.

Uważał, że jego ataki wróciły tylko z powodu mieszkania. Złej, dusznej atmosfery panującej na Polankach. I przykrych wspomnień, z którymi nie mógł się uporać. Wszystko, co wiązało się z Idą, jego matką, było szarpiące. I mocno niepewne. Nie przechowywał w pamięci jej obrazu. Zostało tylko kilka czarno-białych zdjęć. W dodatku miała na nich czapkę z daszkiem. Prawie jej nie widać spod tej czapki. Jedynie na fotce z dowodu osobistego, którą opublikowano w „Wieczorze Wybrzeża” kilka miesięcy po jej zniknięciu, dobrze widać całą twarz. Jednak na tym zdjęciu wygląda zupełnie inaczej. Może przez retusz?

Wydawało mu się, że zapamiętał jej zapach. Ten naturalny, nie żadne tam perfumy, balsamy czy inne

babskie mazidła. Dlatego lubił kobiety, które pachniały jak jego matka. Obcowanie z nimi pozwalało mu się odprężyć, dawało ukojenie. Od wczesnej młodości szukał takich kobiet. I zwykle je znajdował. Służyły mu przez chwilę. Ale to nie uwalniało go od poszukiwania śladów matki. Ostatnio prawie uwierzył w to, że badany przez policyjnych medyków szkielet, odnaleziony w miejscu tak dla niego istotnym – w domu, gdzie podobno kiedyś mieszkali jego przodkowie – rzeczywiście należał do matki. Ten Uliński, upierdliwy i nieubłagany niczym inspektor Javert z *Nędzników*, w końcu go dorwał. Ale zamiast go aresztować, czego się obawiał, tylko pobrał wymaz z jego jamy ustnej, żeby sprawdzić zgodność DNA szkieletu znalezionej w piwnicy budynku na Biskupiej Górze z jego własnym DNA. Żeby potwierdzić, że kości, który znaleziono, to szczątki jego matki, Idy. Naprawdę miał nadzieję, że Ida Martens, której z taką determinacją poszukiwał jego ojciec, odnalazła się po czterdziestu pięciu latach. A Sven z rozpędu nawet obiecał, że w razie czego zajmie się pogrzebem. I przekonywał go, że pięknie by było, gdyby trumna albo raczej urna z prochami Idy spoczęła na Srebrzysku, obok trumny jej męża nie męża Jana Dombrowskiego alias Johannes Dibeliusa, gdańszczanina, Polaka z wyboru. Wtedy wszyscy poczuliby coś na kształt ulgi. Ale tak się nie stanie, przynajmniej nie w najbliższej przyszłości. Bo to nie była Ida. Badanie DNA potwierdziło to ponad wszelką wątpliwość. Uliński pewnie będzie kontynuował śledztwo. Nawet jeśli uda mu się dojść do tego, kim była kobieta z Biskupiej Górki, sprawa zaginionej Idy Martens nie będzie mu dawała spokoju. Cierpliwie badał akta z IPN-u dotyczące masakry z siedemdziesiątego roku. Interesowały go zwłaszcza potajemne nocne pogrzeby ofiar. Jego zdaniem Ida zginęła właśnie w grudniu. Najpewniej została pochowana na małym cmentarzu w Oliwie. W nieoznaczonym grobie. Ale to były tylko przypuszczenia.

Jens nigdy nie powinien wprowadzać się na Polanki. To był błąd. Ale gdyby tego nie zrobił, nie poznałby Weroniki. Chyba więc dobrze się stało. Jego poparzona ręka goiła się. To zasługa tych szwedzkich lekarzy. Ciekaw był, jak czuła się Weronika. Ona jednak miała dolegliwości natury psychicznej, a takie rany, o czym sam wiedział najlepiej, goją się powoli i lubią się paskudzić. Nie mógł się doczekać, kiedy znów ją zobaczy. Ale na Polanki nie zamierzał wracać. Sven obiecał mu, że wszystko załatwi, że sprzeda mieszkanie, a pieniądze przeleje na jego konto. Całkiem dobre rozwiązanie. Pieniądze z pewnością się przydadzą. Jeszcze lepiej by było, gdyby brat sprzedał również to ogromne mieszkanie po ojcu przy Obrońców Westerplatte, które od dwóch lat stoi puste, ale niestety jakoś się do tego nie kwapił. Twierdził, że najpierw musi się przekopać przez papiery, przez naukowe wypociny ich starego. Że to ważna spuścizna dla nich obu. Dziedzictwo, którego nie można zaprzepaścić. Guzik prawda. Żadna tam spuścizna. Raczej jeden wielki śmietnik i tony kurzu. Zamiast uprawiać kult zmarłego ojca, Jens wolał zobaczyć okrągłą sumkę na swoim koncie. A potem wyjechać daleko, do jakiegoś ciepłego kraju, i zacząć zupełnie nowe życie. Oczywiście z kobietą. Ciepłą i niewymagającą. Mogłaby to być na przykład Weronika, o ile byłaby w stanie zdobyć się na coś takiego jak niepewne życie u boku chorego mężczyzny, który nie miał jej do zaoferowania nic poza swoim szaleństwem.

Płynął promem z Karlskrony do Gdyni. Zawsze gdy był na morzu, odczuwał głęboki spokój. Leżał na koi, w pojedynczej kajucie, i wydawało mu się, że jest silniejszy niż kiedykolwiek. Rano wysiądzie w Gdyni i pojedzie dalej. I wciąż będzie odczuwał ten spokój. Teraz śmignie sobie autostradą, żeby być jak najdalej od tego przeklętego miasta. Miał już tylko jedną sprawę do załatwienia w Polsce. Ostatnią. Potem wyjedzie stąd raz na zawsze. Jeśli sprawy finansowe się przeciągną, a to niewykluczone, skoro Sven został ojcem, trzeba będzie gdzieś przezimować. Jens miał namierzone jedno miejsce niedaleko Eindhoven. Zdążył już tam zostawić swój śliczny samochodek w kolorze bahama yellow. Czekala też na niego ciepła kobitka, co ładnie pachnie, chociaż nie do końca tak, jak lubił. Trochę starsza od niego, bardzo apetyczna wdówka.

Podróż trwała dłużej, niż przypuszczał. Na siódemce były korki. A potem musiał zjeść obiad

w zajezdzie, no i odpocząć. Więc dopiero o osiemnastej był na miejscu. Dom wyglądał całkiem solidnie. Murowany, chyba świeżo otynkowany. Wszystko dookoła zadbane. Na dole paliło się światło. Chyba kogoś udało mu się zastać.

Otworzył mu wysoki, rosły mężczyzna. Szeroki w barach. Chyba jej brat, ten Janusz, bo miał ten sam niepewny wyraz twarzy i nos prawie identyczny. Spojrzał na niego niechętnie, mruknął coś pod nosem, niby na powitanie. Był chyba bardzo niezadowolony z tych odwiedzin. Ale wpuścił do środka tego nieszczęsnego popaprańca, Latającego Holendra, sprawcę nieszczęść swojej siostry.

Weronika siedziała w fotelu. Miała wymizerowaną, nieco apatyczną twarz, patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. Była w zaawansowanej ciąży. Nawet nie zwróciła uwagi na to, że ma gościa.

– Będzie chłopak – westchnął Janusz. – W styczniu ma się rozsypać – dodał zrezygnowanym tonem, patrząc z troską na siostrę. – Ale co będzie z nią, to nie wiem. Teraz nazywa się to depresją, jak się komuś w głowie pomiesza z nieszczęściami.

Jens właśnie zrozumiał, że tej zimy nie spędzi niedaleko Eindhoven, w wygodnym domu ciepłej wdowy, ale tu – na wsi pod Ciechanowem.

To dobrze, że ma się urodzić chłopak, bo kobiety w ich rodzinie zwykle marnie kończą. A przed chłopakiem całkiem niezłe perspektywy.

– Bo ja bym mogła tam w każdej chwili pojechać. I zostać z nimi. Opiekować się. Ale on nie chce, rozumiesz? – Marianna prawie płakała.

Jasiek siedział wygodnie w fotelu, w salonie swojej siostry, który był kiedyś salonem jego ojca. Palił fajkę. Ten niezdrowy nawyk wynikał z chęci małpowania wszystkiego, co kiedyś robił jego stary. W rezultacie Jasiek był tylko jego niezbyt udaną kopią, dziełem jakiegoś podrzędnego malarzyny, który popatrzył na oryginał, westchnął kilka razy, a potem namalował, jak umiał. Bez iskry bożej było to malowanie i życie Jana Baumanna też układało się w jakiś nieokreślony sposób. Najpierw w cieniu ojca, a po jego śmierci – w cieniu starszej siostry. To pomieszkiwał u Marianny, to znów przenosił się do mamusi. U siebie – w niewielkiej, ale całkiem niezłej, ponadpięćdziesięciometrowej garsonierze na Górnym Mokotowie – jakoś nie zagrzewał miejsca. Był potrzebny tym swoim, wiecznie z czegoś niezadowolonym paniom – mamusi i siostrzyczce. Chociaż Mańki to ostatnio nie rozumiał zupełnie. Coś jej się w głowie poprzestawiało. Nie powinna się interesować tym cudzym dzieckiem. Siostrzenicą wprawdzie, ale tylko po przyrodniej siostrze. A to jednak istotna różnica. Nie można porównywać ich bratersko-siostrzanej więzi z tym, co oboje Baumannów łączyło z tą całą Anką. W Ance było także to, czego nienawidzili z całej duszy – dziedzictwo Wichurów. Tego Heńka, obrzydliwego, warszawskiego szmalcownika. I o tym nie można było zapominać. Przynajmniej Jasiek zapomnieć nie umiał. I naprawdę była mu obojętna maleńka Marysia Baumannówna – Calineczka, jak ją ochrzciła Marianna. Bardzo dobrze, że mieszkała daleko i że jej ojciec nie chciał, żeby Mańka w jakikolwiek sposób uczestniczyła w życiu małej Marysi. To był racjonalnie myślący facet. A Mańka wpadła w chorą egzaltację. Chrzaniła o jakiejś misji, którą rzekomo miała do spełnienia. O drzewie genealogicznym, które usychało z ich winy. Bo nie mieli dzieci – ani Jasiek, ani ona. No cóż, tak jakoś się złożyło. Ale to jeszcze nie był powód do urządzania historycznych scen. Poza tym była przecież mała Marysia Baumann, więc linia babci Beli będzie kontynuowana. Gdzieś tam, w Szwecji, ale zawsze. Jaśkowi nawet to pasowało. Wystarczało mu zdjęcie małej w niebieskim sweterku i takimż czepeczku, które tak oburzyło Mańkę. Krzyczeć zaczęła na niego, fukać jak kotka. Że tak nie można. Że dziewczynka nie powinna być ubierana na niebiesko. Bo ten kolor jest zarezerwowany dla malutkich chłopczyków, a dla dziewczuszek jest przecież różowy. Taka

tradycja, a tradycję szanować należy i basta!

– Nic nie rozumiesz! – skarżyła się Mańka. Byłaby gotowa zamieszkać na tym szwedzkim zadupiu, zrezygnować z pracy w telewizji, z bywania w wielkim świecie, nawet z bycia elegancką i wypielęgowaną damą, byleby tylko móc opiekować się tą maleńką dziewczuszką.

– Nie drzyj się tak, bo dostaniesz chrypki. A przecież jeszcze prowadzisz ten program w telewizji, więc musisz uważać, siostrzyczko – mówiąc to, Jasiek robił się podobny do ich zmarłego ojca. I to trochę uspokoiło Mariannę.

– Ale zobacz, tylko to jedno zdjęcie nam przysłał. Specjalnie w tym niebieskim kubraczku, żeby mi zrobić na złość. Krytykował przecież, że te moje różowości są jak dla prosiaczka, dla świnki Piggy, a nie dla małej dziewczyneczki. I wyciągnął niebieskie szmatki, które wydziergała Anka. Ja wiem, że to wzruszające, te jej kaftaniki, ten dar matczyzny. Ale tu nie o to chodzi!

– A o co chodzi? – Jasiek wyprężył się w fotelu z nieco filuterną miną, która jeszcze bardziej zirytowała Mariannę.

– Bo ja myślałam, że mnie przynajmniej na matkę chrzestną poproszą. Zapytałam o to moją siostrę, ale ona swoim zwyczajem tylko prychnęła. Dopiero Sven wytłumaczył mi, że żadnego chrztu nie będzie. Bo on jest agnostykiem, a Anka to już w ogóle. Tak właśnie powiedział! Rozumiesz coś z tego?

– Przypominam ci, że nasz papa też był agnostykiem. – Jasiek miał coraz weselszą minę.

– My zostaliśmy ochrzczeni! I u komunii nawet byliśmy.

– Ale w tajemnicy przed ojcem! Matka wywiozła nas do Lanckorony i tam byliśmy chrzczeni. Przecież dobrze o tym wiesz. Kupa hipokryzji.

– Ale tato miał pogrzeb z księdzem, nie pamiętasz?

– Miał, miał i pewnie w grobie by się przewracał z tego powodu, gdybyś nie kazała go spalić!

– Świetnie! Widzę, że ci pasuje, żeby nasza Marysia została poganką! – Marianna też nie była specjalnie wierząca, a już do praktykowania to zdecydowanie głowy nie miała, ale akceptowała fakt, że matka ochrzciła ją i brata. Tak na wszelki wypadek. To było coś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej. W tajemnicy przed ojcem to zrobiła. I to chyba nie była najgorsza decyzja. Anka też mogłaby się przełamać. Co by jej szkodziło?

– Pamiętaj, siostrzyczko, że to nie nasza Marysia, tylko ich – Anki i tego Szweda. I pewnie dostanie nazwisko po ojcu, więc nie masz się czym podniecać. – Jasiek zachichotał po swojemu.

Marianna zrobiła obrażoną minę. Brat kpił z niej w żywe oczy. Jej plan nie powiódł się. Ostatnia z Baumannów, w niebieskim kubraczku i niebieskich śpioszkiach, rosła na genderową pogankę w zlaicyzowanej Szwecji.

I znowu się kłócili, chociaż mieli żyć długo i szczęśliwie w idealnej zgodzie. Tę zgodę i życie w harmonii obiecali sobie tuż po narodzinach Marysi. W szpitalu przy Kasprzaka, gdzie Anka spędziła całe dwa tygodnie – najpierw na oddziale ratunkowym, a później na kobiecym. Sven przyjechał niedługo po tym, jak Ankę zabrali na salę operacyjną. Marianna go wezwała, płacząc w słuchawkę, że z Anką źle, że dostała krwotoku, a dziewczuszka taka maleńka, że też może nie przeżyć. Pędził jak wariat z Gdańska do Warszawy, nie zdejmując nogi z pedału gazu. Cud, że nie spowodował jakiegoś wypadku. A gdy już był na miejscu i kiedy zobaczył Marysię i Ankę taką słabą – dwie cieniutkie niteczki, jak o nich pomyślał – drżąc o życie dziecka, a jeszcze bardziej o życie jego matki, przysiągł, że się zmieni. Taki nagle miękki się zrobił, że Anka się aż przestraszyła, że naprawdę z nią źle. Bo usiadł przy niej i szeptał jej do ucha takie rzeczy, jakich się po nim nigdy nie spodziewała. Więc potem, jak już było nieco lepiej, przyrzekli

sobie solennie różne rzeczy – już nie szeptem, tylko na głos. Po pierwsze (i chyba najmniej realne) – że już nie będą się kłócić. I że w ich wspólnym domu będzie normalnie i pięknie. Bez ubrań Fridy w garderobie, bez urny z jej prochami w pokoju pamięci. Że Sven już nigdy nie zostawi jej samej na noc na tym odludziu. A z odwiedzin u matki w domu opieki będzie zawsze wracał tego samego dnia, choćby i o północy. Że będą sobie o wszystkim mówić. I rozmawiać normalnie, jak ludzie, pełnymi zdaniami, a nie półsłówkami. I dyskutować przy śniadaniu i przy kolacji, a w wolne dni także przy obiedzie. A ich rozmowy będą o książkach i o życiu. I będą rozmawiać z dzieckiem, żeby miało dobre relacje z rodzicami od samego początku. Żeby im ufało i nie czuło się samotne. Bo przecież Marysia zostanie jedynaczką, tego byli pewni. Jej dwaj przyrodni bracia z racji wieku mieli raczej kwalifikacje do tego, żeby Marysi zastępować wujków, chociaż tych akurat miała pod dostatkiem. Bo był wujek Jasiek Baumann w Warszawie. Spokojny i z całą pewnością nienarzucający się wujek. I był jeszcze wujek Jarek, który wolał, jak się na niego wołało Jens. Ten wujek był raczej niepokojący i trudno było określić, skąd pochodził – z Polski czy z Holandii. Miał zamieszkać z nimi, bo ciężko chorował i ktoś powinien mieć na niego baczenie. Ance niezbyt się to podobało. Zawsze widziała w tym całym Jensie tajemniczego sąsiada z kamienicy przy ulicy Polanki, którego najzwyczajniej w świecie się bała. Sven planował konsultacje medyczne – jeśli wypadną niepomyślnie, to zamierzał namówić brata na następną szpitalną kurację. Bo wierzył w medycynę, za to zupełnie nie ufał swojemu braciszce, który od początku pobytu w Oskarshamn knuł po cichu coś niedobrego. Jakiś kolejny przekręt albo ucieczkę. Jak to on.

Wieczorem czwartego grudnia, w Barbórkę, Anka od rana marudziła, że musi polecieć do Warszawy. Teraz zaraz. Najlepiej sama albo tylko z Marysią. Sven próbował się powstrzymać, bo od jej powrotu bardzo się pilnował, by mówić łagodnie i spokojnie, ale nie wytrzymał i huknął wreszcie, że ma już dość tych zwariowanych pomysłów. Tego wiecznego uciekania nie wiadomo dokąd, po co i przed czym. Dodał jeszcze, że to wielkie ryzyko taka podróż w jej stanie i że dziecko za małe, wcześniak przecież. Dwumiesięczny zaledwie. A ona wrzasnęła, że szóstego grudnia ma urodziny. I że musi być wtedy tam. W Warszawie. I na tym koniec. Żadnych dyskusji.

Gdy już siedzieli w samolocie ze Sztokholmu do Warszawy, a stewardesa instruowała, żeby w razie dekompresji maszyny założyć maskę najpierw sobie, a potem dziecku, Anka spojrzała na swoją maleńką córeczkę i pomyślała, że z całą pewnością zrobiłaby odwrotnie. Bo mała była dla niej najważniejsza i tak już zostanie na zawsze. Sinobrody (znów czasem w myślach tak go nazywała) upierał się, że dziecko powinno spać w pokoju dziecięcym, a nie u nich w sypialni. Taki to miał być zimny chów, całkiem w jego stylu. Bo przecież jest monitoring, jest elektroniczna niania i to wystarczy, żeby w razie czego interweniować. Ale gdy znalazł Ankę śpiącą na podłodze obok łóżeczka małej, skapitulował. Odtąd Marysia spała w ich sypialni. A jakby tego było mało, na kołdrze, w nogach, często sadowił się kot o idiotycznym, zdaniem Svena, imieniu Nikodem. I na to też nic nie mógł poradzić. Nawet okazywać niezadowolenia nie mógł. Bo przecież to były najszcześniejsze chwile w ich życiu. Dar od losu. To dziecko i ona, z rumieńcami na twarzy pochylająca się nad ich córką. Szepcząca do ucha maleńkiej, że ją kocha najbardziej na świecie i zawsze przy niej będzie. On też pochylał się nad łóżeczkiem, ale dziewczynka chyba bała się jego surowego wyrazu twarzy, którego nijak nie dawało się zmiękczyć, no i brody oczywiście.

Właśnie wyłączał komórkę, gdy przyszedł kolejny esemes od Marianny. Zadręczała go tym gradem wiadomości. Znowu pytała, czy może przyjechać. Tym razem chciała „wpaść na święta”. Co za pomysł! Żadnego wpadania i żadnych wspólnych świąt. O tym nie mogło być mowy. Nie chciał denerwować Anki. Bo ledwo wyszła z bardzo ciężkiego stanu. I chociaż czuła się zdecydowanie lepiej, na dźwięk słowa „Marianna” reagowała nerwowo. Uważała, i chyba miała rację, że jej przyrodnia siostra czeka na jej śmierć, żeby móc opiekować się ich córką. Coś sobie ubzdurała w tej swojej celebryckiej łepetynie,

że wychowa Marysię po swojemu. Że będą różowe kaftaniki i sukieneczki, że ochrzci małą, a potem zapisze ją do jakiejś prywatnej szkoły dla snobów, z bardzo wysokim czesnym, i robi z niej nie wiadomo kogo. Jeśli miała takie plany i potrzeby, to powinna wystąpić o adopcję jakiegoś dziecka. Zaproponują jej wtedy nastoletnią pannę z trudnego środowiska i niech sobie z niej robi małą księżniczkę. A od Marysi wara! Na szczęście Anka czuła się lepiej. Miała rumieńce i włosy zaczęły jej odrastać. Wyglądała prawie tak samo jak przed ciążą. I nie zamierzała składać broni. Rozmawiali o tym ze Svenem otwarcie, nie omijając słowa „śmierć”, które dotąd stanowiło tabu. Poprosiła go, żeby w razie czego wychował dziecko sam, ale nigdy, pod żadnym pozorem nie oddawał małej Mańce Baumann, choćby na wakacje albo nawet na spacer. Dlatego Sven postanowił skasować tę wiadomość i kasować wszystkie następne, które przyjdą od „cioci Marianny”. Nie chciał denerwować Anki. I tak była niezdrowo przejęta wizytą w Warszawie. Tłumaczył jej, że ta sprawa nie jest pilna, że nikt tam na nią przecież nie czeka, nikt nie woła. Mieszkanie przy Gibalskiego należało sprzedać przez pośrednika. Tak byłoby najlepiej. Ale ona się uparła, że sprzeda sąsiadce. No cóż, głupie, babskie sentymenty. Nigdy tego nie zrozumie. Dlatego teraz siedzieli w samolocie, który właśnie wystartował z lotniska o wdzięcznej nazwie Arlanda. Trochę trzęsło. Anka tego nie lubiła. W przeciwieństwie do niego bała się latania i każda, nawet najmniejsza turbulencja wytrącała ją z równowagi. Nie dawała tego po sobie poznać, ale wiedział, że czuje ucisk w żołądku. Lekko uściśnął jej dłoń. Spojrzała na niego z wdzięcznością.

Gdy już wylądowali, Anka nie miała siły się upierać – zarządzać marszrutę na cmentarz, a potem do mieszkania Grażyny, jak wcześniej zapowiadała. Była zmęczona i zgodziła się pojechać prosto do hotelu. Zatrzymali się tam, gdzie zwykle. W Ibisie przy Muranowskiej, bo stamtąd było niedaleko do matki. Tak mówiła Anka, a Sven zastanawiał się wtedy, czy ma na myśli mieszkanie przy Gibalskiego, czy kwaterę na Powązkach. Gdy już byli w hotelu, mała zaczęła płakać. Na szczęście Anka miała na nią swoje kobiece sposoby. Najważniejszym była kolejna porcja mieszanki dla niemowlaków. Anka nie mogła karmić piersią, nad czym bardzo bolała, ale Sven był szczęśliwy, że w ogóle może podawać małej jedzenie, i powtarzał, że wszyscy powinni się z tego cieszyć. Rozłożyli dla Marysi wózek, który miał zastępować łóżeczko. Wózek był oczywiście błękitny, dokładnie w tym samym odcieniu, co kwiatuszki na walizce Anki, którą Sven chciał wyrzucić w diabły, bo źle mu się kojarzyła – z uciezkami, humorami i chorobą. Ale w końcu zgodził się, żeby ta historyczna walizeczka z nimi została tak długo, jak to będzie konieczne. Może nawet na zawsze.

Byli spokojni i szczęśliwi. Chociaż oboje bali się tego, co czekało ich następnego dnia. Zwłaszcza Anka ciągle miała przed oczami płomienistą grzywę swojej matki. Jutro znów będzie musiała się z tym zderzyć. Po raz ostatni odwiedzić tamto mieszkanie, pełne złych wspomnień i bólu. I zastanowić się, dlaczego wszystkie jej dotychczasowe domy – te małe, biedne i te znacznie większe, bogatsze – okazywały się złe. Może to jednak z nią coś było nie tak? Może urodziła się pod złą gwiazdą i sama sobie – a przy okazji wszystkim dookoła – przynosiła pecha? Sven skarciłby ją za takie myślenie, bardzo nieracjonalne przecież, ale tak właśnie czuła. I bała się, żeby ból, który w sobie nosiła przez całe życie, cała ta przeklęta spuścizna Baumannów i Wichurów, nie przeszedł teraz na jej dziecko. Na małą Marysię, którą Marianna nazwała Calineczką. Anka знаła tę ponurą bajkę i dlatego porównanie jej córki do nieszczęsnej dziewczynki, maleńkiej jak paluszek, wyrosłej z ziarna zasianego przez bezdzietną kobietę, tak ją zabolalo. Miała dość smutnych bajek o dziewczynkach samotnie tułających się po okrutnym, pełnym zasadzek, nieprzyjaznym świecie.

– Dzwoni twój mąż. Chcesz z nim porozmawiać? – Sven najwyraźniej ciągle był zazdrosny o Wieśka, chociaż poza formalnym byciem „żoną” Formeli Anki od dawna nic z tym człowiekiem nie łączyło. Po tym, jak odzyskała swoje nazwisko, przestał zaprzętać jej uwagę. Nie mieli ze sobą nic wspólnego.

Wiesiek niestety uważał, że jest inaczej. I Sven chyba też był tego zdania. Znowu miał tę niezadowoloną minę Sinobrodego.

– Ty z nim pogadaj, jeśli chcesz. – Anka obrzuciła go spojrzeniem, które wyrażało zawód, że znów tak ze sobą rozmawiają.

Sven zignorował jej minę i uprzejmym tonem oznajmił Wieskowi:

– Niestety, Anna nie może teraz rozmawiać. Czy mam jej coś przekazać?

– Bo ja chciałem, żeby Anulka wiedziała, że w każdej chwili może na mnie liczyć. Tatusiem zostałem, córeczkę małą mam i nieba bym wam wszystkim przychylił – bełkotał Wiesiek do słuchawki, a w tle jego głosu pobrzmiwał donośny wrzask niemowlęcia. Svenowi chciało się śmiać. Ten Formela był pocieszny. W gruncie nie najgorsze z niego chłopisko. Ale żeby tak się upijać bezmyślnie i głupstwa gadać przez telefon, tego Sven nie potrafił zrozumieć.

– Niemożliwe! Wiesiek chce ci wreszcie dać rozwód. A do tego sensacja: dziecko mu się urodziło, wiesz? – zwłaszcza tę drugą wiadomość cedził powoli i dobitnie. Nie krył, że był rad z takiego obrotu rzeczy. Może nareszcie uda się uporządkować również ich sprawy. Chciał się po raz trzeci ożenić. Bo lubił porządek. W życiu i w uczuciach. Tylko Anka każdą wzmiankę o ewentualnym ślubie przyjmowała niechętnie. Mówiła, że jest przesądna. I skoro dwie żony Svena umarły, to lepiej, żeby wszystko zostało, jak jest. Żeby dalej żyli na kocią łapę.

Maria Lindbom była przyjaciółką domu. Znali się ze Svenem od lat. Ufał jej. Więc gdy zadzwoniła do niego, odebrał telefon mimo dość późnej pory. Była bardzo zaniepokojona. Dom Svena, którego miała doglądać, był pusty. A w garażu brakowało jednego z dwóch samochodów. Już dawno chciał sprzedać to stare volvo, ale ciągle miał coś pilniejszego do załatwienia. Dlatego auto stało w garażu. Liczył, że Anna się przełamie i zrobi prawo jazdy. Ale teraz miała na głowie inne sprawy. I nagle okazało się, że stare volvo znalazło nowego właściciela. Niestety był nim Jarek. Pojechał nie wiadomo dokąd. Co będzie, jak nie wróci? I znowu narozrabia? To może się skończyć tragicznie. Sven był wściekły na brata. I na ojca też. Że mu taki problem zostawił. Ze zdrady to się wzięło. Z niewierności. Po co się pakował w związek z tą niezrównoważoną kobietą? Bo fascynowali go menonici. Odmieńcy jacyś cholerni. Zamiast być wiernym mężem i ojcem, sprzeniewierzył się, oszukiwał matkę i jego też oszukiwał. Grał niewinnego harcerzyka, a tak naprawdę prowadził podwójne życie. Jeździł z tą swoją Idą oglądać piękne, choć zanedbane pomenonickie dwory. I te cmentarze też zanedbane, ale wciąż wielkiej urody. I bardzo obce, odmienne od zalewającej miasto polskości w siermiężnym gomułkowskim wydaniu. Wieczna prowizorka i bylejakość. Przepierzenia z płyty pilśniowej, nagrobki z lastryka i klockowate bloki o cienkich ścianach, żeby sąsiedzi mogli się podsłuchiwać w mniej lub bardziej intymnych sytuacjach, żeby nie było prywatności, indywidualności, prawdziwego zakorzenienia. Jan Dombrowski nosił w sobie niezgodę na to wszystko. Ale nie wyrażał jej wprost. Bał się ryzykować. Unikał konfliktów z władzą. A jednocześnie głęboko nią gardził. Przez całe życie szukał śladów swojego gdańskiego dzieciństwa. Tykających zegarów, które naprawiał jego ojciec, mieszczańskiego dostatku, który tak wyśmiewała towarzyszka Matylda, jego prawowita małżonka. Jana bardzo to bolało i może dlatego wolał biegać po polach, po lasach, uganiać się za tą swoją szaloną Idą, oglądać z nią pomenonickie dwory, robić czarno-białe zdjęcia aparatem marki Zenit. Kilka z nich nawet się zachowało. Jest na nich Ida, a właściwie Idalia Martens. Patrzy uważnie spod czapki z daszkiem, podobno czerwonej, tak twierdził Jan. Ma bystre oczy, ponoć koloru wody, prawie przezroczyste. Takie same miał Jarek. W tle widać podcienie, tak charakterystyczne dla budownictwa menonitów. Pewnie liczyli je razem. Im więcej kolumniek, tym

zasobniejszy był dwór. To paradoks, bo przecież menonici słynęli z tego, że nie pokazywali bogactwa, ubierali się więcej niż skromnie i żyli niemal w ascezie. A jednak ich domy na Żuławach i na Powiślu, dziś zaniedbane, niektóre opuszczone i zdewastowane, wciąż były piękne, cieszyły oko. Zupełnie jak delikatna, młoda twarz Idy swoim pięknem uwiodła niemłodego już docenta Dombrowskiego.

Sven czuł, że jego brat po prostu od niego uciekł. Pewnie się obawiał, że znów zamknie go w domu wariatów. Robił Svenowi wyrzuty, że ten umieścił go w szpitalu na Srebrzysku. A przecież poszedł tam dobrowolnie. Nikt go do niczego nie zmuszał. Może więc Sven powinien zgłosić na policję kradzież samochodu? Niech znajdą Jarka i najlepiej wsadzą go do aresztu. Żeby już niczego głupiego nie zrobił. Krzywdy sobie albo innym.

Oboje obudzili się w złych humorach. Na szczęście Marysia nie marudziła. Ich maleńka córeczka była nadzwyczaj pogodnym dzieckiem. Anka westchnęła. Sinobrody leżał odwrócony do niej plecami. Miał na sobie jeden z wielu śnieżnobiałych T-shirtów, które zawsze wkładał na noc zamiast góry od piżamy. Taki właśnie T-shirt, przepocony i nieświeży, wrzuciła w ostatniej chwili do walizki, gdy uciekała z Oskarshamn. Przydawał jej się przez cały pobyt w mieszkaniu przy ulicy Polanki. Przytulała się do niego, gdy nawiedzały ją nocne lęki i niepokoje. Gdy bała się kolejnej niepomyślnej diagnozy doktora Maćka albo gdy w nocy wiał silny wiatr. Teraz też odczuwała niepokój, więc postanowiła się przytulić. Do niego. Chociaż na chwilę, dopóki mała nie zacznie płakać.

– Chcesz? – zapytał, nie odwracając się. Cały on. Konkretny i jednocześnie chłodny.

– Ale Marysia...

– Więc nie chcesz.

– Chcę.

Przypomniała się jej sąsiadka z Polanek. I jej harce z mężczyzną, który okazał się bratem Svena. Ciekawe, co się z nią stało? Jens nic nie wiedział na jej temat albo raczej udawał, że nie wie. Podobno wpadła w jakiś stupor po tragicznej śmierci syna. Okropieństwo. Anka nie chciała o tym myśleć. Na szczęście nie musiała, bo Sven właśnie się do niej odwrócił.

O szóstej trzydzięści mała zaczęła kwękać. Anka zerwała się na równe nogi. Długo czekała na ten dzień. Mieli tam pójść razem. W dodatku piechotą. Z wózkim. Sven uważał, że to za daleko, że powinni podjechać taksówką, ale Anka się uparła. Skapitulował. Coraz częściej jej ustępował i trochę go to niepokoiło, bo nigdy nikomu tak łatwo nie ulegał, nawet Fridzie. Ale to dlatego, że Anka była chora, że czekała ją jeszcze co najmniej jedna sesja radioterapii, a potem może dalsze leczenie eksperymentalne. Oby z dobrym skutkiem. Już była wyraźna poprawa, właściwie pełna remisja, i rokowania szwedzkich lekarzy dawały nadzieję. Dużo nadziei.

– No dobrze, pójdziemy.

– Ale Marysia... – Anka jakby straciła rezon. Niepokoiła się, bo za szybko ustąpił. Nie była do tego przyzwyczajona. Poza tym bała się, że dziecko się przeziębii. – To może ja pójde na piechotę, a wy przyjedziecie po mnie taksówką i razem pojedziemy na grób?

Znowu się zgodził. W dodatku tak miękko do niej mówił, niemal czule. Dotąd był taki nieustępliwy. Może dlatego tak jej się podobał. I jeszcze dlatego, że miał spojrzenie pełne nostalgii. Poważne i uważne. Zza tych swoich okularów. No i brodę Świętego Mikołaja. Zupełnie jak jej ojciec. Przyzwyczała się do tego, że ma swoje zdanie. I tak często mówił jej to swoje twarde „nie”. Zupełnie jak Grażyna. Ona też zawsze była w kontrze. Do wszystkiego. A zwłaszcza do tego, co myślała i mówiła jej córka.

Teraz, gdy już nie było Grażyny, czuła się odarta z tego, co przez całe życie dawała jej matka, a czego

ona nie była świadoma. Bo to ona była dla Anki punktem odniesienia – opoką. To, że przez te wszystkie lata była w tym smutnym miejscu – w ponurym, zaniedbanym mieszkaniu, w niedostatku, samotności, w oparach papierosowego dymu – pozwalało jej dystansować się od niej. Nie akceptować jej. Żyć inaczej. I nie zdawała sobie sprawy, że sama świadomość istnienia matki, tego jej uporczywego trwania na swoim i przy swoim, dawała jej poczucie ciągłości, a nawet bezpieczeństwa, właściwego osadzenia w świecie – bo tam, przy niej był początek. Trudny, bolesny, ale prawdziwy. Jej własny. Odejście Grażyny wszystko zmieniło. Anna zbyt późno uświadomiła sobie wyjątkowość tej relacji, jej niepowtarzalność. To właśnie matka – ze wszystkimi wadami, całą swoją pozornie nieznośną chropowatością – była źródłem jej życiowej energii. Dopiero teraz rozumiała wymiar tej straty. I to, że matka nigdy nie była ciężarem, chociaż z pozoru tak mogło się wydawać.

Z Muranowskiej do jej dawnego domu nie było daleko. Musiała porozmawiać z sąsiadką na temat sprzedaży mieszkania. Bo pani Krysia chciała kupić to wspaniałe, jej zdaniem, słoneczne i przestronne mieszkania od frontu. Dla wnuka. Żeby się tu przeprowadził z narzeczoną. To znaczy z dziewczyną swoją, bo słowa „narieczona” Adrian, jedyny wnuk pani Krysi Ciuńczyk, bardzo nie lubił. Wolał mówić, że ma dziewczynę albo najlepiej łaskę. Ale przecież nie o tego jakiegoś Adriana chodziło, tylko o rozmowę z panią Krysią. Bo pani Krysia była z jej matką do końca, odwiedzała ją nawet w szpitalu. I dlatego Anka tak bardzo pragnęła tej rozmowy. Chciała wiedzieć wszystko. O pogrzebie. O tym, w co ubrali Grażynę do trumny. Bo pewnie nie wiedzieli, że lubiła kozaki. Te na wysokich obcasach, lakierowane. I że zapewne nie miała w domu ani jednej pary całych rajstop. Trzeba jej było kupić nowe. Do trumny. I sukienkę tę aksamitną, długą do pół łydki, koniecznie należało włożyć. Tę w kolorze bordo. A do tego czarny skórzany płaszcz i kapelusz z dużym rondem. Ten sam, który miała na pogrzebie jej ojca. Aha, i jeszcze ze dwie paczki vogue’ów z niebieską kropką koniecznie trzeba było włożyć do kieszeni płaszcza na tę ostatnią drogę. A może wolałaby te z zieloną kropką? Chyba jednak z zieloną. Anka wszystko to powiedziała Mańce. Na ucho. Bo nie mogła wtedy głośno mówić, nawet głowy unieść nie mogła. Więc Mańka musiała się pochylić. Ale czy można ufać komuś takiemu jak Marianna Baumann? Dlatego chciała porozmawiać z panią Krysią Ciuńczyk. Ona z pewnością wiedziała, jak to naprawdę było.

– Pani Anusiu, jak dobrze, że pani jest! Ale na pogrzebie naszej Grażynki to niestety pani nie widziałam. Był tylko paniny mąż i taka piękna pani, co w telewizji występuje, stała obok niego. Ładna z nich para, nie powiem... Ale ja wiem, wiem, pani chorutka była, ale teraz już rumieniec na twarzączce widzę. Będzie dobrze. Dobrze będzie. Tylko my tu wszyscy jak te sieroty jesteśmy bez pani Grażynki. Cała kamienica przyszła na pogrzeb. A i z sąsiedniej wielu się stawiło. Z całego naszego Gibalaka. Wszyscyśmy płakali jak te bobry. A ksiądz nasz proboszcz tak ładnie o naszej Grażynce mówił. Że prawdziwa z niej chrześcijanka była. Oj, bo była, najprawdziwsza. Ja to pani mówię. Znałam ją jak córkę.

– Pani Krysiu, ja nie mam za dużo czasu, przyjdę później, to pogadamy. A teraz chciałam tylko zapytać, czy pani naprawdę chce to mieszkanie po mamie kupić? – Anka poczuła silny ucisk w gardle. To był sygnał, że zaraz popłyną łzy. Dlatego postanowiła przerwać tę rozmowę. Było jednak za wcześnie na szczegółową relację z pogrzebu. Jeszcze nie teraz. Może kiedyś...

– Ależ tak, kochanieńka, oczywiście. Tylko jeszcze kluczyk od piwnicy bym potrzebowała, bo piwnica ważna rzecz. Pani to wojny nie pamięta, ale ja tam swoje wiem. Jak ruskie albo inne jakieś niemce nas bombardować będą, to wtedy tylko do naszej piwnicy kochanej zejść trzeba. A piwnicę mamy głęboką, solidną, nie powiem.

– Ale ja tam nigdy nie schodziłam, pani Krysiu. Mama chyba też nie lubiła tam zaglądać. Pewnie nawet żadnego kluczyka od piwnicy u niej nie znajdę.

– Ale co tam, znajdziemy, znajdziemy, kochanieńka. Będzie i kluczyk, i piwnicę się obaczy. O tu leży, na samym wierzchu, ten z czerwoną tasiemką.

Może nie powinna tam schodzić? Do tej czeluści, do schronu. Ale jednak zeszła. Pani Krysia kroczyła przodem, a Anka dreptała za nią. Straszny zaduch panował tam na dole. Kocie szczyny i odór szczurów. Zapach starzyzny. Kluczyk na czerwonej tasiemce był już nieco zardzewiały, chropawy. Pewnie pięknie, jak się go włoży do zamka. Ale nie, lekko przekręciła klucz i kłódka ustąpiła. W piwnicy było trochę gruzu. Na środku stał zardzewiały, stary dziecięcy wózek, pamiętający chyba lata sześćdziesiąte. Nieco staromodny. Skąd się tu wziął? Do kogo należał?

– Chyba nie mógł być mój, za stary model... – powiedziała Anka głośno, ale raczej do siebie.

– Ależ Anusiu kochana! To był paniny wózek, a wcześniej Grażynki. To znaczy paniny dziadziuś, świeć Panie nad jego duszą, woził tym wózkiem naszą Grażynkę, jak była malutka. A jak pani się urodziła, Heniutek staruszka wyrychtował, że aż miło było popatrzeć. Jak nowy był. I pani Grażynka wozila w tym wózeczku swoją małą córeczkę, to znaczy panią, pani Anusiu. Tak to było z tym wózkiem. Wszystko pamiętam, co tu się działo.

Anka wyjęła z torebki chusteczkę i zaczęła czyścić ceratowe obicie. Wózek chyba był niebieski. Tak, na pewno niebieski. Z budką. W środku wyściełany poźółkłym skajem.

– I mamusia, znaczy się nasza Grażynka, dzielna nasza dziewczynka, wozila panią w tym wózeczku. Do ogrodu Krasińskich wozila. I na Starówkę, a czasem to nawet do parku Sowińskiego na Wolę się zapuszczała. I wszędzie zabierała panią w tym wózeczku. Bardzo kochała swoją malutką córeczkę, bardzo. I zawsze dla pani szyła takie niebieskie sukieneczki i sweterki na szydełku robiła, też niebieskie. Chociaż podobno niebieski to dla chłopców, nie dla dziewczynek. Ale kto by w takie głupie przesady wierzył?

Sven prowadził wózek powoli, uroczyście. Nigdzie się nie spieszyli. Wydawało im się, że mają do dyspozycji ocean czasu – jeszcze prawie całe dość ciemne i krótkie, grudniowe popołudnie. Wędrowali cmentarną alejką, nieco wyboistą – wózek podskakiwał, więc Sven wyjął Marysię i niósł ją na rękach. Teraz Anka z dumą prowadziła wózek. Lekki, nowoczesny. I oczywiście niebieski. Zupełnie jak ten stary, nienadający się do niczego, który godzinę temu znalazła w piwnicy.

– To już niedaleko. Zobacz, tu jest grób tramwajarzy, którzy zginęli w jakimś strasznym wypadku czy katastrofie. Zaraz będą Wichury. – Była coraz bardziej podekscytowana. Nie zważała na to, że z głowy spadł jej kaptur i marzła jakoś bardziej niż zwykle.

I rzeczywiście, prawie pod samym murem znaleźli rodzinny grobowiec Wichurów. Raczej elegancki, z piaskowca, całkiem nieproletariacki. Na tablicy wyryto same kobiece imiona. Była tam Pelagia z domu Kruczek zmarła w roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym, matka Henryka, prababka Anny po kądzieli. Druga w kolejności była Stefania Wichurzanka, o której nic pewnego nie było wiadomo poza tym, że tańczyła w jakimś teatrzyku variétés i zmarła w czasie wojny w czterdziestym trzecim. Ponoć była starszą siostrą Heńka i Marysi, którą z kolei pochowano tu w osiemdziesiątym szóstym, zaraz po katastrofie w Czarnobyli, kiedy wszyscy pili ten cholerny płyn Lugola i dzieciom nie wolno było wychodzić z domu, niespełna dziesięcioletniej wówczas Ani również. Miała nie uczestniczyć w pogrzebie Marysi, która ją przecież wychowała, ale uparła się i poszła. Do dziś pamięta tę smutną ceremonię i to, jak płakała nad grobem. I że Grażyna patrzyła na nią ze zgrozą i westchnęła pod nosem: „Po mnie tak nie będziesz płakać”, a Anka błyskawicznie odparowała matce, że przecież nie wiadomo, kto po kim będzie płakał. Grażyna zachnęła się, zapaliła papierosa i szybkim krokiem ruszyła naprzód. Stawiała duże kroki z racji

wyjatkowo długich nóg i kozaków na niebotycznych obcasach, które były jak siedmiomilowe buty. Córka z trudem ją dogoniła. Zawsze taka niziutka była przy swojej strzelistej, długonogiej matce.

Na tablicy kobiet z rodu Wichurów nie było więcej nazwisk. Ale było jeszcze jedno miejsce, może nawet dwa wiersze uda się wygospodarować na tej rodzinnej ścianie pamięci. Poniżej, w rogu, jakby na marginesie leżała czarna tabliczka, na której napisano: „Grażyna Wichura – żyła lat pięćdziesiąt osiem”. I tylko tyle. Całe życie człowieka ujęte w kilku znakach. Dopiero jak Anka spojrzała na tę tabliczkę, puściły wszystkie blokady, które dławili ją przez całe życie. Była szczelnie zasznurowana już od wczesnego dzieciństwa, gdy spacerowały z Grażyną po ogrodzie Krasińskich, a matka opędzała się od niej – siadała na ławce z książką i z nieodłącznym papierosem i fukała na córkę: „No, idź się pobawić, do dzieci idź. Co tak tu sterczysz jak kołek w płocie? Nie przeszkadzaj mi”. A potem ciągnęła ją za rękę i kazała iść jeszcze szybciej, bo przecież nie lubiła się wlec. Grażyna Wichura wszystko robiła szybko i nerwowo. Albo nie robiła wcale. Taka była.

Sven patrzył na Ankę z lekkim przerażeniem. Nigdy jeszcze nie widział jej w takim stanie. Jakby ktoś odkręcił jakiś ukryty zawór bezpieczeństwa. Łzy lały się i lały. Dobrze, że się nie umalowała, bo wyglądałaby jak jakiś upiór. Musiała wiedzieć, co się święci, skoro wyszła bez makijażu.

– Dziwne, że na tablicy nie ma nazwiska żadnego mężczyzny – powiedział spokojnie, próbując rozładować napięcie. – Same kobiety.

– I tak ma zostać. To jest kobiecy grób rodzinny – odparła Anna, ocierając łzy. – Mój pradziadek Wincenty Wichura został pochowany w Otwocku, a Marysia i matka były niezamężne. Ta Stefania chyba też nie wyszła za mąż. Podobno była fordanserką w jakiejś knajpie i tańczyła z niemieckimi oficerami. Za ten grzech przeciwko narodowi polskiemu zastrzelili ją prawdziwi Polacy, żeby takie byle co po ojczystej ziemi nie chodziło.

– Ale co z tym Wichurą, twoim dziadkiem?

– Ano poszedł sobie w cholereę któregoś dnia i tyle go widzieli. Podobno w Wiśle się utopił. Zostały po nim tylko stare buty, kupione w stanie wojennym na kartki. Matka te buty trzymała w szafie jak jakąś relikwię. I mówiła, że to na wypadek, gdyby stary jednak wrócił, boso i z powrozem na szyi. Pewnie dalej są w szafie te buty. A ja je wywalę. I tę cholerną starą szafę porąbię na drobniutkie kawałeczki. Inne graty w mieszkaniu po matce też.

– Uspokój się, proszę. Zobacz, mała płacze.

Sven próbował ją uspokoić, ale Anka była głucha na głos rozsądku. To był jej dzień. Dzień pożegnania z matką i z całym dotychczasowym życiem. Zamiast więc zakończyć swój monolog, postanowiła dolać oliwy do ognia.

– Pamiętaj, że chcę być pochowana tutaj – z nimi. A na tej tablicy ma być jeszcze imię i nazwisko mojej matki, i koniecznie słowo „artystka” pod spodem. Tak jest, moja mama była artystką i chcę, żeby ktoś to tu wyrył. Czarno na białym, wielkimi literami. Jeśli ja nie zdążę, to ty musisz o to zadbać. Rozumiesz?

Sven miał dość tej dramatycznej sceny.

– Zimno jest. Wracam z małą do hotelu. Mam nadzieję, że ty też. Wystarczy tej hysterii. – Ale Anka nie zamierzała nigdzie wracać, a już na pewno nie do hotelu. Postawiła na grobie małą doniczkę z niezapominajkami. Sven długo się zastanawiał, skąd wzięły się w grudniu te kwiaty, ale Anka podobno zamówiła je w kwiaciarni. Potem zapaliła znicz – w tandetnej niebieskiej obudowie z plastiku. – Wracamy do domu – powiedział, tym razem stanowczo.

Trochę się przestraszyła. Bo chyba faktycznie przeholowała. Nie powinna tego wszystkiego mówić. I tak płakać. Trzeba się na powrót zasznurować. Bo on tak lubi, ten cholerny Sinobrody. Nic się nie zmienił, tylko udawał, że zmiękł. A tak naprawdę wymagał od niej, żeby się z niej nie wylewało. I żeby za dużo nie gadać. Bo to szkodzi. Same złe rzeczy biorą się z gadania. Nie będzie żadnych ciekawych

dyskusji przy kolacji, a tym bardziej przy śniadaniu lub obiedzie, zwanym coraz częściej lunchem. I ani mru-mru o umieraniu. Nie rozklejać się. Bo szwedzcy lekarze byli dobrej myśli. Ich zdaniem rokowania były pozytywne. Dawali potężną dawkę nadziei, której nie dał jej ani doktor Maciek, ani profesor Kaczmarek. I tej nadziei należało się trzymać. Żadnego kopania w kalendarz nie będzie. Żadnych więcej pogrzebów. Ani chrzcin. Dla równowagi. No i ślubów. Żeby nie kusić losu. Chociaż Sinobrody naciskał, żeby się pobrali, i to nie ze względów romantycznych, lecz czysto praktycznych – to ułatwiłoby wiele spraw. Zwłaszcza leczenie Anki w Szwecji. Jeśli więc Formela rzeczywiście zgodzi się na szybki rozwód, to może już niedługo zagrają im ślubne fanfary. No, fanfar pewnie nie będzie, podobnie jak welonu, ale o gustowną sukienkę to Anka zadba. Może nawet niebieską? A zamiast podróży poślubnej będzie słodka codzienność z małą Marią Grażyną, o której tak marzyła przez te wszystkie miesiące spędzone w feralnym mieszkaniu w Oliwie. Jej maleńkie чудо. Największa miłość i największy sukces.

Nagle spostrzegła, że Sinobrody z Marysią w ramionach oddala się. Szedł tak samo szybko jak Grażyna po pogrzebie Marysi Wichury. Za chwilę znikną oboje. Robiło się szaro. Zaczęła biec, pchając przed sobą pusty wózek.

– Marysiu, Marysiu! – krzyczała.

Niech się zatrzyma ten cholerny Sinobrody. W końcu to była jej córka. Ostatnia z otwockiej linii Baumannów i Wichurów. Najmilejsza.

Gdańsk, 31 stycznia 2016

SPIS POSTACI

RODZINA BAUMANNÓW

Babcia Bela – urodzona w 1915 roku w Otwocku. Żydówka z bogatej, zasymilowanej rodziny. W czasie wojny ratowały ją pieniądze pierwszego męża i „dobry wygląd”. Ale nie udało jej się umknąć przed szantażystą Heńkiem Wichurą. Być może to za jego sprawą Bela trafiła do Ravensbrück. Udało jej się przeżyć obóz, wrócić do Warszawy, odnaleźć syna, Roberta, ponownie wyjść za mąż – tym razem za komunistycznego dygnitarza – i dzięki temu politycznemu mariażowi zemścić się na Heńku Wichurze, swoim wojennym prześladowcy. Po wojnie Heniek trafił do pudła „za niewinność”, a Bela maczała w tym palce. We Wronkach Heniusz, przedwojenny galant i amoroso, stracił zdrowie, zęby i godność cwaniaczka z Woli. Losy Baumannów i Wichurów są jednak jeszcze bardziej skomplikowane, ponieważ Heniek miał przyrodnią siostrę Marysię, a ona z kolei przechowywała podczas okupacji syna Beli Roberta. Bela zmarła na początku lat 70., w dostatku, otoczona rodziną. Nigdy nie poznała swojej drugiej wnuczki, Anki – urodzonej w 1976 roku – młodszej, nieślubnej córki Roberta Baumanna.

Robert Baumann – syn Beli, zmarł w 2014 roku. Znany poeta i trochę celebryta, a w latach 60. i 70. złoty młodzieniec i bon vivant, przystojny, utalentowany, z zapleczem rodzinnym (bogaty, uprzywilejowany ojczym). Robert w czasie wojny przechowywany był najpierw u Marysi Wichurzanki, na Pańskiej w Warszawie, a potem w Otwocku, także u Wichurów, proletariuszy mieszkających w jakiejś nędznej przybudówce.

Marianna Baumann – starsza córka Roberta, celebrytka telewizyjna i dama z towarzystwa. Ale bardzo nieszczęśliwa – rozwiedziona po wielu latach fasadowego małżeństwa z mężczyzną, który okazał się gejem, a z Marianną był ze względu na wpływy jej ojca, który pomagał mu w karierze. Marianna jest nieco zgorzkniała, bezdzietna i bez szans na własne potomstwo, bo przekroczyła już pięćdziesiątkę.

Jan Baumann – niemal rówieśny, ale ciut młodszy brat Marianny, architekt z wykształcenia, rezydent z zawodu (pomieszkuje trochę u matki, a trochę u siostry). Żyje prawdopodobnie z dużych pieniędzy, jakie dostał po zmarłym ojcu. Niewiele pracuje, bo nie musi, jest psychicznie uzależniony od starszej siostry.

Anna Formela – wnuczka Heńka Wichury i Beli Baumannowej. Ma kompleks niekochanego, nieślubnego dziecka. Jest skryta, chłodna, wycofana, ale mimo swoich kompleksów i poważnej choroby nie rezygnuje z życia. Po rozpadzie nieudanego, bezdzietnego małżeństwa z Wieśkiem Formelą wchodzi w nowy związek z mężczyzną starszym od siebie, który fizycznie przypomina jej ojca, a z charakteru jest podobny do niej.

RODZINA DIBELIUSÓW

Sven Dibelius – w dzieciństwie, które spędził w Gdańsku, nazywał się Szczepan Dombrowski. Po wyjeździe wraz z matką do Szwecji, co nastąpiło około roku 1968, zmienił imię na Sven, a potem wrócił do rodzowego nazwiska Dibelius, po dziadku zegarmistrzu z Wolnego Miasta Gdańska (jego ojciec, chcąc

zatrzeć swoje niemieckie korzenie, po wojnie używał rodzowego nazwiska swojej matki – Dombrowski). Sven jest inżynierem i fizykiem jądrowym, pracuje w elektrowni atomowej w Oskarshamn. Jest też podwójnym wdowcem – jego pierwsza żona zginęła w wypadku samochodowym, który spowodowała, prowadząc auto po pijanemu, natomiast jego druga ukochana żona Frida zmarła na nowotwór kilka lat temu.

Jan Dombrowski – alias Johannes Dibelius. Zmarł w 2013 roku. Historyk, badacz dziejów Słowiańszczyzny i początków polskiej państwowości we wczesnym średniowieczu. Jego matka Erika Dorothée Dombrowski, mieszkanka Wolnego Miasta Gdańska i żona gdańskiego zegarmistrze Gottlieba, przeżyła gehennę sowieckich gwałtów po wojnie.

Jarosław (Jens) – młodszy syn profesora Dombrowskiego, przyrodni brat Svena.

RODZINA FORMELÓW

Wiesław Formela – inżynier budownictwa, przedsiębiorca budowlany, właściciel starej willi przy ulicy Polanki. Bezdzietny, dwukrotnie żonaty. Nie chce dać rozwodu swojej drugiej żonie Ance.

Pani Bolesława Formelowa z domu Mokwa – matka Wieśka. Dość paskudny, moherowy babsztyl.

Dagmara Drożdżyk – kolejna dziewczyna z Kaszub w życiu Wieśka Formeli. Formalnie jest jego sekretarką, nieformalnie ma znacznie więcej obowiązków.

RODZINA HERBSTÓW

Małgorzata Herbst z domu Koljaczkówna – potomkini kaszubskiego rodu Koljaczków. Była żona Jakuba Herbsty, matka Agnieszki. Właścicielka domu przy ulicy Polanki. Pracuje jako dziennikarka w lokalnym brukowcu.

Jakub Herbst – jedyny syn Romy i Lejba, małżonków Herbstów, były mąż Gosi, ojciec Agnieszki. Odnalazł się w nowym związku, zwłaszcza w roli ojca małego Dawidka.

Agnieszka Herbst – córka Gosi i Jakuba. Ma dwadzieścia jeden lat i jest sfrustrowana postawą rodziców, ich obojętnością i nieczułością. Cierpi na zaburzenia odżywiania.

Dawid Herbst – dziedzic rodu, nazwiska, tradycji i czteropokojowego mieszkania Herbstów przy Jaśkowej Dolinie w Gdańsku.

Roma, Lejb i Vered Herbstowie – tercet egzotyczny pod każdym względem. Mieszkają razem w Hajfie. Średnia wieku – siedemdziesiąt pięć plus, mocno zaniżona przez najmłodszą w tym gronie Vered.

RODZINA ZAGROBNYCH

Maciej Zagrobny – lekarz onkolog, trzydziestosześcioletni maminsynek, któremu grozi starokawalerstwo. Marzy o związku z Anką lub swoją kuzynką – rudą Elką.

Monika Zagrobna z domu Sobańska – dawniej żona, teraz głównie matka śledząca wszystkie poczynania syna – nieco już przeterminowanego kawalera.

Ruda Elka – wprawdzie też Sobańska, ale dziesiąta woda po kisielu.